



4453

II

3

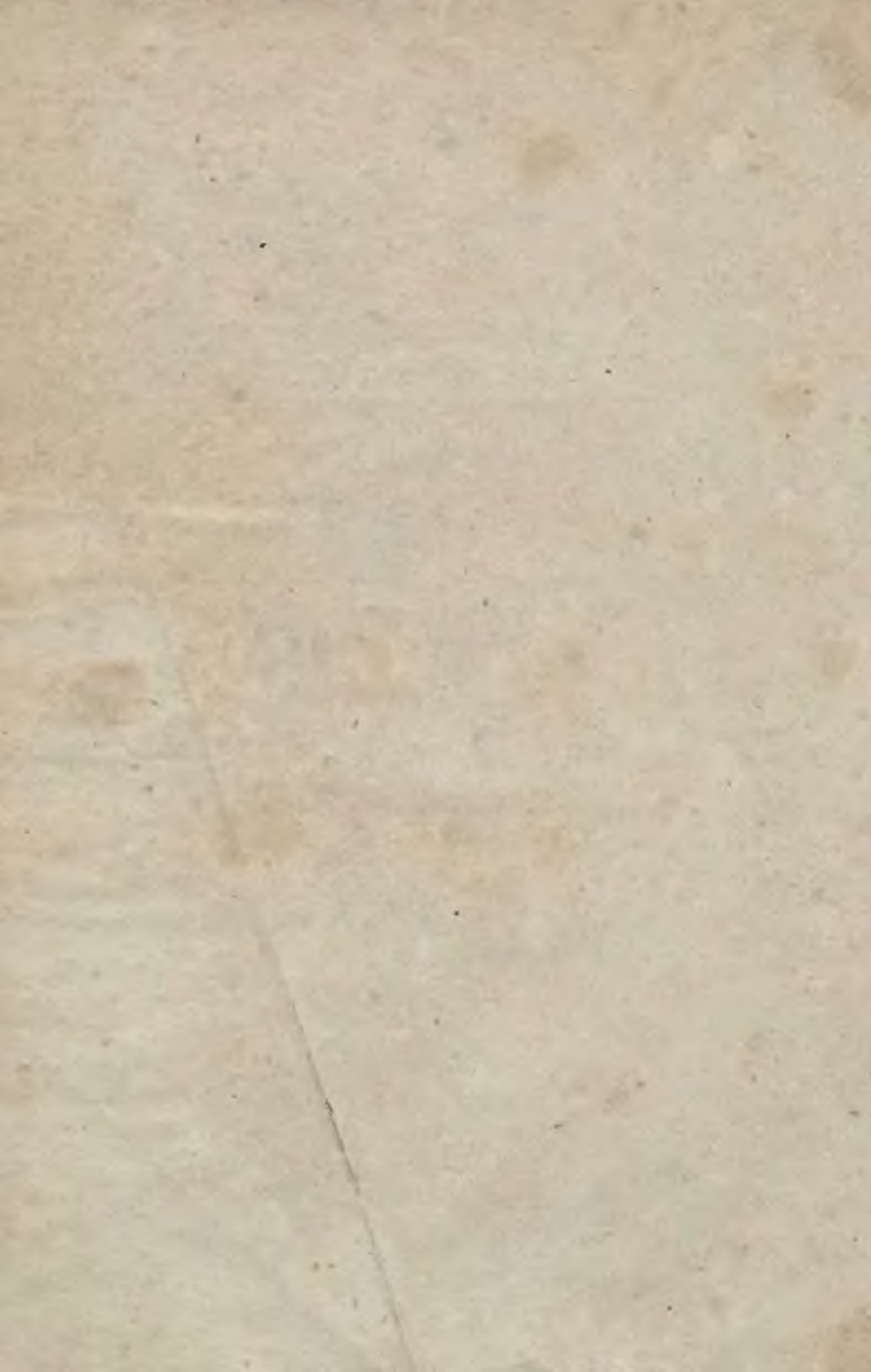
P



*Geogr. pol. 2229*



~~1897. V. 37~~





**W ALPACH I ZA ALPAMI.**

W ALPACH I NA ALPACH







Lepzig, d. Kgl. Kunst-Anstalt, A. H. Payne sc.

Venedig.



W ALPACH  
I  
ZA ALPAMI

PRZEZ

L. z G. Reutenfrucht

GENOW

WYDAWCA



WARSZAWA,  
WYDAWCA FRANCISZKA SPIESS I SPÓŁKI.

1847.

W WYDAWNIWYCH KSIĄŻKACH I BROSZURACH

WYDAW  
NA ALPAMI

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury  
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby Eksemplarzy.

w Warszawie d. 25 Września (7 Paźdz. 1846 r.)

CENZOR

**NIEZABITOWSKI.**



4453 II.

Die 000715

**W Drukarni Komisji Rządowej Sprawiedliwości.**



## I.

## HISTORIA.

**B**oehanna była piękna, silna i odważna. Miała mężów czterech a żadnego pana. Niepłodność jej, zbyt popędliwy charakter, a w postanowieniach brak wytrwałości, stały się wszystkich zaburzeń i nieszczęść przyczyną.

Panowanie jej zaczęło się od burzy na morzu i ziemi, jakiej przedtem niepamiętano. Petrarka na nią patrząc, pięknie pod pierwszym opisał ją wrażeniem; opowiada jak młoda królowa, wszędzie przytomna, pomoc nieszczęśliwym niosła, i w modłach kościelnych brała także udział. Było to jakby jej panowania preludium.

Andrzej tymczasem pił i bułał ze swemi Węgrami, pod wyłącznym wpływem swego nauczyciela i dworzan, coraz więcej rodaków do Neapolu sprowadzał, i największą im udzielał władzę. Neapolitanie doznawszy już Greków, Gothów, Lombardów, Saracenów, Normandów, Niemców i Francuzów panowania, znaleźli ten nowy najazd Węgrów za uciążliwy, zbyt-czny, i zrobili przeciw nim spisek.

Razu jednego dowiedziawszy się, iż królestwo mają kilka dni przepędzić w Awersie, o parę mil od Neapolu, gdzie Andrzej mniej Węgrów mógł

mieć koło siebie, postanowili ten spisek do skutku doprowadzić. Dopilnowawszy tam że Andrzej przy małżonce sam jeden wieczory spędza, przysłali zmyślonego gońca, jakby od wszechwładnego przybywał nauczyciela, a gdy król do niego bocznemi schodami wyszedł, zarzucili mu stryczek na szyję i udusili.

Węgrzy zapóźno o tym wypadku uwiadomieni, upierali się zrazu przy władzy, przeciw królowej lud podniecając. W końcu z Neapolu wynieśli się, ale wróciwszy do kraju, króla swego, brata Andrzeja, podmówili do zemsty, zrzucając na Johannę całą tę zbrodni ohydę.

Czy Johanna miała w niej udział? nigdy to dowiedzioném niebyło. Nienawiść jej do męża, jako i znana duma nielubiąca podziału władzy, przeciw niej mówią. Żwawa zaś chęć usprawiedliwienia się z tego zarzutu, i ścisłe zbrodniarzy poszukiwania, mogłyby przeciwnie twierdzić.

Johanna napisała do węgierskiego króla list pełen wymowy, zaręczając go o swój niewinności; w odpowiedzi dowiedziała się iż on w nią nie wierzy, że gotuje dla pomszczenia brata na Neapol wyprawę.

Królowa miała lat ośmnaście; kraj bez wojska, bez dowódców, bez skarbu. Zaślubiła co prędzej swego kuzyna, hrabię Tarentu, którego oddawna kochała, lecz i ten nieznajdując w tak trudnych okolicznościach środka, schronił się z nią do prowancekich andegaweńskiego domu posiadłości.

Mówią że tam na nowo przed zebraniem na ówczas w Awignonie świętém collegium, Johanna żądała ze śmierci pierwszego męża się usprawiedliwić. Dodają iż dla pozyskania przychylności sądu, za bardzo małą cenę sprzedała Awignon papieżom.

Tymczasem król węgierski do bezbronnego Neapolu wkroczył. Na czele licznych jego legji, powiewała czarna srebrem zahaftowana chorągiew, a ten haft przedstawiał smutny brata jego koniec.

Neapolitańscy panowie przerażeni widokiem tej chorągwi i zemstą jaką zapowiadała, zaczęli bić czołem przed tym nowym panem. Węgrzyn zimno bardzo ich przyjął, podatkami uciemiężył, kilku w Andrzeja sprawie obwinionych torturą i śmiercią rozkazał ukarać, a zabrawszy ile mógł pieniędzy, wrócił do siebie zostawując w Neapolu jakąś załogę.

Jak tylko król węgierski ustąpił, Johanna wróciła. Lud jej sprzyjał, a uzyskane solenne Rzymu ze śmierci Andrzeja usprawiedliwienie, więcej jeszcze przychylnych jej zjednało. Królowa użyła tych ludu uczuć dla pozyskania serc swemu mężowi, niezbyt w kraju lubionemu, a którego ona namiętnie kochała.



Hrabia Tarentu koronę z jęj rąk otrzymał. Piętnaście lat z nim związk, najpiękniejszemi są Johanny życia. Lecz zbytek, jak mówią, tęg wzajemnej miłości, przyspieszył króla zgon.

Johanna w 36 roku zostawszy wdową, trzeciego wzięła męża. Był to syn księcia na wyspie Majorce, młody i piękny. Ale już królowa nie znalazła dla niego uczuć jakeimi poprzedniego darzyła małżonka. Wysłała go niebawnie na pomoc ojcu, którego wyspa przez arragońskiego króla turbowaną była; wykupiła go wprawdzie z więzienia, gdzie kolejną wojny się dostał, lecz powtórnie go wysłała i już niesłyszano więcej o nim. Jedni mówią że tam umarł, i Johannie tę nagłą przypisują śmierć; drudzy że znalazłszy go u stóp innej kobiety, niechciała go widzieć i rozwód wzięła, co tęg dziwniejsza, iż rozwody dotąd w Neapolu niebyły znane.

Po tęg trzecim owdowieniu, Johanna zawsze bezdzietna zaczęła o swym następcy myśleć. Siostra jęj Marya zostawiła córkę Małgorzatę. Johanna wydała ją za Karola Durazzo, i jego następcą tronu ogłosiła.

Tynczasem sama silną ręką rządu prowadziła. Jeden z magnatów neapolitańskich, hrabia Minorsino, bunt przeciw nięg podniósł; ona go pobila, pojmała, i stracić kazała.

Ambroży Visconti medyolański książę, prawie do bram Neapolu się posunął, w zamiarze podbicia królestwa, które mu się zdawało tęg łatwiejsze do zabrania, iż pod kobiecém zostawało berłem. Ale Johanna do ucieczki go zmusiwszy, przekonała jak dalece się mylił.

Mimo tych wszystkich i wielu innych rozrywek, królowa znudzila się swym wdowim stanem, i po raz czwarty myrtowy do włosów przypięła wianek. Czwartym szczęśliwym był Otton książę brunświcki. Johanna liczyła już lat 45, ale Otton pamiętny losu przeciwnika swego, najmniejszego cieniu na swą małżeńską wierność nierzucił.

Inne go za to kłopoty czekały. Durazzo niemiłym patrzył okiem na te czwarte ciotki związki; lękał się żeby Otton przeżywszy żonę, niezasiał po nięg na tronie. Chcąc wcześniej złemu zapobiedz udał się do Rzymu, a tam zostawszy na króla neapolitańskiego namaszczonym, uzbierał wojsko i na jego czele swe królestwo zdobyć zamierzył.

Po bezskutecznym oporze, Otton cofnąc się z Neapolu musiał, a Johanna z dworem i wiernemi sobie zaniknęła się w fortecy *Castel Nuovo* (co tak pięknie w morze patrzy, a ja ją w tęg chwili z okien mych widzę).

Otton udał się po nowe siły do Gaety, królowa zaś posłała do swych prowaukch stanów, żeby po nią okręta przysłano, tajemnie także do francuzkiego króla napisała, ofiarując swą koronę Ludwikowi andegawewskiemu, młodszemu z synów jego, błagając tylko żeby po nią przybył. A tynczasem odważnie oblężenie odpierała.



Otton wrócił: lecz pobity w więzieniu się oparł. Okręta z Prowancyi nieprzybywały, Ludwika widać niebyło; Johanna mimo to oddać się niechciała.

Już brak żywności okropnie czuć się dawał, dzieci płakały, matki na kolanach prosiły królowej o zmianę srogiego wytrwałości postanowienia, ale nie wskurac niemogły; królowa śmiejąc się chleb suchy jadła, lub smażone szczury, a bram jeszcze lepiej bronić kazała.

Jednak gdy i takięj zabrakło żywności, bramy otworzyć się musiały. Johanna się oddała, a co gorsza nowy podpisała na korzyść swego zwycięzcy dokument.

Następnego dnia, prowanckie okręta do portu przybiły. Durazzo dumny swém zwycięstwem, każe wprowadzić admirała i innych naczelników do ciotki, by z jęj ust usłyszeli że już między nimi zgoda, że on tronu następcą. Lecz królowa w takie do nich ozwała się słowa:

Niemogę pojąć nagannęj waszjęj zwłoki w wykonaniu rozkazów moich; niemogę jęj z waszym honorem, przysięgą wierności i licznemi względem mnie i mych przodków obowiązkanii zgodzić. Ofiarą waszjęj opieśzałości, doznałam nędzy jakąby zaledwo ostatni lazzaroni mógł wytrzymać. Pochwalić tego niepodobna. Ale jeżeli chcecie ten okrutny bład wynagrodzić i nowemi w mych oczach pokryć się zasługi, bieście do Francyi powtórzyć królowi, iż nic niezmieni postanowienia mego; że mój tron jest dla jęgo syna. Jeżeliby przeciwne doszły go wieści; niech im niedaje wiary. Jeżeliby nawet pokazano mu jaki papier z moim podpisem, niech wie że ten podpis przemocą wydarty, żadnęj mieć niepowinien wagi, żadnęj niema wartości. Oto jest mój testament. „Niech książe Ludwik andegawęński po tron swój śpieszy, niech pomści mą zniewagę, lub śmierć jaka mnie zapewne nieminie.”

Przeczcucia Johanny niebawnie się sprawdziły. Durazzo uwiadomiony o tym ciotki postępku, zaraz ją zamknął, a gdy lud zaczął się burzyć i za nią powstawać, udusić ją kazał.

Z drugięj golfu strony, prawie naprzeciw *Castel nuovo* twierdzy, pokazą ci starego zamczyska mury, falami morza bite. Zowią je dotąd Johanny zamkiem. Tam ona w dniach szczęścia, rokoszne w miłości pędziła chwile, tam późnięj zamknięta zbrodnią swe burzliwe zakończyła życie. Teraz wedle ogólnego mniemania, cięń jęj się co noc pokazuje, a przez puste szkieletu okna, grozi sądowi co jęj od śmierci niebronił, i nawet pogrzebu królewskiego niesprawił.

Zwłoki jęj przez dni ośm na publiczny widok w kościele świętęj Klary wystawione, gdzieś późnięj w niegodne siebie wrzucone zostały miejsce.

Tak skończyła w 1382 roku, ta zewszeh miar dziwna kobieta, to równie dziwne jój panowanie.

Natychmiast po jój zgonie, Durazzo ogłosił się królem, pod nazwiskiem Karola III. Ostatni Johanny mąż, w ciemném więzieniu zamknięty, niewiedział nawet o tém, ale Ludwik francuzki książę, przybył popierać swe prawa, na testamencie królowej oparte.

Ludwikowi dość się szczęście zaczęło, i kilka już był ogarnął prowincyj, gdy niespodziana śmierć zaskoczyła mu do dalszych zwycięstw drogę, a Karolowi III. tron ustaliła.

Durazzo niesyt wkrótce władzy, znalazł iż mu w Neapolu i prowancckich stanach za ciasno. Dowiedziawszy się o śmierci króla węgierskiego, umyślił to sobie zdobyć jeszcze królestwo.

Durazzo za życia swój ciotki w ścisłych zostawał przyjaźni stosunkach z królem węgierskim, zapalonym jak wiadomo Johanny nieprzyjacielem, i nieraz u niego przebywał. Po śmierci króla który tylko młodą zostawiał po sobie córkę, Karol III posłał powierników swoich dla przekonania Węgrów, iż to jest wielkim wstydem pod kobiecemi zostawać rządami. Węgry im uwierzyli i przywołali Karola do siebie; Durazzo przybył najprzód w postaci namiestnika. Lecz gdy okazał do korony pretensyą, pod zbójcekim upadł sztyletem.

Durazzo zostawił dwoje małych dzieci: Władysława i Johannę. Dziecinny wiek Władysława i kobieca matki regencya, obudziły nadzieje syna Ludwika, francuzkiego księcia, który nazwawszy się królem 1390 roku, pod Neapol przybył. Po długich jednak bojach, tron przy Władysławie pozostał.

Władysław był waleczny, dumny i ostry, a obok tego zbytecznie pięknej płci holdował. Wpóśród licznych miłostek marzył o panowaniu nad całemi Włochami. Poszedł na Rzym i Toskanją, Sienne zdobył, lecz mocno zachorowawszy w Peruzie, wrócił do Neapolu, i 1414 roku umarł.

Siostra jego, Johanna II, po nim nastąpiła. Panowanie jój także do niepoślednich co do swój szczególności należy. To imie dwa razy w dziejach Neapolu krwawo zapisane, po razy dwa żałobę na kraj ściągnęło, i w tenże sam sposób, to jest przez podwójny następców wybór.

Dla odróżnienia téj od poprzedniej Johanny, historia ją przezwała *Giovanellą*, to jest Johasią. Otóż ta Johasia miała już lat 44, gdy jój koronę na czoło włożono; tak była nie piękna, iż nawet korona nie zbyt wdzięki jój podniosła, co nieprzeszkadzało iż bardzo lubiła się podobać. Męża niechciała, ale kochanków miała bez liku. Między niemi Pandolf z Alopo, najprzód jój podczaszy, pierwsze trzymał miejsce, i króla chciał grać rolę.



Pandolf widząc się razu jednego w niebezpieczeństwie utracenia tak znakomitego miejsca, rywała swego do więzienia wtrącił. Rywalem tym był Sforza, waleczny żołnierz, odznaczający się pięknymi rysy i budową ciała. Ten zuchwały ze strony podczaszego czyn, oburzył dwór i panów. Naradziwszy się z sobą, wszyscy razem przysli pokornie przedstawić królowej, iż taki porządek rzeczy interesom krajowym nie sprzyja, że należałoby wybrać sobie męża.

Johanna się niewzbraniała, poszła za Jakóba Burbona, hrabi na Marchji, lecz dalej swe zwykłe wiodła życie.

Francuzowi się to niepodobało. Pandolf widząc iż Jakób złém na niego patrzy okiem, wypuścił Sforza z więzienia, i oba sprzysięgli się na niewygodnego męża; Jakób o wszystkiém skrycie uwiadomiony, niedługo takie znosząc żarty, obu pojmać kazał; Sforzę nazad do więzienia wtrącił, a Pandolfa na turturę najprzód włożywszy, kazał głowę mu uciąć i za nogi powiesić.

Po tym wstępie, resztę wielbicieli swęj żony powyganiał; a tak oczyściwszy dwór, przydał Johasi starego Francuza, z rozkazem iżby nigdy z jęj niewychodził pokoju, na krok jęj nieodstępował, każde słyszał słowo, i wiernie królowi donosił.

Już tak od trzech miesięcy królowa świata niewidziała, i nikt jęj oblicza; król z kilku rodakami pił w głębi ponurego pałacu, a Neapol nawykły do zabaw i uczt dworskich, śmiertelnie się nudził.

W braku zabaw zaczęto siać plotki. Rozmaite wieści poczęły o królowej krążyć, o jęj męża okrucieństwie; dość że neapolitańska młodzież zaprzysięgła ją widzieć, przekonać się o jęj stanie, i wyzwolić z więzienia.

Na czele tego spisku stanął pierwszy nieszczęścia królowej sprawca, Juliusz Cesare, oburzony dawniej nieprzyzwoitém Johanny postępowaniem, pierwszy nań Jakóba zwrócił uwagę, do zemsty podmówił, Pandolfa stracił. Teraz wzruszony nieszczęściem biednej kobiety, grzechu swego żałował. Chciał go odkupić używając zaufania i łask jakie sobie u króla pozyskał, na oswobodzenie zamkniętej żony.

Tak się znówiwszy, cała młodzież przyszła do zamku prosząc o zaszczyt widzenia królowej. Jakób naprzeciw nięj wyszedł, mówiąc że jest słabą, że jęj zdrowie wymaga samotności, lecz że on gotów wysłuchać ich żądań i zadość uczynić. Juljusz Cesare odrzekł iż niemają innego żądania, jak swe uszanowanie złożyć jęj królewskiej mości, że jeśli ich liczne grono przeciwi się przepisom lekarskim, on sam prosi o zaszczyt, w imieniu wszystkich, ucałowania jęj ręki. Jakób zamyslił się; ale nieśmiejąc nic odmówić Juljuszowi Cesare, którego zasługi pamiętał, kazał



go do królewskiej zaprowadzić komnaty, a staremu Francuzowi z nią odejść.

Gdy się tylko Julusz ujrział sam, w obec królowej, zgiął przed nią kolano, wyznając iż ją zdradził, iż on jest przyczyną śmierci Pandolfa, lecz zarazem że przysiągł ją z teraźniejszej oswobodzić tyranji, choćby to przyszło życiem jej męża okupić. Johanna niedowierzając tak nagłym zmianie, zaczęła mu przedstawiać trudności, prawie niepodobieństwo dokonania zamiaru tego. Julusz wszystkie po kolei opory zbijał, gdy stary Francuz, ów argus królowej, znajdując rozmowę za długą, niespodzianym powrotem ją przerwał.

Johanna w największej przez cały wieczór pozostała niespokojności. Z jednej strony wolność się bardzo jej uśmiechała, z drugiej, lękała się zdrady. Przyszła jej w końcu myśl iż to być musi męzowski podstęp, dla uzyskania pretextu do stracenia jej; iż chce mieć dowody jak ona na życie jego czyhała; a w tém przekonaniu, całą tę Julusza rozmowę wiernie Jakóbowi odniosła.

Burbon także nie miał powodów ślepego w słowach żony zaufania. Wysłzedziwszy chwilę powtórną bytności Julusza, polecił Johannie najprzyjaźniejsze dla niego przyjęcie; sam zaś skrył się za firankę, a tam podsłuchawszy rozmowy, już wątpić o zbrodniczych zamiarach Julusza niemógł.

Zanim jeszcze zdrajca wyszedł od królowej, straż zamkowa już miała rozkaz go przytrzymania. Julusz Cesare śmiercią przyplacił ten, jak go mienił, szlachetności popęd, a Johanna w dowód wdzięczności za ocalone męża życie, nieco więcej uzyskała wolności.

Korzystając z niej królowa, w dni kilka potem pojechała do ogrodu bogatego jakiegoś Florentczyka, gdzie kazała sobie obiad przyrzadzić. Publiczność o tém uwiadomiona, i ci co do Cesarego należeli spisku, słowem, pół Neapolu przeniosło się tam, dla widzenia tej nieszczęśliwej zazdrości męzowskiej ofiary.

Johanna w czerni ubrana, miała lica blade a oczy łez pełne. Współczucie jakie jej okazywano jeszcze ją bardziej wzruszało. Łzy zrazu wsrzymane na chustkę spadały. Wzajemnie widok tego królewskiego smutku, coraz silniej działając w zapał się wkrótce zmienił. Zewsząd dały się słyszeć słowa: »Niech żyje Johanna! Śmierć jej mężowi Francuzowi! Niezależność królowej!»

Na czele tego improwizowanego buntu, był Ottino Caracciolo, człowiek odważny i wielkiej w Neapolu wziętości. Król zbyt liczne odebrawszy poselstwo wymagające układów, któremi królowa do pierwotnych wracała praw, na wszystko przystać musiał.

W kilka tygodni potem Caraccioio był królowej kochankiem, a Jakób zamknięty w więzieniu, sroźszym jeszcze niż to w którym żonę trzymał. Dopiero w lat trzy wydobywszy się z niego, wrócił do Francyi, gdzie został Bernardynem.

Tu się zaczyna panowanie Caraccioiego. Magnaci wielkie zaczęli pokazywać nieukontentowanie; lud także przykrzył sobie tego nowego ze swęj klasy pana. Caraccioio to postrzegłszy, pomnąc nadto iż sam nauczył Neapolitanów jak się z niemilęj otrząsać władzy, panom zaczął pochlebiać, odebrał Francuzom dobra które od Jakóba trzymali, i im je oddał. Lud także obdarzał. Sforzy jeszcze zamkniętemu wolność wrócił i do urzędów przypuścił. Ale gdy nieco później, lękając się zbytęcznej jego władzy, odmówił mu nowych zaszczytów, Sforza przypomniawszy iż niegdys był *condotierem* (1) podniósł bunt, i swe usługi ofiarował francuzkiemu księciu, wnukowi tego co Johanna I swym następcę niegdys ogłosiła.

Królowa niewiedząc co począć, wezwała Alfonsa arragońskiego, w Sycylii naówczas panującego księcia, przyrzekając mu koronę gdyby ją od tego nowego ocalił nieprzyjaciela. Alfons przybył, Sforzę pokonał, i został namiestnikiem królowej.

Ale ta harmonja niedługo między nimi potrwała. Caraccioio zaćmiony Alfonsa władzą, podniecił Johannę przeciw niemu. Johanna odsunąć go sprobowała, Alfons wypowiedział jęj wojnę. Johanna pogodziła się ze Sforzem, i dała mu swych wojsk dowództwo.

Tak to rozpoczęła się długa i krwawa domowa wojna, w ciągu której obie strony rozmaitych powodzeń lub przygód, a kraj ciągłych klęsk doznawał. Johanna z okolicznościami zdania zmieniając kilkakrotnie, to francuzkiego to arragońskiego księcia swym następcę mianowała.

W końcu Arragończyk ustąpił, Sforza umarł, francuzki książę następcę tronu uznany, a Caraccioio do pierwszego faworyta tytułu i do dawnęj powrócony władzy.

Ale i te fawory ku końcowi się miały. Johanna stara, całkiem niedołączna, długi czas znosiła brutalstwo starego już także kochanka. A te pogardy jego znaki, skrytą zaczęła odpłacać nienawiścią.

Jedna z jęj dan dworskich, z dawnego rodu, dumna dla siebie i za swę panię, oddawna bolała nad takiem jęj poniżeniem. Wyśledziwszy to nowe w sercu królowej udanie, coraz je bardziej podniecać zaczęła,

(1) Condotiery byli wodzowie uzbieranego wojska lub jakiej awanturniczej hor-  
dy, gotowej na rozkazy każdego co ją płacić i utrzymywać obowiązał się. Ten  
Sforza wódz Johanny był głową znakomitego w Medyolanie imienia, które nam dał  
Bonę, matkę Zygmunta Augusta.



tak dalece, że gdy Caracciolo przyszedł z wymaganiem żeby mu zapisała na wieczność księstwo Amalfi i Salerno, Johanna odmówiła daru tego. Caracciolo oburzony tym uporem, nigdy przedtém nieznanym, obelżywe zaczął ciskać słowa. Królowa płakała rzewnie, ale podpisu dać nie chciała.

Dworskie damy wzruszone płaczem swęj pani, zaprzysięgły zemstę. Wyznały nawet królowęj że spisek na Caracciola knują; królowa żadnego w tęg mierze nie dała zakazu.

Oznaczony do wykonania tego zamachu dzień, przepędzono w zabawach i ucztach, które się późno w noc przeciągnęły. Po wytwornęj winem szumiącej wieczerzy, wszyscy do spoczynku się udali; a stary faworyt jak zwykle zamknął się w swęj komnacie. Już zasypiać poczynał, gdy zapukano do drzwi donosząc, że garderóbna królowęj z pilném poselstwem od swęj pani do niego przysłała. Caracciolo kazał jęj otworzyć. Garderóbna weszła, a za nią sześciu zapłaconych ludzi; ci w jednę chwilę bezbronnego w łóżku faworyta trupem położyli.

Niebawem potém i królowa umarła, zostawując jak pierwsza Johanna, dwóch do tronu pretendentów, Renego i Alfonsa, a kraj pod nowęj wojny kłatwą.

Po długich bojach, Alfons nakoniec przy tronie się utrzymał, co jednak niepołożyło ostatecznego kresu francuzkich ksiąząt pretensjom, nieraz późnięj wznawianym.

W Alfonsie zaczyna się arragońska w Neapolu dynastya z odnowienia dawnego związku, to jest zlania pod jedno berło obu Sycylii. Król ten wszelkimi obdarzony cnotami, nie miał na celu jak szczęście ludu. Przewzano go wspaniałomyślnym.

Alfons zostawił jednego tylko syna i to nieprawego. Ten pod nazwiskiem Ferdynanda I w historii znany, długie znów miał do wytrzymania od ksiąząt francuzkich napaści.

Panowanie prawie jednoczesne następców jego, Ferdynanda i syna tegoż Alfonsa II, są pasmem brudnych i rozwiążłych okrucieństw.

Neapol zbuntował się przeciw Alfonsowi. Alfons bunt uśmierzył, ale się niepoprawił.

Miał jednak ważne powody do jednania sobie przychylności kraju, gdyż się we Francyi ogromna na niego gotowała burza.

W skutek rozmaitych familijnych układów, René, andegaweński książe, pretendent do neapolitańskiego tronu, przekazał swe prawa (oparte zawsze na wyborze dwóch Johannów), Ludwikowi XI, francuzkiemu królowi. Ludwik o nie wprawdzie nie dbał; ale syn jego Karol VIII, pełen odwagi, nieco awanturniczęj zuchwałości, Alpy z wojskiem przekroczył.

Innych części włoskich przebiegając dzieje, już nieraz to imie napotkać nam się zdarzyło. Karol VIII, jak gdzie indziej widzieliśmy, Florencyą i Rzym zwycięzko przebiegłszy, u bram Neapolu swe chorągwie utkwil.

Alfons II ztchórzył, i na Ferdynanda syna swego cały ciężar rządów zrzucił. Ferdynand za ojca błędy pokutując, w najważniejszych chwilach, najgwałtowniejszych potrzebach, napotkał obojętność magnatów, zupełną ludu oziębłość. Wkrótce jednak niesforność francuzkiego wojska, powrót Karola VIII do Francyi, a następnie śmierć monarchy tego polepszyła Ferdynanda sprawę. Lecz zaledwo biedny ten książę zaczął niejakiego szacunku i powagi u siebie nabierać, kiedy niespodziana choroba bliskiu mu zwiastowała koniec.

Ferdynand bezdzietny, zostawił koronę stryjowi swemu Fryderykowi. Ten niegdyś w Neapolu kochany, niemógł pierwotnych dla siebie uczuć tych obudzić. Intrygi z jednej strony francuzkiego króla, Ludwika XII, z drugiej hiszpańskiego Ferdynanda, *Katolickim* przezwanego, tak rozbałamuciły lekkomyślnych Neapolu mieszkańców, iż sami niewiedzieli czego się trzymać. Oba ci królowie dowodzili, iż Fryderyk pochodząc z syna *nieprawego* Alfonsa, żadnego do spadku jego prawa niema. Swoje zaś opierali na Johanny II zmiennych wyborach, o których obszernie mówiliśmy. Fryderyk mieniać się spadkobiercą arragońskiego, Ludwik, andegaweńskiego domu. W końcu oba królowie po przyjacielsku porozumiawszy się, niepytając się bynajmniej Fryderyka, podzielili się między sobą królestwem jego, a nieszczęśliwy Fryderyk, niemając sił do oparcia się takim nieprzyjaciolom ani kąta w całym świecie, oddał się z żoną i dziećmi w ręce tego, który mu się mniej niegodziwym wydawał. Ludwik XII przyjął do siebie zdetronizowaną rodzinę, i dość z nią szlachetnie zrazu postąpił; lecz gdy niebawnie Fryderyk umarł, król francuzki, na prośbę hiszpańskiego, chciał mu wdowę z dziećmi jego oddać. Biedna wdowa lękając się o życie swych dzieci, umknęła do Ferrary, gdzie w nędzy smutne dni dokonała.

Ta Hiszpanji z Francją czuła zgoda niedługo jednak potrwała. Wkrótce nawet do wojny między nimi przyszło. W niej sławny Gonzalw z Korduby, przewany *wielkim kapitanem*, dzielne przyniósł Ferdynandowi korzyści. Ludwik XII widząc się pozbawionym największej Neapolu części, oddał resztę w posagu swęj siostrze, z którą się Ferdynand ożenił; i taką koleją Neapol przeszedł pod berło hiszpańskich królów.

Po Ferdynandzie *Katoliku*, nastąpili Karol V (Charles Quint), Filip II III i IV. Ci wszyscy monarchowie, ledwie kiedy niekiedy pokazując się



w Neapolu, lub w razie w nim nieznanym, vice-królowie nim rządzą; trzeba by więc raczej o nich niż o królach mówić.

Przez te blisko półtora wieku (bo od 1505 do 1648), dzielące Ferdynanda Katolika od Filipa IV, Neapol miał 28 vice-królów, i to do najsmutniejszych swych dziejów zapisać może. Każdy z nich niemyślał jak o najrychlejszym wzbogaceniu się, łupił kraj dla siebie, i na korzyść pana swego. Ile razy Ameryka niedość dostarczyła złota, z Neapolu go wyciskano. Kiedy w nim podatków niestarczyło, nakazywano dobrowolne dary, tak że w przeciągu lat 130, Neapol posłał swym dobrym panom do Hiszpanji, 135,000,000 skudów!! (1)

Vice królowie i na tém nieprzestawali jeszcze. Na różne puszczając się coraz niegodziwsze wybiegi, przysłała im myśl nietylko pakowania w kufry i wywożenia, ale jeszcze obrzynania pozostałej w kraju monety! Lecz niedość im było złota, jeszcze ich ludności pozbawiali. Karol V ją wystawił na niemieckie i francuzkie kule; w Afryce im się także bić kazał. Filip II do Ameryki gnał ich, Filip IV, w katalońskim powstaniu, w największy ciskał ich ogień. Pod zarządami jednego tylko hrabi Monteraj, a te nietrwały jak pół roku, Neapol dostarczył 50,000 żołnierza, których nieujrzał więcej! a za to wszystko wzniesiono im czasem na jakim placu jaką fontannę, bramę, lub piękną budowę.

Słowem niema niegodziwości jakiejby ci Hiszpanie niedopuszczali się na nieszczęśliwym neapolitańskim ludzie, i jakże się dziwić faktom jakie opisuje książka której tytuł moją ciekawość obudził.

Między temi powstaniami, jedno z najpamiętniejszych jest to, które odepchnęło inkwizycyą świętą. Karol V (Charles Quint), chciał ją koniecznie do Neapolu przenieść, i żadnym sposobem tego dokonać nie zdołał. Drugie, niemniej sławne, na scenę przeniesione i romansami opisywane nieraz, było Masaniella.

Już od półtora blisko wieku podobne jarzmo znosili Neapolitanie, lud był do najwyższego stopnia nędzy doprowadzony, kiedy za panowania Filipa IV, w 1647 roku, vice król, książę d'Arcos, nowy nałożył podatek na jarzyny, owoce i zboże. Te trzy przedmioty główną tam są ludu żywnością. Nowy podatek czynił ich cenę dlań nieprzystępną, zupełnym groził mu głodem.

Biedna, lubo dość młoda jeszcze kobieta, niosła ze wsi dla męża trochę mąki w małym woreczku. Mąż jęj był neapolitańskim rybakim; w Amalfi urodzony, młody, silny, dzielny, nazywał się Tomaso Anielo (Tomasz Anioł). Oboje zebrawszy całą chudobę, niebyliby wstanie opła-

(1) Skud neapolitański wynosi 9 złotych polskich.

cenia nałożonego cła na te parę kwart mąki. Żona worek skryła, mąż na nią już czekał, chcąc jej przejście ułatwić, kiedy ją ujrzał w rękach celników, potrącaną, szarpaną, w końcu gdy mąkę wykryto, do więzienia wtrąconą.

Rybak to widząc zbladł, ścisnął zęby, rękę w górę podniósł, trzymając jakąś ruszczkę, którą jakby chorągwią potrząsał. Pobiegł na rynek, miejsce głównego lazzaronich zgromadzenia, wskoczył na stół jakiegoś przekupnia; rozpacz, wściekłość wymowy mu dodała. Zaczął do swych współbraci przemawiać, przedstawiać im co już wycierpieli, co ich czeka jeszcze; zachęcać do zrzucenia tego jarzma, do obrania sobie naczelnika, i podniesienia buntu.

W téjże chwili, Tomaso Aniello (z którego dwóch imion, odrzuciwszy pierwszą syllabę, dla skrócenia, uczyniono Masaniello), obrany *Capo Lazzaro*, to jest szefem Lazzaronich. Przed wieczorem miał 20,000 ludzi pod swemi rozkazy, a vice-król, w *Castel-nuovo* zamknięty, sam niewiedział co począć.

Kiedy książę d'Arcos namyślał się i wahał, Masaniello rozkazywał i działał. Lud kilku najwyższych urzędników podpalił i złupił pałace; Masaniello tego kazał mu zaprzestać, i pożary pogasły, rabunki ustały. Masaniello dobrał sobie w swéj klasie najwyższą radę. W niej ze wszelkimi legalności pozorami, zniesiono głównejsze ludu ciężary, inne jeszcze głoszone postanowienia, nad wszelkie spodziewanie umiarkowane i z rozsądkiem zgodne.

Naczelnik powstania wszędzie był, o wszystkiém pamiętał, na wszystko miał baczenie, żadnego nadużycia nieprzebaczył. Uwielbienie ogólne coraz dalej szerzyło się dla niego, władza co godzinę wzrastała.

Vice-król obłożony, tajemnie do Hiszpanji o pomoc posłał; ale Hiszpanja daleko, los powstańców niepewny, bo flotta w porcie stojąca do powstania przystała, i może ich uchwyciła w drodze. Książę d'Arcos to wszystko zważywszy, innego jął się sposobu.

Przyzwał Masaniella do siebie w celu kapitulowania. Nazwał go trybunem ludu, i przyrzekł wszystko co tylko dlań żądał. Lecz niedość na tém: uważając że Masaniello o nic dla siebie nie prosi, zaczął go przekonywać, iż on posłannik ludu, takiéj potęgi i geniuszu człowiek, nie może bez nagrody, bez tytułu pozostać; obowiązał się otrzymać je od hiszpańskiego króla, a pewny, jak mówił, jego przyzwolenia, zaczął go już zwać *excellencyą*, następnie księciem.

Masaniello nic przedtém nie pragnął, ale na wszystko przystał. Przeciwni królowi nigdy wyraźnie nie działał, owszém chciał tylko zmiany



rządu, zawsze jednak zachuwując go przy najwyższej władzy; tém się więc łatwiej zgodził na przyjęcie od niego bogactw i zaszczytów.

Książę d'Arcos widząc iż zamiary jego dobry biorą obrót, posłał następnego ranka dla niego i księżnej, żony jego, przepyszne stroje, ekwipaż i zaproszenie na wspaniały obiad. Masaniello ubrany w aksamit i złoto, żona jego w klejnoty, jeden na arabskim koniu, druga w złoconej karecie, poważnie przejechali miasto udając się do vice-króla. Tam, ze wszelkiemi zostali przyjęci oboje honorami, a książę d'Arcos, poprosił księcia Masaniella, żeby na balkonie jego pokazał się gromadzącemu tłumowi, żeby doń przemówił, oświadczając ich wzajemną zgodę, przyjaźń, i zniesienie podatków.

Vice-król nad wszystkich niecierpiany był w Neapolu. W obietnice jego niewierzono, łask jego niechciano. Ta postać Masaniella, przeistoczonego raptownie w złocistego księcia, w przyjaciela nienawistnego d'Arcos, bardzo się ludowi niepodobała. Zamiast radości ze zniesionych podatków, szemrania słyszeć się dały.

Masaniello to postrzegł, ale nawykły panować nad ludem, mniemał iż go w karności utrzyma, do posłuszeństwa zmusi. Nietracąc rezonu zasiadł do stołu jaki pierwszy raz w życiu widział, zjadał smacznie, zapijał jeszcze smaczniej nieznanne mu wina. Od pięciu dni pojony już władzą, od dwóch niespodziewanemi zaszczytami, jeszcze łatwiej, zaprawném, jak mówią, upoił się winem. Siedm bezsennych nocy, nadmiar pracy i wysiłonego umysłu, mogły się także do nadwergżenia go przyczynić. Jakkolwiekbaż, Masaniello wyszedł od vice-króla ze wzrokiem obłąkanym, przerażającym, którym tylko swe aksamitne szaty i klejnoty swój żony pieścił, a księciu d'Arcos wieczną przyrzekał wdzięczność, zapewniał iż niema się nic do lękania, spokojność i uszanowanie lazzaronich na swoją brań odpowiedzialność.

Po téj uciecie postępowanie trybuna ludu całkiem się zmieniło. Z przezornego tylko, stał się podejrzliwym, z surowego okrutnym; wszędzie widział tajnych swój władzy nieprzyjaciół i ścigać ich kazał; wszędzie upatrywał winnych i na śmierć posyłał.

Lud jak nagle poddał się jego władzy, tak się też nagle z pod niej cofać zaczął. Z zapalu przeszedł w nienawiść, z uwielbienia w pogardę. Masaniello to widząc, coraz się okrutniejszym, o niemal drapieżnym okazywał. Sam niewiedział czego żądać, co czynić, jak postępować. W każdym kroku i słowie coraz większy bezład się okazywał.

Nareszcie, dnia 16 Lipca 1647 roku (była to jakaś uroczystość miejscowa, kościół Panny Maryi przepelniony ludem), Masaniello wpada z najeżonemi włosy, zrywa krucyfiks z wielkiego ołtarza, grozić nim i wywi-



jać jak szablą poczyzna; wskakuje na ambonę, zaczyna mówić żwawo, ostro, zapamiętale, bez sensu!... Nakoniec sam spostrzegając słów niezwięzłość, nieprzyzwoitość czynu i postawy, spuszcza oczy, głowę zwięsza, orderzy zrywa z piersi, i te daje słyszeć słowa: „O mój ludu! patrzaj co się ze mną stało!”....

Kilku z jego niegdyś podwładnych, w pół go biorą, ściągają z mównicy, i wewnątrz klasztoru do ogrodu wpuszczają. Tam nieszczęśliwy błąka się, siada, sam do siebie przemawia, powstaje załamując ręce... słyszy kogoś co go po imieniu woła... Czego chcesz, mój ludu, odwracając się pyta? Oto masz! odpowie jakiś głos nieznany, i cztery kule w sercu mu utkwily.

Tak skończył człowiek co pod uciskiem powstał, a szczęścia znieść niemógł; człowiek który w przeciągu dni dziewięciu z rybaka był trybunem ludu, naczelnym wodzem, wielowładnym księciem i waryatem.

Podburzona przeciw niemu zgraja, w kawałki ciało jego poszarpała, głowę odcięła, na pikach nosiła. We cztery dni potem, żałujący lud te pozbierawszy reszty, pokrył je szkarłatnym płaszczem, co we dni szczęścia plect jego zdoził, i ze łzami do grobu zaniósł.

## II.

## HISTORIA.

**M**asaniello nieżył, ale nienawiść i żądza zemsty razem z nim nie-  
zmarła.

Vice-król na powrót uchwyciwszy władzę, o żadnej nie pamiętał umowie, żadnego nie dotrzymał przyrzeczenia. Lud na nowo ciemiężony, nowe zrobił powstanie, ale gorsze niż pierwsze; bo już nie wołał jak za Masaniella czasów: »Niech żyje pan nasz, król hiszpański!» tylko wszystkich śmiercią kładł Hiszpanów, mordował co tylko do ich należało strony; chciał zamek vice-króla oblegać, szukał tylko dowódcy. O tém uwiadomiony książę Massa, udaje że do nich należy, że czuje ich krzywdę i dowództwo ogarnia, lecz w skrytej z vice-królem zmowie, zwleka ile może żądane oblężenie, w nadziei iż z Hiszpanji jaka nadejdzie pomoc.

Zdrada odkryta, książę Massa zamordowany, a naczelnikiem ludu (Capo del Popolo) obrany Gennaro Aunese, stary żołnierz, odważny, prosty, dumny, ale wcale na dowódcę nie zdolny.

Tu znowu Francya w te domowe płacze się zatargi, i całkiem nowego odsłania pretendenta.

Henryk książę Guise, ostatni ze znakomitego Lotaryngji domu, przebywał naówczas w Rzymie. Młody, piękny, zuchwały, kobiety kochał nad życie, sławę nad kobiety. Z miłości się ożeniwszy, gdy nowa miłość tamtą z serca wyгнаła, przybył do Rzymu dla zerwania pierwszego, a zawarcia powtórnego związku.

Jeden z jego przyjaciół, przechodząc się razu jednego po nad portem, spostrzegł ludzi obcych rysów i mowy. Dowiedziawszy się że to są rybacy z Procidy, z owocami przybyli, zaczął z nimi rozmawiać, wypytywać co się u nich dzieje. Rybacy opowiedziawszy z zapalem Masaniella ustęp, ubolewali nad niedołęztwem nowego naczelnika ludu, dodali w końcu iż razem z andegaweńską dynastją cała dla nich skończyła się pomyślność, na co przyjaciel Henryka im odpowiedział, że dom ten nie wygasł, że w Rzymie nawet jest jeden z tegoż rodu książę, któryby mógł im bardzo dobrze królować. Rybacy okazali radość i chęć poznania księcia.

Guise o tём natychmiast uwiadomiony, kazał ich do siebie przywołać, owoce ich zakupił i hojnie obdarzył. Neapolitanie uszczęśliwieni zapewnili księcia, iż byle się na ich brzegach pokazał, zaraz 70,000 ludzi stanie pod jego rozkazy, że korona go czeka, a Gennaro Annese pierwszy mu ją poda.

Myśl ta zawróciła Henrykowi głowę. Żądza sławy, zagłuszyła w sercu miłość; Guise z kochanka w dyplomatę się przeistoczył. Z jednej strony do Gennara posłał dla wyrozumnienia jego intencji, z drugiej, do Francyi, do kardynała Mazarina, prosząc o pomoc do tój wyprawy.

Gennaro Annese jak najchętniej ku chęciom Henryka się skłonił. Naczelnik ten wódz niewiedział bowiem co dalej począć. Powstanie wprawdzie miało zrazu górę, ale widać już było flotę hiszpańską pod rozkazami Jana (1), nieprawego syna króla Filipa IV do uśmierzenia go śpieszącą. Lud zmęczony długą wojną, codziennie pierwotną tracił energją. Gennaro, nie wielkich zdolności człowiek, szczęśliw że go ktoś w tak trudnych okolicznościach wesprze, ofiarował szczerze księciu dom swój, przyjaźń, usługi.

Nie z taką szczerością Mazarin względem niego postąpił. Lubo tchnął największą do Neapolu nienawiścią, i pragnął hiszpańskiego upadku, Guisa także niecierpiał, niechciał jego sławy, lękał się potęgi. Odpisał mu list pełen łudzających nadziei, a do ambasadora francuzkiego w Neapolu sekretne polecenie, żeby w tę sprawę się nie wdawał, losowi ją zostawując.

(1) Don Juan d'Autriche.



Tymczasem wrząca francuzkiego księcia krew spać mu przeszkadzała. Poseł francuzki ciągle od niego napastowany, dał mu list do naczelnika ludu i nic więcej. Henryk i z nim tylko byłby się już puścił, ale mu brakło pieniędzy, a nigdzie ich dostać niemógł; kiedy oddano mu jakiś tajemny kuferek, z równie tajemnym listem. List ten następne zawierał słowa:

„Nietrzeba żeby tak nędzna przeszkoda wstrzymywała kroki Guisa; w kuferku znajdzie on pieniądze i klejnoty.” List był bez podpisu, ale jak się domyślasz, kobiecą kreślony ręką.

Następnego ranka, książę z białem u szyszaka piórem, ze wspaniałym orszakiem, pod oknami hiszpańskiego posła przejechał, mówiąc, że gdy Guise do boju idzie, nieprzyjaciel zawczasu powinien o tém wiedzieć. Ztamtąd udał się do portu, gdzie go już strojny w kwiaty i chorągwie czekał statek.

Wylądowawszy w Neapolu, kazał się do naczelnego rządzcy i wodza zaprowadzić, i oddał mu ambasadora swego list. Gennaro Annese na wszystkie przewróciwszy go strony, rzucił nakoniec, wyznając że czytać nie unie, ale i bez listowego polecenia, zaprosił księcia do swego domu, już na przyjęcie jego, jak mówił, gotowego, i na wieczerzę z którą go czekał.

Bardzo jest ciekawy list gdzie książę ten dom, to całe opisuje przyjęcie, i swe zeń wrażenia; jak po wieczerzy, ręką żony naczelnego wodza zgotowanej i usłużonej, gdy Guise niemiłem izby powietrzem, mniéj jeszcze miłą dziwnych potraw parą na pół uśpiony, poprosił by mu jego wskazano apartament, a naczelnik rządu powiedział, że właśnie w nim się znajduje! Wówczas, rzecze książę ze wstrętem i rozpaczą całą tę izbę wzrokiem przebiegłszy, postrzegłem w jednym jéj najciemniejszym kącie adamszkowy baldachim, z jakiegoś pałacu świeżo zapewne zabrany, pod nim stało łóżko, ale tylko jedno. — „A gdzież, rzekłem, wasze mieszkanie?” A tu razem się pomieścimy, odpowie. (Dreszcze mi po skórze przebiegły). — „Ale jedno tylko widzę łóżko?” — „Na nas dwóch dość szerokie, a żona przy kominie na ziemi się prześpi, to nam zawadzać nie będzie.”

Trzeba znać ludu neapolitańskiego niechlujstwo, żeby dobrze pojąć co musiało się dziać z tym wykwinłym księciem, gdy mu przyszło zdjąć swe jedwabne szaty, by obok Gennarego w łóżku jego zabrać miejsce!

Nieprzedłużając tych godów, Henryk, lubo zamiast obiecanych mu 70,000 ludzi, zaledwo 4,000 uzbierać zdołał, poszedł z niemi na Averse. Averse jest dość znaczne, o parę mil od Neapolu, z pięknym niegdys zamkiem miasteczko, założone za normandzkich czasów w celu zakasowania niém stolicy, i tam ją przeniesienia. Guise je zdobył, na-

zwał się neapolitańskim księciem (Duc de Naples), i tam swą główną założył kwaterę. Dotąd wszystko szło jak na Guisa przystało; przyszedł, zwyciężył, i jeśli nie na tronie, w królewskim zasiadł pałacu. Ale zbyt cnie swę ufając gwiazdzie, ponowił do Mazarina o pomoc prośby, a tymczasem pod gorącym czarnych oczu blaskiem, z wojennych wypoczywał trudów. Zapomniał że Averse z Capuą sąsiaduje, i podobnymże tchnie upojającym powietrzem.

Tak gdy oczekiwana z Francyi pomoc nie przybywała, a Guise bez wojska i bez pieniędzy, nie śmiejąc się na Neapol targnąć, przez cztery miesiące całkiem prawie nieczynne życie w Aversie trawił, niechęć i zdrada zaczęły się objawiać. W końcu, walecznie w jednę małą bijąc się wybiec, w Marcu 1648 r., pojmany i do Hiszpanji odesłany, trzyletniem więzieniem swe czteromiesięczne opłacił panowanie, a raczej panowania nadzieje.

Tymczasem Filip IV umarł, a europejscy królowie widząc koronę na wybladłym czole syna jego, Karola II, zaczęli na państwo księcia tego pożądlive zwracać oko. Sekretne już nawet względem podziału zawarli traktaty, gdy Karol, niespodziewając się potomstwa ni długiego życia, mianował swym spadkobiercą wnuka Ludwika XIV, francuzkiego króla, który później pod imieniem Filipa V objął hiszpańskie rządy.

Po krwawej i słynnej w historii o tę successyą wojnie, gdzie cała prawie Europa a najbardziej dom austriacki bronił przeciw Burbonom Karola spadku, Neapol, najprzód ustąpiony Austrii, znów potem wrócił pod hiszpańskie berło. Ale Filip V już nie vice-króla, tylko własnego posłał mu syna, a ten całkiem niepodległy Hiszpanji, pod nazwiskiem Karola III, swe błogie zaczął panowanie, i to było początkiem teraz tam panującej Burbonów dynastyi.

Pod Karolem III dopiero, Neapol, tyle lat tak okrutnie ciemniony, oddychać począł. Kunszta, handel i rola, wszystko się wznosiło, a stolica codziennie nowemi wzbogacała się ozdoby, gdy śmierć bezdzietnego brata, który po ojcu w Hiszpanji panował, nową go obdarzyła koroną.

Karol dla Hiszpanji opuszczając Neapol w 1759 r. zostawił mu ósmioletniego syna, pod doradczą regencyą, nad którą jednak z Madrytu baczne miał oko. Syn ten, Ferdynand IV, niepodobny do ojca, ósmnaście lat skończywszy w 1767, ożenił się z Maryą-Karoliną, księżniczką austriacką, córką Maryi Teresy, a siostrą Maryi-Antoinetty, królowej francuzkiej.

Marya-Karolina, poznawszy męża, granice rozumu jego i charakteru wątpliwość, postanowiła sama państwem rządzić. Lecz to jak ję francuz-



kiej siostrze nie bardzo się udało. Matka przy układach ślubnych zastrzegła, iż gdy królowi da syna, tronowi następcę, będzie miała prawo zasiadania w najwyższej radzie. Karolina jak tylko w niej zasiadła, używała swęj władzy na wygnanie wszystkich zasłużonych ministrów, z czasów Karola III jeszcze pozostałych, a zastąpiła ich obcemi. Na czele zaś umieściła irlandzkiego awanturnika, Actona, który był zarazem jęj wielbicielem, i wszystkich kobiecych kaprysów wierną sprężyną. A było ich wiele, gdyż Karolina ludu swego niecierpiała, niewierzyła nikomu, wszędzie spiski upatrywała, w każdym widziała zdrajcę, więzienia niewinnemi zapelniała ofiarami.

Tak się rzeczy miały, gdy rewolucya francuzka, całej Europy horyzont swą krwawą pokryła luną. Łatwo się domyśleć jak Marya-Karolina zlekła się tego pożaru, jak się u siebie go bała. Niekryjąc się ze swą do Francyi nienawiścią, losem siostry sownie usprawiedliwioną, pozorne jednak zachowywała z nią stosunki aż do bitwy pod Abukirem, gdzie Nelson otrzymał zwycięztwo.

Lecz wówczas mniemając iż rzeczpospolita francuzka z pod tego ciosu podnieść się nie zdoła, nierozsądnie 1798 r. wypowiedziała jęj wojnę.

Jak cywilne urzęda, tak i wojskowe stopnie, zawsze cudzoziemcom były rozdane. Dowódczą wojsk neapolitańskich był austryacki jenerał, Mack. Ten doradził żeby podzieliwszy siły na cztery korpusy, co prędzej ruszyć na Rzym, zajęty już przez Francuzów.

Król Ferdynand IV o tém wszystkiém nie niewiedział. Lubił bardzo polowanie, rybołostwo, i niemi na przemian się bawił. Powracając razu jednego z nadbrzeża, gdzie w lazzaronich towarzystwie, dowcipkując z niemi, najmiliej spędzał swe chwile, postrzegł musztrujących się na placu żołnierzy. — »A to dla czegoż wam się tak musztrować każą,» zapytał? — »Bo na Francuzów nas wysyłają. — »Ach to dobrze! panowie Francuzi przynajmniej dobrze was wyćwiczą, to wam nie zaszkodzi.»

Jak król przepowiedział, tak się i stało. Mack jak śpiesznie poszedł, tak prędzej jeszcze wrócił. W końcu dowiedziawszy się iż Neapol w największym stopniu oburzony przeciw niemu, lękając się o życie, sam nieprzyjacielowi się oddał. Lecz gdy zaniósł szpadę jenerałowi Championnet, dowódczy wojsk rzeczywospolitej, ten pogardliwie odrzekł, iż mu angielskie wyroby są zakazane, szpady nie wziął, a jenerała odeśłał jako jeńca do Francyi.

Tymczasem Karolina i Ferdynand umknęli do Sycylji. Cała część nieukontentowanej szlachty, panów od urzędów usuniętych, młodzieży za byle co więzionej, wyciągała ręce do tych zbawców, co pod hasłem swobody do bram ich zmierzali. Ale lazzaroni niepodzielali tego dla nich

zapału. Któs im powiedział że to jest barbarzyńska horda, bez żadnej wiary; że Francuzi Ś. Januarego obelgami niezawodnie okryją, skarb jego złupią. Lazzaroni powstali, a lubo bez broni, przez trzy dni trupem drogę do miasta ślali. Championet widząc tyle przelanej daremnie krwi, o innych sposobach do osiągnięcia celu przemyślał począł. Przeciwną wsparty stroną, tajemną drogą został wprowadzony do zamku St. Elm, do tej twierdzy, co na szczycie góry nad całym panuje Neapolem, i tak tę stolicę zdobył.

Francuzi, acz z dobremi dla narodu przyszli skłonnościami, najniezręczniejszemu postępować sobie zaczęli. W przekonaniu iż to tylko dobre co u nich, że wszędzie tak jak we Francyi dzieć się powinno, bez najmniejszego wyrozumienia ni rzeczy pojęcia działając, wkrótce zapał w niechęć dla siebie zamienili. Kraj na francuzki sposób na departamenta pokrajali, mając jedynie ilość kwadratowych mil na względzie, a niedomyślając się nawet że we Włoszech każdego kraiku granice natura określiła, że tam nagie i trudne do przebycia góry, zamykają ludność ze swą pierwotną narodowością, całkiem różniącą się od sąsiedniej, i nie dającą się jedna w drugą przelać.

Jak w kraju, tak jeszcze bardziej w Neapolu, gwałtem i raptownie Francuj zaszcześcić usiłowano; leniwą i rokoszną stolicę w wojskowe wzięto karby; na domiar okrucieństwa, wzbroniono Neapolitanom śpiewać po nocy, kazano im żyć w dzień a w nocy spać! a oni wszelką inną przedzój niż tę mogą znieść tyranią.

Gdy tak francuzi te i tysiąc innych podobnych do wyliczenia błędów popełniali, kardynał Ruffo, człowiek niemłody, uczony i przedtém spokojny, udał się do Kalabryi, gdzie na głos jego cała podniosła się ludność. Lud kalabryjski, niezna dyscypliny wojskowej, ale na ciągłych rozbojach zaprawny, zawsze z fuzyą i sztyletem w ręku, zawsze do boju gotów. Ruffo w Kalabryi urodzony, tam umyślił swą kontrewolucyą uorganizować, i najpomyślniej dopiął swego celu.

Już kardynał na czele swych improwizowanych hufców, które co dzień, co godzina się zwiększały, śmiało na Neapol sunął, a dowódczy francuzcy, ze zwykłą sobie zarozumiałością, w przekonaniu iż na nich targnąć się nie ośmieli, spokojnie sobie spali i bawili się. Niebawnie jednak lecz za późno przebudzeni, musieli się cofnąć do zamków St. Elmo, Castel-uovo, i Castel-Novo, tych trzech Neapolu twierdz; poczem nastąpiła kapitulacya.

Królestwo cały ten czas, pod opieką Anglij, w Palermie przebywali, czekając wypadków kolei. Gdy Maryi Karolinie doniesiono o tej kapitulacyi, gdzie i dla ludu jakies były zastrzeżone prawa, zamiast radości,



w największy wpadła gniew. »Monarcha, rzekła, nigdy ze swemi poddaniemi traktować niepowinien, i wolałabym utracić koronę, niż w takich ją zachować warunkach.»

To oświadczywszy, posłała do admirała Nelson, swą pierwszą podówczas faworytę, Lady Hamilton, żonę ambassadora angielskiego, z prośbą żeby zerwał, zmienił, lub unieważnił tę kapitulacyą.

Lady Hamilton, sławna swém awanturniczem życiem, jakieś miała, jak się zdawać może, nadludzkie podejścia sposoby. Nic i nikt oprzeć jęj się niemógł. Wysłała z ostatniej ludu klasy, począwszy od rozwieżłej ulicznicy, służyła następnie w garderobie elegantek, i malarzom za modele; później żoną zamożnego lorda, pierwszą i wszechwładną faworytą królowej dwóch Sycylii, skończyła na miłości z koszlawym i jednookiem admirałem, który ją naówczas po raz pierwszy ujrzał, i przyrzekł wszystko czego żądała, a co gorsza dotrzymał.

Nelson naganną uległością dla tęj kobiety (którą aż do śmierci wielbić nie przestał), unieważnił kapitulacyą, jako bez jego udziału, bez jego podpisu zawartą. Królowa zawsze nienawością, a teraz zemstą jeszcze przeciw ludowi palająca, do władzy wróciła; a żądnemi już nie krępowana więzy, wszystkim dogodziła złym namiętnościom serca.

Powrót jęj stał się największych niegodziwości hasłem. Dzieje chyba rewolucyi francuzkiej mogą iść w parze z okrucieństwem, jakie tam, pod tą mściwą dokonywano ręką. Nowy sąd pod wpływem królowej mianowany, większą połowę Neapolu śmiercią karać rozkazał. Każdy przed ten powołany trybunał, zawczasu pewny był wyroku. Jeden z sędziów znajdując izby skarb niewystarczył, gdyby, podług umowy, po sześć dukatów od każdej głowy katom płacił, zawarł z niemi roczny kontrakt, a chwając się przed królową tą dla skarbu gorliwością, zaręczył ją iż oszczędność będzie znaczna, bo oprawy ledwo z końcem kontraktu codzienną swą pracę skończyć zdołają.

Ale niezawsze i jęj los tak pobleżał, i dla nięj wybiły w końcu pokuty godziny.

W zgwałconej kapitulacyi, zniewagę rewolucyjnego wojska, cesarskie pomściły sztandary. W 1805 r. Massena je do Neapolu przyniósł. Ferdynand i Karolina znów do Palermo uciekli, chroniąc się pod skrzydło a raczjć pod ciężkie jarzmo Anglii, a Józef, brat Napoleona, na ich zasiadł tronie.

Józef zaledwo przymierzał swą neapolitańską koronę, gdy wyższy rozkaz po inną go wysłał. Król po czulém ze swym ludem pożegnaniu.

oświadczył mu, że najukochańszym szwagrem zastąpiony będzie, że Neapol nie straci na zmianie, i niema się czego lękać.

Neapolitanie, nowości chciwi, dość wesoło tym dekoracyi częstym zmianom przypatrywali się. Joachim Murat, ten *król Frankoni* (1), jak go Francuzi zwali, dość im się podobał. Jego utrefione włosy, pasowe u kapelusza pióra, złote na wszystkich szwach hafty, ładnie pod jaskrawym niebem błyszczały; a teatralna postawa, brząk pałasza i arabskie ogniem pryskające pod nim konie, bardziej wyobraźni południowej królewskimi wydały się godłami, niż strzelba i wędka Ferdynanda.

O rządach Murata niema co powiedzieć, bo za Napoleona czasów, Cesarz wszędzie rządził. W Neapolu dotychczas nieuskarżają się na niego. Budowy podźwignął, kunszta podniósł, w administracyi korzystne zaprowadził zmiany, w Pompei i Herkulanum wielkie rozpoczął prace, a jeżeli nie obudził takiej dla siebie miłości jakiej się spodziewał, jak o tém później ostatnia scena dramatyczna życia jego nas przekonała, było to skutkiem, iż Murat był w swoim kraju obcym, że dla Neapolitanów nie przestał być Francuzem, że z ich duchem sympatyzować nie umiał.

Więcej mu grzechów zarzucić można w prywatnym jego i uczuciom życiu. Z gminu wydobyty, tronem obdarzony, póty był tylko wiernym ręce której wszystko był winien, póki ta ręka całą Europą trzęsła. Lecz gdy Europa wymykać się z niej poczęła, i przeciw niej stanęła, Murat zamiast służyć nieszczęściu, do zdrajców się zapisał. Zapomniał wszelkich obowiązków wdzięczności, krewieńskie zagłuszył uczucia, dla pozostania przy koronie. A jednak ta korona nie długo mu pozostała! Zostały mu tylko żal i hańba, zakończone haniebną śmiercią.

Murat, podczas upadku Cesarstwa, z Anglją i Austryą sekretnie sprzymierzony, otrzymał wprawdzie w nagrodę swój zdrady (na kongresie Wiedeńskim 1814 r.) potwierdzenie na neapolitański tron. Lecz gdy nagły powrót z Elby nową trwogą przeraził mocarzy, a wiarołomnego szwagra Napoleona, obawą zasłużonej kary, Murat, nadto z jednej strony sumieniem dręczony, z drugiej, omamiony tém nowym złotego orła zjawiskiem, za jego poszedł polotem.

Zebrawszy swe siły, w pomoc mu ku Alpom śpieszył, gdy po kilku z Austryakami potyczkach w końcu pobity, odepchnięty, wrócił tajemnie do Neapolu, jeszcze tajemniej na wyspie Ischji jakiś czas się ukrywał, a ztamtąd, przebrany za majtkę, na brzegi Francyi się rzucił.

(1) *Frankoni*, a teraz synowie jego, są przedsiębiorcami sztuk konnych w Paryżu.



Już to było po bitwie pod *Waterloo*. Południowa Francya pełna namiętnych reakcyi, krwią i zbrodnią tchnąca, niemogła Joachimowi bezpiecznego przedstawiać schronienia. Nie wiedząc co począć, wysłał do swych dawnych sprzymierzeńców, do swych królewskich braci, z prośbą o jakiś kąs, o dach do oslonienia swój z korony obnażonej głowy. Sam zaś tułając się po górach i lasach, gdzie mu litościwa ręka żywność przynosiła skrycie, policją śledzony, żandarmami ścigany, co ranek niepewny wieczora, nocy, dostał się w końcu na korsykańskie brzegi.

Tam kilku wiernych w około niego się zgromadziło, lecz ci co w nieszczęściu dłoń mu ścisnąć przyszli, sami témże nieszczęściem dotknięci, nowego wstrząśnienia, jakiejbądź pragnęli zmiany. Nawykli przez lat tyle do bojów, do wojennej wrzawy, cisza bez żadnej przyszłości nieznośną im była. Murat sam tego doznając, łatwo się dał przekonać, że odzyskanie tronu, tój pięknej a tyle żalowanej korony, nie jest niepodobną rzeczą. Posiadał jeszcze królewskie klejnoty i summy, użył je na jakie takie uzbrojenie kilku statków, które go do Włoch zanieść miały.

Już wszystko do tój wyprawy gotowe było, gdy pan Macirone, do Austrii przez Joachima wysłany, z odpowiedzią wrócił. Po wielu trudach, gorliwy ten posłannik otrzymał od księcia Meternicha dla byłego króla pozwolenie przebywania w Austrii; lecz ta łaska zbyt wielu obostrzona warunkami, nadto ciężką do dźwignienia każdemu by się wydała.

Murat po niejakiem wahaniu, poruczając się kaprysom morza i losu, do przygotowanej wskoczył łodzi; lecz złém wiedziony natchnieniem, wylądował w Pizzo, w małym Kalabryi miasteczku, gdzie właśnie jak najmniej mógł się spodziewać współczucia.

Kalabryjski lud dziki, niesforny; z panowania Joachima pamiętał tylko jego żandarmów roty, tłumiące ciągle rozboje, wojujące z bandytami, a każdy kalabryjczyk jest bandytą, jeśli nie czynem to duchem. Lud ten pierwotną przesiękły jeszcze narodowością, niepojmujący nowych cywilizacyi ustaw, niemógł oceniać zmian na francuzki wzór odlewanych, ani im sprzyjać; słowem ich kalabryjskie serce niemogło dla obcego wzruszyć się pana, i Murat też najinniejszego nie obudził zapału.

Zdradzony i wkrótce otoczony czatującem na niego wojskiem, na powrót do swój łodzi śpieszył, gdy ostroga w rozeslaną na brzegu sieć rybacką wplątana, kroki jego wstrzymała. Murat tym nieszczęsnym przypadkiem w nieprzyjacielskie wpadłszy ręce, już z nich niewyszedł więcej.

Ferdynand IV, na dawny swój powrócony tron, nadto był szczęśliw z całego tego wypadku, żeby nie korzystać z niego. Zawczasu uwiadomiony o zamiarach Murata, dał mu je wykonać, by tém lepiej i całkiem od razu go zgubić. Gdy były król o koronie marzył, już w Neapolu wo-

jenny na niego wybierano sąd; gdy do tronu śpieszył, już na nim wyrok śmierci dla niego podpisywano.

Murat zaraz w Pizzo osądzony, we cztery dni tamże rozstrzelany został; a Ferdynand, nadmiarem okrucieństwa, przysłał do wykonania wyroku, dawnych jego podwładnych, ludzi co pod jego służyli chorągwiami, przysięgli mu na wierność, co przed kilku miesiącami ślady stóp swego monarchy gotowi byli całować. Może mu też po tém wszystkiém nie żal było świata!

Sądząc z listu z więzienia już do żony pisanego, dla niej i dla dzieci ostatnie jego myśli, ostatnie było westchnienie.

Przed kulą niezwykle zamykać oczu, nie dał ich sobie na placu śmierci, wedle przyjętego w takich razach zwyczaju, zawiązywać. Zalecił żołnierzom żeby dobrze w same mierzyli serce, i sam komenderował wystrzał.... ostatni jaki miał na téj ziemi usłyszeć.

Działo się to 15 Października 1815 roku.

Tegoż dnia właśnie, okręt co niósł orła, przybił do skały, do której miał go przykuć na zawsze; dnia tego Napoleon po raz pierwszy ujrzał Ś. Helenę, i jeśli kiedy zadrzał, to wtenczas.

A w Neapoliu, już nie popędliwa, zapamiętała Marya-Karolina, ale podstępny i obłudny mąż jój panował.

Karolina nie mogąc znieść jarzma, pod nazwiskiem protekcji, z Anglii ciężącego, pokłóciła się z lordem Benthinck przysłanym od téj protegującej potencji, do zarządzania Sycylią. Spostrzegłszy następnie iż wszystkie jój skargi nic nie wskórają, dobrowolnie się wygnała, najprzód na Wschód, a później do Wiednia, gdzie w Schönbrunn, w 1814 roku, skończyła.

Wkrótce po jój śmierci, Ferdynand do Neapolu wrócił, gdyż on miał zupełnie przeciwne postępowania zasady. Z nikim się nie kłócił, niczemu się nie przeciwił, na wszystko przystał i przyrzekł, a nigdy nic nie dotrzymał.

Gdy lord Benthinck nadał Sycylianom konstytucyą, na wzór angielskiej, Ferdynand ją zaprzysiągł, nazwał się królem sycylijskim, *Ferdynandem III* (gdyż w Sycylii on trzeci tego imienia panował), i sam parlament zgaik. Ale w kilka lat potem, odzyskawszy neapolitańską koronę, kazał się Ferdynandem I nazywać; a znajdując że pierwszy nie powinien za trzeciego odpowiadać, konstytucyą sycylijską podarł, zniweczył; długów także jakie podczas tyloletniego, można mówić, wygnania, na swój wyspie pozaciągał, tąż kierując się zasadą, spłacić niechciał.

Przykład ten dostateczną, zda mi się, da miarę charakteru tego księcia, co za życia żony, nią się zasłaniając, zdawał się tylko do lazzaro-



nich towarzystwa zrodzony, z niemi tylko igrzać i żartować umiał. Oni też co go dla długiego nosa *nosatym* (nasone) nazywać zwykli, i w jego przytomności zamiast niech żyje Ferdynand, wołali czasem niech żyje nosaty! (Viva nasone!), dowiedziawszy się iż on najprzód trzecim, a później niewiedomo czemu z czwartego pierwszym się nazwał, powiedzieli że zapewne za parę lat, będą mieli *zero* na tronie.

Jakoż Ferdynand I nieraz, jak i za żony czasów bywało, jakby zero chciał nie nie znaczyć, gdy w tém miał jakie widoki.

W 1820 r. wybuchnął w Neapolu bunt, który zrazu zdawał się na wielką zanosić rewolucyą; północne Włochy, jak to mówiąc o sardyńskim państwie widzieliśmy, do niej należeć miały. Austria ją uśmierzyła wkrótce.

Ferdynand zaś po pierwszym wystrzale, natychmiast od wszystkiego się usunął, zdając rządy na starszego syna, Franciszka. Gdy bunt uśmierzono, Ferdynand wrócił, zniszczył co tylko syn przez czas swych rządów zrobił, odwołał co tylko on przyrzekł, i wszystko do pierwszego przyprowadził stanu, tego właśnie co wywołało powstanie Neapolu, a nieco później Sycylii.

On to, Ferdynand I, był wybranym małżonkiem owęj księżnej Florydy, owęj właścicielki villów Floridiany i Lucyi (od dwóch jęj imion nazwanych), nad którąj szczęściem ktoś się unosił, niepojmując miary jego. Była to ze znakomitego rodu pani, wdowa po księciu Partanna. Równie dobra jak piękna, od dawna obu temi wdziękami królewskie więziła serce. Zaraz po śmierci Maryi-Karoliny, Ferdynand się z nią ożenił, dając zapewne od podobieństwa jęj do kwiatu, nazwisko księżnej Florydy.

Ferdynand I umarł nagle 1825 roku. Tron przeszedł na Franciszka I, najstarszego z czworga pierwszego małżeństwa dzieci. Ten panował tylko lat pięć, zostawując koronę synowi swemu Ferdynandowi II, a który jest już istotnie piątym czy szóstym tego imienia w Neapolu dziejach.

Ferdynand II teraz panujący, od najmłodszych lat wielką do wojskowości okazywał skłonność, i dotąd się jęj głównie poświęca. Wojsko też neapolitańskie do najpiękniejszych należy, co nieprzeszkadza iż król zachowuje przy sobie gwardyą, z samych Szwajcarów złożoną, utworu dziada swego, Ferdynanda I.

Ferdynand II miał najprzód za sobą księżniczkę sardyńską. Ta 1835 roku umarła, zostawując mu jednego tylko syna, który ma być tronu następcą. Teraźniejsza królowa Teresa, z austryackiego domu, właśnie kiedy to piszę, czwartém go udarowała dzieckiem, i jak siostra jęj męża, wielka księżna tokańska, całkiem i wyłącznie niemi się zajmuje.

Widzisz iż terazniejsze Włoch tronuące panie, bynajmnieć do swych poprzedniczek niepodobne. A ten dworu surowy przykład, nie jest bez wpływu na towarzystwo i miasto.

Z innych części Włoch do Neapolu przybywszy, przyzwoitość, że tak nazwę, uliczna, w salonach zaś jakaś aż do ostrości posunięta wymagalność, uderza oko, tém bardziej iż pod neapolitańskiem niebem bynajmnieć się jęć nie spodziewało.



### III.

#### UROCZYŚTOŚĆ PUBLICZNA.—LUD I KRÓLEWSKA RODZINA.—TEATRA.— PULCINELLO. — O MUZYCE.

**N**ieśli chcesz i dwór cały w największej widzieć paradzie i całe wojsko w największej okazałości, przybądź do Neapolu na 8 Września.

W dniu tym obchodzą Matki Boskiej uroczystość, w której nie tylko dwór, wojsko i stolica, ale morze i brzegi jego najzwawszy biorą udział. W Sorrento na dwa miesiące naprzód o niej słyzałam. Córki właściciela méj villi, wówczas już kwiaty do kapeluszy na ten dzień przypinały, wiejskie dziewczęta swe pąsowe kaftaniki złotemi naszywały galonkami. Capri, Ischia, Procida, wszystko to się stroi, a od tych kroci czarnych oczu, Neapol zdaje się nowego nabierać blasku.

Neapol słynie swemi fetami. Ferdynand I, ten król *nosaty*, co tak lubił towarzystwo ludu swego, i ztąd dobrze go znać musiał, powtarzał często, że do prowadzenia go trzech tylko *f* potrzeba: *fiesta*, *forca*, *farina* (uczta, szubienicy i mąki, to jest makaronu). Niema też prawie tygodnia żeby ulice Neapolu jakąś nową nie zabrzmiały zabawą, najczęściej z jakiejś kościelnej pochodzącą uroczystości, a między niemi ta o której mówię niezaprzeczenie jest najwspanialszą.

Zowią ją zwykle świętém *pié di grotta* (u stóp grotty), przy wejściu bowiem podziemnej Posilippu drogi, mała jest w skale wydrążona kapliczka, z cudownym obrazem Boga Rodzicy. Ten to cudowny obraz największą dnia tego cześć odbiera, jego to jest święto. Od samego świtu, ujrzysz tam tysiące ładnych twarzy z czarownicami oczy, wszystkie u stóp kapliczki do ziemi schylone, korzące się świętobliwie. Ujrzysz tam najrozmaitsze kostiumy, z tych okolic gdzie jeszcze cywilizacyi nie zatarła ich ręka. Procida wiernie dotąd zachowała strój grecki, bo ostatnie Greków osady na tę schroniły się wyspę. Jest to rodzaj długiej, bogato zahaftowanej sukmany, z przodu otwartej i z odwiniętymi u dołu połami, z pod których gorsecik i fartuch widzieć się dają. Na głowie zawiązują chustki tak jak nasze włościanki. W Sorrento, warkocz tak nisko zebrany iż na szyi leży, długą jak w Rzymie przepinany szpilką. W Ischji, splecione włosy do koła głowę opasują, i sześciu lub ósmiu są świecącymi przytwierdzone szpilkami, a te wysoko stercząc, jakby rodzaj aureoli tworzą. W Kalabrii są jeszcze albańskie rodziny, których strój swém bogactwem wszystkie inne zaciera.

Rozmaitość tych kostiumów, jak i rysy tych co je noszą, przypomni ci, Antosiu, smutną kraju historią, co przez tyle rąk, pod tyłu obcemi jęczał pany. Odgadniesz w nich i Normandów plemie, jasną lub rudą odznaczające się głową; częściej napotkasz jaskrawy, afrykański, sara-ceńskiego potomstwa wzrok, lub nieco przymdlone greckiego pochodzenia wschodnie spójrzenie, które przypomni ci naszych izraelitów wyraz.

Cała ta ludność, po rauném przed kapliczką nabożeństwie, śpieszy do *Villa Reale*, tego pięknego ogrodu o którym ci mówiłam.

Ogród królewski, nazwany publicznym, nie dla wszelkiego rodzaju publiczności zwykle otwarty bywa. Pospólstwo dnia tego wyłącznie ma do niego przystęp, i całkiem też go zapełnia. W całej jego tak znacznej, jak ci mówiłam, długości, za żelazną kratą co go od Chiaj dzieli, wszystkie strojne dziewczęta od rana się mieszczą, wszystkie oczy na ulicę zwrócone, bo nią ma królewski orszak przejeżdżać. Gdzie niegdzie zobaczysz tam i jakiegoś pielgrzyma, w dużej pelerynie muszlami i obrazkami obwieszonęj do koła, z szerokim na plecach wiszącym kapeluszem i kijem w rękę, co z dalekich stron, cudownemu obrazowi cześć oddać przybył; i Lazzaroniego który na tę uroczystość jedyną swą wyprał koszulę, i najpiękniejszy szkaplerz na piersi uwiesił. Ale tych nie wiele; bo oni wolą morze, a dnia tego i morze świątkuje, i ono się stroi, bawi.

Cała flotta, wszystkie jak neapolitańskie tak obce okręta z portu wyruszają, i całą pokrywają zatokę. Wszystkie w kwiaty się zdobią i na-



rodowych barw chorągwie na wiatr rozwijają. Maszty ciekawym okryte są ludem; inni dalszych stron mieszkańcy strojnemi także przybywają łódkami. Słowem, morze jak ziemia, wszystko podwójnem dnia tego życiem żyje, wszystko tchnie wesołością i roskoszą, u której niebo здаје się brać udział, gdyż niepamiętają żeby się kiedy dnia tego złowieszczą chmurą pokryło.

Na placu marsowym, wojsko tymczasem przed królem defljuje. Około południa przed zamkiem już zebrane, dwóma pasmami przez nadbrzeże S. Lucyi i Chiaję, do Posylippo, do cudownej kapliczki zaczyna się wyciągać. Jest to blisko naszej pół mili odległości. Na ich bębny okręta hukami armat odpowiadają ciągle. Widok tych pąsowych mundurów, tych lśniących się szyszaków, błyszczącej pod neapolitańskiem słońcem broni, co ulicę jakby brylantową pokrywa rzeką, przy huku armat, wojskowej muzyce, wpośród ruchu, wystrojonej ludności, okrętów i łódek na morzu, z dymiącym i ogniem pryskającym Wulkanem na ostatnim planie, nie jest do opisania, trudny do pojęcia dla tego, co sam własnem nie widział go okiem.

Gdy wojsko stanęło i na dwa podzieliło się boki, około piątej królewski orszak wolnym zaczyna posuwać się krokiem. Otwiera go szwajcarska konna gwardja, która lubo tam nie nosi papieżkiej gwardyi średnio-wiekowych mundurów, przepysznie jednak ubrana; następnie, idzie narodowa, później pазie, zupełnie odmienni od tych cośmy na scenach widywać zwykli, laufry z piórkami u czapek, nakoniec powozy z rodziną i dworem królewskim.

Pierwsza karetą, od dołu bogato złocona, w górze w pióra strojna, przez szklanne swe boki dozwala tém dokładniej królewską widzieć parę, iż ją wyłącznie wiezie. Król młody (1), bardziej mężny niż wysoki, onie-mal zbyt na swój wiek otyły, wcale nie nosi neapolitańskich rysów. Lica okragłe i mocno rumiane, nos mały od czoła wkleśły, z dołu nieco zadarty, usta i oczy miłego wyrazu, na północy gdzie do takich nawykli-śmy twarzy, między ładneby policzono. W klasycznym półwyspie wcale się niepodobają. Królowa mała, a naówczas w niepoehlebnym dla figury stanie, w sukni balowej i wielkim brylantowym na głowie dyademie, nie miała mimo tego stroju imponującej postawy. Króla zaś terazniejszego kroju mundur, z czerwonym kolnierzem i orderami jakie codziennie u nas widzimy, w zupełnej był sprzeczności z karetą, uprzężą i służbą. Ta bowiem w spadających na ramiona upudrowanych perukach, bez kapeluszków, z liberyą odpowiedniego do peruki stylu, zdawała się żywcem z XVI stu.

(1) Urodził się w 1810 roku.

lecia przeniesiona. Kształt karety, ciężka i bogata uprząż ósmiu białych koni, z bukietami piór na czofach, z obu stron pieszemi laufami towarzyszonych, a ci laufy w ubiorach z romansów tylko już nam znanych, cały ten słowem ekwipaż zdawał się zrodzony o trzysta przynajmniej lat przed temi, których wieść miał zaszczyt.

Za nim postępował drugi, równie przepyszny, z taką liberyą przy portyerach i z laufami przy koniach, całkiem próżny. Powiedziano mi iż ta próżna kareta jest przeznaczoną na przypadek, gdyby się pierwsza w tój do Posilippo podróży zepsuła, a królestwo w takim razie wystawione było na dokończenie jój pieszo. Przewidzenie takiego wypadku mogłoby potwierdzić mniemanie, iż się trzysta lat temu zrodziła.

Za nią szedł ekwipaż następcy tronu, już nieco mniej wykwintny, ale w tymże rodzaju. W nim siedział najstarszy z książąt, księciem Kalabrii nazwany, dziesięcio czy dwunastoletni młodzieniec w mundurze, z czerwonym kołnierzem, w towarzystwie guwenera swego. Potém jechał stryj króla, książę Salerny, z żoną; następnie bracia królewscy i młodsze dzieci jego. W karecie królewien, starsza, pięcioletnie dziecko, jak ładna lalczka wystrojona, cały kosz cacek przed sobą miała, druga, w poduszce, na kolanach bogato ubranéj mamki, smacznie spała, nie domyślając się zapewne że reprezentuje.

W tém tronowém gronie brakło księżniczki Salerny, ciotecznej króla siostry, świeżo księciu Aumal zaślubionej, i najstarszego z królewskich braci, księcia Capoui, który dotąd nie otrzymał przebaczenia za swój związek z Angielką, Miss Paneloppą Smith, za ten tajemny w Gretna Green ślub, o jakim gazety tak obszernie w swoim czasie pisały.

Dworskie karety, pełne dam i szambelanów, jako też ministrów i wysokich dygnitarzy powozy, ten długi zamykały orszak, który u stóp dopiero Posilippo stanął. Tam wszyscy, tak król z rodziną, jak i reszta towarzyszących mu osób, wysiedli, ukłękli, a po krótkiej w obec zgromadzonego ludu modlitwie, na powrót w tymże samym wrócili porządku.

Po zachodzie słońca, illuminacya i fajerwerki tę uroczystość kończą. Świec po oknach jak u nas nie stawiają; za to place do koła festonami z różnofarbnych lamp oświetlone, z takiemiż w środku ogromnemi kandelabrami, w salony się przeistaczają; dwie orkiestry naprzemian grające, dopełniają balowej uczyty złudzenia, a wpośród tych lamp, w powietrze wysoko bijące fontanny, oświeżają natłokiem zgęszczone powietrze, swym szumem i blaskiem nowego dodają wieczorowi blasku i wdzięku.

Teatra bywają w dni takie, mniejsze darmo, większe za połowę zwykłej ceny otwarte. Każdy lazzaroni bieży wówczas swego kochanego widzieć *Pulcinella*, bez którego żyć długoby nie mógł. Po morzu z je-



go owocami i makaronie, najdroższym mu jest *Pulcinella*. Niewiem czy nie namiętniej jeszcze kochają go w Neapolu, niż Arlekina w Wenecyi i Borgam, Stentarella we Florencyi, gdzie on tylko w karnawale się pokazuje. *Pulcinella* zaś przez cały okrągły rok nigdy sceny nie opuszcza. W teatrach, gdzie trzy na dzień dają reprezentacye, mniej jeszcze jak gdzieindziej jakabądź sztuka mogłaby się bez niego obejść. Żwawi parterowi goście, gotowiby powstanie zrobić, mury teatru rozwalić, gdyby na ich głos niestawił się zaraz.

*Pulcinella* ma twarz do połowy czarną, maską zakrytą, z długim koniecznie nosem; na głowie wysoką jakby cukru głowa czapkę jasną, miękką żeby się w potrzebie w trąbkę zwinąć dała; zresztą w bieli jest ubrany, z dużemi u kaftanu guzami, jak francuzki Pierrot, który na wzór *Pulcinella* odlany, i nierzetelnie narodowy, nigdy niemiał u siebie takięj wziętości, ani takiego nie obudzał przywiązania, jak starszy jego brat, całkiem i niezawodnie Neapolitanin, w swęj rokosznej stolicy.

*Pulcinella* bywa najczęściej dobroduszny chłopiec, i w swęj głupowatości rozmaite płała wszystkim figle, lub najdowcipniejsze koncepta, dwóznaczne ciska słowa, mówi koniecznie ludu dyalektem, który właśnie do takich przycinków ma być łatwym. Panowanie jego na pięć lub sześć rozszerza się teatrów, słynnych na *Molo*, w lazarońskich towarzystwach. Z tych dwa, *San Carlino* i *Fenice*, eleganckim także są znane salonom, mianowicie pierwszy, bo na chwałę towarzystwa neapolitańskiego powiedzieć trzeba, iż ono bynajmniej nie pogardza swym narodowym *Pulcinellą*, i nieraz tyle ujrzysz ekwipażów przed *San Carlino*, jak przed *San Carlo*.

Niewnos ztąd żeby to był teatrzyk schludny i różami woniejący. Wcale nie: on wierny pierwotnej swęj naturze, pogardza temi arystokratycznemi wymysłami, któreby nawet nie harmonizowały z główną jego publiczności częścią, z trupą, z rodzajem sztuk, z samym nawet ich bohaterem, owym *Pulcinellą* co Neapol wabi. *San Carlino* ma salę ciasną, dość ciemną i bardzo brudną, ale zato niezawodnie najbardziej ze wszystkich teatrów świata zawsze natłoczoną, a po łożach świat nieraz bardzo elegancki.

W hierarchji starożytnych Neapolu widowisk, *San Carlo*, wielka opera i balet, ma pierwsze, a zdrobniałość jego, ów *San Carlino* o którym mówiliśmy, ostatnie miejsce. Między niemi jest jeszcze ze sześć do jednego lub do drugiego zbliżających się rodzaju, i nawet wzajemnie pożyczających sobie aktorów.

*San Carlo* jest tak wspaniały, duży i piękny, jak *San Carlino* mały i brudny. Łoże przestronne z miękkim siedzeniem, karmazynowym aksa-

mitem wysłane; sala lśniąca złotem z sześciami łóż rzędami, lubo od medyolańskiego, *la Scala*, mniejsza, aż nadto jednak dużą i wysoką znaleźćby można, gdyby długiego lata upały nieusprawiedliwiały jej wymiarów, nie rozdziły potrzeby wielkiej przestrzeni. Mimo to, każdy na parterze, kobieta, ksiądz, czy żołnierz, szerokim uzbrojony tam wachlarzem, a ten tylko podczas jakiej pięknej aryi się zamknie.

San Carlo tém jest dla cudzoziemców miłszy od innych pierwszego rzędu teatrów włoskich, że ma, na dni zwykłe, ceny afiszem przepisane, od których odstąpić mu nie wolno. Łoża kosztuje karlinów 60, a carlin jak mówiłam, wypada na 22 groszy naszych. Prócz tego, coś się od każdej osoby przy wejściu opłaca, co także afisz wskazuje. W dni zaś nroczyście, a mianowicie kiedy sala ma być oświetlona jak oni tam zowią *al giorno* (jakby dzień), znajdują się natychmiast spekulanci, którzy pewni odbytu, najmują łoże, a potem je odprzedają za cenę jaką im się podoba, jaką otrzymać mogą. Naówczas do stu pięćdziesięciu karlinów czasem dochodzą; ale wszedłszy do tej złotem i światłem płynącej sali, nikt ich nie żałuje, tak to jest piękne, bogate, pyszne.

Prócz teatrów, jak San Carlino, gdzie się idzie narodowości szukać, domowym ludu przypatrzeć obyczajom, a jakich Neapol pełen, prócz oper z baletem, jak na San Carlo, jest tam jeszcze teatr Florentino, dla tragedji i wyższej komedyi przeznaczony. Ale ten tak zawsze pusty jak tamte są pełne.

Oczywiście wiek nasz, czułości, łez lub morałów już niechce. Każdy gdy cały dzień nad cyframi się natrudzi, gdy się co wieczór z kieszenią obrachuje (lubo niezawsze z sumieniem), chce za małą cenę pójść się rozśmiać z Pulcinella, pana Jowialskiego lub Kminka z Pipiszek, albo jakiejś skrzydlatej sylfidzie rzucić bukiet. Wyższego ducha ludzie, nie całkiem jeszcze wyziębieni liczbami, wolą piękną aryą, ale w wygórowanych uczuciach już niezrozumianych, w pięknych morałach choćby najszczytniejszemi wyrażonych wierszami, nikt już prawie upodobania nie znajduje.

Panna Raszel ożywiła tragiczną scenę we Francji, w czém największy talentu, ouiemal geniuszu dała dowód. Szkoły jednak nie utworzyła. Najmniejszy pod jej tchnieniem nie rozwija się talent, i w grze swój jest całkiem samą, nikt ją nie wspiera, co ogólnemu wrażeniu mocno szkodzi, co przeczuwać daje, iż razem z nią i tragedia skończy.

Jak w Paryżu tak w Neapolu i w świecie całym, o tragicznych nie słyhać talentach. Tragedya też zdetronizowana, melodramie swe ustępuje berło, pod nie się chroni, jej się jako tako pokrywa płaszczem. Gdy w jednej scenie zapłaczę, w drugiej śmiech udaje; zdaje się sama wła-



snych lękać rysów, a niepewnym trwożliwym postępując krokiem, jeśli nie dziwaczniemi koncepty, to przynajmniej często dekoracyi zmianą, i tym podobnemi rozrywkami, chce swój surowy lub rzewny okupić wyraz; bawiąc oko, umysł odrywać od tego właśnie co niegdyś jęj główną stanowiło zaletę, a czegoby dzisiejsze pokolenie długo znieść niezdolało może.

W tragedyi Włochy a resztą Europy poszły, może ją wyprzedziły nawet. W balecie teraz na europejski sposób kształcić się zaczynają. Balet włoski o którym ci już w Rzymie wspomniałam, dotąd był tylko dramatem bez mowy, gdzie wierność najczęściej historycznych kostiumów, dekoracye, a najbardziej doskonałość mimiki, szły przed tańcem. Teraz obnażone wieszczki, nimfy, sylfidy, już przeleciały przez Alp szańce, najhuczniejsze w zaalpejskim półwyspie otrzymują oklaski, największy wzniesają zapał. Jedna z nich (*Cerito*) już się na jego zrodziła ziemi. W Rzymie dla nięj i dla *Elsler* prawie tracono rozum, w Medyolanie spotkanie się przed parą laty trzech baletowych sław: *Corloty Grisi*, *Taglioni* i *Cerito*, trzy zrodziło partye, tak żwawe, tak zawzięte iż o mało do rozlewu krwi nie przyszło.

W Neapolu już się także na podobny zanosilo zapał, a zapał pod takim jak tam niebem, daleko zajść może, gdy z góry zimną czy skromną wstrzymano go ręką. Król nie lubiący teatru, a jeszcze mniej baletu, na przedstawienie, jak mówią, żony, rzucił na ten rodzaj widowiska, nie powiem kłutwę, ale gorzej niż kłutwę, bo śmieszność, przed którą wyższego rzędu talenta uciekają, poddać się jęj niechcą. Żadna baletniczka bowiem nie może się pokazać na neapolitańskiej scenie, jak całkiem obleczona w zielony florans, który tam zastępuje gdzieindziej używaną trykotę!.... Niepodobna oddać wrażenia, ani od pustego wstrzymać się śmiechu, na widok tęj skromnej niespodzianki. Lecz wyznać razem trzeba iż to wszystkie niszczy złudzenia, a tęp samym wielki zapał niepodobnym czyni.

Inaczęj się ma z operą. Ta lubo także od tronu nie wspierana, i nie może się pochwalić europejskiemi sławy, żyje i żyć musi, bo każdy Neapolitanin, jak w żyłach czuje ogień, tak w piersi muzykę. Jeśli prawda że pierwszym jęj ojcem był Orfeusz, to Orfeusz musiał być neapolitańskiego rodu. Dość spojrzeć na ich niebo, ziemię i morze, dość parę razy ich odetchnąć powietrzem, żeby nie wątpić iż to jest ojczyzna muzyki, a cóż dopiero usłyszawszy narodowe Neapolu śpiewki.

Muzyka, jak szperacze starożytności dowodzą, wraz z innemi kunsztami z Grecyi nam przyszła. Późnięj surową chrześcijanizmu ręką przytłumiona, z uczt i swawolnych saturnaliów wygnana, do kościoła

się przeniosła, w pobożny zmieniała się hymn. W piętnastym i szesnastym dopiero wieku, w wieku odrodzenia, razem ze swemi siostry i ona nowym zaczęła techną życia; a jak rzeźba i malarstwo północną część półwyspu sobie obrały, tak muzyka w Neapolu osiadła, i z tamąd na resztę świata swe słała melodye.

Prawda iż sławny *Palestrina* był Rzymianin, że on ją pierwszy wskrzesił, będąc mianowany Ś. Piotra kapelanem, za czasów Juljusza II i jego następców. Ale prawie jednocześnie, bo w roku 1537, ksiądz *Tappia*, pierwszy powziął myśl założenia w Neapolu konserwatorium dla biednych chłopców i dziewcząt, odznaczających się pięknnością głosu, muzykalnymi zdolnościami, słowem takich z którychby nie prócz wielkich muzyków być nie mogło. A takich było wiele.

*Tappia* prócz litościwego dla nich serca, nic więcej nie posiadał. Na taki zakład jak on go marzył, trzeba znacznych funduszków. Działo się to właśnie za czasów dynastyi hiszpańskiej, kiedy vice-królowie kraje łupili, do ostatniego wyciskali zeń grosza. Niebyło więc nic do spodziewania się ani od rządu, ani nawet ze składek krajowych. *Tappia* nie tracąc jednak nadziei, wziął torbę na plecy, i w świat poszedł, szukać możniejszych lub litościwszych.

Po dziewięciu latach takięj kwesty, wrócił, i jak mówię, 1537 roku otworzył swe konserwatoryum, które poruczył opiece Najświętszej Panny Loretańskiej, i od jęj nazwał je imienia. Uczono w niém tylko pacierza, czytania i muzyki. Co do pisania, to jako do zbytków życia należące, ograniczało się w muzycznych gałeczkach, essach i trelach.

Powodzenie tego dobroczynnego zakładu tak było wielkie, napływ dzieci tak liczny, iż wkrótce objąć ich niemógł. Otworzył się zatém drugi podobny dla nich przytułek, następnie trzeci i czwarty. Każdy z nich miał swój oddzielny ubiór, pod innym był patronem, innemi rządzone przepisami. Lecz gdy w miarę przybywających uczni, fundusze wkrótce wystarczyć nie mogły, zaczęto przemyślać o sposobie zarobku dla nich. Starszych do kościołów posyłano, gdzie przy mszy lub w wielki tydzień na chórach śpiewali; mniejsze dzieci, do anielskich zaciągano szeregów, to jest że przebrani za aniołów, z koroną kwiatów lub promieni (ze złotego papieru) na głowie, w krótkiej tuniczce, ze skrzydłami na ramionach, towarzyszyły śpiewając pogrzebom, lub processyom, i jakies za to otrzymywały wynagrodzenie. Zwyczaj ten dotąd jeszcze w Neapolu istnieje.

Gdy tak chłopcy zaczęli nabierać sławy i wziętości, zrodziła się między nimi emulacya. Ale że w Neapolu żadne uczucie na pół drogi pozostać nie może, więc ta emulacya niebawnie w zazdrość zmieniona,



do kłótni, do otwartej przywiodła ich wojny, podstępniemi figlami a nawet krwią czasem skrapianej.

Uzuchwaleni między sobą uczniowie, za obrębami szkoły, zaczęli także coraz głośniej dokazywać. Jeden z nich wybił publicznie jakiegoś Hiszpana. Wzięto go do kozy; lecz wszyscy koledzy bunt za nim podniosłszy, z rąk policyi go odebrali, i tryumfalnie do konserwatoryum odnieśli. Wyższa władza o tém uwiadomiona, dnia następnego, przed świtem, w łóżku ich pojmać i powiązać kazała. Natychmiast osądzeni, z wyrokiem na plecach i ogoloną głową, parami powiązani, a poprzędzeni sztandarem na którym wina ich wielkimi literami opisaną była, przez całe miasto prowadzeni zostali, i do więzienia wśród zbrodniarzy wtrąceni. Musiano to wszystko bardzo śpiesznie dokonać, gdyż lazaroni zaczęli się ruszać, za nimi się odzywać, i większém, straszliwszém grozili zaburzeniem.

Chłopcy między zbrodniarzami się ujrawszy (lubo ci we Włoszech nie sprawują takiej jak u nas odrazy), mocno zrazu swe nieszczęście uczuli. Oswoiwszy się z niem w końcu, chórami dla rozrywki śpiewać poczęli, a następnie otrzymawszy swe instrumenta, prawdziwe koncerty sobie wyprawiali. Cały Neapol codziennie pod zakracone więzień okna słuchać ich chodził. Współczucie dla tych biednych młodzieńców coraz żywić się objawiało; a gdy przez wzgląd na nie, wolność im oddano, wielką ucztą obchodzono ten dzień dla wszystkich radośny.

Po tych i tym podobnych wypadkach, liczba szkół muzycznych zmniejszoną została. Jedne dla braku funduszków, w kraju ciągle płađrowanym i obcemi wycieńczanym rękami, same się zamknęły, drugie zamknąć kazano. Zostawiano tylko tak nazwane Ś. Onufrego konserwatoryum, i to stało się tém gniazdem, z którego najpierwsi wyszli na świat mistrze.

Na początku XVII stulecia, Piotr Ceroni, napisał dlań dzieła, wynalazł metody, ułatwiające kompozycyą i pojęcie niebiańskiej téj sztuki; ale prawdziwym jej tam ojcem był sławny Alexander Scarlatti, urodzony 1650 roku. On to połączył w śpiewie prostotę z energią, czystość ze słodyczą, a w instrumentalnej muzyce także korzystne przyniósł zmiany. W jego szkole najslawniejsze wykształcili się talenta; z niej wyszli Miłkołaj Porpora (1), Leonard Leo, i Franciszek Duranté. Ten ostatni także

(1) O Porporze następującą opowiadają anekdotę. Zaproszono go razu jednego dla słyszenia jakiegoś muzyka, który na organach wielkim sływał talentem. Porpora, niepodzielając ogólnego zapału, milczał. Jakiś organisty wielbiciel, postrzegłszy tę mistrza oziębłość, o talencie nic już nie mówiąc, cnoty organisty wyliczać zaczął, a mianowicie dobroczynność jego. Na co Porpora odrzekł: iż przekonany jest że ją całkiem według chrześcijańskich dopełnia prawideł, gdyż uważał że lewica jego, nigdy niewie co robi prawica.

licznych zostawił uczniów i naśladowców. Najślawniejsi z nich byli: Krzysztof Cezarini, Dominik Gizzi, Ignacy Gallo i Dominik Sarri, który pierwszy dramy Metastaza muzyką podłożył.

Tyle zrodziwszy znakomitych ludzi, szkoła neapolitańska na całą Europę słynąć poczęła. Jęj zasady, przepisy, dla reszty świata stały się prawami: kto czuł w sobie muzyczne zdolności, do Neapolu rozwinąć je śpieszył. Tam na początku XVIII wieku, najznakomitszy posiadał talent imiennik sławnego florenckiego malarza, Leonard Vinci. Jemu przyznają opery wydoskonalenie. Ostatni akt jego Dydony, do arcydzieł liczą, lecz palmę dają Artaxerxowi. Leonard umarł 1732 r.

Po nim, Franciszek Feo, Ignacy Prota, Franciszek Araja, Tomasz Carapella, Mikołaj Lagrosini, Mikołaj Sala i Pascal Caffaro, po kolei mniej więcej sławy i wziętości mieli; lecz nad wszystkich wznosił się Jan Chrzyciel Jesi. Urodzony w 1707 roku, w Cesoria, pod Neapolem, z rodziców biednych, z wioski Pergola przybyłych, przezwano go w jego ojczyźnie *il Pergolese*, a w Europie Rafaelem muzyki.

Pergolese znany ze swęj opery, *Serva Padrona*, pełnej nadobnego wdzięku, zarzucił teatralną muzykę dla kościelnej, i w niej dopiero najwyższego doszedł szczytu. Od urodzenia słabowity, błady i wiotki, jakby do innego należał świata, usunął się od szumnego Neapolu; schronił się pod Wezuwiusza cień, do *Torre del Grecco*, a tam daleki od poziomego ruchu, z nieba swe czerpiąc pomysły, jemu je słał na powrót. Tam to utworzył swe sławne *Salve Regina*, sławniejsze *Stabat-Mater*, co dotąd ze wszystkich Europy zakątów, krocie słuchaczy w wielki tydzień do Rzymu wabi. Lecz trawiony ogniem geniuszu swego, a jak wielu twierdzi, inną jeszcze jak muzyczną namiętnością, wpośród miłości i melodyjnych duszy swęj pieni, jak Rafael z Urbino, w kwiecie młodości zgasł. Umarł 1740 roku, zostawując wielu naśladowców; lecz z nich żaden wyrównać go nie zdołał.

W tej epoce, Neapol posłał światu cały rój swych kompozytorów, z których muzyczne dzieje zatrzymały imiona Romualda Duni, Kajetana Latilla, Rinalda z Capoui, Józefa Scarlatti, Antoniego Ferandini, Ignacego Fiorilli, a najbardziej Dawida Perez i Mikołaja Jomelli.

Perez urodzony w Neapolu, z hiszpańskich rodziców, w 1711 roku, wzbogacił głównie swym talentem rzymską i lizbońską scenę. Kościelną jego muzyka wielce jest także ceniona.

Jomelli urodził się we trzy lat później, w Aversie, o kilka mil od Neapolu. Tegoż właśnie 1714 r., Glück, pod czeskiem niebem także świat ujrzał. Mikołaj Jomelli, odznaczał się w swęj epoce nowością zuchwałych, a mimo to melodyjnych pomysłów. Jego *miserere* i *benedictus*



szlachetnym stylem oddane, mniej mu jednak zjednały sławy, niż Ifigenia i Armida. Umarł 1774 r. Imię jego, obok Pergolesa i Picciniego, na froncie teatru Ś. Karola w Neapolu zapisane.

Wówczas to, w drugiej połowie ósmnastego wieku, Francya słysząc o włoskiej szkole, a razem widząc że i Niemcy swoją coraz wyżej podnoszą, zawstydzila się, iż wpośród nich będąc, niezdolała u siebie muzycznych zaszcześcić żywiołów. To co ona szkołą zwała, nie miało żadnego wyższego charakteru, ani żadnego nie czyniło postępu. Jedyną jej sławą, jedynym mistrzem był Lulli. Kto zna jego twory, westchnie zapewne nad ich ubóstwem. Rameau później odstąpił cokolwiek od zasad jego, ale się nie wznosił własnymi.

Francya jak dziś tak i naówczas, nie miała muzycznych geniuszów, ale zawsze miała pieniądze, a nadto naówczas miała dumną żądzę przewodniczenia w każdej rzeczy innym narodom. Zaczęła więc „zwolywać do siebie z południa i północy talenta, w dziwnej a pionnej nadziei, iż z tych obcych rodziców, pod ich pieczą powstanie muzyka francuzka, *narodowa!*

Neapolitańczyk Sacchini taką koleją w Paryżu umarł. Sachiniego muzyka do wyższego bywa liczoną rzędu, lecz on daleko znakomitszego od siebie zostawił ucznia, Tomasza Trojetta, który wielu pięknymi dziełami swą ojczyznę wzbogaciwszy, umarł 1779 roku.

Ale bytność Picciniego we Francyi, jego tam z Glücklichem spotkanie, daleko więcej niż Sachiniego narobiło hałasu. Któż z opowiadania pani Genlis i tylu innych pamiętników, niewie jak się Paryż na dwa podzielił stronnictwa, Glückistów i Piccinistów? jak żwawo się z sobą scierały? a to pod wpływem nie muzyki ducha, który tam ani na chwilę z nieba się nie spuścił, ale pod dowództwem wiecznie tam królującej pani, a w owych czasach bardziej niż kiedy wszechwładnej, *mody*.

Piccini urodził się w neapolitańskim państwie, w Barri, 1728 r. Pełen ognia i niesfornych natchnień, zaczął pisać nieznając jeszcze najmniejszych muzyki prawideł. Dał się jednak w końcu ująć w kluby, i dwa-nastacie lat przepędził w neapolitańskim konserwatorium.

Już był więcej sta oper napisał, gdy go powołano do Francyi. Tam się obowiązał napisać sztukę dla *Paryża*, jak to za naszych czasów Rossini, Meyerbeer, Bellini i Donizetti robili. Ale ci bardziej obeznani z językiem i duchem francuzkim, łatwiej do nich trafić mogli. Piccini zaś ani jednego słowa po francuzku nie umiał, a gdy mu powiedziano, iż koniecznie potrzeba przeciąć operę baletem, iż publiczność paryzka, mimo całej a raptownie zrodzonej namiętności muzycznej, usnie bez skoków Vestrisa, wstrząsł się i chciał na powrót do Neapolu uciec.

Za pomocą jednak Marmontela, napisał swego Rolanda, napisał nawet muzykę do baletu jego, i próby Vestrisa wytrzymał; lecz wszystko daremném się zdawało. Wojna z Glückistami szła coraz żwawiej, a gdy przyszło do pierwszego przedstawienia, umysły tak przeciw Piccinemu podbudzone były, iż cała jego rodzina ze łzami go do teatru, jakby na śmierć, odprowadzała.

Inaczej się jednak stało. Partya włoska przemogła. Sztuka oklaskami okryta, a muzyk tryumfalnie do domu odwieziony.

Po jakimś czasie, i gdy już pierwsza ochłonęła zawiść, oba mistrze znalazłszy się przy jednym stole, Glück obracając się do Picciniego rzekł: »Mio caro, Francuzi są dobrzy ludzie, ale mi śmiech bierze, kiedy chcą żeby dla nich tworzyć muzykę. Oni śpiewu nie rozumieją. Ty im piękne piszesz rzeczy, ale się tém nawet nie wzbogacisz, a tu chyba dla pieniędzy pracować należy. Ja chcę, odpowiedział Piccini, pieniądze i sławy, jakoż zamyślam do Włoch powrócić.

Nie prędko jednak w Neapolu go ujrzano; lecz tam za jakieś polityczne zdania prześladowany, uzyskał pozwolenie wrócenia do Francyi, i umarł w Passy, pod *Paryżem*, 1800 roku. Piccini jest uważany za głównego *operę buffa* mistrza.

Od tej epoki zaczęło się to zlanie, to pomieszanie szkół i muzyki, rodzajów, jakie Rossini dokonał, a nad którą Włosi boleją. Dowodzą że on tak włoski styl w muzyce, jak Silvio Pellico w literaturze zepsuł. Że czasem tylko dając włoskiemu duchowi polot, starał się w ogólności do francuzkich skarlicć go wymiarów.

W Niemczech zaś Mozart wielce się do tego przyczynił. Jak Piccini a w końcu Rossini zfrancuzili swe włoskie harmonje, tak Mozart swęj narodowej szkole włoskich dodał rysów.

Niemiecka szkoła więcj zawsze jak wiadomo orkiestrą niż śpiewem celowała. Włochy wprawdzie i tego rodzaju liczne posiadały talenta. Frescobaldi, Corelli, Geminiani, Tartini, Boccherini, Viotti, równie kompozytą, jak jęj wykonaniem na rozmaitych słyngli instrumentach. Ale Niemcy mieli Bacha, Haendla, Haydn nowe im arcydzieła gotował, a ich sztuka już była właściwego sobie całkiem instrumentalnego nabrała charakteru, gdy Mozart znajdując ją za ciasną dla swych wieszczych pomysłów, pobiegł do Neapolu, i w 1769 roku, w swych tworach, śpiew włoski z niemiecką połączył instrumentalnością.

Włoskie opery, w całych upowszechnione Niemczech, wielkim kosztem w Paryżu utrzymywane, także do połączenia rozmaitych muzyki rodzajów nie mało posłużyły. *Paer*, neapolitańskiej szkoły uczeń, długi czas



w Niemczech przebywał, a dwoma przesiękły rodzajami w Paryżu, miał je na francuzkin zaokulizować krzewie. Mimo to wszystko wyznać jednak trzeba, że każda z tych szkół, jakkolwiek zmodyfikowana, nieże jeszcze swemu wierna pierwotnemu rodowi. Niemiecka najbogatsza orkiestrą, włoska śpiewem, a francuzka, mimo usiłowań, z wodwili wyjść nie może.

#### IV.

JESZCZE O MUZYCE. — KATEDRA Ś. JANUAREGO. — KATAKUMBY. —  
KOBIEŃTY. — OBYCZAJE ŚREDNIEJ KLASY.

**P**rócz tak licznych w poprzednim rozdziale wymienionych Neapolu muzycznych sław, koniec ósmnastego i początek dziewiętnastego wieku, bardzo tam był w nie obfity. Pascal Anfossi, Jakób Insaguine, Franciszek Majo, Ludwik Mareschalki, Kajetan Andreozi, German Astarita, Ludwik Caruso, Anioł Tarchi, Franciszek Parenti i Kajetan Marinelli, wszyscy są z tej epoki, wszyscy swą scenę mnogimi obdarzyli dziełami, a z nich niektóre za Alpy przeszły. Lecz nad te wszystkie, dwa huczniej w Europie zabrzmiały imiona. Jan Paesiello i Dominik Cimarosa, oba byli Neapolu dziećmi.

Pierwszy urodził się w Tarencie, 1741 roku, a umarł w Neapolu 1816. Miękkosc i wdzięk jego tworców, zjednały mu przezwę Metastaza muzycznego. Cimarosa, urodzony w Neapolu 1754 roku, umarł w Wenecyi w 1801. Kompozycye jego są pełne życia i fantazyi. Cały świat dotąd je podziwia.

Nakoniec do ostatnich Neapolu sław należą: Zingarelli i Bellini.

Zingarelli w samym urodził się Neapolu, jednocześnie prawie z Cimarosą. Jako sierota, bo rodziców młodo stracił, do konserwatoryum



tamże przyjęty, wielu wslawił się operami. Ifigenia, Pyrrus, Artaxerxes, Conte di Saldagna, Ines de Castro, Romeo i Giulietta, imie jego na wszystkie świata strony zaniosły. Z ostatniej téj sztuki arya, *Umbra adorata*, dotychczas w każdym prawie koncercie figuruje, a Crescentini tak ją cudownie śpiewał, iż nowój jój nadał sławy. Oba, tak twórca jak wykonawca, Zingarelli i Crescentini, skończyli swe karyery w konserwatorium neapolitańskim. Pierwszy, jako główny jego dyrektor, drugi do części wokalnój.

Lecz zanim Zingarelli został dyrektorem w Neapolu, należał do sytyńskiej kaplicy w Rzymie. Cesarz Napoleon, w całej Europie naówczas wszechwładny, kazał mu napisać *Te Deum*, z powodu urodzenia króla rzymskiego. Zingarelli odmówił, mówiąc iż w jego przekonaniu rozwód cesarski nie jest chwalebnym, ani nawet w oczach kościoła prawym aktem, a zatém on, Zingarelli, niemoże opiewać owocu jego. Zuchwały muzyk do kozy za to poszedł.

Vincenty Bellini był jego uczniem. Urodzony w Catanji (w Sycylji), w 1808 roku, długi czas przebywał w Medyolanie. Tam pierwszą wystawił swą operę, *Biankę* i *Fernando*. Lecz droga jaką sobie obrał, styl surowy, oniemal suchy, całkiem przeciwny temu co naówczas Rossini upowszechnił, sprzeciwiły się jój powodzeniu. W Piracie dopiero jakaś giętkość spostrzegać się daje. Rubini po raz pierwszy w téj wystąpił sztuce, i wielce się przyczynił do oklasków jakie odbierała. *La Straniera*, *Somnambula*, *Capuletti* i *Montecchi*, a w końcu *Norma* i *Puritani*, ustaliły Belliniego sławę. Te ostatnie dzieła, gdzie już całkiem zaniechał swych pierwotnych zasad, i zupełnie przeciwną poszedł drogą, pisał w Paryżu, dla paryzkiej opery, która wtenczas najpierwszą, co do artystów doboru, w Europie była. Panna Grisi w Normie była niezrównaną; Rubini, Tamburini i Lablache, również w *Puritanich* celowali. Bellini umarł w młodości kwiecie, w Paryżu w 1835 roku.

Lablache, ten rzadki bass, tak kochany w Paryżu, uwielbiany w reszcie świata, pod neapolitańskim także zrodził się niebem. Miał już on sławnych w swym zawodzie rodaków. Farinelli, Cafarelli, Aprile, i wielu innych śpiewaków Neapolowi świat winien. Lablache w nim także urodzony, smutnie tam jednak swą zaczął karierę. Z prześliznym głosem i największą łatwością, nigdy niczego uczyć się niechciał. Profesorowie konserwatoryum łajali go i karali, a on czas trawił na miłośnych intrygach, nie tylko własnych, ale i swych kolegów. Żaden miłośny bilet bez Lablacha pomocy nie napisał się w szkole, żadne rendez-vous bez jego pośrednictwa się nie odbyło.

Razu jednego, gdy godzina śpiewu w szkole wybiła, spostrzeżono że niebyło Lablacha. Koledzy radzi byli ukryć jego nieobecność, ale Lablache, goliatowój postaci, całą głową nad wszystkich górował, a tój głowy nie widać było.

Po wielu dyrektora badaniach, dowiedziano się, iż ten nic dobrego, tajemną zrobił ugodę z przedsiębiorcą palermitańskiego teatru, że się obowiązał symfonje w intermedyach grywać; a ponieważ uczeń konserwatoryum, niema prawa do lat 22 rozrządzania sobą, bez zezwolenia wyższej władzy, a Lablache tych lat nie miał, więc nic nikomu nie mówiąc, w nocy zemknął skrycie.

W parę tygodni potem żandarmy odprowadzili zbiega.

Lablache po dokonanych szkolnych latach, nie mając nic przed sobą lepszego, dostał się do *San Carlino*, gdzie najprzód jako kontrbass występował, później z Pulcinella nosem. Mówią że w tój postaci był doskonałym. Gdym w dziesięć lat potem w Paryżu go widziała, kilkadziesiąt tysięcy franków miał dochodu, i jeszcze raz powiedziałam: w Neapolu talenta, w Paryżu pieniądze.

Skarżą się jednak iż ta muzyki ojczyzna nie tyle co dawniej dostarcza talentów. I tak jest istotnie. *Rossini* i *Donizetti* do niej nie należą; jednak ma jeszcze *Merkandante*, który wierny swój ziemi, murów jój stolicy nie opuszcza nigdy; a *Verdi*, lubo nie Neapolitanin, przyjeżdża tam, i dawnym zwyczajem, gdy ma przedstawić nową jaką operę, na ostatniej próbie, bezpłatnie teatr otwiera, i przysłuchuje się zdaniu parterowój publiczności. Jój bowiem zdanie czyli raczej wrażenie, za wróżbę powodzenia lub upadku każdy muzyk zwykł tam uważać.

Trzeba wszakże wyznać, iż konserwatoryum tameczne nie jest w postępie. *Zingarelli* i *Crescentini*, więcej już je okraszali swemi laurami pokrytymi imiony, niż mogli w podeszłym wieku prawdziwą otaczać pieczę. Teraz po ich śmierci śpiew może pójdzie zwawiej, lecz co do kompozycyi, wątpię żeby jaka zaszła zmiana, gdyż do instrumentalnej części uczniowie mniej daleko okazują ochoty i zdolności. Śpiewać tam każdy może, choćby muzyki nie umiał; do kompozycyi zaś trzeba nauki, pracy, mozołu.

Teraz, jak cały wydział naukowy, tak i ta jego gałąź w rękach duchowienstwa. Rektor i vice-rektor są księża. Uczniowie jakby w seminarium chowani, co tydzień do spowiedzi chodzić muszą i t. p.

Jakże im ztamtąd daleko, jak im brylantem świecić musi to artystowskie życie jakie ich później w Europie czeka, o którym jeśli nie słyszeli, przeczuwać ich dusza musi!



Dla kobiet osobna jest szkoła. Ale ta mniej jeszcze troskliwie prowadzona, mniej dla przyszłości wróży.

Konserwatorium neapolitańskie obowiązane jest dostarczyć co rok dwóch kompozytorów teatrowi *San Carlo*, to jest dwie opery coraz odmiennych téj szkoły autorów. Ale ta zbyt może wielka rzędu wymagalność, nie bywa zadowolona. Mówią że i *impresario* (dyrektor opery), dla wielkich nakładów jakieby to pociągało, wzbrania się od takiej ilości sztuk nowych a niepewnego powodzenia. Młodzi autorowie, muszą więc swych skrzydeł pilnować na drugiej Neapolu operze, zwanéj *il Fondo*; a *San Carlo*, jak inne pierwszego rzędu włoskie sceny, Merkandantym i Verdim głównie teraz żyją.

Lecz prawdziwy neapolitańskiéj szkoły tryumf jest w wykonaniu *Miserere*.

W wielką środę, czwartek i piątek, Neapol na wzór Rzymu, żałobę przywdziewa. Kościół do konserwatorium należący obleczony kirem, przepełniony jest słuchaczami w czerni ubranemi, a w królewskiej łoży rodzina jego i dwór. Cudzoziemcy czasem do kilku dukatów jakiś tam przepłacają kątek. Wtenczas ośmdziesiąt głosów wykonywa *Miserere*, i to, jak oni tam zowią, *alla Palestrina*, to jest bez najmniejszego akompaniamentu, bez podania nigdy żadnéj pierwszéj nóty. Nie było jeszcze przykładu żeby choć o ćwierć tonu którybądź głos chybił. Muzycy za rodzaj cudu tę ścisłą uważają dokładność. Ona to i w wykonaniu oper, prawdziwą daje wyższość scenom włoskim nad temi zagranicznymi, gdzie tylko pierwsze sprowadzają talenta, a niemają czém ich wesprzeć; tam też tylko o piękności arii sądzić można; we Włoszech o wartości całej sztuki, i mimo braku wielkich talentów, zupełnie inne odnosi się z niéj wrażenie.

I w innych Neapolu kościołach śpiewają *Miserere*, a wszędzie pełno ludu, bo on tam dwóm swoim dogadza namiętnościom, do muzyki i religijnych ceremonji. Jak to po téj czarnej i ciemnéj świątyni musi im pięknie ich niebo wydawać się!

W ogólności jednak w kościołach włoskich bardzo rzadko słyszeć można dobrą muzykę. Na organach, zwykle bardzo miernych, odgrywiają najczęściej jakieś arye ze starych oper, jako to: z Cyrulika, Sroki i tym podobne, bynajmniej nie zdolne do podniesienia pobożności ducha. Dziwna to sprzeczność z ich muzykalném usposobieniem, i nieraz się zastanawiałam nad nią.

Nie jest to jednak skutkiem oszczędności. Wiadomo iż nigdzie nie ma tak bogatych i tak dobrze utrzymanych kościołów jak we Włoszech, mianowicie w głównych miastach; co obok ich ilości i ludu niechlujstwa

słusznie zdumiewać winno. W Neapolu liczą ich około trzechset, z których 48 tytuł i przywileje parafjalnych mają. Po rzymskich, złotem kipiących, mogą się mniej wspaniale wydać; niektóre jednak na uwagę zasługują.

Już to nietrzeba o ich powierzchowności mówić. Neapol jedyne jest, zda mi się, na całym półwyspie miasto, zupełnie pozbawione swój właściwej architektury. Każda prawie jego budowa, jak i każdy kościół, innego są stylu. Jest to jeszcze skutkiem tych przejść ciągłych przez tyle rozmaitych rąk, z których każda jakąś tam w swym rodzaju, w odmiennym guście zostawiła spuściznę; do tego stopnia, że gdy któren z jój panów, bardziej kunsztownym duchem tchnący, jak na przykład Robert, w odrodzenia wieku, kazał jaki kościół pięknymi pokryć freskami, inni znajdując że to wesołości i jasności ujmując, kazali go pobielić. I tak pełno jest w Neapolu kościołów, gdzie pod grubém wapnem, zagrzebane są mistrzowskie obrazy.

Katedra neapolitańska jest lub przynajmniej chce być w stylu gotyckim. Powierzchność jój bardziej wspaniała niż wnętrze. Poświęcona Ś. Januaremu, posiada w podziemnej kaplicy ciało jego! Tamże jest kłęczący posąg kardynała Caraffy, pięknego dłuta, w rodzaju Michała-Anioła. W samym zaś kościele, po prawej stronie, znajdziesz kaplicę, także kaplicą Ś. Januarego nazwaną. Dwa wielkie posągi apostołów Piotra i Pawła, stoją przy jój wejściu, zankniętém bogatą grillą. Ta krata, rysunku Fansagi z Bergamu, kosztowała 32,000 neapolitańskich dukatów. Za nią oko jeszcze samém bogactwem zaćmione, ale bardziej bogactwem niż pięknnością. Trzy duże ołtarze i cztery małe, krzyża greckiego dają jój formę. Wszystkie kunsztownemi kamieniami, złotem i srebrem błyszczą, a co najbardziej uwagę tam zwraca, to ogromna ilość popiersi ze srebra ulanych. Popiersia te rozmaitych kardynałów, papieży i dobroczyńców kościoła, dobrze wyczyszczone i świecące się, jak wazy w pięknym kredensie, niewają na szyi łańcuchy kosztownej roboty, lub inne z oprawami klejnotami ozdoby, a na głowie rozmaitych kolorów najczęściej czerwone infuły, co bynajmniej kunsztowném ni piękném mi się nie wydało.

Sufit pokryty ozdobnemi freskami, pęzła Lanfranka i Dominichina. Ale te ostatnie Dominichina utwory, dalekie są od piękności innych dzieł jego. Wielki ten malarz dla téj roboty do Neapolu powołany, tyle tam doznał od współzawodników największej zawiści dowodów, iż pod niemilém wrażeniem obrazy swe tworzył, co w robocie łatwo się da spostrzedz. I sprawdziły się też jego obawy i przeczucia, gdyż zanim swą dokonał pracę, umarł, jak jedni mówią, podaną w szklance trucizną, jak inni dowodzą,



w skutek dokuczliwych intryg, co może jest gorszą jeszcze od arszeniku trucizną.

Małe drzwiczki w głębi nawy téj świątyni, wprowadzają do drugiej. Ten drugi kościół, pod opieką i nazwą Ś. Restytuty, i jak katedra trzema rzędami pilastrów podzielony. Oba powstały na złomach pogańskich świątyń. W pierwszej Apollina niegdyś czczono, w drugiej Neptuna. Każda zachowała jakieś szczątki swój poprzedniczki. S. Restytuta pięknie ma z świątyni Neptuna kolumny; w katedrze zobaczysz wielką bazaltową wagę, do chrztu świętego używaną teraz; na niej w płaskorzeźbach jakieś bachanalja, pogański zdradzają początek.

Katedra z rozkazu Konstantyna wielkiego założona, później trzęsieniem ziemi, w 1448 roku, prawie zniszczona całkiem, za Alfonsa I odbudowaną została. Ś. Restytuta mniej kłęk doznawszy, chwali się iż była pierwszych chrześcijan przybytkiem, gdy już im dozwolono głośno i na powierzchni ziemi czcić Boga swego. Gdyż przedtem, jak w Rzymie tak i w Neapolu, pod ziemią swe ołtarze kryć biedni musieli, a z téj epoki jak tam tak tu piękne zostawili pamiątki.

Katakumby neapolitańskie, bez porównania większe i piękniejsze od rzymskich, mniej jednak rozgłosu w świecie mają; gdyż to jest, jak się zdaje, w przeznaczeniu Neapolu, iż jego wdzięki i ciekawości daleko mniej słyną, obok podobnychże w innych miejscach szeroko i głośno opiewanych. Tak o jego moście, przez ulice, domy, kościoły rzuconym, nikt niewie, gdy podobnyż w Genui największe obudza uwielbienie, tak jego wrzące w Pozzuoli źródła zapomniane; tak katakumby nikogo nie wabia, lubo przynajmniej tyle co rzymskie widzenia są godne.

Niewiem czy tę względem Neapolu niesprawiedliwość, przypisać zbytecznemu wszelkich rodzajów piękności nagromadzeniu, téj szczytnej naturze, co porwawszy oko i duszę, o wszystkiém już zapomnieć daje, temu powietrzu co ciało rokoszném ogarnia lenistwem, lub też temu, iż przebywszy półwysep, każdy już jakby dla zbycia parę tylko tygodni na Neapol łoży; każdy wyexpensowawszy czas, pieniądze i całej swój uwagi zapas, Neapolowi z tych trzech bogactw same tylko oddaje okruszyny. I cóż dziwnego że w tych dniach kilku na Neapol zostawionych, wspiąwszy się na szczyt Wezuwiusza, nikt niema odwagi spuścić się w potrojne i coraz głębsze katakumb pieczary.

Pieczary te jednak w najlepszym są stanie, i żadnym nie grożą niebezpieczeństwem. Na trzy podzielone piętra, rozciągają się głównie pod Capo di Monte, tak głęboko iż królowie długi czas mieśmieli swego tam zamieszkać zamku, z obawy żeby się nie zapadł. Ale teraz gdy nowemi

sklepienia ich wsparto filarami, i król do swego wrócił pałacu, i każdy tę podziemną przechadzkę jak najwygodniej odbyć może.

Zaraz z wejścia jest kaplica w skale wykuta, z ołtarzem kamiennym w środku, a za nim rodzaj półkolistej sali, z ławkami do koła, gdzie jak mniemają zasady wiary naszej głoszone być musiały. Dalej długie galerie prowadzą do grobów, do innych sal i kaplic. W nich widać jeszcze reszty mozaik, malowideł, złomy starych ołtarzy naszych, kilka potłuczonych posągów i miejsca trumien, lub same trumny, tak już z kamieniem zrosłe, jakby częścią jego były. Pokażą ci miejsce gdzie znaleziono ciało Ś. Januarego, tego Neapolu patrona, co w nim na równi z Chrystusem jest wielbiony, równą cześć odbiera. On też wzajemnie cudami tę ich odpłaca miłość. Krew jego w małej zachowana flaszczyce, i jak mniemac można, od dawna już zastygła, ma własność w płyn się obracania. Ten cud dwa czy trzy razy do roku, w wiadomych już epokach regularnie się ponawia. Lud go z równie żwawą wiarą, z nową zawsze widzi radością, i z tém większém czeka upragnieniem, iż ta uroczystość, świetnemi towarzyszona processyami, gdzie skrzydlate występują aniołki, kończy się na fajerwerkach i illuminacyi, takięj jaką ci wyżej opisałam.

Do tych katakumb, które zowią także cmentarzem Ś. Januarego, wchodzi się z małego kościółka, temuż patronowi poświęconego. Kościółek ten nazwany Ś. Januarego ubóskiego (San Gennaro dei poveri), prócz tego wejścia, nic do widzenia niema, tak jak największa część tych mnogich kaplic jakimi Neapol jest przepelniony, a których ilość słusznie dziwić musi. Mówią że zazdrość mężów dała im początek. Każdy wolał we własnym domu zbudować dla żony kaplicę, niż pozwolić jęj co ranek do kościoła chodzić. Ja zaś chciałam to przypisać arystokratycznemu kapryswi. Myślałam, że jak teraz nie jeden ekwipażem, liberyą, lub strojnym salonem mniema imponować światu, tak dawniej własną kaplicą. Lubo wyznać muszę, iż terażniejszy stan ich bynajmniej wniosku mego wspierać niemógł, jak przeciwnie, obojęcie się mężów w domowym ich pożyciu, wielce szło pierwszemu w pomoc.

Każdy się łatwo domyśli, jak pod tém afrykańskiém słońcem, namiętności wielkie w życiu człowieka trzymają miejsce.

Jedna z mych rodaczek przywołała tam razu jednego miejscowego do siebie lekarza. Ten znalazłszy nieco gorączki w pulsie, tak do nięj przemówił: »pani wiesz iż po spowiedniku, doktor pierwszą każdego ufność posiadać winien. Jemu wszystko wyznać otwarcie należy; inaczej, on z zawiązanemi działa oczami. Na świecie, a mianowicie w kobiecém sercu, trzy tylko panują namiętności, bez nich żadna nie zachorowałaby nigdy, w normalnym zostawałaby stanie, i nieznalibyśmy ich nawet. Te



namiętności są: miłość, zazdrość i żądza zemsty. Wyznaj że mi pani której w tej chwili ulegasz: czy miłości, czy zazdrości, czy najgorszej, najgwałtowniejszej ze wszystkich, i najczęściej z pierwszych wypływającą, żądzę zemsty?"

Każdą z tych trzech namiętności wymieniwszy, długą zostawiał pauzę, patrzył w oczy swjej pacjentki i trzymał ją za rękę, by jej drżenie poczuć. Ona też wzajemnie w oczy mu patrzyła, a w końcu niemożąc dłużej wytrzymać, parsknęła ze śmiechu. On ją brał za Włoszkę; ona go za waryata. Pokazało się że to była kataralna febra, nie z miłości ani z żądzę zemsty, lecz z zamoczenia nóg powstała. Ale zapytanie doktora odsłoniło nam wielką włoskich serc tajemnicę.

Co zaś do ich domowego pożycia, to dla cudziemców większą jeszcze zwykle tajemnicą bywa. Namiętność łatwiej odsłonić można, niż zasuniętą firankę sypialnego pokoju. Damy wielkiego tonu, wszędzie na jeden kraj się manjerują. Takich we Włoszech mniej jak gdziebądź, a i te w salonach widzieć tylko się dają. Lecz to co wewnętrznym życiem zowiemy, w wyższej klasie odgadywać tylko można; nie zdarzyło mi się bowiem widzieć żadnego cudziemca, z tych nawet co najdłużej we Włoszech mieszkają, żeby do całkowitej poufałości był przypuszczonym. Jedna z mych rodaczek, od lat piętnastu zamieszkała we Florencyi, zaręczała mi, iż mimo wszelkich starań, nigdy z żadną włoską rodziną do takiej nie doszła zażyłości, żeby ją na obiad do siebie zaprosiła. A Florencya bliżej Alp i Europy niż Neapol.

Ja więc mogłam tylko sądzić o zwyczajach klas średnich, i z tych brać o wyższych miarę, gdyż ta tak mało otacza się jakąbądź tajemnicą, jak tamta starannie. My, cudzoziemki, zdajemy się w tamtej jakiś rodzaj obawy rodzic, a w tej, przeciwnie, mimowolnie stajemy się powiernicami tych kroci małych intryzek, na jakich życie ich się obraca.

Kobiety neapolitańskie godne ze wszęch miar uwagi i zastanowienia, tak co do swjej natury, jak i w domowych stosunkach, gdzie je pożalować można.

Żona w domu jest niczém. Niema ani jednego grosza w rękę, niczém nie zarządza, i nie wolno bez męża nigdy jej wyjść z domu, nawet do kościoła.

Po małych miasteczkach całego w ogólności półwyspu, ku wieczorowi, mężczyźni, dawnym swych przodków zwyczajem, zbierają się po placach, gawędzą tam i gwarzą. Lecz między nimi kobiety ani jednej nie zobaczysz. W większych miastach, kawiarnie cały dzień na takie bezczynne służą schadzki. Tam już wyższej klasy gromadzą się ludzie, i często-

króć całe życie po kawiarniach trawia (1), ale i tam jeśli zobaczysz jaką kobietę, to cudzoziemkę, lub, co dość rzadko bywa, taką, która na ich wzór się przekształcając, z pod krajowych zwyczajów się wyłamuje. Włochy jednak dotąd takich lwic bardzo mało widzą. U nich, jeśli jaka niewiasta wychodzi z określonego sobie i tak ciasnego zawodu, to prędzej dla nauki niż dla sygara, bo zdolności mają ogromne, i gdyby je rozwijać tylko chciały, wszystkie inne przeszłyby kobiety. Ale im młodość schodzi na miłości, a gdy ta odleci, już godzina nauki i ważniejszego umysłowego zajęcia od dawna minęła.

O sławniejszych improwizatorkach we Florencyi ci mówiłam. Poetek dotąd wszędzie pełno. A dawniej widziano w wysokich naukach professorski, poważne dzierżące po akademiach katedry. Bolonja miała w dawnych czasach panią Magdalenę Bosignori, i Betizzią Gozzai; w teraźniejszych, Laurę Bassi na medycznej katedrze, a Maryą *Manzolinę* professorem anatomji. Klotylda *Tamburini*, była aż do śmierci dodaną do katedry greckiego języka, księdzu a teraz kardynałowi Mezzofanti, który będąc niegdyś professorem w Bolonji, wielce swego rozumnego oceniał adjunkta.

Wracając zaś do Neapolu i zwyczajów klass średnich, dla przykładu, opiszę ci jak najwierniej rodzinę Auriemów, wpośród której, tu w Sorrento, trzeci już przepędzam miesiąc.

Pan Dominik *Auriema*, villi swęj właściciel, dolne jęj piętro zajmuje. Były kapitan gwardyi narodowęj, dość znaczny miał niegdyś fundusz, teraz brakiem przemysłu a bardziej jeszcze domowym nieładem i chęcią wystawniejszego nad możność życia zubożał, długów ma pełno, i często największego doznaje niedostatku. To się dość naturalném nam wszystkim wydawać powinno.

Pan *Auriema* drugą ma już żonę i dzieci siedmnaścioro. W Sorrento, jest to liczba oniemał zwyczajna. W średniem przecięciu, jak uważałam, na każdą rodzinę można tam liczyć po dziesięcioro, co poniekąd usprawiedliwia ogromną liczbę księży i zakonnic. Inaczęj, jakaż by ziemia wystarczyła ludności, w taktęj mnożącęj się proporcyi?

Z pierwszego małżeństwa pana *Auriema* potomstwo jest już pożenione; synowie mają po sześcioro lub ośmioro dzieci, i osobno własne

(1) Zdarzyło mi się taką słyszeć rozmowę między dwoma elegantami: — „Cóż to że ciebie wtęj kawie dziś spotykam, kiedy zwykle do floryańskiej uczęszczasz?” — „Przepraszam cię, odpowid, ja we floryańskięj do obiadu zwykłem tylko siedzieć, a po obiedzie tu przychodzę i co wieczór tu mnie zastać możesz.

W tych kilku słowach dał mi życia swęgo wicny obraz.



prowadzą gospodarstwo. Druga zaś jego żona, jeszcze dość młoda, dała mu dwanaścioro, z których córek ośm. Wszystkie te dzieci zdrowe i świeże, pięknie w domu rosną i nic nie robią. Najstarszy syn ma lat dwadzieścia, najmłodsza córeczka trzeci rok liczy, można więc jeszcze więcej się spodziewać.

Syn ten najstarszy, Xawery, na księdza był przeznaczony, bo tam w każdej rodzinie musi być jeden duchowny. Ale mu się ten niepodobał zawód. Nauczywszy się w seminaryum czytać i troche pisać, oświadczył iż się na lekarza sposobieć woii. W tym celu teraz w Neapolu przebywa. Przyjeżdża tylko do rodziców na święta, a po każdym święcie, których tam bez liku, po parę tygodni a czasem i więcej w dodatku bawi. Matka z tego uszczęśliwiona, wstrzymuje go jak może, co daje miarę jej rozsądku i gorliwości syna w nauce.

Po nim, ośmuastoletnia córka, Konżetta, jest *unamorata*. Kochankiem jej jest także doktor, a przynajmniej nim być zamierza. Lekarska sztuka, na puszczeniu krwi, okładaniu się i połykaniu lodu prawie wyłącznie tam zawisła, nie trudna jest do pojęcia. Neapol też zapełniony doktorami.

Druga córka Julja jeszcze niema kochanka, i tém się niesłuchanie martwi. Ma lat szesnaście, a już jedenaście razy krew jej puszczano, tak ze zgryzoty wszystko w niej się burzy. Po całych dniach siedzi zagłębiona w myślach, a tak marząc, razu jednego wymarzyła sobie żeby zemną do Polski pojechać. Projekt ten tak prędko i silnie wzrosł w jej głowie, i tak żadnej nie przypuszczał trudności, iż Julja nie miała inną rozmowy, i wszelkie do tej podróży robiła już przygotowania; rodzice także przekonani byli iż rzecz jest całkiem ułożona, nic jej istotnie nie brakło, prócz mego przyzwolenia.

Następny syn, Mikołaj, piętnastoletni chłopiec, ma stary wózek ojca, i równie starą klacz do zabawy. Czyści je po kolei, czasem się niemi dla rozrywki przejeżdża, słowem temu się poświęca wyłącznie, gdyż niczego się nie uczył, nic nie umie i umieć niechce. Ale on przynajmniej gdy starą klacz na dziedzińcu szcotokuje, lub do karyolki jakieś przybija połamane żelaztwo, wydaje się zatrudniony, gdy tymczasem reszta rodziny pozor tego nawet niema. Wszyscy tak starsi jak młodszy śpią, lub w odpoczynkach z młodszymi dziećmi się bawią, czasem śpiewają, a wieczorami niekiedy grywają w karty.

Jadają tylko dwa razy na dzień, w południe i o północy. Żadnego śniadania ni podwieczorku nie znają. W wielkich uroczystościach zaraz po obiedzie piją czarną kawę, wieczorem lody, które tam na ulicy dla popółstwa po parę groszy małemi miarkami wszędzie sprzedają. Lecz

kawy z mlekiem nie używają wcale, a herbatę, gdy Julja raz dla ciekawości u mnie jęj skosztowała, wypluła natychmiast mówiąc, iż najgorsze lekarstwo smaczniejszym jęj się wydaje, i pojąć nie mogła jak my to pić dobrowolnie możemy.

W obiedzie, makaron na gęsto, którego ogromny codziennie gotują kościół, zastępuje zupę. Potem ryba, sałata i sér; mięso bardzo rzadko; jarzyny i owoce wieczercę stanowią.

Po południu, gdy tylko skończą obiad, wszyscy idą spać. Natenczas nie tylko w mój villi, ale w całej włości i miasteczku sorrentowskiem żadnego nie zobaczysz ruchu. Domy i sklepy pozamykane; pies nawet na dwór nie wyjdzie. Dopiero między czwartą a piątą żyć powoli zaczynają. Sklepiki, okienice swe odsłaniają, a około szóstej mężczyźni przed kościołem na placu gromadzą się, i długie zagajają rozprawy. O czém? To dla mnie zagadką pozostało.

Natenczas i liczne Auriemów grono z łózek powstaje; a jeśli jest jaki spacer na widoku, jaki gdzie w okolicy odpust, jarmark lub fest, panny zaczynają włosy przyglądać, suknie zapinać, pończoszki wkładać (co nie jest tam koniecznym i codziennym do ubioru warunkiem); resztę toaletowego nieładu duża przysłania chustka; a na głowie występują neapolitańskie z kwiatkami kapotki. W tym wykwintnym stroju, dopiero przy schyłku słońca (które tam w lecie o godzinę wcześniej niż u nas zachodzi), pod przewodnictwem ojca, w towarzystwie braci i jednego, niestety! dotąd tylko kochanka, wszystko to w wielki Sorrentu świat się puszcza. A mama i panny na wszystkie oglądają się strony, czy sąsiadki widzą te ukwiecone kapotki, czy je dość podziwiają, czy dość im zazdroszczą?

W zwyczajne zaś dni, kapotki nie wychodzą z szafy; mała tylko chusteczka, na jakąś zszarzaną, krótką i nie spiętą zarzuca się sukienkę, trzewiki odeptane nie czekają pończoszek, i tak z gołą głową, najeżonymi włosy, idą nucąc coś sobie do ogrodu, za którego granice ni matce ni córkom przejść nigdy nie wolno; nie wolno im nawet siedzieć w altance, z widokiem na ulicę wychodzącym, z kąd jednak nie wnoś, żeby ta przesadzona dla ulicy skromność, w murach domu równie surowo się dochowywała. Bynajmniej.

Po wieczercy, długo jeszcze bawią się czy nudzą, niewiem, ale siedzą bo się w dzień wyspali. Między pierwszą a drugą dopiero, panny wszystkie w jednym pokoju, po trzy i cztery do jednego idą łóżka, chłopcy podobnież śpią z sobą, i to wszystko bez najmniejszej bielizny na sobie, pod jednem prześcieradłem.



Następnego ranka, ojciec najpierwszy wstaje, niesie ziarno dla kurcząt i gołębi, karmi barana i wieprza, które sobie tuczy, zbiera morwo-we dla jedwabników liście, a potem idzie do ogrodu, w robocie cokolwiek ogrodnikowi pomódz, bo ten ogród całą ma rodzinę przez okrągły rok wykarmić, na nim jedyna oparta nadzieja, co jednak nie przeszkadza iż mimo ciągle rodzącej ziemi, na obiad czasem niema co zgotować.

Tymczasem Mikołaj karyolkę i kłacz starą czyści, brat jego Xawery, doktorski uczeń, idzie w morzu się kąpać, a trzy starsze panny śpieszą na lekcye muzyki. Nauczyciel do nich z Sorrento przychodzi. Starsza, Konżetta, dla braku głosu na fortepianie się uczy, młodsza Julja, i następna, Ragala, prześlizne za to mają soprano, i zapewne pięknie śpiewać będą.

Po lekcyi śpiewu, myślisz może że która z nich weźmie książkę, lub igłę do ręki, albo domowém gospodarstwem się zajmie, albo przynajmniej pójdzie zasiać na jakim zagonku rozetkę, lub podlać jaki kwiatek? Wcale nie. W ogrodzie ani jednego nie ujrzysz kwiatka ręką pa-nien Auriemówien zasianego. Jeśli jakie są to pod inną rosną pieczą. Książki w całym domu ani jednej nie ma, chyba do pacierza, która się w niedzielę do kościoła dla większej powagi bierze, a do szycia tak są niewprawne, iż gdy ojciec dostawszy odemnie za mieszkanie pieniądze, kupił kilka sztuk perkaliku dla odziania od razu wszystkich na całe lato, musiał z Sorrento krawca sprowadzić, bo ani matka, ani żadna ze starszych córek niepotrafiłaby i niechciałaby dla siebie i młodszych dzieci sukienek porobić.

Czemże się trudnią, zapytasz? O to tysiące przemyślają sposobów jak od ojca lub z kąd bądź jaki grosz wyłudzić, a jak tylko go mają, kupują jakieś fraszki, świecidelka i tym podobne rzeczy. Wszystko co tylko u mnie lub której z otaczających mnie osób zobaczą, niezmiernie się im podoba, i to tak gwałtownie, iż zdawałoby się że żyć bez tego nie mogą. Wtenczas przemyślają jakby to otrzymać, wszelkiemi nadskakują sposobami, kwiaty i najpiękniejsze przynoszą nam owoce, i jak najwyraźniej przymawiają się oto czego pragną. Przy każdej wreszcie okoliczności żądają upominków, a ja ile razy do Neapolu jadę, muszę się w kilkanaście zaopatrzyć prezentów.

Wreszcie, jeżeli jedna Konżetta jest ogłoszoną w stanie zakochania, cała jednak rodzina w tym romansie najzwawszy bierze udział. Gdy się kochankowie pogniewają, wszyscy, matka, siostry i bracia, w największą wpadają rozpacz, mdleją, spazmy mają i to wcale nie udane; a z Sorrento przywołany cyrulik wszystkim po kolei krew puszcza.

Gdy narzeczony, kilka z niemi zabawiwszy tygodni, wraca do Neapolu, gdzie razem z Xawerym na kurs medyczny chodzi, wszyscy aż do najmniejszych dzieci w głos ryczą z płaczem, do bramy go odprowadzając. Podczas niebytności, matka jeśli jaki od męża tajemnie pieniądz wydobędzie, kupuje dla niego chustki jedwabne, córki co się od moich panien nauczyły kanwowój roboty, jedna dla niego robi szelki, druga pantofle, trzecia woreczek do pieniędzy; ale niewiem czy skończą, bo u nich zapął do roboty którą od razu wprawdzie pojma i z największą wykonywają łatwością, nie trwa tyle żeby mogły dokończyć co zaczęły. Powrót kochanka ogólną także sprawia radość. Konżetta dnia tego uczesana i obuta, druga lody przyrządza, trzecia koszulę świeżą, bo łódką przebywając morze, zwykle przychodzi bardzo zgrzany.

Za to, największa w całym domu rozpacz i najgwałtowniejsze spazmy, wtenczas kiedy on oświadcza iż niemając żadnego sposobu utrzymania siebie, a tém mniej żony, żenić się nie może. Matka przystać ani wierzyć temu niechce, i tylko naznaczony na ślub termin (o jakich już z dziesięć razy słyszałam), o kilka tygodni odkłada. Panna młoda dalsze robi do swój wyprawy przygotowania, a przed kilku dniami przysłało do mnie deputacyą ze skargami na ojca, iż skąpy, że na tę wyprawę niechce tyle łożyć ileby powinien, i z proźbą o pieniądze na rachunek dalszego mieszkania mego, i o sekret przed ojcem, gdyż natychmiast chcą je użyć na kupno jedwabnej materyi do wyprawnych kołder, koniecznie już potrzebnych.

W samym Neapolu, w dwóch, gdzie mieszkałam, domach, i nawet w innych miastach włoskich, tenże sam widziałam rzeczy porządek. Żony od wszystkiego usunięte, żadnej w domu nie mają władzy, i podobne też całkiem do dzieci. Wszystko się im podoba, wszystkiego i to najgwałtowniej pragną, i łamią sobie głowę jakby to otrzymać. Całe ich życie obraca się w tego rodzaju intrygach; pierwsze słowo jakie od nich słyszysz, jest skarga na mężów, i to oniemal pierwszego dnia poznania; gdyż najprędzej starają się wejść w najściślejszą jak im się uda poufałość.

Na *Santa Lucia*, gdzieś najdłużej w Neapolu mieszkała, żona młoda i figlarna, zrzęcznieję od innych oszukiwała starego męża. Wyciągała mu z biórka pieniądze, sekretnych miała w domu przyjaciół, co jęj za to rozmaite kupowali fraszki lub stroje (bo jęj z domu wyjść nie wolno było), a do mojęj przychodziła służącęj, prosząc żeby to niby odemnie, w prezencie, w przytomności męża przynosiła. Podobnież robiła z łożami na *Pulcinella*, które niby odemnie lub innych w prezencie otrzymawszy, namówiła męża żeby ją na teatr zaprowadził. Za to, gdy razu jednego,



on za handlowemi wydaliwszy się interessami, o obiedzie dla niej zapomniał, ona cały dzień najsurowszy musiała post dochować, i ze łzami przyszła wieczorem do mnie o kawałek chleba prosić. Te biedne kobiety nie mają bowiem dość kredytu żeby dostać bułkę od piekarza, bez pozwolenia pana lub gotowych pieniędzy. Takież samo zdarzenie w villi Auriema się trafiło. Ja jego samego niespodzianie zabrałam gdzieś z sobą, gdzie go cały dzień zatrzymała, a cała rodzina o mało nie umarła z głodu.

---

## V.

## WEZUWIUSZ.

24 Sierpnia 1845 roku.



tóż i ja byłam na Wezuwiuszu!!

Ta wyprawa niejakiego wymagająca przygotowania, była jak uważasz, nieco w odwłokę poszła. Trzeba najprzód zaopatrzyć się w umyślnie do tego obuwie. Jest to rodzaj twardych i dość wysokich bucików, które ostrość pokruszonej lawy wytrzymać mają, i niedozwalać jój do środka przystępu. Mimo to wraca się ztamtąd z obuwem podartém, i bardzo często z pokaleczonemi od ostrego popiołu i gruzu nogami.

Druga, szczególnie dla nas kobiet ważniejsza ostróżność, jest w doborze jak najliczniejszego mężczyzn towarzystwa. Często bowiem bywały zdarzenia, iż ci co poszli krater wulkanu oglądać, na dnie jego się oparli. Liczba przewodników tam prowadzących, przewyższa zwykle ciekawych liczbę, a ci całkiem na ich łasce, na ich muszą spoczywać sumieniu, które jak wiadomo we włoskim ludzie nie zbyt z tej strony surowe.



Przed parą laty, rodak nasz, uczeń szkół poznańskich, młody i silny chłopiec, poszedł tam sam na sam z przewodnikiem swoim. Ten go chciał obedrzeć i w płonąca wtrącić przepaść. Poznańczyk śmiały mu stawiał opór, lecz kilka razy nożem pchnięty byłby niezawodnie uległ, gdyby mu niebo niespodzianego nie zesłało ratunku. Grono ciekawych także wędrowników, raptownie się zbrodniarzowi okazując, ochroniło ofiarę jego. Ranny do szpitala w Neapolu odniesiony, zrobił o swą krzywdę publiczne do rządu przedstawienie i dużo hałasu. Król o tém uwiadomiony, kazał by odtąd jeden lub dwóch żołnierzy towarzyszyło zwiedzającym krater. Dobry to byłby i spokojny środek, gdyby najmniejsza mogła być pewność, iż ci żołnierze, w razie przypadku, do przeciwnej nie przyłączą się strony. Znane jest wszakże współczucie dla zbrodniarzy zawsze tam gotowe, ten rodzaj bractwa, jaki tam oniemał wszystkich łączy przeciw cudzoziemcom, których oni dla ulgi sumienia Anglikami i heretykami między sobą mienia. Co do mnie, wyznaję iż widząc tych żołnierzy, ich podejrzane miny, ich na pół pijany wzrok i nabita broń w rękę, bardziej się tych protektorów niż innych naszych towarzyszy bałam.

Była nas jednak dość znaczna liczba, by tę wyprawę śmiało i ze spokojnym przedsięwzięć umysłem, tak jak trzeba dla oddania się wyłącznie jednemu wrażeniu jakiego się tam szuka.

Po wczesnym obiedzie, około czwartej, wyruszyliśmy z Neapolu. Pojazdy nasze stanęły w Resina, wioseczce z Portici połączonej (a do której możnaby także koleją żelazną dojechać), i tam naszego miały czekać powrotu.

W Resina dwóch jest przedsiębiorców tej wezuwiuszowej wyprawy, którzy dostarczają na nią mułów lub osłów, przewodników z pochodniami i podporami, słowem wszystkiego czego do niej potrzeba. Życzę ci o każdą rzecz z góry się wytargować, gdyż zedrą cię niezawodnie, o ile tylko zedrzą się pozwolisz.

Targi te dość wiele zabierają czasu. Na widok bowiem pojazdu, ze wszystkich wioski kątów zbiegają się gromady obdartego ludu, każdy woła, krzyczy, prosi, jeden o jałmużnę, drugi żeby go za przewodnika nająć. Jeden mówi że najlepiej osła prowadzić umie, drugi obiecuje że cię na sam szczyt ciągnąć na paskach będzie, trzeci że zanie sie. Każdy by rad do tej wyprawy należeć, w nadziei zarobku, a może innę; lecz trzeba od tej bronić się napaści, i tych wybrać tylko, których ci główny przedsiębiorca nastreczy, z nim w układy wchodzić, co dość trudną rzeczą, bo on wołąc żadnej na się niebrać odpowiedzialności, tak się starannie kryje, jak tancerz natrętnie się stręcza.

W końcu, gdy już każdy na swym ośle czy mule siedzi (muły są lepsze dla większej siły i pewniejszego kroku), na siodle jakie sobie obrał, angielskiego kształtu lub w rodzaju kszesełka, a przy osle ma przewodnika który nim kieruje, zaczyna się powolne na górę wkraczanie.

Nic z początku nie widać, prócz starłej lawy i popiołem pokrytego gruntu, porosłego głógiem, ożyną i innemi krzewy, a na nich długie gierlandy, z których to wino, zwane *łzami Chrystusa* (lagrima Christi) się rodzi, niedbale na wszystkie wieszają się strony. Gdzie niegdzie z pomiędzy nich jakaś ciemna skabioza, żółta lilja, lub biała Irys wyglądają nieśmiale, jakby się lękały ognistego potoku, co już nieraz po ich przeleciał głowie, spalił ich plemie. Dalej droga ku wyższej i szerszej wspina się przestrzeni. Krzewów, wina, kwiatów, już ustało panowanie, ale oko ma się czem pocieszyć. Widok z góry na cały golf wspaniale się ściele, a wówczas, przy zachodzie słońca, nic jego nie wyrówna czarownemu wdziękowi, nadprzyrodzonej poezyi. Widok ten obok uczucia iż się depce po ogniu lekką warstwą ziemi pokrytym, a który w każdej chwili może nas jak piórko w powietrze wyrzucić, lub w bezdenną pochłonąć otchłani, wzdyma pierś, myśl rozmnaża, do wulkanicznych wrażeń całą naszą przysposabia istotę.

Nareście słońce utonęło, dyamentowe jego odbłaski w morzu pogasły, niebo się przymroczyło, natura surowa, grubą skorupą martwój lawy pokryta, nocnemi oblekła się cieniami. Nic niewidać jak krateru płomieni, nic nie słychać jak coraz silniejszy wybuchów jego grzmot.

W pośród tój uroczystej żałoby drzące jakieś światełko niespodzianie wzrok uderza. Już od dawna żadnego niewidać było zabudowań śladu, a ono zdaje się z za okna wyglądać. Niebawnie doń przybywamy i dowiadujemy się iż to jest pustelnicza lepianka, San Salvatore zwana; ostatnie i zbyt zuchwałe mieszkanie człowieka, usłudze Boga i pomocy wezuwieszowym pielgrzymom poświęconego. Tam dla przewodników najtrudniejsza część drogi ma się zacząć, tam zwykli spoczywać i nowych do niej sił czerpać. Pustelnik przynosi książkę do wpisania imion, i butelkę *Lagrima Cristi*. O jak ten trunek przy łunie wulkanu, pod pustelniczną kapliczką, z obrazem neapolitańskiej zatoki w duszy, i zachodem jej słońca słodko upaja! O bodajby jeszcze raz w życiu tam go zakosztować!

Ale trzeba się z pustelnikiem pożegnać, i w dalszą puścić się drogę. Północ już wybiła, noc jak całun czarna, muły i osły nie wiedzą gdzie nogi stawiają, każdego ze drżeniem probują kroku, z jednej na drugą spadają lawy bryłę, która czasem pod ich ciężarem się obrywa, i grozi porwaniem gdzieś w przepaść. W końcu grunt całkiem szklistym pokry-



ty popiołem i gruzem, żadnego nie przedstawia oparcia. Muły po kolana grzęzną, chcąc niechcąc trzeba się rozstać z niemi.

Tu się dopiero zaczyna osobiste że tak powiem passowanie się, walka z naturą co sobie chciała nieprzystępny usypać szaniec. Przewodnicy zapalają smolne pochodnie, każdy w długą się uzbraja podpore, jedni się uwieszają u ramienia swych towarzyszy, drudzy kładną pas rzemienny i ciągnąć się każą, słowem, jak kto może drapie się na tę coraz stromszą górę, na którą trzy kroki z największą wstąpiwszy trudnością, o dwa nazad spada. Ja zaś mniej szcędząc kieszeń niż nogi, najęłam sobie rodzaj lekytki, to jest proste krzesło na dwóch uwiązane drągach. Ludzie którzy się do niesienia najmują, dość drogiej wymagają zapłaty, ale widząc ich utrudzenie, nikt im nie odmówi dodatku do pierwszego targu.

Wkrótce już boki góry całkiem pionowo przed nami się stawia, a z nich bryły ognistych kamieni i rozpalonego piasku, po każdym wulkanu wystrzale, potokiem lecą. Niebezpieczeństwo widoczne, i gdyby kto nań zważał, niktby nie postąpił dalej. Lecz i wstyd byłby nie dopiąwszy celu ztamtąd już wracać, i czasu do lękania się niema. Każdy sobą zajęty z coraz większemi walczyć musi trudami. Jeden woła żeby go podnieść, drugi żeby mu pochodnię zbliżyć, trzeci żeby zaczekać nim się otrząśnie, i z obuwia lawowy żwir wysypie, bo on nogi rani i iść przeszkadza. Ale nikt na żadne nie zważa wołanie, każdy jak może idzie dalej, nic nie słysząc prócz wulkanu gromów, nic nie pragnąc jak dójścia do mety.

Lekytka moja szła naprzód, gdyż ósmiu ludzi do tego zwyczajnych, naprzemian ją niosło. Moje zaś całe usiłowanie, dość wprawdzie męczące było, żeby w niej usiedzieć, żeby z mego krzeselka koziołkiem na dno góry nie spaść. Obejrzeć się było rzeczą najtrudniejszą. Jednak po wielu próbach, upatrzwszy chwilę gdy ludzie się przemieniali, dokonałam téj sztuki. Lecz wyznaję iż mi dreszcz po skórze przebiegł, gdym się ujrzała całkiem sama, w pośród téj nocy, z temi ósmiu neapolitańskimi goliatami, i na ich łasce.

Towarzystwo moje daleko za mną dla częstych spoczynków pozostało, a jedna z jego grona osoba, tak z wszelkich sił uznała się wyczerpaną, i z wszelkiej nawet chęci widzenia krateru, iż upadłszy podnieść się niechciała; prosiła żeby dla niej nie wstrzymywano się, żeby ją tam zostawiono! O pierwszej w nocy na Wezuwiusza barkach!!... myśl dość niezwykajna, szczególna.

Gdy na dole toczyły się o to spory między biedną siłą pozbawioną, a resztą towarzystwa co ją tam porzucić odmawiało (o czém ja się pó-



źniej dopiero dowiedziałam), koło mnie gorsza wojna się zaczęła. Moi tragarze których w początku było sześciu, niechcieli dwóch później przybyłych zwolenników, do równego podziału zysku swego przypuścić. Tamci za swemi obstawali prawami; ci ich odpędzić chcieli. Tamci trzymali się mego krzeselka drągów i puścić ich wzbranieli się, ci im je z rąk wyrwali. Dość że przyszło do wrzawy, do walki, do pięści; a ja niewiedząc o co rzecz chodzi, bo dyalektu ich nierozumiem, bo w takim wrzasku i znając go niktby nie rozumiał, mogąc wnosić iż tu o życie moje lub o mą zdobycz się spierają, czując do tego me biedne krzeselko na wszystkie targane strony, tak że mu drąg jeden złamano, już tylko rozmyślałam czy do ucieczki się zabrać (coby nie wiele mi pomogło), czy ofiarować duszę moją Bogu.

W koncu hałas idąc ciągle crescendo, aż do uszu dolnej gromady doszedł i przeraził ją. Prysłano mi najprzód w pomoc żołnierza nam towarzyszącego, a za nim pośpieszono także. Żołnierz rzecz mi wyjaśnił. Ja obiecałam osobne dwóm dodatkowym tragarzom wynagrodzenie, i tak ruszyliśmy dalej.

W pół godziny potem krzesło me stało; powiedziano mi iż dalej już go nieść niebezpiecznie. Istotnie staliśmy na kruchej pokrywie tego olbrzymiego kotła, co swe tajemnicze trucizny pod naszymi gotował nogami, na czarnej popękanej skorupie, przez której szerokie szpary ciągle widać było płomień. Byliśmy w chemicznym natury laboratorium!

Podziw, rodzaj trwogi, zawsze w takich razach umysł z razu otętwia, myśl oniemia. Lecz ta niebawnie otrząsłszy swe opuszczone na chwilę skrzydła, znów je rozpina, podlata, i znów do zwykłych wraca pytań: co to? z kąd? czemu? dla czego? — A matka natura z politowania uśmiechem, jak zwykle na to odpowiada nowemi tylko czary, żadnego nie dając rzetelnego tłumaczenia; trwoży nas i bawi, słowem, jak zreczny kuglarz z ograniczonemi postępuje dziećmi.

Wybuchy Wezuwiusza w znacznych niegdyś objawiały się odstępach. Chemiczny ten kocioł, gdy przez kilka lub kilkanaście lat gotując się ciągle, nie mógł już pomieścić swego płynu, potokiem go z siebie wylewał, a ten ognisty potok po barkach góry lecąc, palił, niszczył, zalewał wszystko co na swój napotkał drodze. Tak pod nim znikły Herkulanum, Stabia, Pompeja, tak znikło pełno innych miast których imiona uszu naszych nie doszły, które tam leżą pod jego zagrzebane stopy, i nikt się o nich nie dowie nigdy..... A my, drobne istoty, przybyliśmy aż do źródła go badać, jakby brawując tę olbrzymią jego potęgę, przed którą każdy drzećby ciągle powinien!....

Nasi tragarze i przewodnicy, wyciągnęli się na miękkim popiole, i neapolitankę śpiewać zaczęli; jeden z nich spekulant przyniósł koszyk z winem, owocami i jajami, które na ogniu wulkanu gotował, i zapraszał nas na tę nowego rodzaju wieszercę; a my kobiety u silniejszych uwieszzone ramion, jakby złe duchy po piekle, skakaliśmy przez pełne ognia szpary, uginając suknie żeby się która nim nie zajęła.

Niewiem jak to ci się nazwać podoba, odwaga, filozofją, czy głupotą? Wyznać jednak musisz iż to wszystko razem niepospolity tworzy widok, i niezwykle mogło rodzić myśli, wrażenia, uwagi.

Wezuwiusz inaczej teraz niż dawniej postępuje. Zamiast raz kiedyś świat zduniec, przerazić, zniszczyć, ciągle go małemi wybuchami bawi. Te się co kilka minut powtarzają. Wystaw sobie, przy mocnym grzmotu huku, duży fajerwerku bukiet, a będziesz miał dokładnie terażniejszych wulkanu wybuchów wyobrażenie. Po każdym takim fajerwerku, którego wymiary trzeba stosować do ręki co go zapala, wysoko wytrysnięta ognista fontanna, milionem iskier i rozpalonemu kamieni bryłami, na wszystkie opada strony. Te iskry, popiół i kamienie zaledwo zagasną, a jeszcze nie wystygną, kiedy nowy fajerwerk, nowe ich warstwy na pierwszą sypie; a tak nieustannie sypiąc, góra coraz inny kształt przybiera; krater niedawno jeszcze w głębokiej jamie swą czerwoną świecący paszczą, teraz już wysoko na szczycie własnym kosztem usypanego kopca, w głąb swój zajrzeć nie pozwala. Przystęp do niego niepodobny. Gdyby nawet nie ciągły ognisty grad, grunt tego kopca z samego popiołu i szklatego żwiru, jużby wszelkiego bronił do szczytu zbliżenia.

Prócz tych ciągłych wybuchów, Wezuwiusz i teraz jeszcze wspanialsze czasem daje reprezentacye. W czerwcu, na kilka tygodni przed tą moją wyprawą, o której ci mówię, ten ulubieniec ludu (bo Neapolitanie na równi z Pulcinellą swój kochają wulkan), dał im *una vera erruzione*, prawdziwy wybuch. Ja, niestety! słyszałam ją tylko, a w rzetelnej prawdzie nie mogę się pochwalić, żebym ją inaczej widziała jak malowaną. Bo Neapol ciągle patrząc na tego wiernego towarzysza swego, na wszystkie go strony maluje, i z każdego kaprysu jego, nową pamiątkę, nowy zachowuje jak najwierniejszy portret.

Byłam naówczas w Sorrento; dziwny jakiś huk w nocy mię przebudził. Myślałam zrazu iż to z dział wystrzały, jakie w Neapolu bezustannie słyhać. Czy to do portu jaki z większych przybywa okrętów, czyli go opuszcza, armatami tam go witają i żegnają zwykle, bo mieszkający tej wrzącej stolicy, w spokoju i ciszy, jednéjby nie wytrzymali doby. Później, gdy ten ryk zbytecznie się przeciągał, wydał mi się do grzmotu podobniejszym, lecz w końcu przekonałam się, iż to ani jedno ani drugie być nie



może, gdyż ten odgłos za długo bez przerwy trwał, i zdawał się z pod ziemi wychodzić.

Następnego ranka dowiedziałam się że to był Wezuwiusza wybuch; a gdy ubolewałam żem niewidziała płynącej lawy, pocieszono mię mówiąc iż ona przeciwny wzięła kierunek, że nieśpiąc nawet nicbym niewidziała, chyba od strony Neapolu.

Wybuch ten trwał tylko godzin kilka, i był jak najniewinniejszy. Jak nikogo zawczasu nie ostrzegł o sobie, tak też nikomu najmniejszej nie zrobił szkody. Ważniejsze wyskoki bywają zwykle poprzedzone zwiastowniczymi oznakami. Długie najprzód w łonie wulkanu burzenie słyszeć się daje, czasem z trzęsieniem ziemi, bo ten ogień długo po jego plondruje wnętrznościach, zanim w powietrze wystrzeli. Następnie gdy już go trawi ostatnia gorączka, wszystkie do koła wypija źródła. Neapol w rzeki niebogaty, lecz i te przy zbliżającym się wybuchu całkiem wysychają, i nie prędko potem sączyć się poczynają nieśmiałe. Tak przed wybuchem 1631 roku, rzeka Sobetto co zwilża stolicę, niegdyś jak mówią szeroka i piękna, zupełnie znikła, i długi czas wcale jęj nie było widać. W końcu wróciła jakby z dna piekieł; ale na zawsze pamiętna swęj sromotnej przygody, już teraz nie pryska, nie skacze, nie szumi, tylko skromnie i smutno wleczę się gdzieś tak cicho, iż o nięj nikt nie wie, a tak ze swęj tajemniczej podróży wróciła wychudła i zubożała, iż nie może już teraz wystarczyć swęj stolicy potrzebom, łono jęj nie dość ma dla swych dzieci napoju.

Od tego czasu w Neapolu oniemal na równi z winem cena słodkiej wody stoi. Jakby kosztowny trunek wiaderkiem co ranek kupować ją trzeba. A i ta ze stucznych źródeł w sąsiedztwie morza czerpana, gdy ono zburzone, słona jest i bardzo niesmaczna.

Teraz zaś gdy Wezuwiusz ciągle z siebie wyrzuca, wylew jego nie może być tak gwałtowny, tak straszliwy. Ostatni spłynąwszą po kopcu, utworzył u stóp jego jakby rodzaj ognistej sadzawki, która jeszcze płonęła gdyśmy tam w sierpniu byli; a prócz głównego krateru, otoczył się zapewne także dla ulgi, prawie do koła, maleńkimi kraterkami. Takich dzieci miał naówczas ze dwanaścioro: a te jakby przedrzyżniając ojca, przez podartą jego skorupę wytryskiwały sobie, i koło tęg olbrzymiej fontanny, podobneż w miniaturze tworzyły.

Gdy późnięj przeniosłam się na mieszkanie do Neapolu, a z moich na *Santa Lucia* okien ciągle Wezuwiusz widziałam, te małe kraterki już były pogasły; za to główna paszcza coraz wyższa i szersza, już nie tylko samemi fajerwerkami nas bawiła, ale prócz tego płomienistemi lała zdrojami. Co wieczór, gdy słońce zagasło, księżyc nie powstał, te po

czarnej góry bokach ogniste rzeki, wspaniały, zdumiewający przedstawiały widok, lecz zarazem o przyszłość całej okolicy słuszną rodziły obawę. Jeśli tak wulkan ciągle rosnąć będzie i nieustannym coraz obfitszym ogniem lać w koło siebie, dokąd że on pójdzie? gdzież się zatrzyma?

I ja i inni powtarzaliśmy to, ale w Resina, w Portici, w Anunziata, w Torre del Grecco, we wszystkich miejscach pod samymi stopami wulkanu leżących, i które już nieraz ognistą odebrały od niego kąpiel, bynajmniej się nie troszczono. Tameczni mieszkańcy niebezpieczeństwa zwyczajni, tak spokojnie u siebie spali, jak majtek śpi na pokładzie okrętu pod chmurnym niebem, na otchłani oceanu, która go w każdej chwili pochłonąć może. Ogień Wezuwiusza tem jest lepszy od oceanu fali, iż daje czas i sposobność ucieczki, gdy tamte przeciwnie żadnego nie zostawiają ratunku. Wulkan najprzód, jak mówiłam, ostrzega o swym wybuchu, a później jeśli tylko samą lawę toczy, ta nie napada raptownie jak morska nawałnica, tylko poważnie jakby ognisty wąż peźnie. Płyn jój gęsty do rozpalonego żelaza podobny, gdy co w swój drodze napotka, nie zapali płomieniem, tylko obali, do koła pokryje i wierzchem dalej swym powolnym postępuje krokiem. Dla tego to miasta, a w nich rozmaite najdrobniejsze przedmioty, takim zalane płynem, w twardą skorupę wkrótce zmienionym, tak doskonale do naszych dochowały się czasów; a teraz światu wrócone, bynajmniej nie wyglądają jakby jakie pogorzelińska, co, wiedząc iż lawa jest rzeczą palną, możnaby słusznie wyobrazić sobie. Ta lawa owszem pokrywając je nieprzystępną dla powietrza korszulką, od wszelkiej chroniąc wilgoci, robactwa i czasu przywar, oddała nam je w stanie zupełnej czerstwości, jakby je wczoraj pod swą wzięła pieczę.

Ale wulkan nie zawsze lawą tylko straszny. Czasem potok wrzącego ukropu, na podobieństwo morskiej trąby kolumnę w powietrze podniesie, i z tój wysokości wszystko do koła zalewa; czasem jakimś błotem pryska, lub co gorsza nad wszystko, ogromne bałwany gorącego popiołu nad swym szczytem wznosi; te najprzód w powietrzu jakby czarne chmury tworzą, a potem trącają się jedne o drugie, rozpękają i od razu zasypują wszystko na co spadną. Tak w Pompei znaleziono grubą warstwę popiołu, na której dopiero lawa się rozlała. Pliniusz młodszy w swym znanym do Tacita liście, w którym nam daje pierwszy jaki mamy wulkanicznego wybuchu opis, mówi o deszczu z popiołu tak obfitym, iż całkiem blask słońca zaćmił, do takiego stopnia że ciemność na dworze była taka, jak wśród nocy, w zamkniętym bywa pokoju.

Ten wybuch przez Pliniusza opisany, a w którym, chcąc swój dogodzić ciekawości, szacowny stryj jego zginął, zdaje się być właśnie tym sa-



mym co pochłonął Herkulanum i Stabią. My na szczycie Wezuwiusza mogliśmy jęj rocznicę obchodzić, gdyż właśnie 24 Sierpnia 79 roku ery naszj miała miejsce, co do dnia, na 1766 lat przed naszą do krateru pielgrzymką.

Nikt niewie z pewnością czy i Pompeja jednocześnie z powierzchni ziemi znikła (1). Wielu mniema że pierwěj. To jest tylko pewna, iż przedtém nikt nie słyszał o takim wulkanu szale.

Na pięćdziesiąt lat przedtém, pod panowaniem Augusta i Tyberyusza, Strabon najobojętniej o Wezuwiuszu mówi, jako o górze bardzo żyzněj i nie więcěj. Opisuje jednak kształt jęj zupełnie odmienny niż jest teraz. Zdaje się iż po tym ogromnym wybuchu, którego Pliniusz nam przesłał trwożliwe wspomnienie, plecy jęj się zapadły. Teraz środek całkiem wklęsnięty, a ramiona sterczące z jednej dwie utworzyły góry. Jedną zowią *Sommo*, drugiej dają właściwiej *Wezuwiusza* nazwę. Dawniej *Sommo* kurzył się i ogień na świat ciskał, a teraz Wezuwiusz ten mu odebrał przywilėj; bo od tēj najdawniejszěj pliniuszowej, więcěj trzydziestu już było irrupcyi, takich których daty i mniej więcěj obszerne doszły nam szczegóły, a po każddej z nich i góra i jęj paszcza odmienną przybierała postać.

Do najstraszliwszych ze znanych nam wybuchów, należy z kolei trzynasty, w 1631 roku, ten właśnie co rzekę Sobetto osuszył. Trwał od 13 Grudnia do 25 Lutego następnego roku. Wezuwiusz był cały ten czas w niepojętém zburzeniu. Czasem pokrywał się dymu i popiołu chmurami, a te połączone z innemi żywiołami palnemi, płomieniły się, i jakby nowy tworzyły w powietrzu wulkan. Ziemia przez trzy miesiące pod nim drżała. Trzęsienie to już wielkie poczyniło szkody, gdy góra w połowie swěj wysokości się rozpruwszy, siedmiu lawy zdrojami płynąć zaczęła. *Portici*, *Resina*, *Torre del Grecco* już gdzie niegdzie tylko wierzchołkami swych domów sterczały jeszcze, kiedy wulkan zmieniając raptownie rodzaj swego płynu, zaczął lać nań z popiołem zmieszaną wodę, a tak i siebie i płonący pod lawą do koła grunt zagasił.

Było to za panowania Filipa IV, pod rządami vice-króla Emmanuela Fonseca, który podzielając ogólną a tak sprawiedliwą trwoję, na uwiecznienie tēj klęski wystawił pomnik. W długim jego łacińskim napisie,

(1) Dion Cassius w 66 księdze swěj historii rzymskiej, mówi o trzęsieniu ziemi i wybuchu Wezuwiusza w 228 roku. Jemu przypisuje Pompei upadek, i nawet rozmaite o tēm szczegóły malowniczo opisuje. Późniejsi wszakże pisarze dowiedli, iż wówczas od dawna Pompei śladów nie było; a Cassius dla upiększenia tylko swěj historyi, uroił sobie rozmaite straszliwego wypadku ustępy, które zwyczajem ówczesnych dziejopisarzy, za prawdziwe późniejszym pokoleniom podał.

można wszystkie jęj szczegóły wyczytaó, a z licznych obrazów starannie dotąd w Neapolu pokazywanych, powziąć wyobrazenie nad wszelki wyraz strasznego widoku.

Wezuwiusz jak swe pomniki, tak i własnych ma dziejopisarzy. W 1734 roku, *Ignacy Sorrentino*, ksiądz z *Torre del Grecco*, w dwóch księgach historją jego opisał, a po nim ojciec *della Torre* dalej ją ciągnął. Oba wyliczają, rok po roku, wszystkie Wezuwiusza zmiany; oba mówią o jednęj irrupcyi która przez lat jednaście ciągle trwała. Wnosić należy iż było to coś w rodzaju dzisiejszėj. Gdyż dawnięj, wulkan po wybuchu całkiem gasł, odpoczywał, zasypiał; a terażniejsze burzenie się i bezustanne fajerwerki, jakie od lat czterech nam daje, przy coraz obfitszém lawy płynieniu, za długi wybuch także uważać można.

Ojciec *della Torre*, opisawszy liczne wysoki, kaprysy, wybuchy i zmiany swęj ognistęj góry, przystępuje w końcu do jęj tak zewnętrznych jak wewnętrznych płodów. Te w roślinném królestwie nader, jak wnosić można, ubogie, w mineralogji i geognostyce za to ciekawe i bogate dla badaczów przedstawiają skarby. Prócz licznych kamieni i ziemi rodzajów, lawa tysiące przybiera na się kolorów; coraz nowemu ognia stopniowi i nowęj ulegając mieszaninie, to miększe, to lżejsze, to twardsze i ściślejsze zostawia pokłady. Pumex i smołowiec główne w nich grają rolę. Od ilości pierwszego, a stopnia płynu drugiego, rodzą się te rozliczne odmiany, do których dodać trzeba rozmaitych minerałów cząstki, jako i rodzaj gruntu po którym płynąc zabiera i w jedną z sobą łączy masę, a ta ztwardniała massa, obok tylu innych, nowém dla kraju i mieszkańców staje się bogactwem.

Nietrzeba bowiem myśleć, żeby Wezuwiusz dla swego kraju same niósł klęski, a za to mieszkańców jego zabawiał tylko. O! nie: jak wszystko w naturze, tak i on po szkodzie wynagradza, niszcząc odradza, jedną ręką gnębi, a drugą podnosi. Ten jego popioł co zasypuje miasta, niesłychanie ziemię upładnia. Kiedy my biedni musimy tysiące rąk używać do pokrycia roli nawozem, i kosztowne na to utrzymywać obory, Wezuwiusza tam popioł, o kilkadziesiąt mil czasem aż do Gaety okolic wiatrem zanieiony, trud ten i koszt szczędzi. Podziemny jego ogień, rozgrzewając także ziemię, o stokroć nasze przenosi trephauzy. I na nięj najslawniejsze też wina, jarzyny, owoce! A pomarańcze na całą przesyłane Europę, zaledwo z jednęj strony drzewa dójrzają, gdy z drugięj już się nowym pokryły kwiatem, i tak ciągle z wiosną i jesienią jednocześnie igrają sobie, śmiejąc się z ich gdzieindziej szanowanych praw i porządku.



Mieszkańcy pobliskich wulkanu wiosek, mimo częstych klęsk i wrozonego lenistwa, nędzy nieznają nigdy. *Torre del Grecco* i *Anunziata* już po siedm zasypane razy, siedm razy ze swych wygrzebały się mogi, lub nowe na dawnych wzniosły sobie domy; lecz się nie przeniosą, nie odstąpią groźnego sąsiada, bo on im w parę lat, urodzajem gruntów, w dwójnasób wszelkie wynagrodzi szkody. Z okolic Neapolu jest to najbogatsza.

Lawa także wiele im oszczędza pracy i kosztu. Cegłę i kamień im zastępuje. Bruk w Neapolu z téj utworzony massy, tak gładki jak gdzie indziej boczne tylko chodniki, za nadto jest dla koni ślizgi, i częste dla nich rodzi przypadki. Teraz zaczęli środkiem ulic z tych pięknych taffi wyrwać cząstki, dla odjęcia im zbytcej gładkości. Jak na bruki, tak do budowy nie znają innego materyału jak tę lawę, po którą schylić się im tylko trzeba. Bardziej porowatą, lżejszą, biorą na sklepienia, a znawcy mówią że do tego użycia nic ją niezdolałoby zastąpić. Z twardszjej, domy, parkany mają, a w końcu i klejnoty. Lawa w sposób cameów wyrabiana, lub do stolikowych salonu ozdób, należy do jednéj z głównych handlu ich gałęzi, zaraz u nich po koralu idzie, tysiące zajmuje rąk, i wielki ma na całą Europę rozchód.

Ja sobie kupiłam naszyjnik i bransoletki, gdzie przynajmniej dwanaście kolorów i gatunków téj massy naliczyłam. Co do koloru, od białego jak kreda, do czarnego jak węgiel, wszystkie można w nich znaleźć, w żółtawe, czerwonawe i popielatawe wpadające odcienia. Co do ścisłości, twardości i poloru także się znaczna postrzega różnica.

Prócz lawy, sprzedają tam jeszcze między złotniczemi wyrobami tak nazwane *gemmy*. Są to szczątki skryształizowane, a zatem przejrzyste, jakie w połączeniu tylu rozmaitych żywiołów, przy wulkanicznym ogniu, utworzyć by się mogły, a jak ręką uczeni, istotnie się tworzą, i wśród lawy znajdują się czasem. Ale gdy ten traf nie dosę się często ponawia, przemysł przyszedł naturze w pomoc. Neapolitanie znaleźli że można i w hucie naśladować Wezuwiusza dzieła, i wyznać trzeba, iż bardzo ładne na wzór jego robią *gemmy*. Szmaragdy, rubiny, szafiry doskonale naśladowane, dobrodusznych oszukują cudzoziemców, którzy jednak za *gemmy* je tylko kupując, cieszą się iż nie w szkło, lecz całkiem w nowego rodzaju klejnot żony i córki stroją.

Cała ta część półwyspu, nie tylko w okolicy Wezuwiusza, ale i w przeciwnéj stronie, tak jest wszędzie pokryta lawą, iż niemożna stąpić kroku, żeby się z nią nie spotkać. Pod najpiękniejszemi zboża łanami, lub u stóp wspaniałego dębu, odgrzeb trochę cienką warstwę na wierzchu porosłej ziemi, a zaraz napotkasz lawy pokłady. Aloes, rozmaryn, mirt

i inne podobne rośliny co u nas w wazonach na oknie rosną, a tam na polach olbrzymie tworzą krzewy, nie czekają nawet tego udanego, że tak powiem, gruntu. Zaledwo jakiś mech ławę pokrył, już one zielenieć poczynają, na wszystkie strony te niekształtne obwijają bryły, w najmniejsze ich czeluście swe korzonki wpuszczają i śliczny tworzą dla malarza efekt. Jak na powierzchni, tak i w głębi ziemi z ławą się tam nie miniesz. Godni wiary ludzie ręczyli mi że już ją nieraz o 180 stóp pod ziemią znajdowano; coby dowodziło od jak dawnych czasów ten cudny kraj wulkanami pionie, iż on jest może ich całkiem dziełem, z ich płynów zrodzony, im winien istnienie.

Lud tameczny niesie też Wezuwiuszowi te właśnie uczucia, jakie się dla Twórcy gdzieindziej rodzą. Lęka się go a razem silniej jeszcze kocha i uwielbia. Ciągłe się w jego wpatruje oblicze, czatuje każdej jego zmiany, zwiastownicze w nich upatruje co do morza, burzy lub pogody oznaki. Malarze go malują, poeci opiewają, rzeźbiarze i jubilery w jego płądrują bokach, a biedny na wszystko prawie w świecie obojętny lazzaroni, doskonale ci dzieje swój ognistej góry opowie, kiedy jaki wybuch miał miejsce, którą zalał stronę, jakie porobił szkody.

Przewodnik co osła twego na wulkan zaprowadzi, nieomieszka ci powiedzieć, gdzie jakiej lawy leżą pokłady. Ta sina, rzecze, jest z 1730 roku, ta czerwona z irrupcji 1734, i t. d.

Słuchając tych i tém podobnych opowiadań (gdyż ci ludzie na usługi cudzoziemców poświęcając się, prócz własnego dyalektu umieją zwykle cokolwiek po włosku, a nawet rozumieją trochę po angielsku i po francuzku), przyszedł mi żal, iż za ogólnym idąc zwyczajem, wulkaniczną tę wyprawę nocą odbywałam, że niemogłam widzieć tak odmiennych barw lawy, jak też innych jakie sobie wyobrażałam Wezuwiusza płodów. Postanowiłam zatem dniem tę męczącą powtórzyć pielgrzymkę, i w miesiącu po pierwszej, 24 Września, tego dokonałam zamiaru.

Było to właśnie podczas zjazdu uczonych.

Musisz wiedzieć, iż we Włoszech bywają corocznie zebrania uczonych, gdzie oni z całej Europy przyjeżdżają, jedni przedstawiać swe wynalazki lub nowe rozwijać pomysły, drudzy im podziwiać, poklaskiwać. Włochy z wielu miar w tyle pozostawszy, teraz chcą tym postępu sposobem, pobiedz nieco na przód. W tym roku (1846), Genua taki, jak tam zowią, *scenziatic'h* (mądrych) komitet miała, a rokiem pierwój Neapol go posiadał.

Każdy ranek, w umyślnie do tego urządzonej sali (gdzie i *nie mądrzy* za biletami przypuszczeni bywali, a z krążącej u góry galeryi przysłuchi-



wac się mogli) na posiedzeniu im schodził; a po południu dawano dla nich u dworu uczyły, i rozmaite przemyślano rozrywki.

W Neapolu nie trudno o nie. Tam każdy wedle swego usposobienia pełną garścią czerpać ich codzien może. Dla ludzi głębszego umysłu, między tysiącem innych, Wezuwiusz zapewne w pierwszym stanie rzedzie. Król na ten cel kazał dla nich najbliżej jak można krateru, wygodną dla postrzeżeń a dla oka piękną wystawić altanę, z rodzajem obserwatorium, a co większa zrobić do niej drogę; tę właśnie na oznaczony termin mądrego komitetu wykończono co prędzej, i dla nich ją po raz pierwszy wtenczas otworzono.

I mnie się także zachciało z takięj korzystać zreczności. Pamiętając twardego krok w Resinie najętego muła, myśl iż większą część podróży w wygodnym odbęde pojeździe; nie pomału mi pochlebiała; a ku końcowi Września, najpogodniejszy wybrawszy ranek, do lekkiego wskoczyłam koczka i kazałam się wieść na Wezuwiusz, z nadzieją dwa razy większą niż w pierwszej pielgrzymce roskoszy.

Ale niezawsze ona nas tam czeka gdzie my ją szukamy, a mianowicie gdy zamiast trudu, pieniędzmi kupić ją chcemy. Tak i wówczas dla mnie się stało.

Cały ten obraz z wygodnego pojazdu, po piaszczystym czyli raczej po popiołowym gruncie powoli wlekącego się, co mię usypiało, pod blaskiem rozognionego nieba, wpośród dokuczliwego upału, wcale mi się inaczej wydał, jak z twardego muła grzbietu, z uczuciem grożącego życiu niebezpieczeństwa w sercu, gdy w długich cieniach zachodzącego słońca, powoli znikał przedemną. Wyznać muszę iż teraz połowę swego utracił dla mnie uroku.

Gorszego jeszcze doznałam wrażenia do pustelniczęj *San Salvatore* przybywszy chatki. W nocy, przy pochodniach, widziałam tylko skromną przytuloną do nięj kapliczkę, a o podał jakieś złomy, jakby dawnego cmentarza reszty. Wszystko to jak najdoskonalej wtórowało uroczystym w tęg chwili duszy melodyom, na wyższy jeszcze stroiło ją ton.

W miesiąc potęm, przy jaskrawych słońca promieniach, za tęg poetyczną lepiankę ze swym krzyżem, kapliczkę i starym cmentarzem, postrzegłam ową nowę dla uczonych budowę o któręj ci mówiłam. Ozdobna, biała, świeża, jakby dla jakieęj monarchicznęj kochanki, drugięj księżnęj *Floridy*, miłośne ustronie, pełno jeszcze rzemieślniczych rąk nowemi ją stroiło zbytkami. Ta jęg elegancka postać wpośród zburzonęj i żalobnęj natury, ten ruch i życie pod kłębami Wezuwiusza dymu, na zgliszczach jęgo odwiecznych i straszliwych pożarów, przypomnialy mi i odnowily przykre wrażenie jakiego doznałam, gdy w wielką srode, w ka-

plicy sytyjskiej powleczonej kirem, słuchając sławnego *Miserere*, przy stopniowo gasnących gromnicach, postrzegłam strojną jakiejś tegoczesnej *lucy* głowę. Słowem ta piękna altana jak nawet wygodna i miękka do niej droga, nieznośną wydały mi się tam anomalią, a w mej duszy świętokradzkie powstało życzenie czy nadzieja, że Wezuwiusz to wszystko kiedyś poniszczy, że niepozwoili cywilizacyi tak psuć królestwa swego, tego okręgu gdzie on tylko jeden panować powinien, gdzie każdy przedmiot powinien dzikiem jego i wspaniałem naznaczony być piętnem. Że się za swą pomści zniewagę, ową altanę do pompejańskiego wcielając dla późniejszych pokoleń artystycznego zbioru.

Teraźniejsza droga przy altanie się kończy. Dalej jak i za pierwszym razem, nieść się kazałam; ale żadna godna uwagi roślina nie wynagrodziła mi nowego trudu. A jeśli lawy zastygłe potoki coraz oddmienny noszą kolor, pod popiołem co je pokrywa niepodobna było tego odgadnąć. Ja tylko czułam iż lawa rozgrzana potokami słońca, niemiłosiernie na głowy nasze płynącemi, zdawała się razem z niemi na nas sprzyśżona. Z góry i z dołu, wszędzie nas paliło, bo i krateru płomień, zaćmiony promieniami słońca, bardziej nam się czuć niż widzieć dawał, a rozpadliny przez które w nocy tak pięknie widziałyśmy rozrzarzony ogień, dymem nas swoim kopciły tylko.

Tak z tej dniowej wyprawy, dwa razy bardziej upałem zmęczona niż niewczasem nocy, ze zmrokiem do siebie wróciłam, o połowę mniej zadowolona.



## VI.

POMPEJA. — HERKULANUM — RESINA. — TORRE DELL GRECCO. — TORRE DELL' ANNUNZIATA. — PORTICI.

**Z**apoznawszy się z Wezuwiuszem, największa bierze niecierpliwość zwiedzenia Pompei. Zajrzawszy w oczy tyranowi, każdemu pilno widzieć ofiarę. Jest ona wymownym dowodem jego potężnej władzy; on na nią zdaje się jeszcze z dumną roszkacją spoglądać. Jak orzeł gdy zdusi gołębia i pod swe rzuci stopy.

Pompeja leży zupełnie u stóp obu kopców wulkanu, na pochyłości jeszcze góry. Większa część miasta dotąd żyzną pokryta ziemią, tak iż pod figą, pomarańczą i rozpiętego wina altanami, niktby się o istnieniu jego nigdy nie domyślił, reszta już wrócona światu. Dwa teatra, i duży na kilka tysięcy ludzi amfiteatr, świątynie, forum, groby i więcej dwudziestu ulic, dla samotnego przechodnia otworem już teraz stoją.

Czy widziałeś kiedy kataleptyka w paroksyzmie swęj choroby? kiedy podniósł rękę żeby ci coś wskazać, a ta ręka raptownie ruch straciła, stężła, mowa mu w połowie słowa na ustach zastygła; zrenica już nie widzi, a na cię zwrócona martwym przeraża wzrokiem, wszystkie członki zimne i skościałe; żadne usiłowania życia zwrócić im nie zdołają, aż póki nie minie paroksyzm. Naówczas ciepło powoli ogarniać je zaczy-

na, i do pierwszej wracają sprężystości, do pierwszego chwilowo tylko przerwane go życia.

Otoż Pompeja zdaje się być miastem katalepsyą tylko dotkniętą. Patrząc na nie przypuścić niepodobna, żeby około dwóch tysięcy lat a może i więcej pod ziemią przespało. Ruch ulic na których widzisz jeszcze od pojazdów koleje, życie domowe gdzie na woskowanej czerwono a już nieco styraną w niektórych pokojach podłozę, czerwienisz zostały miejsca łóżka, stolika i innych mebli; cały codzienny porządek zdaje się od wczoraj tylko przerwany, jutro do dawnego ma powrócić stanu. Zdaje się że z tych domów chwilowo tylko wynieśli się mieszkańcy, dla jakiegoś uporządkowania, jak to u nas przed świętami bywa, a te sklepy z malowanymi szyldami, kawiarnie gdzie miejsce tacy łatwo odgadniesz, nowemi ozdobią się tworam, na świeże napoje na jutro cię proszę.

W Pompei dopiero zrozumiałam to uczucie tak pięknie piórem Segura oddane, gdy w 1812 roku francuzkie wojska do patriotycznej wkroczyły Moskwy, do tych murów gdzie znalazły wszystko, prócz wzroku coby je powitał, prócz głosu któryby kłął może, ale ludzkiego głosu!.... Tam śnieg i mróz obok wrażenia krew w żyłach ścinały; Pompeja dowodzi iż i bez mrozu zimno się pod niem robi. Dreszcz po skórze, po duszy przebiega. Westchnienie uciśnioną podnosi pierś, łza wije się w oku.

Chciałoby się odgadnąć co się w którym domu, w którym pokoju działo, w chwili gdy niespodziana śmierć na wszystkich razem, na ich zabawy, miłość i roskosze, na dalekie a może dumne zamiary raptownie spadła, wszystko od razu swemi czarnemi pokryła skrzydły? — Każdy powtarza: o czemuż te świątynie, te obrazy, posągi, te mury co wszystko widziały, stoją teraz głuche, nieme i jakby z ironją czczém tylko nam odpowiadają echem.

Ale niesłuszny ten zarzut: mury te przeciwnie bardzo wymowne, uczą tego właśnie czegom daremnie w złomach pałacu Cezarów w Rzymie szukała; one opowiadają rozdział po rozdziale, kartka po kartce, domowe starożytnych tajniki, ich zwyczaje, zatrudnienia, ulubione zabawy. Czyż wszedłszy do pokoju potrzebowałeś zapytać się, kiedy, kto go zamieszka? stary mędrzec czy młoda eleganka? wyrobnik, artysta lub zakonnica?

Początek Pompei najgrubszą pokryty jest mgłą. Podług Strabona, najprzód posiadana przez Etrusków, później Samnitów, a w końcu za rządów Sylli Rzymian własnością, do trzeciego rzędu miast cesarstwa liczona, handlowym była portem, przy ujściu rzeki *Sarnus* do neapolitańskieg



zatoki. Pokazują istotnie za wielkim amfiteatrem miejsce gdzie to miasto z dwóch stron niegdyś oblane wodą, swą przystań miało. Teraz już tylko mały sączy się tam strumyk, *Scafatti* nazwany; naddziad jego, dumny *Sarnus*, w Wezuwiusza znikł piekielnej otchłani, a razem z nim i grodu jego pamięć.

Karol III pierwszy przedsięwziął wykrycie zapomnianej od wieków Pompei, lecz po jego do Hiszpanji powrocie, prace te zaniechane, za Murata dopiero, od 1811 roku do 1814, największe zrobiły postępy, i teraz powoli lecz ciągle idą. Rząd na nie 60,000 skudów rocznie przeznaczył.

Mury miasta prawie do koła już odsłonięte, pięć bram i jedenaście wież mają. Wieże o trzech jak widać niegdyś piątrach do skrytego wejścia miały drzwiczki, *posternae* zwane. Mury od strony wschodu w tak dobrym są stanie, iż po ich wałach przechadzać się można jak za wesolych pompejańskich czasów. Z nich rozległość miasta i eliptyczny kształt jego nieco się poznaje. W jednym jego końcu wspaniały teraz wznosi się amfiteatr, w drugim widzisz to odrodzone i codziem odradzające się miasto, ze dwadzieścia mniejszych i większych, krętych i prostych ulic i uliczek jego, świątynie, teatra, fabryki, koszary, i nareście wspaniałe grobowe pomniki, z obu stron za rogatkę wiodącej drogi.

Między amfiteatrem a tą odkopaną częścią miasta, szerokie jeszcze zieleni się pole. Z kilku końców zaczęto odsypywać ziemię dla przekonania się, czy i tam znajdują się również ulice i domy, w środku także jakąś odgrzebano w tym celu budowę, lecz po przekonaniu się iż miasto wszędzie się rozlega, zaprzestano w tamtych grzebać częściach, i już porządkiem, nad jedną tylko pracują stroną.

Ulice porządnym pokryte brukiem, z lawy takiej jak w Neapolu, a pod niemi są na ujście błotnistej wody kanały. Każda z nich ozdobiona wyszłą teraz fontanną, i rozmaitemi na ścianach malowidłami. Jedną nazwano ulicą dwónastu bożków, gdyż ma ich dwanaście wizerunków na rogu. Sklepy z szyldami na wierzchu lub po bokach, co do powierzchowności, dość podobne do naszych żydowskich. Na szyldzie jednej winiarni dwoje ludzi, ogromne niosą na kiju winne grono; przedmiot ten zdawałby się wzięty z chrześcijańskich czasów, gdyby tuż obok nie stały świątynie pogańskich bożków i bogiń.

Świątynia Izis nie duża, ale od wielu innych lepiej dochowana, miała być jak mówią restaurowaną na szesnaście lat przed zagrzebaniem miasta, a po trzęsieniu ziemi które już było część jego obaliło. Pokażą ci kryjówkę z kąd wychodzili kapłani, i w inieniu swęj bogini wyrocznie ludowi ciskali.

Świątynia Wenery daleko większa, wysokie jeszcze ma złomy, i parę pięknych obrazów al fresco na ścianie swego przedsionka. Inne świątynie, teatr jeden zwany tragicznym, drugi Odeonem, bazylika czyli sala sądowa, obszerne forum gdzie obywatele schodzili się dla radzenia o publicznych sprawach, wszystko aż do dużej pralni, jak się zdaje także publicznej, piękne, ozdobne, wspaniałe. Nie szczędzono w nich marmuru, mozaik, posągów, których, niestety! bardzo mało na miejscu pozostało. Większa część do neapolitańskiego, czyli jak go tam zowią burbońskiego muzeum przeniesiona, reszta ukradkiem do Anglii, lub innych porwana zamożnych zbiorów.

Kuchnie i piekarnie zadziwią cię swém z naszymi podobieństwem. Lecz nigdzie nie znajdziesz tyle wikwintnego przemysłu jak w łaźniach. Ciepłe obok zimnych kosztownymi wodociągami zasilane, do koła niegdys ozdobne posągami, światło do nich nieśmiało przez jedno u góry spływa okno. Słowem wszystko wyrachowane do wrażeń słodkich, miękkich, lubieżnych.

Między grobowemi pomnikami inny zupełnie duch krąży. Dwa boki ulicy niemi są obsadzone, a te piękne grobowce tak całe, tak świeże jakby dzisiejszy cmentarz, gdzie niegdzie młodemi ocienione drzewami. Ale któryż z dzisiejszych cmentarzy przez tyle wieków przeprowadzi te pośmiertne pamiątki swych mieszkańców, imiona ich i popioły!....

Widok tych familijnych grobów w ogólnym wszystkich grobie, dziwnie i silnie umysł wstrząsa. Ci co je wznosili niedomyślali się biedni iż oni także w swych grobowych pomnikach mieszkają, że dla nich nie trzeba będzie nowych stawiać....

Westchnienie tę uwagę przerywa, lecz natychmiast ozywa się pytanie czy ta żalność usprawiedliwiona? czy im oniemał zazdrościć by nie należało?.... Śmierć końcem każdego — cóż lepszego uczuć jęj zimne objęcie wpośród łez nieszczęśliwej rodziny, wpośród trwogi o jęj przyszłość, żalu nad jęj boleścią? O cóż może być owszem lepszego, jak umrzeć razem z temi których się kocha, ani płakać nad niemi, ani swym zgonem duszę ich rozdzierać!... Dla nas przynajmniej, wiara te ostatnie słodzi pożegnanie, inny lepszy byt przeczuwać daje, ale dla nich?....

A gdy z wyższego stanowiska myśl na szersze spuści się pole, gdy nam przedstawi, jak wszystko na tęg ziemi znika i przeradza się, ile milionów ludów tak na nięj zgasło iż nikt imienia ich nigdy się nie dowie, jeszcze przychodzi pytanie, czy nie lepiej jak Pompeja tęg całkowitęj ujęć zagładzie, i we dwadzieścia wieków jakby nieznanne cmentarzowe



widmo świat zdumieć, grobowym przemówić głosem: „Patrz co się ze mną stało, pamiętaj co cię w każdej chwili napotkać może!...”

Gdy się skończy ta pośmiertna ulica przez którą najczęściej teraz do Pompei się wjeżdża (a którąby, mém zdaniem, na koniec, jako ostatni i silny tęsknych melodyi akord zostawićby należało), wchodzi się do miasta, gdzie jeszcze same cię witają groby, gdzie każdy dom grobem.

Pompejańskie domy facyaty swe potraciły, o powierzchownej ich wspaniałości sądzić nie można, lecz większe, lub mniejsze wszystkie na jeden plan stawiane, podobneż między sobą i wewnątrz mają rozporządzenie, i one to pamiętniki swych starożytnych opowiadają panów.

Wszędzie się objawia życie, dla mężczyzn, wspólne, publiczne, w sporach lub uczonych trawione rozprawach; dla kobiet, w porównaniu z dzisiejszym ich stanowiskiem, poniżenia rodzaj. Wszędzie wymyślny przepych, kunsztów zamiłowanie, gościnność i wystawnego życia zabytki. Co do tych dwóch ostatnich, rzekłbyś, naddziadów naszych ślady (którzy jeśli nas widzą, bodajby się swych niewyrzekli wnuków). Wszędzie zdaje się tam krążyć jeszcze poważny, a nie surowy, owszem miękki, roskoszny duch ubiegłych czasów.

Domy rzymskie czasem o jednym a rzadziej o dwóch piętrach dwoje zwykle drzwi miewają; pierwsze paradne, drugie gospodarskie. Pierwsze prowadzą do *Sisto*, czyli miejsca z ozdobną w środku fontanną, pełnego kwiatów i woni. Otwarty w koło niego portyk, mógł już mile dzisiejsze zastępować salony. W głębi tego rokosznego dziedzińca czy ogrodu, wchodziło się do *triclinium*, czyli sali jadalnej, do *pinacotheki* (galeryi obrazów), do biblioteki, do łaźniów, do sal *Oeci* i głównej bawialni *Exedra* zwanych. Drugie wejście otwierało *Cavedium* czyli dziedziniec, tam się *Vestibulum* prowadziła do tak zwanego *Atrium*. *Atrium* główną była salą gospodarskiej domu części; tam w środku rodzaj kamiennej wanny, *impluvium* zwanéj, przez otwór w dachu deszczową przyjmował wodę, a ta z nieba woda wielkie miała u starożytnych poważanie. Dalej stał wielki i mocny na dochody pana kufer. Osobny do strzeżenia tych dwóch skarbów niewolnik, zwał się *Atrivensis*, a jako posiadający zaufanie pańskie, wielkie miał w domu poszanowanie.

Z tej sali małe schodki prowadziły do izb niewolniczych, a tuż przy niej było mieszkanie odźwiernego; dalej sala ozdobna gdzie się różne mieściły ciekawości, a zarazem przyjmowano obcych, nazywała się *tablinum*. Niektóre z większych domów, miały od tyłu rodzaj małego ogródka, kwiatami do koła ozdobnego, gdzie w pięknej porze roku obiady dawano. Ściany tak miejsca tego jak i innych pokoi zawsze odpo-

wiednie swemu przeznaczeniu nosiły malowanie. W jadalniach ryby, zwierzyna, ptaki; w salach bawialnych te rokoszne tancerki, co przez lekkie i przejrzyste zasłony, swe piękne kształty zachwyconemu przedstawiały oku, a których liczne kopje po całym rozbiegły się świecie.

Lecz jak w tych wspólnych portykach, ogrodach, salach, najwymyślniejszy panował przepych, tak za to nigdzie nie zobaczysz cichego a miłego schronienia dla człowieka lubiącego swój samotny kątek, jak to dziś u nas każdy rad urządzić dla siebie, rodziny i małego grona, dla jednego lub dwóch przyjaciół, jeśli ich posiada. U nas na codzienne życie sypialny pokój, lub sąsiedni mu przeznaczony gabinet, cały tchnie myślą tego co w nich mieszka, a w pysznych salonach przebywa kto z urzędu musi. Tam tego domowego życia wcale nie widać. Czas schodził na sprawach publicznych, uczonych sporach, lub wesołych ucztach; kąpiel i spoczynek resztę go zajmowały.

Obok obszernych i wspaniałych salonów, pełno tak koło portyku jak koło *Cavodenum* pokażą ci celek. Ciasne, niskie i bez okien, drzwiami tylko oświetlone, a gdy te zamknięte, całkiem pozbawione powietrza i słońca, wyglądają jak srogie więzienia, na jakąś wielką przeznaczone karę. Otóż to są sypialnie tych wykwintnych panów, co w salonach po mozaikowych cały dzień deptali podłogach, w pośród kolumn, posągów, obrazów na miękkich przeciągali się sofach, jadalni wpośród myrtu, róż, i lilji, a na noc szli *do siebie*, do tych ciemnych i dusznych komórek. Niektórzy na dniowy poobiedni spoczynek miewali nieco piękniejsze gabinety, lecz nigdy nie odpowiednie wspaniałości innych domu części.

Gdzie się w tém rozporządzeniu przez cały dzień mieściły kobiety? trudno odgadnąć nawet. Nie przypuszczane do uczt, do rozpraw, niepodobna jednak wnosić żeby żyć mogły w tych lochach posępnych, bez przestrzeni, bez światła, jakie wpośród tak pysznych zbytku i sztuki przybytków im przeznaczono. Musiały zdaje się na wzór mężów, razem gdzieś pod perystylem się zbierać, i czas trawić na stroju, na plotkach i tym podobnych wielkiej wagi zatrudnieniach, a że się lubiły stroić, dowodem tego kolczyki, bransoletki, pierścienie, naszyjniki, dotąd jeszcze w Neapolu na wzór jubilerom służące, i rozmaite kosztowniejsze klejnoty, które między pompejańskim zbiorem w neapolitańskim muzeum zobaczyć.

Tam bowiem przeniesiono nie tylko kunsztowne przedmioty, ale nawet wszystkie sprzęty w domach poznajdowane. Niemożna dość odżałować że je poruszono z miejsca! Że choć jednego lub pary domów nie zostawiono dla wzoru przynajmniej, w stanie w jakim je z pod ziemi wydo-



byto! Pompeja naówczas dwa razy głośniej do umysłu badacza przemawiałaby. Niebyłoby w całym świecie równie nauczającego, równie zajmującego muzeum. Jeżeli dostrzeżone na podłodze znaki łóżka, stolika, krzesła, porusza i nie zostaje bez wrażenia, cóż byłoby gdyby toż łóżko, stolik, krzesło zobaczyć w miejscu, gdzie przed dwoma tysiącami lat czyjaś je dla siebie postawiła ręka!

Teraz trzeba się tylko pocieszać myślą, że chodzimy po mozaikach, na których przez dwadzieścia wieków niczyja nie stąpiła noga. Z tych większa część do pałaców, muzeów poprzenoszona, do kobiercowych także fabryk dla wzoru deseni pozabierana, w niektórych jednak gdzie niedzie pozostała salach. Sypialne gabinety, wysłane cegłą na czerwono zaprawną i froterowaną, jak czasem u nas, a częściej jeszcze w Paryżu w sieniach i korytarzach widzujemy, także podobne mogą przywozić myśli. Tam i ścianę częściej swemi freskami pokrytą znajdziesz, gdyż te malowania, mniejszej wartości niż w bawialnych galeryach, mniej chciwie chwywane były. Najczęściej na tle czarném, jak i owe znane światu tancerki, lub na pąsowém, w zmniejszonych wymiarach przedmiot, otoczony bywa rodzajem malowanych ram w sposób arabeskowy. Wszędzie kolory jaskrawe, jak i dotąd w tamtych je lubią stronach, a mianowicie czerwony, na podstawach nawet kolumn nie starł się jeszcze.

Resztę zaś pobież w Neapolu oglądać; oglądać i podziwiać, bo wszystko podziwu godne.

Niema tak skromnego sprzętu, tak lichego garnka kuchennego, rądła, pokrywki, żeby nie był nacechowany najwyborniejszym kunsztu smakiem, żeby najpiękniejszych nie nosił kształtów. Lampa co niegdyś w jakich ciemnych sionkach niewolnikom świeciła, teraz w książęcym gabinecie świetniećby mogła. A te wszystkie przemysły, co na wystawach naszych otrzymują wynalazku patent, tamby odwiecznych znalazły poprzedników, słuszniejsze roszcujących do niego prawa. Tam zobaczysz i kałamarze co się przewrócić nie mogą, i samowary piękniejsze i prędziej wrzące niż wszystkie nasze północne, i potoczyste na kółkach kuchenki, gdzie odrobiną węgla i pary, pięć od razu gotuje się potraw; a w niej każda nóżka, podstawka, pokrywka ozdobiona jakąś, główką, sfinxem, jakąś prześliczną roboty figurką, jakich już w naszym przemysłowym świecie niewidujemy.

Tak w marmurach, posągach, mozaikach, brązach, jak i w tych domowych sprzętach, nieprzebrane codzień wydobywają się skarby. Codziennymi wzbogacane i tak już bogate burbońskie muzeum, wkrótce ich pomieścić nie będzie mogło. W ostatnim w tej porze odkopanym domu, znaleziono prześliczne zbroje, naówczas już jako starożytne widać zbierane, jako ciekawość w *tablînum* zachowane. Na widok tej, że tak powiem,

drugiej potęgi starożytności, myśl się cofa, trwoży, ginie w niezmierzonej przeszłości. Jest to jeszcze grób w grobie.

W tymże domu, znaleziono także wykwintne domowe sprzęty; między niemi formy na melszpajzy, ciasta, pasztety, naśladowujące rozmaite ptaki, owoce, ryby i zwierzęta, jakich jeszcze w tym ciekawym zbiorze nie było. Musiał to być dom jakiegoś pompejańskiego Lukullusa.

Obok téj szafy, gdzie ci pokażą tylko rozmaite moździerzce, dynarki, łopatki, szczypce całkiem do naszych podobne, tylko ozdubne i piękne, stoi druga z aptecznemi aparatami. Tam w słojach i w słoikach różne proszki i mięszaniny, jedne już gotowe, drugie w środku roboty przerwane, dowodzą że i w téj gałęzi ojcowie nasi nas wyprzedzili. Dalej zobaczysz chleb z pieca wyjęty, na pół upieczony, na pół skamieniały, ciasta i potrawy w podobnymże stanie, w końcu kobiece żelazka do prasowania, nici, napastrki, nożyczki, słoiki, pachnidła i.... róż do różowania twarzy!

Te zaś przesłiczne bransoletki i inne klejnoty, o których ci mówiłam, w osobnym są gabinecie; lecz do najciekawszych należy zbiór rękopismów w bibliotekach poznajdowanych. W trąbkę pozwijane i całkiem zwęglone, rozwinięcie ich i wyczytanie zdawaćby się mogło, na pierwsze wejrzenie, całkiem niepodobną rzeczą. A jednak codzien nad tą niewdzięczną pracą kilkudziesiąt pracuje ludzi, i już wielką ilość takiego papirusa rozwinęli. Musiano do tego zupełnie nowe przemyślać warsztaty i narzędzia, na których te spalone zwoje ostrożnie położone do gumownej przylepiają się powierzchni, i tak jeszcze ostrożniej dają się rozwijać. Ta robota jednak, długa i trudna, bardziej jest dla widzów zajmującą, niż zadawalnającą w skutkach. Dotąd bowiem wyczytali jakąś długą o muzyce rozprawę, i kilka małej wartości poematów, z których to pism połowa, to jest strona przylepiona do nagumowanej karty, pozostaje nieznaną.

Takich papirusów wykryto daleko więcej w Herkulanum niż w Pompei. Widać że Herkulanum bardziej literaturą a Pompeja więcej handlem się trudniła. Widać że jak teraz tak i dawniej, ruch handlowy mało dla poważniejszych umysłów miał wdzięku, i dla tego może literaci od Pompei stronili. To co nam z Herkulanum pozostało, nie zdolne jednak dostatecznego dać wyobrażenia o charakterze miasta tego. I ono niegdyś nad brzegiem morza i rzeki *Sarnus* leżało, o kilka włoskich mil od Pompei, a teraz więcej niż ona z niemi sąsiaduje. Założenie jego przypisują Herkulesowi; podobieństwo nazwy zapewne téj etymologii przyczyną. Dyonizy z Halikarnassu w taki sposób ją tłumaczy, mieszcząc miasta tego kolebkę na 60 lat przed trojańską wojną, to jest 1342 przed narodziem Zbawiciela.



Pompei także jakiegoś bożka za ojca dają. Ale te wszystkie bajki zrodzone potrzebą południowej wyobraźni, szukające zawsze czegoś nadludzkiego, niewarte powtarzania ani wiary.

Większe jest podobieństwo, iż wybuch Wezuwiusza, 79 roku po Chrystusie, którego Plinusz młody w swym do Tacita liście zostawił nam opis, jest właśnie ten co zagrzebał Herkulanum, lubo i tu zachodzi wątpliwość, czy stryj jego, Plinusz stary, w niem lub w Stabji postradał życie. Sądząc tylko z pokładów rozmaitych lawy gatunków, i innych mięszanin co nieszczęśliwie gniotą Herkulanum, wnosić można, iż wulkan po razy dwanaście go zalewał. Szkielet jego pod dwunastu bowiem leży skorupami, bez porównania głębiej od Pompei, a jednak ono pierwszy dało ślad istnienia swego, ono obudziło myśl szukania starszej jego siostry, pięknej Pompei.

W 1706 roku, lotaryński książę, Emmanuel Elbeuf, przysłany został jako dowódzca wojsk niemieckiego cesarza, przeciw Filipowi V królowi hiszpańskiemu. Lecz ujrawszy Neapolu brzegi, rozstać się z niemi nie mógł. Ożenił się i osiadł w Portici, które się jak wiadomo na grobie Herkulanum wzniosło. Tam wspaniała założył pałac; a gdy brak wody w niem postrzeżono, kopać studnię rozkazał. Robotnicy przedarłszy dwanaście lawy i popiołu zkamieniałych powłok, zamiast wody znaleźli w końcu marmur, mozaikę, a rozprzestrzeniwszy otwor, ozdobne posagami sale. Łatwo się domyślić podziwienia i radości właściciela. Król Don Karlos (Karol III) o tém uwiadomiony, kazał natychmiast dalsze robić poszukiwania; lecz gdy mu Portici i Resina co się tam położyły, zapadnięciem pogroziły, pokryciem dawnych gruzów nowemi, król przypomniał, że prócz Herkulanum mógłby jeszcze w Stabji i Pompei wynaleźć dla siebie skarby, podobne tym które książę Elbeuf ze swojej wydobyl studni, a które zazdrość jego i chciwość podniecały, gdyż między niemi była statua z czystego ulana złota.

Stabia niebawnie wynaleziona, ale pod Castellamare murami, dla tychże samych co w Herkulanum przyczyn nie dozwoliła się ruszyć. Pompeja nieco dłużej szukana, dotrzymała wszakże królowi słowa, spełniła jego nadzieje. Koszt na niąłożony jój bogactwami sownie się wynagrodził. Złota jednak mniej znaleziono niż się spodziewano. Zda się iż jój klęska nie tak raptownie spadła, jak ją poetów maluje pióro, że lawa w powolnym swym postępie dała czas ucieczki. Mała ilość szkieletów ludzkich najlepiej dowodzi, iż mieszkańcy dość wczesnie ostrzeżeni byli, a jeden z nich znaleziony przy pełnej szkatule którą oczywiście chciał unieść, daje prawo mniemania, że uciekając o swych bogactwach pamiętali także.

Lecz jeżeli w klejnotach i monecie mniejsze znaleziono summy (co może jeszcze w innych częściach miasta się wynagrodzi), ileż to z téj kopalni marmuru, spiżu, ileż kunsztownych wydobyto skarbów! (a te niedgdyś włoskim magnatom, mianowicie papieżom, drogo sprzedawano). Ileż ona dotąd codziennie dostarcza!

Gdym po raz drugi zwiedzała Pompeje, odsłonięto właśnie jedną salę, ale już w znaném nam mieście, tylko o kilkanaście łokci niżej, głębiej. Ta jak się zdaje musiała długo przed terazniejszą zapaść się Pompej, skutkiem zapewne jakiegoś trzęsienia ziemi. Dziejopisarze mówią wprawdzie o jedném z najgwałtowniejszych jakie świat pamięta, w 63 roku ery naszéj, to jest na szesnaście lat przed wybuchem co Herkulanum pochłonął. W tém trzęsieniu wszystkie miasta później z powierzchni ziemi znikłe, wiele podług nich ucierpieć miały. Ale czy ten dom, ta sala w mych odradzająca się oczach, jego lub innéj jakiej kłęski była ofiarą?—Któż wiedzieć może! ona była tylko niezaprzeczoną skazówką, iż nie dość w samej Pompei, ale jeszcze pod nią należy szukać skarbów, i nie nadaremnie; gdyż w samym jéj środku był duży i pięknej roboty stół marmurowy biały, którego w mych oczach otrząsano z ziemi, a on stał na przesłicznéj mozaikowéj posadzce, która zapewne pójdzie zaraz, jaki królewski wzbogacić pałac.

W Herkulanum zaś za Karola III nie śmiano bardzo jak mówiłam z robotami się szerzyć. Wykryto jednak duży teatr, z którego mnóstwo zebrano posągów, pałac z pięknym portykiem i bogaty nadgrobek. Lecz to wszystko zostawiono pod ziemią. To miasto tak się głęboko zaryło, iż do tych jego gmachów, po schodach, jak do podziemnego więzienia schodzić trzeba, i za pomocą pochodni oglądać. Twarde sklepienie całą tę część jego powleka, a na niém nowe Portici domy i ville swobodnie się gnieźdzą.

Za Murata, w innéj części niezamieszkałéj, ogrodami tylko pokrytéj, kopać zaczęto, i tam jeszcze znaleziono Herkulanum, jego domy i świątynie; te już nie w lochu zagrzebane ale pod słonecznym widzieć można promieniem. Ale kto Pompeje zwiedzał, mało w nich nowego znajdzie zajęcia. Ciasne to między Portici a morzem miejsce, jest jakby próbką, ulaukiem niczém niekrepowanéj i szeroko ścielącój się Pompei. Dla archeologów i tam jednak wielkie znaleziono zasoby; a o nich grube już wyszły i codzién wychodzą tomy, kosztownemi rycinami ozdobne.

Wyszedszy z Herkulanum niepodobna nie zwiedzić Portici, jéj królewskiego pałacu, a zarazem i przyległych wiosek, z jednéj strony Resina, z drugiéj Torre dell Grecco i Annunziata. Imiona ich już nieraz się



w mém opowiadaniu powtórzyły, a ulice prawie stykając się z sobą, zdają się od bram Neapolu jedno tworzyć pasmo.

Domy tych wiosek, nie wysokie i bez dachów, dość przypominają te czworoboczne pudełka co u nas dzieci z kart składają, a grunt ich w niektórych miejscach od trzęsienia ziemi głęboko popękany, w innych wzniesiony potokami zastygléj lawy, niedozwala im porządnym stanąć szeregiem. Jedne często pod stopami drugich tam się zaczynają, gdzie inne się kończą, a wszystkie zdają się czekać pierwszego Wulkanu kaprysu, co je koziółkiem jedne na drugie przewróci, popiołem udusi, lub zaleje lawą.

Ten jednak urwisty brzeg, z jednéj strony morzem, z drugiéj Wezuwuszem zamknięty, z widokiem na wspaniałe dymu jego zawoje, na ognia wybuchy, a z przeciwnéj strony na wesołe modrego morza zwierciadło, z jego nadobnemi wyspami i wysepkami, łatwo pojmujesz jak jest idealnie malowniczy i piękny; sam nieład jego, te porozsypywane domki, kościoły i klasztory, które także rozmaitym uległszy przygodom, często już ruiną tylko sterczą, nowego jemu dodają wdzięku. Życzę ci też ani koleją żelazną ni pojazdem coby cię główną tytko przewiózł ulicą, tantéj nie zwiedzać okolicy; tylko pieszo, powoli, z olówkiem w ręku, lub miłém w duszy marzeniem.

Resina mała wioseczka nie licząca tysiąca mieszkańców, smuci się zapewne bardziejéj jeszcze może odemnie, tą nową do pustelni *San Salvatore*, do krateru drogą, która ją głównego pozbawi dochodu. Ma ona wprawdzie do zwabienia cudzoziemców pałac stryja królewskiego, księcia Salerny. Piękna ta villa, *Favorita* zwana, w niektórych roku porach dla obcych otwartą bywa. Ale te wszystkie książęce przepychy, dobre w Berlinie i Wiedniu gdzie nic prawie innego do widzenia niema, nie mogą w Neapolu wielkiego mieć rozgłosu. Umysł tylu cudami ośmiony, mało może na kosztowne obicie, meble i tym podobne ciekawości dać baczenia. I *Favorita* mimo swych wdzięków, najczęściej też przepomniana nawet od angielskich turystów zostaje.

*Torre dell Grecco*, sławne częstemi klęskami, tą stałą zawziętością z jaką wulkan po razy siedm go już gnębił, a on jakby fenix zawsze ze swych odradza się popiołów; i co dziwniejsza iż ta wioska ze wszystkich Neapolu okolic jest najludniejszą, bo 13,000 liczy mieszkańców. Ci trudnią się głównie koralowemi wyrobami. Ale jeżeli w nadziei taniości tam po nie pojedziesz, wielkiego doznasz zawodu. W Neapolu o połowę znajdziesz tańsze, a daleko piękniejsze.

*Annanziata*, czyli *Torre dell Annanzziata*, inną brzmi sławą. Mieszkańcy jéj mają być najprzewrotniejsi, najgorsi z ludzi. Naddziady ich

tyle do koła wszystkim dokuczyl, iż Alfons I kazał ich wałem opasać, a w środku wioski, na główniejszych zbrodniarzy postawić wieżę. Wieża ta już zrujnowana, malowniczo w morzu się przegładając, dawniej postrachem, główną jest teraz swój wioski ozdobą.

Najważniejsze zaś między niemi miejsce trzyma królewskie Portici, które łączy Resinę z Annunziatą. Położeniem celować mu niepodobna; dość mu być tylko równie pięknem, a może mniej nawet, bo domy porządniej stawiane, bardziej przypominają nasze przedalpejskie miasteczka. Za to ma pałac i ogród monarszy, i tysiące villi, wewnątrz już wprawdzie opuszczonych, ale przynajmniej z powierzchowności przypominających iż i Neapol miał zamożnych niegdyś panów.

Neapolitańscy magnaci, tak jak i w innych półwyspu częściach, wystawnością nad możność, królewskim zewnątrz przepychem, obok wewnętrznego nieładu (pochodzącego jak mniemac można z nieczynności kobiet i usunięcia ich od zarządu domu), potracili majątki. Zaburzenia krajowe nie mało się przyczyniały także do tego upadku, ale te, jak wiadomo, jednych niszczą, drugich wzbogacają, i często zrujnowanego do lepszego jeszcze niż poprzedni podnoszą bytu. Czy słusznie? czy te w zaburzeniach nabyte majątki zawsze na sumiennych stoją podstawach? o to pytać nie trzeba.

Otóż, gdy Neapol po raz pierwszy został rewolucją francuzką owioniony, gdy Championet i jego republikańscy towarzysze gwałtem pragnęli *równości*, a sami się wzdygając tą gilotyną co ją u nich zaprowadziła, niewiedzieli jak ją w Neapolu otrzynać, zażądali od wszystkich magnatów, rozległe posiadających włości, oniemal prowincye, po miastach pyszne gmachy, a w nich pysniejsze wiodących życie, kazali im, mówić, składać dowody na własność tych pałaców i włości. Process ten rychłem wygnaniem wojsk francuzkich przerwany, przez Murata napowrót wznowiony został. Wszystkie dobra których posiadanie udowodnić się nie mogło poodbierane, niektórym prawym właścicielom, jeśli się jaki znalazł, zwrócone, po większej części na skarb zostały zabrane. Ferdynand IV czy I (bo jak wiadomo najprzód zwał się IV a później I), po powrocie swoim, jak łatwo się domyślasz, nie wypuścił ich z ręki, i to był ostatni cios z pod którego dawni neapolitańscy panowie już się podnieśli.

Teraz, jak w reszcie świata tak i tam, największym bogaczem jest pan baron Karol Rotschild; a dawna szlachta nie mogąca jeszcze się zrezygnować na przemysłowe obroty, nie zainicyowana do industrialnych wybiegów, siedzi w poddaszach pałaców swych przodków; ażeby



nie wyciągać ręki, zbywa powoli wspaniałe ich dumy zabytki, posągi, obrazy, i te piękne w Portici ville o których mówimy.

Te z bogatemi facyatami, a często bez okien pałacyki, tuż przy królewskim zamku, dworzańską oczywiście ręką wzniesione, dla zwrócenia monarchicznego wzroku, jego uwagi, pochwały daremnie teraz cudzoziemcom swe opustoszałe ofiarują komnaty. Każda nosi nad wejściem ogłoszenie iż jest do najęcia, lecz wszyscy wolą wytworniejsze w Castellamare, lub cienistsze w Vico i Sorrento ustronia.

Co do królewskiego pałacu, ten obszerny i pusty jak wszystkie z sześciu królewskich pałaców jakże w Neapolu i okolicach jego widziałam. W głównym stolicy zamku, jest teraz wprawdzie świeżo i pięknie odnowiony balowy apartament, ale w Caserta ujrzysz skromne, białe, perkalowe i już cerowane firanki, a w *Quisisana* (w Castellamare) taki jest brak mebli, iż na przybycie dworu z miasteczka przynoszą kanapy i krzesła.

W Portici, od Murata czasów nie odnawiane nie było. Z dawniejszych zobaczysz tam tylko piękny gabinet całkiem porcelanowy. Ściany jego pokryte porcelaną w guście chińskim, lubo z krajowych fabryk, przecinane są zwierciadlanymi pasami; do tego podłoga i stół mozaikowe pompejańskie, bardzo ładną tworzą całość. W innych pokojach, posadzki na pąsowo zafarbowane, bo tam taka moda, portrety Murata, żony jego i dzieci ściany zdobią. Spłowiałe draperye, meble z cesarskiego stylu, na kominach popiersia króla rzymskiego i innych jego epoki sław, wszystko słowem tchnie 1812 rokiem. Niedawno jeszcze gotowalnia wermeliowa królowej Karoliny Muratowej, ze wszystkimi drobiazgami paryżkiéj fabryki, stolik jéj z naparstkiem, igłą, nożyczkami i zaczęta robotą, zapomniany szlafrok w koszu przy łóżku do rannego wstania przyrządzonym tam widywano. Teraz już to gdzieindziej się przeniosła. Łóżko tylko zostało nie tknięte, jakby wczoraj usłane. Kolor jego tylko niegdyś złoty, swą złotą stracił świeżość. Widać jednak że to wszystko w swym czasie musiało być okazałe i piękne.

Mówią że po upadku Murata, król Ferdynad już się do powrotu zabierając, posłał tam naprzód swego syna Franciszka, żeby mu opowiedział jak się w kraju rzeczy mają. Ten ócmiony przepychem pałacu Portici, o nic się już więcej nietroszcząc, wrócił do Palermo i zawołał: »O mój ojcze, co ja tam pięknych rzeczy widziałem! jaka szkoda że wracasz! gdybyś ty przez lat dziesięć jeszcze tu posiedział, co by to oni tam podobnych jeszcze potworzyli!»

## VII.

### INNAMORATA.

**G**dy po tej wezuwiuszowej wyprawie do Sorrento wróciłam, powiedziano mi że jakiś ksiądz pytał po razy kilka o mnie, zostawił wizytowy bilet, i prosił żebym za powrotem widzieć się pozwoliła. Na bilecie było nazwisko *Francesco di Luca*. Ja żadnego w Sorrento duchownego, a w całych Włoszech nikogo imienia tego nie znałam; domyślić się też niemogłam zkad się o mnie dowiedział i czego mógł żądać odemnie.

Następnego dnia zameldowano mi go; ja go przyjąłam, a on zaraz przystąpił do rzeczy.

Powiedział mi że w Piano di Sorrento przebywa jedna pani chora, *innamorata* (zakochana) która mnie gdzieś już widziała, i pragnie bardzo jeszcze mnie widzieć; życie jej mówi od tego zależy; ale przyjść do mnie nie może, gdyż od kilku tygodni z łóżka nie wstaje.

To był główny jego interes. Drugie zaś miał do mnie jeszcze polecenie od pewnego pana, którego wizytową kartę mi przyniósł. Ten był cudzoziemiec należący do ambassady swego kraju; przepędzał zwykle lato z rodziną w Sorrento, a niewiem zkad uroiwszy sobie że ja muszę znać familją jego, chciał być u mnie i zapoznać się.



Tę drugą okoliczność, bez najmniejszej w gruncie wagi, cytuję ci jedynie dla wskazania jak tam duchowni o wszystkim wiedzieć muszą, i do wszystkiego się mięszać. Mało ich jeszcze z tej strony znając, bardzo znalazłam naturalnem iż od osoby chorój był przysłany do mnie, lubo i to nie w miłosnym interesie, lecz wyznając że drugie poselstwo, i to jakby przedsięwzięcie rozkrzewiania mych w Sorrento stosunków, dość mię zdziwiło, a tém bardziej niestosownem je znalazłam, że przeciwko się mym zwyczajom i naturze.

Jednak kazałam odpowiedzieć panu F.... że go przyjmę, a do chorój tegoż posłałam wieczora.

Znalazłam ją istotnie w łóżku; pokój jój w największym był nieładzie. Troje drzwi i dwa okna na przestrzał otwarte. Nad łóżkiem krucyfix i kilka obrazków, na stolkach suknie i bielizna, na stolikach stare jakiegoś jedzenia reszty, pełno innych gratów i sprzętów którychbym nawet wyliczyć nie umiała.

Mówiłam ci że z pokoju można odgadnąć mieszkańca; wyznając jednak iż do tego wszedłszy odgadłam tylko żem u Włoszki, ale niepodobna mi było domyśleć się do jakiej ona klasy należy; bo taki sypialnego pokoju nieład wspólny jest wszystkim; jakoż, w zapamiętaniu miłosnem, od księżnej do wyrobnicy, wszystkie do siebie są podobne, a ksiądz mi powiedział że jest *innamorata*.

Gdy ją służąca o mojem przyjsciu ostrzegła, podniosła się i powitała mię. Włosy od miesiąca nie tknięte na wszystkie spadały strony, wzrok miała iskrzący, lica i usta spiekłe, koszula na ramionach się nie trzymała.

Po najczulszém podziękowaniu że na jój stawiałam się wezwanie, poprosiwszy mię siedzieć na końcu łóżka swego! — «o tyś go pani znała! zawołała, tyś go widziała! ty wiesz com straciła! Bóg mi ciebie w swęj nieograniczonej litości zsyła. Mówić o nim już będzie ulgą, szczęściem, a do tego mam do nięj prośbę, święte polecenie.....»

— «Niechże mi pani powie, przerwałam, o kim mowa? Ja nikogo tu nieznałam i nieznam, domyślić się nie mogę.....»

— «Nie tu ale w Pizie. Czyż pani nie pamiętasz tego poety o jasných włosach, anielskiego spójrzenia..... O jakżeby go raz ujrzawszy zapomnieć można! a widziałam jak często przy stole gdzieśmy wieczrę jedli, na niego skrycie spoglądałaś, jak następnego ranka wyszedłszy z katedry, stanęłaś za nim i przypatrywałaś się rysunkowi jego.»

I tu jakiś zazdrośny uśmiech przebiegł po jój ustach, jakby w tém skrytém spoglądaniu o którym mówiła, o coś więcej niż o prostą posiadzała mię ciekawość; a ja w téjże chwili domyśliłam się że to jest owa

wdowa, którą już raz w Pizie, drugi raz na statku parowym spotkałam; lecz tak była zmieniona iż się tylko domyślać tego trzeba było, do czego i zmiana stroju przyczynić się mogła.

Chciałam jęj powiedzieć iż istotnie przypominam sobie młodego poetę; ale ona potrząsając głową jakby wiedziała o tém i niepotrzebowała słyszeć, nie dała mi ani słowa wyrzec, i dalej całą sama prowadziła prędką i żwawą rozmowę, w której czasem związku trudno znaleźć było.

— »Pani widziałaś, mówiła, jak on rysuje! otóż on i poezye tak kreśli, wszystko w jego wzroku musiałaś wyczytać, czyż nie prawda?... bo w tym wzroku cała jego dusza, a w tój duszy wszystkie się mieszczą poezye. Otóż ta dusza była moją! moją mówię ci była!... i wydarto mi ją! — o ja nieszczęśliwa, opuszczona!... Widzisz co się ze mną stało, w com się obróciła!... bo on i kocha tak doskonale jak wszystko co robi, a on mnie kochał, namiętnie kochał!... jeżeli kto temu zaprzeczy powiedz że kłamie... I ja też go kochałam, widzisz jak kochałam, i powiesz mu to; powiesz mu że umieram.... bo ja umrę, niestety! o umrę! a on zostanie w miłośnych objęciach tój kobiety, co go z moich wyrwała..... nieszczęsna.....

To mówiąc głowę w poduszkę skryła, rzewne łkania słyhać tylko było; a ja korzystając z tój pauzy, wypytywać się poczęłam, zkad wnosi że ja go widzieć będę, że będę w stanie spełnić obowiązek jaki na mnie wkłada?

— »On jest w Rzymie, rzekła, u stóp swęj ukochanęj, a ty tam na zimę pojedziesz, bo tak wszyscy cudzoziemcy robią, i slyszałam że tam się wybierasz, a łatwo go znajdziesz, gdyż on twój ziomek. Powiedz mi proszę czy to u was wszyscy tacy jak on? Czy to tylko wyjątek? O jakież by to kraj był, żeby wszyscy mężczyźni podobni mu byli! Całąbym moją piękną oddała za niego Italją! Tam i kobiety insze niż na całym świecie. On przynajmniej tak mi mówił, mianowicie gdy już mnie kochać przestawał, a chciał tłómaczyć ten pociąg jaki czuł do swęj Egeryi, którą także pani pamiętać musisz, co to papieża chciała na inną jakąś swoją nawrócić wiarę. Ona także była z waszego kraju, lubo do Pruss należącego. Bo to u was są podobno Polacy niemieccy i rossyjscy, jak u nas Włochy rzymscy, neapolitańscy i lombardzcy. Ja tam nie wiele wiem otém, ale *on* mi coś tak tłómaczył. Ale to prawda że to kobieta była nie z tego świata. W ciągłej żyła apoteozie, a jeszcze chciała i w potomości sławy. Nie dość jęj było orszaku kochanków; zachciało się jęj na Ojcu Świątym władzy swych wdzięków próbować. Nie dość miłośnych uwielbienia jęków, wyrzeczenia się dla nięj żon i kochanek, trzeba jęj było zarzeczenia się wiary, apostazyi, i jakiej jeszcze apostazyi!



Widziała ją pani nakoniec z cygarem w ustach, z pejczykiem w ręku. Czy to ona była podobna do innych kobiet?.... A następnego dnia miała dawać koncert na korzyść nieszczęśliwej rodziny. Bo to jak mówią i głos syreny miała, wszystkie jakie chciała wdzięki i czary, a wszystko było do uludzenia, do zawracania głów, do podbijania serc wyrachowane; i ta dobroczynność głośna i ta z jednej strony artystki postać, z drugiej, wykwintnej hrabiny, wielkiej damy, z trzeciej nimfy, której imię zρέcznie przybrała sobie, z czwartej niby amazonki, na koniu w myśliwskim gronie po polowaniach latającej. W niej znalazł każdy co kto lubił. Ona też na każdego innym strzelała wzrokiem. Widziałas pani, jak zbliżywszy się do Edwarda (wtenczas dowiedziałam się że ten niebezpieczny poeta zwał się Edward), cisnęła cygaro o ziemię; z uśmiechem gdzie wszystkie swe zaczarowane sidła skupić się starała, wyciągnęła do niego rękę, a w widocznym i niby przyjaznym tylko ściśnięciu tej ręki, skryty elektryczny ogień w żyły jego wlała. Dobrze wiedziała że dla niego nie trzeba być amazonką, i dla tego cygaro rzuciła, wiedziała że jeszcze walczy, i dla tego ściśnięciem ręki dokonać go chciała, i dla tego swój dobroczynny ogłosiła koncert, bo wiedziała że do czulej jak jego duszy, najłatwiej tą trafi drogą. On biedny wówczas jeszcze walczył. Moje tylko serce przeczuwało jaki będzie tej walki koniec; ale nikt jeszcze, może i on sam niewiedział co się w jego działo. Po tym ściśnięciu ręki, nowym ogarnion oblędem pobiegł do kościoła, padł, modlił się i płakał. Ona była renegatką; do nowej jakiejś przystała sekty, nową głosiła religiją, on pelen pobożności, gorący katolik. Kochać ją było grzechem; on to rozumiał, czuł, w tym cała moja spoczywała nadzieja. Ale miłość jakiejże nie obali zapory, jakiej nie przeskoczy przepaści? Ta przepaść jaką zgwałcona wiara, a cóż świętszego od wiary? otwarła między ich duszami, jakby czarownym dmuchnięciem nie tylko w jednej chwili znikła, ale owszem zbliżyła ich, połączyła, a dla mnie grobowa wybiła godzina!.... O każdą ja godzinę dnia tego pamiętam, każdą minutę jego!

Była to właśnie dziesiąta, kiedy pani z katedry poszłaś do Ś Stefana. Edward odprowadziwszy wzrokiem myśliwski orszak, póki tylko widzieć go było, porwał się później za czoło, i tak jakiś czas w najgłębszym był zadumaniu; kilka razy boleśny jęk z piersi mu się wydobył, nareszcie wstał i prędkim krokiem poszedł także do S. Stefana na mszę. Ja za nim powlekłam się z cicha, by uchwycić każdą jego myśl, każde technienie, by się przypatrzeć tej walce, której ja nieszczęśliwa miałam paść ofiarą! Pani po mszy wyszłaś, a on pozostał, nic o mszy, o świecie, o Bogu niewiedział, bo już jego Bogiem była hrabina Egerya.

Gdy wybiła jedenasta, kościół zamknąć miano i zakrystyan przyszedł go prosić żeby się ustąpił. On się porwał jakby z gorączkowego snu przebudzony, twarz mu ogniem płonąła, oczy w niebo wzniesione trzymał; przy drzwiach umyślnie pod jego nasunęłam się kroki. On mię potracił, ale nie spójrzył na mnie, niewiedział.... poszedł dalej. Ja dopiero w jego pokoju go doznałam, a załamawszy ręce stanęłam przed nim, i zaczęłam go po imieniu jak niegdyś bywało wołać, a gdy mnie nic nie odpowiadał; zapytałam go: »Edwardzie! co się z tobą stało!» — Co się ze mną stało? powtórzył. Niepytaj mnie, Andzolino, tybys tego niezrozumiała. Na mnie wyższe, nadziemskie zawołały głosy, do wyższych wołają mnie przeznaczeń, do niebiańskiej przeznaczają missyi! Ja ją mam nawrócić, mam tę zbląkaną owieczkę znowu na prawą, na opuszczoną naprowadzić drogę! Czy pojmujesz tego szczęścia miarę? czy widzisz blask tego nieba co nademną świeci! O czyż jam godzien tego! Cóż za dobroć Twórcy!.... niezgłębione wyroki Jego! korzmy się przed niemi!

To mówiąc ukląkł przed krucyfixem nad łóżkiem jego wiszącym, i znów się modlić zaczął, a ja stałam jak skamieniała, niewiedząc co się ze mną dzieje.

Wtém wybiła dwunasta. Na Anioł Pański zadzwoniono. Zdało mi się że to mój dzwon słyszę. Obu rękami przycisnęłam serce bo czułam że w mój piersi pęka, musiałam zapewne krzyknąć, czego się domyślałam tylko, gdyż Edward powstał..... twarz jego całkiem zmieniona była.... wzrok mię przeraził. Staął przedemną i uroczystym wyrzekł głosem: — »Usuń się odemnie Andzolino, nie ścigaj mnie więcej. My chyba w lepszym zbliżemy się świecie, na tym wszystko między nami skończone.»

Więcej może co mówił, ale ja już niesłyszałam. Te były ostatnie jego dla mnie słowa!..... Ja padłam bez zmysłów, a gdy je odzyskałam, już oddawna jak mi powiedziano chora leżałam w łóżku. Edward wyjechał, nikt z pewnością niewiedział dokąd. Ale dowiedziałam się że Egerya w Rzymie, że tam z dawnemi na Ojca Świętego pojechała zamiarami, że nawet była już raz z wizytą u niego. Wiedziałam więc gdzie i wiarołomcę szukać.

Chciałam zaraz w jego pogonić ślady, ale mi niepodobna było. Z łóżka jeszcze powstać nie mogłam, a do tego przez czas mój choroby i gdy całkiem opuszczoną byłam, skradziono mię do szpitalu. W oberży codziennie przysyłano mi rachunki łożonych na doktora i innych kosztów, a ja ich nie miałam czém zapłacić.



Gdy tylko siły mi cokolwiek wróciły, napisałam do wuja mego, co jest Biskupem w Carrara, żeby mię z tój wydobył niedoli, a drugi list do Monsignora M... do Rzymu, prosząc żeby się dowiedział o Edwardzie i mnie o nim uwiadomił. Oba te listy po niejakić zwłoce požądany otrzymały skutek. Biskup mi przysłał pieniędzy, a Monsignor potwierdził moje domysły. Edward był w Rzymie u stóp Egeryi.

— »Ja ją tam widziałam, rzekłam do pani Andzolino, a w nadziei przytlesienia jój pociechy, pośpieszyłam dodać że już wcale nie w postaci nimfy ni amazonki, lecz skromnój miłosierdzia siostry, i bez tego tryumfalnego wzroku, jakim w Pizie wszystkich podbiła.

— »To nowe jeszcze udanie, nowy przemysł, nowe kłamstwo, bardziej jeszcze zapalając się zawołała chora. Czybyś i pani tój zmysłnój raptownie cnocie wierzyć miała, pani co tyle podobnych aktorek widzieć po świecie musiałaś? Dobrze to nam dobrodusznym Włoszkom, co tylko kochać umiemy i nic więcej; ale wy coście wszystkie podobania się i zwodzenia tajniki zgłębiły, wszystkie zalotności sprężyny na swe macie zawołanie, a żadnój nie zaniedbujecie nigdy, jakże jedna drugiej wierzyć jeszcze może? Czyż raz zdarzyło się pani widzieć taką co wczoraj jak huzar wczwał pędziła konia, a dziś u stóp krzyża różaniec liczy. Dziś białego aniołka skrzydełkami się odziewa, a na jutro szatańskie przemyśla figle, przemyśla jak uwieść rywalce męża lub kochanka? Ja nie wiele byłam w świecie, i dziękować Bogu, mało z temi paniami co latając po całej przestrzeni ziemi aż do nas trafiają, spotykałam się w życiu. Ale od razu poznałam się na nich, a nieszczęście chciało że bym jednę z takich padła ofiarą! Dla niej był to żart może, codzienna igraszka, bo codzien zmieniając kochanków, sercabym niewystarzało gdyby każdemu choć cząstkę udzielać, a dla mnie życia kres. Ale Bóg sprawiedliwy i Jego Matka Święta. Właśnie teraz odprawiam do niej na ten cel nowennę, i umrę spokojniej. Niedola moja nie zostanie bez kary. Żał mi tylko, o żał wielki! że już patrzeć niebędę na dokonanie tój zemsty, którą w lepsze od moich poruczyłam ręce. Ja tu już moje odbyłam piekło, a ją dopiero czeka, tu lub tam, ale ją nie minie. Wielką mam radość w przemyślaniu jój męczarni, lubo mię spowiednik łaje za to, a spowiednika słuchać trzeba, zwłaszcza kiedy kto w moim jest stanie, bo widzisz pani, oto i teraz gorączka mię trawi, w usta nic wziąć nie mogę, a gdy wybije południe, gdy usłyszę dzwon co mię w tójże godzinie w Pizie przeraził, i odtąd zawsze nową przeraża trwogą, mdleję i dostaję ataków nerwowych, które mnie straszliwie męczą. O ja czuję że w nich skończę! że pod odgłosem dzwonu tego skonam. Już mi sześć razy krew puszczano i nic nie pomaga.»

— „Jest to tylko męczące, rzekłam, ale nie tak niebezpieczne jak się pani zdaje. Pojmuję bardzo że to ją lęka, ale dziwię się że doktor nie stara się uspokoić, bo taka umysłu trwoga i na nerwy źle wpływa, i te nerwowe w południe ataki musi powiększać.

— „Doktor mi powiada że żyć będę, ale już mi dwa razy kazał się do śmierci gotować; wczoraj jeszcze oleje święte brałam, i jakże mu wierzyć!”

— „Zwykle to się robi właśnie dla sprowadzenia w duszę chorego spokoju i większej na niego łaski nieba, ale nie idzie za tem żeby koniecznie umierać. Żebyś pani była z taką gorliwością jak należy ten Ś. Sakrament przyjęła, gdybyś z całego serca przebaczyła wszystkim a mianowicie Egeryi i Edwardowi, zarazbyś wielkiej doznała ulgi; życie by ci wróciło, a może i onby kiedyś. . . .

— „O jakież twe anielskie słowa! rzucając mi się na szyję zawołała Andzolina, o powiedz jeszcze, powiedz, że ja nie umrę, że on mi wróci, a ja i jój i jemu na wieki przebaczę! bo wyznać muszę że mi i życia żal i śmierci się boję, a jednak czuję że bez niego żyć nie mogę. Cóż tu robić, powiedz?”

— „Nie wywoływać zemsty Boga, owszem błagać Go, żeby i ciebie pani i ich oświecał, z oblędu wszystkich wywiódl.”

Daléj prawdziwą zdjęta litością dla téj nieszczęśliwéj, i chcąc powoli namiętność łagodzić, zaczęłam jój przekładać że w takim zmysłów jak jój nieladzie, mogło się wiele rzeczy zdawać, które w istocie nie były. Że może Edward nie tak występny jak jój się wydaje, i Egerya jakiejś obmowy tylko ofiarą. Może jój się ani śniło, rzekłam, na papieża mieć jakie zamiary, a komuś podobało się puścić na nią taką ploteczkę, i przeważano ją renegatką.

— „O co to, to nie, żwawo odparła chora, zapominając o postanowieniu przebaczenia i miłosierdzia. Ja się wszystkiego jak najdokładniéj o téj kobiecie dowiedziałam. Urodziła się w Prussach z polskich rodziców, i dla tego była katoliczką. Miała iść za Szwajcara, za kalwina, ale właśnie wtenczas wszczęły się nieporozumienia kościelne w Kolonji, w Poznaniu, i ogłoszono zakaz wszelkich ślubów między nami a heretykami. Egerya, którój właściwe imię mam zapisane i zaraz pani pokażę, na to jednak nie zważała, a gdy niemogła dostać katolickiego ślubu, wzięła kalwiński, i ze swym heretykiem pojechała do Szwajcaryi. Tam spotkała się z jednym z tych proroków jakich teraz pełno po świecie, co chcieliby własnego wymysłu religją prawdziwą zastąpić. Ten prorok którego imienia już nie pomnę, naganiał bardzo heretycki jój ślub, przekonał ją iż w obliczu Boga, nie jest żoną swego mniemanego męża,



a na swoją nawróciwszy wiare, wmówił w nią iż inaczej nie okupi swęj winy, jak skłaniając Ojca Świętego żeby do ich się przyłączył sekty. Ona w to uwierzywszy opuściła męża i nazwisko jego, lecz nie wracając do rodzinnego, nazwała się hrabiną Egeryą, i wybrała się do Rzymu. Piza na moje nieszczęście znalazła się na jęj drodze; tam niewiem czemu dłużej zabawiła niż zamierzała zrazu. W Pizie ją brano za kalwinkę, i mówiono że chce papieża kalwińską zarazić herezyą; ale to były plotki; to zaś co ja Pani mówię, jest niezawodną prawdą, którą późnziej w Rzymie za pomocą Monsignora M... i ojca Jezuity B\*\*\* się dowiedziałam. Widzisz pani że ona nie raz się nawet wiary wyrzekła, że ją można podwójną zwać renegatką, gdy raz za kalwina poszła, a powtóre jego dla nowęj jakiejś porzuciła religji. Widzisz że ją kochać, z nią przestawać, wielkim jest grzechem, do piekła prowadzącym.”

— »Ja tu widzę, rzekłam, w tęp całem pani opowiadaniu więcęj w postępowaniu Egeryi obłąkania, niż prawdziwęj winy. Nie chcę ją uniewinniać, ale wierzaj mi że ona więcęj jeszcze na litość niż na potępienie zasługuje. I jeżeli pan Edward to pojął, to być może iż bez żadnych miłosnych ponęć, powziął szlachetny zamiar naprowadzenia ją na drogę z któręjby schodzić niepowinna była.

— »O gdybyć tak było! ze lżą radośnej nadziei w oku zawołała Andzolina. Ale gdzie tam!... opuszczając głowę po chwili zawołała boleśnie. Alboż to ja ich niewiedziałam w Rzymie miłosnie spartych, w jednym jadących pojeździe, alboż ich nie spotykałam....

— »Po cóż pani do Rzymu jeździła? chcąc przerwać te dręcące wspomnienia zapytałam.

— »Jakże się o to pytać? po co? Alboż dla mnie jest co innego na świecie jak *on*? Alboż wiedząc że *on* w Rzymie, mogłam gdzieindziej się obrócić? O gdybym była, spotkawszy go w nocy w ruinach Colosseum, i kiedy padłam zemdlona i skrwawiłam sobie czoło, gdybym, mówię, była wówczas skonała pod stopami *jego*, wszystkie i jedyne już życzenia serca mego byłyby się spełniły. Przekonawszy się że mnie nie kocha, już nie miałam innego. Ale niebo go niewysłuchało. Inaczęj się ze mną stało. Doktor który mi właśnie w tym wieczornym spacerze towarzyszył, odwiózł mnie do domu, a następnego ranka, oddał mi list od Edwarda, list zimny, okrutny, który był ostatnim dla mnie ciosem. Oddam go pani wraz z innemi. Przeczytaj je wszystkie a potęp jemu je doręcz. Taka jest prośba moja, prośba nad grobem stojącęj, która z tamtego świata jeszcze będzie widzieć błądłość twarzy *jego* gdy mu te listy oddasz, uczuje dreszcz co po *jego* przebieży skórce, gdy mu powiesz że mnie do grobu wtrącił. O będę ja to widzieć i czuć.

i cieszyć się, i to jedyna jest myśl co mnie ostatnie osładza chwile i mniej okrutną czyni tę śmierć, której raz pragnę, drugi raz się lękam.”

Te mówiąc, wyjęła z pod poduszki całą paczkę listów, czarną związaną wstążką. Otworzyła, i każdy z osobna pocałowała i przyłożyła do serca. — »Wybacz pani, to jest ostatnie moje z niemi, ostatnie z nim pożegnanie. Te dwa zemną do grobu pójdą. Resztę oddaj mu pani. On jest teraz w Rzymie, mieszka na Via Fratina, pod N. 88. Gdyby się był przeniósł, to od Monsignora M<sup>\*\*\*</sup> dowiesz się o nim. Przeczytaj je proszę. Dowiesz się jak mnie kochał i com straciła takie tracąc serce, a może mój żal za słabym ci się wyda. Ten co popielatym zapieczętowany lakiem jest ostatni, na spotkaniu w Colosseum doktorowi memu poruczony. W nim już zimne tylko okrucieństwo panuje. Gdym się z niego dowiedziała że wyjeżdża z Rzymu, i nie wróci aż ja z niego się wydam, że poprzysiągł uciekać odemnie, bo ja nowemu jego powołaniu szkodzę, że nawet pamięć moja przykry rzuca cień na błogosć terazniejszych uczuć jego, o pani! gdym to wszystko wyczytała, tą samą skreśloną ręką, co tyle wiecznej miłości przysięg była dla mnie skreśliła, ani pojmujesz co się zemną stało, ani ja ci opisać tego zdolna jestem!... Za radą doktora i spowiednika idąc, zrezygnowałam się na opuszczenie Rzymu, żeby nie truć w nim dla zdrajcy powietrza! Zostawiłam wyjeżdżając list gdzie mu o tém doniosłam. W liście mym były tylko te słowa: — »Wyjeżdżam. Ciesz się tyranie, boś mi śmierć zadał.” To napisawszy, sama niewiedząc co czynię, pojechałam do Civita Vecchia; tam na pierwszy wsiadłam okręt jaki od tego obrzydłego dla mnie brzegu odbijał. Rada byłam żeby mię do Ameryki zaniósł. Wsiadwszy dowiedziałam się, niestety! że w Neapolu wylądować muszę. Było to dla mnie za blisko, ale morze było złe, w burzy pokładałam nadzieję. Mielisny téż w nocy burzę, ale nas nie pochłonęła! Przybywszy do Neapolu chciałam uciekać dalej, bo już tylko uciekać chciałam. Spokój był dla mnie męczarnią, lepiej się czułam wśród morza, niesfornemi miotana bałwanami. Ale siły nieodpowiedziały życzeniu, chorowałam tam więcej miesiąca, w końcu przysłano mię tu dla lepszego powietrza; ale czyż jest w świecie powietrze dla zwilżenia takim ogniem płonącej piersi, patrz pani.

I wzięła mą rękę, a gdy ją do swego czoła do piersi przyłożyła, mimowolnie ją cofnęłam, tak mię paliło. Oddech także coraz był krótszy, i ledwo mówić mogła, a jednak przestać niechciała.

— »Teraz gdy mi o śmierci myśleć kazano, mówiła dalej, powiedziałam spowiednikowi memu, że chcę mu poruczyć paczkę listów pod świętym obowiązkiem doręczenia ich temu do kogo należą. Ojciec D<sup>\*\*\*</sup> zna-



lazł ten obowiązek za uciążliwym, ale mi powiedział że są tu z tegoż co Edward kraju damy, któreby łatwiej mogły go dopełnić. Jak przyniósł nazwisko pani, które już w księdze oberży pizańskiej zapisane widziałam, gdy mi ją zaczął opisywać, nie mogłam wątpić że taż sama com widziałam w Pizie, i postanowiłam cię o tę wielką łaskę prosić. Mniemam że mi jęj nie odmówisz, bo umierającym się nie odmawia.

Przyrzekłam też wszystko czego żądała, a dowiedziawszy się jak mam z tą paczką postąpić, na przypadek gdybym Edwarda nie znalazła w Rzymie, śpiesznie ją pożegnałam. Chora czując się bardzo zmęczoną nie zatrzymywała mię; jednak nie puściła mój ręki aż jęj obiecałam że wszystkie odczytam listy, a po odczytaniu jeszcze raz ją odwiedzę.

Wróciwszy do siebie, niepodobna mi było oderwać myśli od nieszczęśliwój Andzolinie. Jęj spójrzenie jeszcze mię paliło, każde jęj słowo, któremu wyraz twarzy, głosu i zwroty języka, niedające się na inny w równój sile przełożyć, nowój dawały siły, wszystko to w uszach i w duszy mi brzmiało.

Na drugi dzień zabrałam się do odczytania listów, a było ich wiele. Wszystkie nosiły ślady łez i częstego przeglądu. Z nich się dowiedziałam że ta miłość Edwarda z wdzięczności się zrodziła. On był bardzo chory i osierocony w Pizie; ona go nieznając, i tylko dla tego że obok nięj mieszkał i cierpiał, zaczęła dozierać. Późnięj z poświęceniem matki lub siostry (bo jeszcze mu czém inném nie była), z narażeniem własnego zdrowia, a gdy mu pieniędzy zabrakło, własnym kosztem całą jego prowadziła kuracyą. Najdawniejsze z tych listów noszą datę Luki, gdzie także jęj staraniem dla używania wód tamecznych pojechał. W nich często powtarza iż jęj życie winien, że podwójnie go wskrzesiła, wracając go do dawnego, a dla serca nowy przed nim otwierając świat, świat nieznanych mu przedtém uczuć, nieskończonej miłości. Żalowałam mocno iż jednego z nich, gdzie poetycznie opisuje jak przez noc całą, i gdy ta miała być zdaniem lekarzy ostatnią, zwieszona nad łóżkiem jego, każdego czatowała ruchu, spójrzenia, każdy oddech jego w swoje chwytowała piersi, żalowałam, mówię, iż mu go nie posłała, gdy w tężże Pizie, także chorą, bez przytomności umysłu i samą odjechał, by za Egeryą do Rzymu pogonić.

Druga serya tych listów była z Florencyi, gdzie dla odwiedzenia krewnych tamtędy przejeżdżających Edward pojechał. Między jednych a drugich datą jest blisko roku, i też spostrzegać się to w odmiennym ich tle daje. Pierwsze na wulkana łunie, drugie na zachodzącego słońca, bledniejącym odbłasku pisane. Miłość u poetów tak się wysoko wzbija, iż swój zbyt eterycznej atmosfery sama, jak się zdaje, długo znieść nie

może. Ale na zimno te odczytując listy, możnaby podziwiać, jak ona umie zręcznie w ich ręku, stopniowe swęj pochodni gaśnięcie, innym zastąpić blaskiem. Jak ten płomień co jeszcze świeci, a już nie pali, tyśiące przybiera dla łudzenia kolorów, to przyjaźni, to wdzięczności, słowem wszystkie prócz tego czego kochające serce w odwet żąda, pragnie.

Nieraz zapewne słyszałeś iż w sztuce zwodzenia w miłości nasza płeć celuje. Dla przekonania cię przeciwnie, radabym żebyś przeczytał jak Edward zręcznie odwodzi Andzolinę od zamiaru przyjechania do Florencyi, jak ciągle jęj obiecuje rychły do Pizy powrót, gdzie, jak mówi, doktorzy go wysyłają codzień; jak codzień nowe wynajduje pretexta do zwłeczenia powrotu tego, a wszędzie obok wyrazów miłości, które już tylko usiłują być goręciami, przebija się niechęć, oniemal trwoga zbliżenia się z tą, którą jeszcze najśłodszemi darzy nazwami, jakby nie śmiejąc zbyt raptownie zaprzestać.

Ale arcydziełem w historii tęj gasnącęj miłości, jest ostatni list z popielatą pieczętką, który to Edward w Rzymie doktorowi biednęj swęj ofiary poruczył. Na sześciu ćwiartkach, z najzimniejszą krwią, lecz jak się zdaje z najlepszą wiarą, poeta bierze i rozwija rzecz od pierwszego rozdziału, od pierwszego słowa, i kartka po kartce matematycznie dowodzi, iż Andzolini nigdy nie kochał, że ją kochać nie mógł, że mogło to wprawdzie z boku patrzącym a nawet czasem im samym się wydawać, i w tęp całą bierze na siebie winę. Przypisuje ją niedoświadczeniu i nieznamomości świata, a jeszcze bardziej kobiecego serca; mówił iż zapal wdzięczności zbyt go czasem daleko unosząc, za nadto gorące dyktował mu wyrazy, bez względu iż będą mogły mylnie być zrozumiane. Że nawet on sam mógł się własnym uwieść zapalem, i brać go czasem za co innego niż był w gruncie, ale naprawdę była to sama przyjaźń i wdzięczność, do któręj się łączyła obawa zranienia jęj serca, gdy mu powiedziała że go kocha. Kończy zaręczeniem iż tęj wdzięczności dług zawsze w jego pozostanie sercu, że się jęj nigdy nie zarzecz (dzięki Bogu), lecz że jeżeli Andzolina nie chce praw do nięj stracić, to niech go więcęj nie ściga. On, jak mówi, wyższą ma, niebiańską na tęj ziemi do spełnienia misyą, pamięć jęj szkodliwy cień na nią rzuca, i zmusza go nawet do ucieczki z Rzymu, gdzie mie powróci, aż się ona z niego wydali, prosi ją, zaklina żeby tego mu nie odmówiła, bo on zaprzysiągl niewiedzieć jęj więcęj.

Wyznaję iż po przeczytaniu tego ostatniego *dokumentu*, uczułam w mém sercu zimno żelaza, co przesyło skrwawione biednęj Andzolini serce.



Listy te większą część mi dnia zajęły; głowa mię bolała; i chciałam i nie miałam odwagi odwiedzenia choréj. Po niejakiem wahaniu odłożyłam wizytę do jutra, posłałam po sorrentowski ekwipaż, to jest po osły któremi zwykle na spacer jeździłam, i kazałam się w jakąś nieznaną mi jeszcze zaprowadzić stronę, gdzieś tam na góry, gdziebym mogła szerokiém odetchnąć powietrzem.

Oślarz mój co do słowa rozkazów mych dopełnił. Po dwógodzinnej ciągle i ostro spinającéj się drodze, ujrzałam się na samym wierzchołku tego pasma gór co nad Sorrento sterczą, lecz niedomyślałam się wcale żeby ten zab w morze wpadającéj ziemi, tak był wązki; a na sam szczyt przybywszy, i widząc żem z prawéj strony golf zostawiła, z największym podziwieniem na lewéj go postrzegłam.

Nie był to jednak on sam, ale rodzony brat jego; była to zatoka salernowska, z Salerną, z piękną Amalfią, tą Normandów stolicą, i pełno pomniejszych na brzegach wioskami. Szersza i bardziej od neapolitańskiej otwarta, żadnemi nie przecina się wyspami. Małe i nagie wysepki, niegdys *Syren* teraz Galli zwane, przy jéj wejściu od strony Caprei leżą; dalej oko na szklanej i nieskończonéj ginie przestrzeni.

Postąpiwszy kilkaset jeszcze kroków, lub trochę więcej, przybywa się do pojezuickich klasztoru Ś. Agaty ruin, w końcu do ostatniego téj półwysepki krańca, do tak nazwanego przyładka dzwonu (promontorio della Campanella), od dzwonu jakichś flibustjerów, którzy tam kiedyś wylądowawszy, rodzaj kolonji założyli, i w nocy na przebywające z łupem swe statki dzwonili.

Już przed klasztorami zwaliskami ten pas ziemi tak się zewęża, iż od razu widać na prawo neapolitańskie morze z jego zalotnemi brzegami, na lewo poważniejszą Salerny zatokę. Trudno opisać piękności tego obrazu obok swych wdzięków całkiem jeszcze niespodziewanego dla mnie. Na jednym z tych dwóch golfów zachodzące wówczas słońce wszystkie złociło przedmioty, na drugim, wysoko już srebrzysty świecił księżyc. Te dwa światła zdawały się dla sprzeczności efektu między sobą walczyć. Gdyby na płótnie oddane były, zarzucono by malarzowi do wymuszonej przesady skłonność, tak to nad zwykłe przyrody piękności, piękniejszym jaśniało blaskiem.

Ale jakże ci opisać ten *Dzwonu* skalisty przyładek, z pięknemi u szczytu klasztoru złomami, z widokiem na Capri, a powoli odwracając głowę, na obie panoramy Neapolu i Salerny zatok! Tam chyba pojedź i zobacz, bo inaczej nie pojdziesz, a pędzel i pióro ci niewytlomczą.

Bok jeden klasztoru co ciągle na te patrzy czary, nie dawno zdawał się podniesiony; w nim parę nowych okien, świeżym cieniły się bluszczem;

inne jeszcze na nich widać było kwiaty; okna te i kwiaty zwróciły mą uwagę. Oślarz mi powiedział że tam jakiś samotnik mieszka, z samą tylko przestając naturą.

Mimo przyjemnej spaceru tego rozrywki, tak miałam jeszcze myśl pełną Edwarda, iż w pierwszej chwili zdało mi się że to on tam być musi, że tam się schronił dla płakania swych błędów, swój winy. Niezważałam nawet że mi oślarz mówił iż ten samotnik (którego jak wszystkich cudzoziemców zwał Anglikiem), od pięciu lat w tych przebywa pułkach, i własnym kosztem parę sobie urządził pokoi, czegoby Edward w zbyt krótkim od bytności w Rzymie czasie dokonać niemógł.

Tak zwróciwszy się znowu myślą do poety i ofiary jego, zaczęłam wymawiać sobie żem ją nieodwiedziła. Z nocą już do domu wracając, zajechałam przed jęj mieszkanie, by się o stanie jęj zdrowia dowiedzieć. Ale drzwi głucho zamknięte były, zdawało się że wszyscy śpią tam głęboko.

Następnego ranka idąc na mszę, spotkałam księdza Francesco di Luca, do kościoła także śpieszącego. — „Jakże się ma nasza chora?” zapytałam. — „Znajdziesz ją pani w kościele, odpowiedział.

W kościele stał w środku katafalk, a na nim aksamitna ze złotem bez wieka trumna. W koło niej różnofarbne miłosierdzia bractwa, do ostatnich zabierały się usług. W trumnie leżała pani Andzolina L.“ która, jak mi ksiądz Francesco powiedział, dniem pierwěj, w południe, gdy na anioł pański dzwoniło, skończyła swą gorzką na tęg ziemi próbę.

W bieli ubrana i blada, o dziesięć lat mi się młodszą wydała, niż gdym w Pizie po raz pierwszy w czerni i w żwawěj rozmowie ją widziała, potém zapłakaną w kościele, a w końcu w gorączce na śmiertelnej pościeli.

Zapytałam na jaki ją zaniosą cmentarz? powiedziano mi że ją tymczasowo do piwnic kościelnych złożą, gdyż jęj familja bardzo zamożna, w Neapolu ma swe rodzinne groby, i tam ją zapewne przenieść każe.

Módlmy się za jęj biedną duszę! kłękając przed Matki Boskiej ołtarzem, powiedział mi ksiądz Francesco.

O któżby jęj był modlitwy odmówił! modlitwy i Izy litości.



## VIII.

SALERNO. — AMALFI. — PESTUM. — CAVA. — NOCERA. — MUZEUM  
BURBOŃSKIE. — SALVATOR ROSA.

**Z**góry tylko widziałam Amalfi i całą Salerny zatokę, i bardzo mi się piękną wydała. Wiedziałam nadto iż niedaleko Salerny leży *Pestum*, i jego trzech świątyń starożytne złomy; wszystko to widzieć należało. Zachciało mi się zaraz tę skutecznie wycieczkę, co wydało się z razu najłatwiejszém. Z góry patrząc na ten półkolisty brzeg, tak on się bliskim mi wydał! Zdawało się że jednym z tamtąd krokiem na dach katedry Amalfi skoczyłby można.

Nie tak jednak na prawdę było to łatwą rzeczą. Drogi tam pojazdowej nie mają. Na mułach by można jedynie przez góry i parowy się przedrzeć, a takięj mułowej jazdy najmniej dziesięć godzin wytrzymać, niezapominając i o prowizyach; gdyż cała ta część kraju całkiem dzika, pusta, nieprzewiduje podróżnych i nie dla nich niema.

Doradzono mi żebym z Neapolu tam się wybrała. Lubo i tamtą stroną pojazdem do Amalfi dla braku drogi dojechać niepodobna, i trzeba skończyć na mule, lub morzem na rybackiej łódce, co także niebardzo uśmiecha się tym co jak ja, kilka burz morskich już wytrzymali, jednak tę wybrałam radę.

Przeciwniej strony Neapolu, Puzzuoli, Bai, Cumy, Miseny także nie znałam jeszcze. Upały już się zmniejszały. Rodzina Auriemów codziennie nowe nudziła pretensjami, i domowemi swemi intrygami. Codziennie nowych żądała prezentów, jakichby cały już Neapol mógł zaledwo dostarczyć. W końcu pieniędzy to na jędwabne kołdry do wyprawy Kondzetty, która kiedyś miała iść za męża, to na chirurgiczne instrumenta dla Xawerego który kiedyś miał być doktorem, a to wszystko tajemnie przed ojcem, który kasę całą w swych trzymał rękach! Słowem, opędzić się niepodobna było od tych prośb, tak żwawo, tak gorąco i natarczywie wymaganych, iż odmówienie zdawało się okrucieństwem, i istotnie też sprowadzało płacz, mdłości, spazmy i krwi puszczenie.

To wszystko zważywszy, prędzej opuściłam me łube ustronie, niż sobie zamierzałam zrazu. Po trzymiesięcznym miłym i cichym pobyciu, pożegnałam uroczę Sorrento i przeniosłam się do Neapolu, zkąd zwiedzanie okolic mniej doznaje trudności. Kilka już promieni kolei żelaznych się tam zbiega, a te ciągle się wyciągają dalej. Do Salerny już także połowę drogi parą polecieć można. A jednak złe moje zdrowie, i tysiąc małych przeszkód tak się skrzyżowały przedemną, iż bardzo nie prędko, bo aż w połowie Grudnia wybrać się tam zdołałam.

Dzień był jednak piękny, ale pogoda niestała. Do Salerny ze zmrokiem już pojechaliśmy, a następnego ranka niebo miało nam wskazać dalszej kampanji plan. Pięknego słońca promienie mieliśmy na popłynięcie do Amalfi użyć (bo ziemią z Salerno jeszcze by trzeba przez godzin trzy na mule się utrząść), pogodę na pół pewną, do ruin Pestum, chmury lub deszcz, do zwiedzania wewnętrznych Salerny kościołów i grobów.

Słońce nas nie zawiodło. Tak nam czternastego Grudnia zaświeciło, jak u nas w połowie Czerwca świecić tylko zwykło. Łódek i rybaków brzeg zawsze pełen. Jeszcześmy nie wypili kawy, kiedy już wszystko do naszej żeglugi (wprawdzie bez żagli) gotowe było.

Morze jak niebo wszystko nam dopisało. Uspione fale lekko nas kołysały tylko, i dobrze się stało; gdyż wkrótce się pokazało że łódki nasze w tak złym były stanie, iż na pół drogi musieliśmy je zmieniać. Szczęściem że brzeg zasiany rybackimi wioskami, co jak jaskułcze pod dachem gniazda, tak one pod skały się tuła, a w nich o podobne statki nie trudno.

Cały ten brzeg prześlizny, lecz całkiem innych niż neapolitański rysów. Daleko urwistszy, sroższy, najeżony skałami które czasem tak do wież, do starych zamczysk podobne, iż dobrze się przypatrzeć trzeba, czy to mur czy glaz w swych rospadlinach tysiące mieści wiosek i wioseczek, winem, myrtem i pomarańczą pokrytych. Sąsiadujące te



z sobą wioski, tak wysokimi opasane są zewsząd górami, iż nie mają innej między sobą komunikacji jak wodą. Gdy morze zburzone, mieszkańcy jak w fortecy u siebie zamknięci, starymi zapasami żyć tylko muszą; bo ich skały żadnych im prócz pomarańcz nie dostarczają produktów.

Amalfi w takimże właśnie jest położeniu. Jój sławny makaron którego znaczne fabryki część półwyspu zasilają, wyrabia się z kukurydzy i pszenicy, okrętami z Sycylii przysyłanych. Inne produkta podobną otrzymuje drogą. A gdy chce w głąb kraju ziemią mieć jaki stosunek, musi przez swój przyrody szanę mułami się przedzierać. Inaczej lądowy świat z nią, a ona ze światem żadnego nie może mieć zetknięcia. Jest to jakby Ameryki próbka, z różnicą swych wspomnień, które w Ameryce tak zatarły wieki iż częstokroć za *niebyłe* je mają, a w Amalfi głośno jeszcze swe dumne opowiadają dzieje.

Amaliia groźny niegdyś i silny port, królową morza się mieniła, i długi czas niechciała Wenecyi tego ustąpić tytułu. A teraz biedna zaledwo znana zagroda! Gdyby jednak wschód znowu nad zachodem otrzymał przewagę, co bynajmniej nie jest niepodobną rzeczą, położenie jój, mogłoby do dawniej wznieść się potęgę. Niegdyś Normandów stolicą i głośną w sprawach Europy republiką, mieszkańcy jój, w początku jedenastego stulecia, wielki brali w krucyatach udział. Liczono ich 50,000, co w owych czasach było już potęgą, a teraz uboga ich potomków garstka, rybołówstwem głównie się trudni. Dwie makaronu fabryki i jedna piarnia całym ich przemysłem, całym bogactwem, a te przy niezręcznym gruncie, zaledwo na życie im wystarczają!

Mimo to wszystko, a może owszem dla tego, Amalfi piękna swém malowniczym położeniem, w świecie zapomniana, zubożała, opuszczona i wśród skały ukryta, nad wyrażenie powabną mi się wydała. Powietrze jój świeże i żwawe dzikiej natury przesiękłe żywiołami. Cywilizacji tam jeszcze nie dosięgła ręka, jeszcze weń swoich młodych nie rzuciła woni. Pary i cyfer tam jeszcze nie znają; o komunizmie nie słyszeli nigdy. Za Furjera nie ganiłi utopiami, falansterów nie murowali, ale jedną między sobą tworzą rodzinę, bo zkadże by do tego gniazdzka obcych sprowadzać? Tak zamknięci i od reszty całkiem odłączeni świata, w trzecim lub czwartym pokoleniu, koniecznie wszyscy muszą być sobie krewnemi.

Amalfi w głębokim rozdartej opoki wąwozie, na dwóch jego uczepiona bokach, dalej rozsypaną na spadzistym swój pięknej zatoki brzegu, żadnej jak domyślać się możesz niema symetrii. Niewiem czybyś tam znalazł choć jedną ulicę godną téj nazwy. Ale młyn i piarnia na stru-

myku co w samej głębi wąwozu żwawo do morza śpieszy, i parę przezeń rzuconych mostków, ale ubogie domki do skały przylepione, a przed ich progiem winem pokryte, jakby altanek rodzaj, z dalekim na morze widokiem, tak jak mnie i ciebie by zachwyciły; wolałbyś je od najpiękniejszych jakiejś stolicy ulic, nad pałace i architektury ozdoby.

Najpiękniejszym jednak w Amalfi miejscem jest kapucynów klasztor, i tam zwykle najprzód cudzoziemców prowadzą. Zanim go osobiście poznasz, jego grootę, a z niej szeroki i czarowny widok, tysiącem oddalonych pęzli, w Neapolu na każdej już widziałeś ulicy, a wróciwszy z Amalfi, co prędzej w album je swoje wkleisz, jakby portret miłej osoby, milego dnia pamiątka.

Kilkaset w skale wykutych schodków do tego klasztoru prowadzą. Półkolista jaskinia, kaprysem jak się zdaje natury w głazie otwarta, uświęciła się trzema krzyżami i kilku niezgrabnymi figurkami świętych, które bynajmniej nie dają wdzięku tej skądinąd pięknej grocie. Szczęściem że nikt niema czasu na te drobne zważać szczegóły, obok tak szczytnego i szerokiego widokręgu jaki na golf, jego brzegi, a w oddaleniu na Kalabrii góry przed nami się ściele.

Sam klasztor z ubogim od frontu kościołkiem nie psuje bynajmniej obrazu tego. Wewnętrzny jego dziedziniec, z gotyckim portykiem, dobry także robi efekt. Mówią że z głębi klasztoru jeszcze są piękne widoki, ale nas kobiet dalej jak do progów dziedzińca niepuszczają, i ja też znalazłam iżby to było nagannym zbytkiem, grzechem, że tak powiem, żądać więcej jak to na cośmy patrzyły.

Uprzejmi kapucyni wynieśli nam kilka krzesel, chleba, wina, sera i owoców. To śniadanie pod ciepłym, w środku Grudnia, słońcem, tak żeśmy w cieniu grotty ulokować się musieli z rzymskim zed oczami widokiem, w tym cichym kątku świata, gdzie tak dobrze od wrzawy jego odpocząćby można, jak najmilsze zostawiło mi wrażenie. Przynależało mi sobie, że jeśli kiedy jeszcze w tamtych stronach przyjdzie mi lato spędzić, niezawodnie Amalfi sobie na schronienie obiorę.

Masaniella zwano, jak ci wiadomo, rybakiem z Amalfi. Mniemałam że mi jego tam wskażą rodzinną strzechę. Pokazało się że on się nie w samej Amalfi, ale w połączonej z nią małej wioszczynie, Atrani zwaną, urodził. Amalfi jest za to ojczyzną *Flavia Gioja*, wynalazcy bussoli, i tego religijno-politycznego zakonu kawalerów maltańskich, co tak długo miał swe w świecie poważanie, a jeszcze po niektórych krajach, członków jego i pasowe mundury napotykać się dają. Tam także w 1135 roku, podczas napadu Rogiera, księcia Kalabrii, i gdy miasto rabowano



uiszczono, znalezione zostały sławne Justinjana pandekta. Od tej to epoki biedna Amalfi upadek swój liczy.

Następny dzień mniej był pogodny, mniej ciepły. Użyliśmy go na pojechanie do Pestum, które o pięć godzin wygodniej, pojazdowej drogi od Salerno leży.

Pestum tak jest smutne, płaskie, nagie, jak inne brzegi tej części półwyspu malownicze, górzyste i wesołe. Morze co je oblewało tak daleko z pod jej niegdyś sławnej doliny uciekło, iż go nagiem okiem zaledwo dojrzeć teraz można. Spójrzawszy na szeroką puszynię, kilku zarośniętymi sadzawkami niezdrowej wody przeciętą, zaledwo się chce dać wiarę, że w tym miejscu wznosiła się niegdyś stolica rokoszy, stolica tych Sybarytów, co swe imie w dalekie pokolenia, jako przymiotnik miękkich zmysłowych uciech przesłali (1), że jej okolica sławna była mnóstwem i rozmaitością róż i innych kwiatów. Teraz same chwasty na nią tylko ujrzysz; gdzie niegdzie wyrasta piękny kwiat akan-tu. Jeden liść tej klasycznej i artystycznej rośliny urwałam sobie, bo to jest jedyna pamiątka jaką ztamąd unieść można. Ale się myślę, towarzyszu mój podróży, wielki amator muszlowych stworzeń, znalazł tam bogate dla siebie plony. Cała ludność różno-kształtnych ślimaków, zastąpiła Sybarytów plemie, a wpośród niej, dla ożywienia tego smutnego obrazu, tam i ówdzie snuje się dzikich bawołów czarne grono. Ludzie od dawna z tego zatrutego uciekli brzegu. Malarja ich poczęści wypleniła, a resztę, jak wnoszę, wygnać musiała.

Na środku tej ponuręj przestrzeni, wznoszą się trzy poważne gmachy, trzy pyszne ruiny, dawniej wspaniałosci olbrzymie szkielety. Bez nich jużby pewno o Pestum nikt nie pamiętał, a przynajmniej niktby go nie zwiedzał.

Jedna z nich, przezwana świątynią Neptuna, ma jeszcze dwa długie kolumny rzędy, z dość dobrze dochowanymi kapitelami, i złomy starego ołtarza, na którym ofiary palono. Badacze starożytności uznali ją za najdawniejszy z ubiegłych wieków zabytek, jaki Europa posiada. Architektura jej, nieznanego już całkiem stylu, może być tego dowodem.

Druga z tych ruin, mniej obszerna, mniej dumna, za bazylikę czyli sądową salę została uznana. Nad trzecią, bardziej od innych uszkodzoną, toczą się dotąd spory, jakieby jej pochodzenie wynaleść należało.

(1) Wspomnienia Pestum sięgają aż do Sybarytów, którzy na te piękne wyładowawszy brzegi, dopiero przez Lukanów wypędzeni zostali. Pestum następnie kolonią było rzymską, a w końcu, w połowie IX stulecia, przez dzikich Saracenów zniszczone.

Prócz tych gmachów, pokazują tam jeszcze reszty murów miasta, z jedną z czterech bram jego, a w ich obrębie niedawno z pod ziemi wydobytą ulicę, z pięknym brukiem i dwoma kolumn pasmauni. Ale mimo tych zachęcających do dalszych poszukiwań oznak, musiano ich co prędzej zaprzestać. Ziemia ta co tyle zapewne skarbów w swém łonie kryć musi, nie da się tknąć bezkarnie. Wyziewy jęj zabójcze i tak całe zarażają powietrze. W krótkiej tam naszej przejażdżce, znaleźliśmy pod murem biednego człowieka co po swe szedł bawoły, raptownie dotkniętego tą okropną chorobą. Pozbawiony sił w rękach i nogach, żółkły, zsiniały z zapadłemi oczami, zdawał się powstały z grobu.

Jest tam jednak kościółek, a przy nim karczemka. W kościółku mszę znaleźliśmy, bo to była niedziela, i garstkę ubogiego z okolicy ludu; w karczemce za to nieznaleźliśmy wcale nic, prócz chudęj i wyblądłęj gospodyni, która z miłosierdzia przyjeżdżających żyje, bo nie im do sprzedania niema. Grunt tameczny uprawiać się nie pozwala, a przemysł nienauczył tam jeszcze jak z dalszych stron sprowadzać i konserwować zapasy, nienauczył dotąd jak w chlorku przechowywa się zepsute mięso i za świeże się sprzedaje, jak to w Paryżu robią, lub jak z kotów doskonale wyrabiają się *wieprzowe* kiełbasy i salcesony.

Trzeci dzień naszej wyprawy samęj już Salernie przeznaczony został.

Salerna w półkole nad swą usłana zatoką, gdyby nie w sąsiedztwie Neapolu, a mym oczom nie po Sorrento i Amalfi się przedstawiało, niezawodnie zachwycającęj by się wydała piękności.

Niegdyś do Benewentu należące państwo, późnięj oddzielne księztwo, miało i ono w przeszłości swój rozgłos. W ostatnich czasach, następcą neapolitańskiego tronu jego czcil się mianem. Teraz stryj królewski i cała młodszą panujących tam Burbonów linja, ksiądzkami salernowskimi się zowią, a następcę, Kalabrii przewzano księciem.

Salerno miało niegdyś szanę, obronną twierdzę i sławną medyczną akademią. Ta wielu znakomitemi dziełami i dwóch uczonych kobiet wslawiła się imionami: Tortuzy i Rebeki Guarna. Z tego wszystkiego pozostało jęj tylko kilka starożytnych gruzów, których początek czasu zagładziła ręka, a jeszcze bardzięj powstałe na nich nowe budowy i godna uwagi katedra.

Gmach ten z ósmego stulecia, pełno posiada lombardzkich ksiądzk grobów, a bardzięj nad te zajmujący Jana z Procidy grobowiec. Jest tam nawet i portret jego, lecz tak lichego pęzła, iż w rysach niepodobna odgadnąć ani bohatera co podniosłszy Konradina rękawicę, zaniósł ją Piotrowi arragońskiemu, ani okrutnego sycylijskich niesporów sprawcę



Sławnego w kościelnych dziejach papieża, Grzegorza VII, tam także spoczywają zwłoki; a co dziwniejsza, i jak mi się zdaje rzecz potwierdzenia wymagająca, pokazują tam nagrobek Karola Durazzo, lubo ten książe, jak wiemy, w Węgrzech skończył.

Ale daleko ciekawszy niż ten wierzchni, podziemny tam zobaczysz kościół. W nim ciało jednego z czterech ewangelistów (którego imienia niewiem jakim przypadkiem w notatkach moich znaleźć nie mogę), w samym środku, pod dużym i pięknym złożone jest ołtarzem. Na ścianach pełno obrazów z pierwszej kunsztu epoki, starożytnych także płasko-rzeźb, a w jednym z jego boków stoi kamień, na którym święta spadła męczennika głowa.

Salerno prócz tych poważnych i świętych, inną ma jeszcze sławę. Jest bowiem ojczyzną swawolnej, szalonej tarantelli, tego narodowego tańca o którym ci już gdzieś wspominałam. Niegodziłoby się go opuścić nie zobaczywszy jak ją tam tańczą. My też sobie na deszer ten zostawiliśmy przysmak, i z zupełnym zadowoleniem piękne pożegnaliśmy Salerno, z jego mniej nadobnymi taneerkami.

Powracając, zatrzymaliśmy się na pół drogi w miasteczku, zwaném Cava, sławném uprawą żyznej roli, z której jakby rodzaj sadu zrobiono. O kilka wiorst ztamtąd, na okrzewionej górze, wznosi się duży Benedyktynów klasztor, pod Ś. Trójcy nazwaniem. Tam uczony *Filangeri* piisał swe rozumne o prawodawstwie dzieło. Cudzoziemcy ciekawą i bogatą tych mnichów bibliotekę, zwykle oglądać jadą. Samych starych na pergaminie rękopismów, tyjących się lombardzkich czasów, posiadają 75,000. Dowiedziawszy się iż kobietom nie wolny doń przystęp, ruszyliśmy dalej, do Nocery, gdzie się zaczyna żelazna koléj. Lecz tam o trzy minuty spóźniwszy się, musieliśmy dwie godzin następnego czekać pociągu.

Nocera, mała miéscina, sławna Annibala potrójnym łupem, a więcéj jeszcze iż jest ojczyzną malarza Solimeny. Ale te wspomnienia mniej nudę długiego czekania mi przerwały, niż widok jakiegoś księdza, co na środku placu, a do tego w deszcz, kazanie miał do ludu. Na statku, czy podobno z wierzchołka przewróconej beczki, głośno i ze żwawemi gestami do grona słuchaczy pod parasolmi lub pod portyki domów i sklepików kryjącemi się, energicznie przemawiał. Opowiadał im (jak mi to mój lokaj Włoch rozumiejący ich dyalekt tłómaczył), że patron neapolitański, Ś. January, bardzo jest dobrze u Boga widziany, wielki ma u niego kredyt, i przyrzekł ich protegować, byle oni na to zasługiwali, a szczególniej *mnie* krađli i zabijali niż dotąd. Taki był kazania text.

Wróciwszy do Neapolu, pśpieszyłam do muzeum burbońskiego, widzieć szczątki starożytności w Pestum znalezionych, jak z Pompei przybywszy, tam także jej szukałam szacownych zabytków. Ale ten raz mniej do zadowolenia mój ciekawości przedmiotów znalazłam.

Zanim jeszcze rząd się do tego mieszać począł, i baczne na tego rodzaju krajowe skarby zwracać oko, kto tylko chciał i mógł, zabierał sobie marmury, mozaiki i inne Pestum bogactwa. Po kościołach też tu i ówdzie, znaleźć można piękne kolumny, lub z kosztownych kamieni czary, do chrztu świętego używane teraz, ale w burbońskim składzie, bardzo małe ich tylko są próbki; a w niepojętej tego zbioru we wszystkich prawie rodzajach obfitości, całkiem się o nich zapomina.

Burbońskie muzeum, jest niezawodnie największe jakie świat posiada, a co do starożytności, niema także równego sobie. Jak Medycejska we Florencyi galerya obrazami, jak Watykan rzeźbą celuje, tak w Neapolu tak nazwany pałac Studiów (i Studii), niezliczoną ilością najciekawszych z ubiegłych wieków pamiątek.

Gmach ten ogromny, założony w 1787 r. podług planu architekta Fontany, przeznaczony był pierwotnie na publiczne szkoły. Te za Ferdynanda I, w 1790 roku, zostały do Jezuitów przeniesione, a wypróżniona budowa, zaludniła się posągami, grotami, obrazami i t. d. Muzeum tak zwane herkulańskie, z Portici także się tam przeniosło. Pompeja nowemi wzbogaciła go dary, i codziennie nowemi jeszcze wzbogaca, a tak ten labirynt gabinetów, galeryi, sal i dziedzińców, wyłącznie już sztukom pięknym całkiem poświęcony, zamiast studiów, dostał nazwę burbońskiego muzeum.

W dużej i wspinałój z wejścia sieni, uderza cię tam najprzód posąg Ferdynanda I, Canovy dłuta. Nader było jak widać trudne dla artysty zadanie w wynalezieniu dla księcia tego jakiegobądź bohaterskiej postawy, któraby się życiem jego usprawiedliwić dała. Rzeźba musi koniecznie w Olimpie, lub przynajmniej między bohaterzy swych szukać pomysłów; wędka lub myśliwska torba, jedyne godła jakieby Ferdynandowi przypadły, choćby na królewskie rzucone plecy, jeszcze wymaganiu rzeźby odpowiedziećby niemogły. Canova w zupełnym blasku historycznego podania, wybrał niewiem dla czego rycerskie dla swego bohatera rysy. Kto zna długie Ferdynanda życie (a któż go niezna?.....), niemoże wstrzymać uśmiechu w rycerskiej postrzegłszy go postaci. Posąg ten jakby złośliwa z tój strony krytyka, z innych także względów mniej od licznych dzieł sławnego artysty ceniony, to jeszcze ma nieszczęście, iż stanął u progów przybytku, po większej części starożytnemi zapełnionego rzeźbami, a między niemi i wielkiej wartości znajdują się przedmioty.



Z tęj sieni sześcioro, zda mi się, drzwi, do rozmaitych kunsztu wydziałów prowadzą, a dwa schodów ramiona, do górnych jeszcze nie mniej bogatych zbiorów.

Między dolnemi, w niezliczonęm marmurowych posągów mnóstwie, pozostały mi w pamięci, piękny gladyator śmiertelnie ranny, kolosalne popiersie cesarza Tytusa, gdzie w każdym rysie poczciwa przebija się dusza, a najbardziej Venus *Calipige* zwana. W licznęm swych pokrewnych towarzyszek gronie, bo w jęj gabinecie ze dwadzieścia stoi Weuer ze wszystkich krajów i kunsztu epok, ona jedna zdaje się godna berło piękności dzierżyć. Z Grecyi przybyła, gdzie wyłącznie dla nięj kurzyły się ołtarze, ztamtąd swą historyczną przywiozła nazwę, któręj tłumaczyć ci tu niepodobuję się. Lecz w tęj dalekiej podróży, czyli podobno przed nią jeszcze, całą postradała głowę. Szczęściem że nowa, młodszą już dorobiona ręką, niemniej zdaje się pięką, a gracya z jaką ją odwróciła, by swym ślicznym przypatrzeć się plecom, nic do żądania nie zostawia.

Większa część posągów, całych i uszkodzonych, naznaczone są pierwszą literą miejsca zkąd je przywieziono. P, znaczy Pompeje, S, Stabię, E, Ercolano. Ale prócz tych krajowych, Rzym także wiele tam dostarczył bogactw. Królowie neapolitańscy, ze spadkiem domu Farnezów, zabrawszy kunsztowne papieża Pawła III i jego synowców zbiory, tam je przenieśli. Taką koleją dostała się tam, między wielu innemi, piękna Flora, co galeryi w któręj teraz króluje, swoje nadała imie; tak Herkules i byk farnezyijskiemi dotąd nazywani, do Neapolu trafili. Te dwa ostatnie, długi czas główną ozdobą ogrodu Villi Reale, z powodu słusznęj obawy jakiej dla nich tam szkody, w muzeum godne siebie zabrali teraz miejsce.

Herkules, Glicona z Atheny dzieło, sparty na ręce, mimo tęj spokojnęj postawy, w każdym muszkule bożka siły przedstawia. Posąg ten bez nóg był znaleziony. Jakób della Porta, na rozkaz papieża, nowe mu dorobił, i tak doskonale, iż gdy później prawdziwe się znalazły, Michał-Anioł doradził dorobione zostawić. Starożytne Herkulesa nogi długi czas w galeryi Villi Borgheze podziwiane, musiały, jak wnoszę, z całym tamecznym zbiorem, przez Napoleona zakupionym, do Paryża się przenieść.

Gruppa tak nazwana farnezyijskim bykiem, największą jest jaką w tym znajdują rodzaju. Ogromna ta marmuru bryła całą przedstawia scenę nieszczęśliwej Dircei, z rozkazu Antyopy, do rogów drapieżnego byka mającęj zaraz być uwiązaną. Z Grecyi sprowadzona, i jak wnoszę Apoloniusza dłuta, cała ta rzeźba mocno uszkodzona, wiele w swych dołatanych szczegółach do żądania zostawia.

W spiżowych posągach, burbońskie muzeum niemniej jak w marmury jest bogate. Między nimi kilka prawdziwie pięknych, a mianowicie Faun pijany, Merkury zadyszany i Dyanna z Efezu, oko twe niezawodnie zwróca.

Obok starożytnych spiżów są egipskie grobowce, ich bogi, poczwarki, sprzęty, klejnoty i mumje. Tam po raz pierwszy widziałam parę z nich, wyjętych z nabalsamowanych powijaków, z wyschniętą, czarną, lub miedzianej barwy skórą, i włosami na głowie, które wedle wszelkiego podobieństwa, po śmierci już na stłuczonej czaszce wyrosnąć musiały.

Trupy te, z martwą swą peruką, z otwartymi najczęściej wargami, z otwartymi także oczami, ze szklaną później dodaną źrenicą, straszliwe i odrażające sprawiają wrażenie.

Dałej, jak i pierwiej napotkasz sale założone pompejańskimi mozaikami i malowaniami, oraz glinianemi sprzętami. Jedna jest duża izba, wyłącznie lampom poświęcona. Zawiera ich więcej 30,000 rozmaitych kształtów. W inniej znajdziesz podobnyż zbiór szklanych przedmiotów, z których kilka kolorowanych, co dowodzi że i wynalazek farbowania szkieł przed nami się zrodził. Liczba zaś sprzętów domowych o których ci już mówiłam, za mój tam bytności około 20,000 wynosiła, prócz tych co gdzieś na składzie jeszcze leżały, czekając przeniesienia, zapisywania i ponumerowania.

Na górze, główną część zabierają galerye obrazów, tak królewskich jak i stryja jego, księcia Salerny, biblioteki, skład papirusów, to jest spalonych z Herkulanum i Pompei rękopismów, o których ci już mówiłam, piękny zbiór zbroi, bogatszy jeszcze etruskowych wazonów, z malowaniami naśladowującemi mozaikę. Na wielu z nich zobaczysz Arlekina w masce, i różne karnawałowe przedmioty, które cię zapewne co do swój epoki zastanowią.

Jedna z tych kunsztownych sal, nazwana salą odrodzenia, piękne posiada ze średnich wieków pamiątki. Popiersie papieża Farneza, Pawła III, Michała - Anioła dłuta, różne z kolorowego szkła wyroby, oraz srebrne i z kości słoniowej misterne roboty, ręki Benwenuta Celliniego.

Gabinet pompejańskich klejnotów, mieści obok nich kolekcją rzadkich i kosztownych także kameów, jakich nie zobaczysz nigdzie. Mówią iż wielką ich część znaleziono w morzu, od strony Bai i Cumy, gdzie niegdys najwięksi świata panowie swe rokoszne mieli ville i pałace, a później skutkiem rewolucyów przyrody i socyalnego świata, ziemia i morze wszystkie ich pokryła przepychy. Tam pokażą ci także sławną czarke z jednej sztuki jakiegoś drogiego kamienia, którego rodzaju już nie pomnę. Pamiętam tylko że jest ogólnie jako wielka osobliwość podziwianą, i że także do spadku domu Farnezów należy.



Niemówię ci o tak nazwanej *Camera reservata*, bom w niej nie była. Nieskromność malowań i rzeźb, drzwi jęj dla kobiet zamknęła. U starożytnych, nie tylko kunszta, ale religijne nawet obrządku częstokroć rozwiązłością tchnęły. Niemożna się dziwić iż z pompejańskich szczątków, całą w podobnym rodzaju napełniono salę. Dobrze iż ją nie dla wszystkich otwierają teraz.

Na powierzchowne tylko tych wszystkich przedmiotów obejrzenie, trzeba przynajmniej ze sześć dni odłożyć. Ja też jeden dzień w tygodniu (czyli raczej jeden ranek, bo o drugiej już sale zamykają), na muzeum odłożyłam sobie. Zawsze nową jakąś zwiedziwszy jego gałęź, kończyłam w galerji obrazów, a te ranki memi *świętami* nazywałam.

Nie trzeba ztąd jednak wnosić, żeby te malarskie galerye szły na równi z florenckimi, albo nawet z temi jakie w Rzymie w niektórych z pańskich pozostały jeszcze pałaców. Bynajmniej; lubo podzielone na sale, a na drzwiach wyczytasz do jakiej szkoły która z nich należy, rozpatrzywszy się dobrze, postrzega się oczywiście przypadkowa raczej zbieranina, niż wyborowy zbiór.

Ciceroni prowadzą zwykle najprzód do galerji księcia Salerny, i dobrze czynią, gdyż najmniej jest warta. Prócz dwóch Claude Lorrainów, tyleż Salvator Rosy i pary jeszcze pięknych płócien, reszta nie warta spojżenia, chyba dla śmiechu. Jest tam z cesarskich czasów, cała Murata rodzina, on sam w postaci Achillesa, żona i dzieci w takimże stylu, pęzła Gerarda. Kto lubi ten rodzaj, mógłby znaleźć tę kompozycją piękną, lecz trafioną, jak ręką, podobieństwo, jeszcze mię raz przekonało, jak niesłuszna była króla tego piękności sława. Obok nich, dwa portrety Napoleona i Jozefiny, zdaje się z jakiegoś kramowego zdjęte szyldu. Jak żyję nic tak szkaradnego nie widziałam. Do lepszych zaś należą dwa duże zwierząt obrazy, polskiego nieznanego mi malarza.

W środku tych sal, na stołach stoją zdrobniałe naśladowania ruin, tak neapolitańskich, jak rzymskich. Z korka wiernie i zręcznie wyrabiane, dla tych co oryginały znają, miém są wspomnieniem.

Królewskie galerye, porządniej utrzymane, więcej obiecują, a nawet dotrzymują więcej. Trzy pierwsze, zajęte bolońską szkołą (a w niektórych znajdziesz pełno imion o jakich Bolonja niesłyszała nigdy, i dużo całkiem bezimiennych płócien), mają kilka pięknych Schedonów i Guerchinów, mianowicie S. Piotra i S. Jeremjasza obrazy. Za nią sala lombardzka, szczyci się młodzieńca głową, Leonarda da Vinci. Dalej wenecka, kilka dużych posiada Tycyanów, i cały gabinet pełen Canallich, z rodzinnego miasta jego widokami. Nakoniec wchodzisz do dużej na nieszczęście dość pustej sali, a na jęj drzwiach wczytales że tam same arcydzieła ujrysz.

W tém arcydzieł przybytku, powita cię na pierwszym wstępie portret Leona X, którego już we Florencyi i w Rzymie takż za rafaelski oryginał ci przedstawiano. Wszyscy trzej ci papieże o ten ubiegają się zaszczyt neapolitański, lubo wyznać tego nierad, ma być doskonałą tylko kopją przez Andrea del Sarto, i z całym też tego mistrza talentem wykonaną. Obok nię, święta rodzina, Rafaela; druga, niemniej szacowna, Juliusza Rzymianina, zwana Madona z kotkiem. Ślub Ś. Katarzyny Correggia; druga Madona Rafaela, z pierwszego stylu jego; piękny Claude Lorrain, jeden Van - Dyck, jeden Velasquez. Bo tam już wszystkie szkoły zmieszane. Słowem, jest tam wszystkiego po trochu, ale bardzo po trochu.

Gdy te *Capi d'opera* przejrzyś, pytają się czy chcesz szkołę neapolitańską widzieć, i otwierają osobnych sal długie pasmo. Przypomniawszy iż historia sztuki, szkołę tę w ostatnim rzędzie mieścić zwykła, lub całkiem za niebyłą uważać, zaczynasz powątpiewać o słusności takich na nią wyroków, i tém bardziej się na nie oburzasz, iż cicerone z najpoważniejszą miną zaczyna ci dowodzić, że szkoła neapolitańska jest najdawniejszą i najbogatszą. Przegląd jęj wprawdzie poczyna od najszkraadniejszych bazgranin, bo te, jak mówi, są z pierwszej tęg szkoły epoki. Dalęj, całą Masaniella historją podziwiać ci każe, bardzo może wiernie, ale wcale niekunsztownie oddaną. W końcu czytasz imiona Solimena, Giordano, Lucca, Calabresa, Arpina, Schedona, Salvatora Rosy, i pełno innych, których raczję Neapolu dziećmi znać należałoby, niż szkoły jęj mistrzami. Prawie wszyscy bowiem, zrodzili się lub długi czas tę błogą zamieszkali krainę, i ząd Neapol ma niejake do ich imion prawa, ale dość w ich dzieła się wpatrzyć, żeby się przekonać iż żaden z tych mistrzów nie utworzył szkoły. Najwięcej owszem do innych należeli, drudzy z tęg epoki gdzie *miejscowych* szkół już nie było, gdzie po długiej w sztuce anarchji, ona się na zwolenników Caravaglia i Carachów podzieliła, potem na idealistów i naturalistów, a na ostatek już się stała wyłącznie twórcy swego własnością, jego duszy niepodległym płodem, i tylko jego geniuszu nosiła piętno.

Do tych właśnie rzędu trzeba i twory Salvatora Rosy policzyć.

Neapolu dziecie, Neapol na nim głównie swą opiera malarską sławę. I słusnie: był to znakomity malarz. Niektórzy jak Stendhal i wielu innych, do rzymskiej szkoły go wcielają. Sprawiedliwiej byłoby zda mi się przyznać, iż on do żadnej nie należał wcale, że był tylko swęj duszy, bardziej nawet jeszcze niż natury uczniem.

Urodzony w Arnella, o parę wiorst od bram stolicy, w 1615 roku, w najpiękniejszy dzień wiosny, bo 20 Czerwca, i kiedy natura wszystkie swe najkwiecistsze przywdziewa szaty, wzrosły na rokosznych Neapolu



brzegach, wszystkie jednak pomysły jego surowe, ponure, ostre. Pierwszy obraz co sławę mu zjednał, przedstawia mieszczeliwą Agar na puszczy zostawioną. W pięknych jego pejzażach, zawsze ujrzyć dąb piorunem złamany, nieba burzą grożące, całą przyrodę jęczącą pod jej gromem. Gdzież on tych dla siebie szukał wzorów? Jużciż nie pod uroczym ojezyny swój niebem, gdzie wszystko śmieje się i samą tchnie miłością. Życie jego da nam tego pytania rozwiązanie, bo to życie cierpkie, gorzkie, niemogło podobnego nieba odblasku na tło myśli jego rzucać.

Z ubogiej rodziny, od kolebki nędzą ścigany, przez większą życia połowę przeciw niej walczyć musiał, a ta walka hartując duszę, nadała jej ten surowy koloryt co w obrazach jego panuje.

Ojciec go na prawnika przeznaczał. Lecz on czując w sobie malarstwa geniusz, niezdolał jego niebiańskich skrzydeł pod ciężki adwokacki płaszcz stulić. Uciekł skrycie z pod rodzicielskiej strzechy do wuja swego, bardzo podrzędnego malarza, nazwiskiem Greco. Wkrótce pomiarkowawszy nieudolność mistrza, Salwator we własnej duszy zaczął swych szukać rad i pomysłów, i już poczynił w obłoki się wzbijać, gdy niespodziane nieszczęście do ziemi jego uchyliło czoło.

Śmierć ojca, w siedemnastym życia jego roku, nie tylko młodą duszę okropną przeszła boleścią, ale całą a liczną rodzinę bez sposobu do życia, na jego miękkie jeszcze rzuciła barki.

Salwator ugiął się zrazu pod ciężarem okrutnego brzemienia; lecz wkrótce otrząsł się, lzy otarł, powstał, i z nowym zapalem, z nową w sercu nadzieją, z nadzieją ośmnastą wiosnami dopiero zakwitła, wziął się do pracy. Do sławnego Ribery, Espanioletem zwanego, w Neapolu naówczas przebywającego trafił, tam pod jego pieczę nowo zrobił postępy, ale te dla duszy jego, dla talentu, dla sztuki korzystne, żadnej materialnej nie przynosiły mu korzyści! On szedł do sławy, niepewny jeszcze wprowadzie czy ją osiągnie, a matka, siostry, bracia, niedostatkiem gnębieni, wyciągali do niego rękę, i cierniami nędzy tę inaczej kwiecistą do sławy drogę, łzami swemi rosili.

Nie tak niezawadza w życiu artysty jak nędza, a ta czarna mara, najczęściej w pośród najpiękniejszej stanie im drogi, swą skościłą rękę na ich palającym wyciągnię czoło, ogień jego przygasi, a czasem i zagasi całkiem. O jakżeby długi spis był tych nieznanego światu geniuszów, co brzemieniami sławą, w jej twardych zronii ją uściskach, pod żelaznym jej zębem, postradali nieodżałowane dla potomności plody!

Salwator nie tylko własnym, ale co gorsza, co boleśniejsza, całej rodziny niedostatkiem ścigany, stworzył sobie w swój sztuce rodzaj cał-

kiem nowy, śpieszny, energiczny i lekki. Obraz z rana czasem zaczęty, wieczorem już ostatnie odbierał silne i żwawe swe cienie, a następnego ranka, ze łzą rospaczy w oku, z gorzkim na ustach uśmiechem, gdzie miłość własna, a może tylko słuszne swój wartości uczucie, musiało przed nieugiętą ustąpić potrzebą, zanieiony był na publiczny rynek, gdzie między rzemieślniczemi płodami i za podobnąż ofiarowano go cenę!... Ale i to młodego artysty poświęcenie, niewiele mu pomogło!

Obraz rzadko znalazł amatora, a cena o połowę jeszcze odtargowana, zaledwo jednoduiowe pokrywała potrzeby. Nazajutrz nowa się zaczynała nędza, nowe łzy i walka.

Salwator długo jednak rąk opuścić niechciał. Wszelkich chwycił się rodzajów, próbując który mu będzie szczęśliwszym, korzystniejszym. Historia, bitwy, krajobrazy, fantastyczne utwory nic mu wkrótce obcnie było, ale gdy mu się nic nie wiodło, w tej ciągłej walce już mu sił zaledwo starczyło, ta nawet dzielna młodości podpora, ta nadzieja co wiele jednak przetrwać może, już w jego sercu wątleć, upadać poczyniała, gdy jeden z jego *rynkowych* obrazów do Bolonji zabłąkał się, i zwrócił uwagę malarza Lanfrancha.

Oko znawcy zaraz w nim odkryło wielkiego talentu rysy, a poczciwa jego dusza zapragnęła mu świat otworzyć. Lanfranco podał Salwatorowi rękę, ułatwił mu podróż do Rzymu, gdzie nowa miała zabłysnąć dla niego gwiazda. Ale biedny! zaledwo ujrzał Watykanu kopułę, zaledwo obejrzał wszystkie jego skarby, gdy febra wzrok mu przyćmiła, członkom siłę, duszy resztę odjęła swobody, a on niemogąc przeciw dwóm razem, choroby i nędzy niedolom się oprzeć, nic nieuniósłszy z Rzymu, prócz nowej goryczy pamięć, do rodzinnego wrócił miasta.

Tam po długich jeszcze srogięgo losu próbach, dostał się w końcu na dwór kardynała Brancaccio, i z nim Rzym i Bolonją zwiedził.

Od tej epoki, zaczyna się drugi peryod artysty życia, mniej twardy, mniej okrutny. Sława jego coraz się dalej szerzy, dorosła rodzina nie tyle jego wymaga poświęceń, praca lepiej się wywdzięcza.

Salwator do Neapolu wrócił, ale tam buntownicza Masaniella rozwinęła się chorągiew, i gorące w powietrze rzuciła żywioły. Artysta niemi ogarniony ciska paletę i pędzel, za broń chwytą — lecz wkrótce po upadku naczelnika upuszcza ją z ręki, i do Rzymu a następnie do Florencyi się chroni.

W Rzymie szczodrość kardynała Colonna, który za każdy parodniowej pracy obraz, worek złota mu w zamian przysyła, na bardzo przyzwoitej stawia go stopie. Ale oburzenie z rozwiązania Masaniella dramatu, podusza mu dwóch obrazów przedmiot: jeden przezwany



*l'Umana fragilità* (ułomność ludzka), drugi *la Fortuna*; a te mielaszkę na niego ściągają, osobistej nawet grożą wolności i do ucieczki zmuszają.

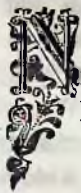
We Florencyi otacza się uczonemi ludźmi. Poświęca się nie tylko malarstwu, lecz muzyce, poezyi, i wesołe dni pędzi. To jednak powodzenie nie zatartło w głębi duszy pierwszej młodości goryczy. Łza rozpaczy z oka znikła, lecz ironja pozostała w spójrzeniu, na ustach, w uczuciu i w słowach.

Satyry Salwatora Rosy, o tyle prawie w swym czasie rozgłosu miały co i obrazy jego, one, można mówić, dokonały pędzem rozpoczętą sławę.

Wróciwszy do Rzymu, dotknięty wodną puchliną, całkiem prawie musiał malarstwa się zarzec. Większa nieco praca zbyt go już męczyła. Satyrami swemi najwięcej się bawił, a swe obrazy rylcem na papier przenosił. Zostawił więcej ośmdziesięciu takich rycin, które szacowny zbiór dla amatorów tworzą. Umarł w Rzymie 15 marca 1673 r. Zwłoki jego spoczywają w kościele Maryi Anielskiej, ostatniej Buonarrottego budowie.

## IX.

GROBY WIRGILIUSZA I SANNAZARA. — JEZIORO ANIANO I PSIA GROTA. —  
SOLFATARE. — PUZZUOLI. — LUCRINO I TRIPERGOLA. — AVERNO. —  
BAJA. — POLA ELIZEJSKIE I ACHERON. — BAULL. — CUMA I JEJ SYBILLA. —  
MISSENA. — WYSPY.



Niemna dwóch mniej podobnych do siebie okolic, jak prawa i lewa Neapolu strona. Jak jadąc do Sorrento, cała przyroda samą tchnie roskoszą, tak przeciwnie strona Puzzuoli, zrazu sroga, ponura, dalej dopiero około Bai rozjaśnia się, i do rodzinnych wraca rysów.

Cała ta część kraju lepszego daleko odemnie ma dziejopisarza, *Wirgiliusza*. On ją uwiecznił swą Eneidą, w której najdokładniejsze znajdziesz każddej stopy ziemi opisy; bo on w niej żył, umarł i kości swe złożył.

Jedzie się tam przez Posilippu grotę, gdzie u wejścia na dole pomnik jego stoi, a na górze prawdziwy grobowiec z świadczącym napisem. Grobowiec ten w najgorszym już jest stanie. Za chwastami zaledwo dojść do niego można; ale napis dobrze się jeszcze czytać daje, a położenie miejsca nie pozwala wątpić, iż poeta je sobie na ostatni obrał spoczynek.



Nie daleko z tamtąd wznosi się Matki Boskiej kościół, a w nim grób drugiego poety, mniej w świecie ale w swym kraju równie słynnego, *Sannazara*. On tam także miał swą willę, żył i rokoszował się w niej, a gdy z wyższego rozkazu zmuszono go do sprzedania i ustąpienia się, umarł, jak mówią, z tęsknoty, i prosił by go przynajmniej tam pochowano.

Opuściwszy Posilippo, wjeżdża się w ciasną dolinę z obu stron opasaną górami; ale już nie temi urwiskami i przepaścistemi górami, do jakich to nasze oko z tamtej nawykło strony, ale bardzo prozaicznie z okrągłych rysów, coby się zrzucić chciało dla odsłonięcia widoku. Cała ta smutna dolinka, porośła zbożem, winem i owocowém drzewem, prowadzi przez małą i brzydką wioseczkę do wąwozu, raczej czeluścia, jeszcze ciaśniejszego, jeszcze smutniejszego. To w końcu rozprzestrzenia się raptownie, a woźnica wstrzymawszy konie przy okrągłym stawie, okrzewionym i nieco od brzegów pozarastałym, mówi że to jest jezioro Aniano, że tam trzeba wysiąść dla zwiedzenia jaskini psią grota nazwaną. W tejże chwili ze wszech stron wyskakują przyjaciele tego furmana (który cię tam bez twój wiedzy przywiózł), i ofiarują dać reprezentacją tego widowiska psiego, gdzie biedne stworzenie po raz może dwudziesty do tej mefitycznej wrzucone pieczary, dostaje najprzód konwulsyi, potem wypręża się, oko w słupek mu staje i konać poczyną. Dopiero w ostatniej chwili wydobyte na świeże powietrze, stopniowo wraca do życia, i to jest rozwiązanie dramatu.

Psia grota ma około dziesięciu stóp wysokości, i tyleż zdaje się długości, lecz dość jest wązka. Ludzie tam wejść mogą, bo zabójcze wyziewy okrutnie na psach doświadczane, o kilkanaście tylko cali nad ziemią się wznoszą. Podług rozbioru chemików głównie są przesiąkłe siarką, do której wiotryczne i arszennikowe mięszają się cząstki. Chcąc sobie śmierć zadać, trzebaby się w nich przez kilka minut położyć. W Anglii i Francyi gdzie codzień tyle w tym celu zapalają fajerek z węglami, trzebaby dobrze strzedz wejścia; ale w Neapolu niema tej obawy. Każdy spragnion życia, nigdy mu go niedość; samobójstwo nigdy się nie przyśni nikomu, i jakżeby mogło być inaczej pod takim jak tam niebem!

Grota wprawdzie kluczem zamknięta, ale w innym celu. Odźwierny każe sobie płacić za widowiska biednych psów swoich. Na mnie się bardzo zawiódł, bom widzieć ich niechciała; dość już miałam ich opisów i opowiadań osób co je widziały.

O kilkaset kroków od jeziora są parowe łaźnie, zwane Ś. Germana, bardzo na reumatyzmy skuteczne. W samém jezioroku, woda także w ciągłym jest poruszeniu, jak gdyby się gotowała, ale jest zupełnie zimna, i jeszcze niedocieczono przyczyny pozoru tego.

Ztamtąd jadą zwykle oglądać wzgórze *Solfatara* zwane. Jest to zmarłego wulkanu kurhanek. Grunt jego siarczystego koloru, i innych jeszcze fioletowo-czerwonawych cieni, główną jego stanowi ciekawość. Gdzie niegdzie jakiś niepachnący kurzy się tam dymek, i wyskoczy czasem o parę cali z niego jakiś kamyk. Ale te fenomena, te tak nazwane mofetty, częstsze gdy Wezuwiusz śpi i milczy, teraz gdy on ciągle wre i strzela, coraz rzadsze, całkiem zapewne ustaną.

Ujechawszy jeszcze wiorst parę, przybywa się do Puzzuoli. Starożytne to miasto, na górze, z której szeroki i piękny toczy się widok, ma jeszcze kilka rzymskich zabytków. Po tyłu trzęsieniach ziemi i powodziach ilu ono uległo, jest to zadziwiającą rzeczą.

Najwspanialsza z tych ruin, świątynia Serapizy, pyszne jeszcze zachowała szczątki. Piękna marmurowa podłoga, przez wodę co ją teraz pokrywa, w najlepszym zdaje się stanie; w środku, reszty ołtarza, na którym kurzyła się niegdyś ofiarna krew, a do koła złomy kolumn, z których trzy jeszcze dumnie swe kapitele podnoszą.

Nikt z pewnością niewie początku, prawdziwego przeznaczenia, ani kolei przez jakie ta starożytna przeszła budowa. Niektórzy ją zowią świątynią Nimf, i mówią że to ją Lukrynu wody zalały tej nocy, gdy wpośród nich nowa góra (Monte Nuovo) powstała, a one nie miały gdzie się podziać. Inni zaś twierdzą iż jęj zalanie dalej daleko sięga. Że tam morze długi czas przebywać musiało, i cofnęło się od tak dawna, iż ludzie także już tego nie pamiętają; a bytność morza dowodzą muszlami, w kolumnach i wszędzie uwiązłemi, jakie się rodzą tylko w morzu.

Prócz samego środka gnachu, pozostały jeszcze obszerne boki jego. Przeznaczone przed wieki dla kapłanów lub kapłanek, urządzono je teraz na kąpiele dla chorych. Tam między wielu (bo Puzzuoli posiada w swym obwodzie trzydzieści siedm rozmaitych rodzaj wód mineralnych!), zobaczysz jedno źródło tak wrzące jak karisbadzkie. Wody te lubo bardzo działające, mało jednak mają rozgłosu. Moda ich nie wspiera. Ci co dla zabawy pozorów wód szukają, biegną do Castellamare, a w cichłej Puzzuoli zaledwo parę białych twarzy przez lato ujrzysz.

Do pięknych także jęj ruin należy amfiteatr, tak ogromny iż go z rzymskim równają. Lecz stan jego degradacyi bardziej już tylko dawną wspaniałość i ludność Puzzuoli dowodzi, niż dla oka zajmującym być może.

Teraźniejsze miasteczko, na złomach dawnego powstałe, nie duże, ale jak na włoskie dość schludne, szczyci się piękną katedrą, otoczoną kolumnami, które niegdyś zdobiły starożytną świątynię na témże stojącą miejscu. Główny zaś plac dwóma zdo bi się posągami. Jeden z nich



rzymski, z napisem donoszącym iż był wzniesiony na cześć Flawiusza Maryusza, pretora i augura, drugi Ś. Januarego przedstawia.

Cała ta strona, od Puzzuoli aż do Cumy i Miseny, częstych wstrząśnień i ognia nosi ślady. Dyonizyzusz z Halikarnassu tam mieści te ogniste *Flegrejskie* pola, tak w starożytności słynne, gdzie Herkules za pomocą innych bogów miał pokonać srogich wielkoludów; gdyż tam już wszędzie mitologia nas ściga czy wita, wszędzie tam żyją jej wspomnienia.

Morze także w tych rewolucjach pod i nadziemskich, niepozostało bezczynne. Niedawno jeszcze wyrzucało na tameczne brzegi pełno drogich i pięknie rzniętych kamieni, i inne kosztowności zabrane z zalanych miast i pałaców, których szczątki w dni pogodne dają się jeszcze pod filarami widzieć.

Rzecz niezawodna, iż tam tyle musiało przejść takich zaburzeń co całe niszczą pokolenia, że większa część miejscowych tradycyi zupełnie się zatarła, a gdy początku pozostałych zwalisk to ziemią, to wodą pokrytych, dociec już niepodobna, często rodzi się potrzeba zastępować je bajeczniemi.

Do tych rzędu należy jakaś teraz już także podziemna budowa, którą w braku innéj nazwy, labiryntem Dedala zowią. Zaczyna się na górze zaraz za Puzzuolą, ale gdzie się kończy? jaki miała kształt? jakie przeznaczenie? nikt dotąd nie odgadł. Odgrzebano jakie ze sto lub więcej ciasnych pokoików, dość niskich z małemi drzwiczkami, niektóre z nich miały między sobą komunikacyą, inne małe w górę lub w dół wiodące wschodki. Gdy takich niezliczoną wypróbniono ilość, a bez żadnej korzyści, bo prócz ziemi co je napełniała nic nie znaleziono wcale, zaprzestano tę niewdzięczną pracę, a dla badaczów ta budowa została zagadką. Najwięcej uznali ją za rozległe więzienia. W takim przypuszczeniu liczba ich przerażałaby.

Niedaleko ztamtąd morze co jak mówiłam zdaje się w tym względzie rywalizować z ziemią, podobnąż wabi zagadką. Ze zdumieniem postrzeżesz wśród niego sterczące złomy, jakby reszty starego mostu. Jest takich filarów jeszcze trzynaście, a niektóre mają jakby łuków ślady. Po wielu sporach, uznano je za gruzy mostu Kaliguli. Cesarz ten, jak wiadomo, po zwycięztwie nad Partami, chcąc sobie wyprawic na wzór Xerxesa tryumfalny obchód, kazał niezważając na bałwany morskie, rzucić przez nie most łączący zatokę Puzzuoli z Baji brzegami, i to ma być pamiątka tego poczwarno-dziwacznego pomysłu.

Dalej spostrzegamy reszty pięknej Cyceronu villi, i pełno innych to cesarskich, to pańskich ruin. Ci panowie świata, zwabieni pięknością klimatu i miejsca, z Rzymu tam przybiegali, od gwaru forum i dworzańskich

intryg swobodnie odpocząć; ale czy tego dosięgli celu? Czy owszem w swym orszaku, i tych nieodstępnych w takiem jak ich życiu towarzyszków nie przywieźli z sobą? to gdyby ulegało pytaniu, grobowiec nieszczęśliwej Agrypiny, przy Bai zatoce, głośnoby nam dowiódł, do jakiego stopnia podstęp i zdrada wszędzie trafić umieją.

Lecz dla prawdziwego zajęcia a nawet i korzyści w zwiedzaniu tych sławnych brzegów, tyle opiewanych poetami, trzeba jak Dante, Wirgiliusza wziąć sobie za przewodnika. Tam bowiem w obwodzie mil kilku, znajdziesz jezioro Averno, pieczarę sybilli *Cumejskiej*, czarny Acheron i elizejskie pola; możesz krok w krok pójść za Eneaszem, gdy w piekła do ojca szedł swego. Na nieszczęście nie wszędzie też same co on zbierać można plony, gdyż las w którym złotą róższkę zerwał już nie istnieje! a jak zapragniesz z takiego drzewa gałązki, życzę ci gdzieindziej kroki twe obrócić. Tam tylko dla duszy znajdziesz bogactwa; jakoż, spekulantów na tych estetycznych nie napotkasz brzegach.

Wirgiliusz wprawdzie w swych georgikach mówi o srebrnych i złotych w tamtej stronie żyłach, ale i te razem z lasem o złotych gałęziach już znikły, lub może zapomniane tylko. Książd *Jorio* który w tej mierze (to jest co do objaśnienia łacińskiego poematu, i wskazania wszystkich miejsc weń opisanych), bardzo głębokie zrobiwszy poszukiwania, drukiem je niedawno ogłosił, nie o tych szacownych minerałach tam nie mówi.

Pierwszy punkt jaki po wyjściu z dawniej puźzuolskiej przystani wstrzymuje nasze kroki, jest właśnie to lukryńskie jezioro, o którym Wirgiliusz w Georgikach wspomina (1). I ja ci już o niem także mówiłam. *Góra nowa* w jednej nocy z łona jego powstała, nosi swęj wulkanicznej natury cechę. Przypatrzwszy się jęj, widno iż to jest jakaś mieszzanina popiołu, lawy i tym podobnego zastygłego fusu, jaki się już u stóp Wezuwiusza z jego wyrzucony paszczy widziało.

Lukrino było niegdys odnogą morską, którą dla przechowywania i tuczenia ostryg kosztowną zamknięto tamą. Cezar umyślił późnięj, łącząc go z Averno jeziorem, wspaniałały port w témże założyc miejscu. August, jak Wirgiliusz świadczy, 20,000 rąk do tej posłał pracy, a morze w jednę ją chwili zniszczyło. Cesarz Klaudyusz daremnie usiłował na no-

- (1) An memorem portus, Lucrinoque addita claustra?  
Atque indignatum magnis stridoribus aequor!  
Julia qua ponto longe sonat unda refuso?  
Tyrrhenusque fretis immittitur aestus Avernus?  
Haec eadem argenti rivos aerisque metalla,  
Ostendit venis, atque auro plurima fluxit.....

Georg. l. 2.



wo ją podnieść. Teraz już najmniejszego śladu tego wszystkiego niema, została tylko mała wody płachta, jakby sadzawka, w środku zasypiana górą, do koła chwastem porośnięta, uboga, brzydka i smutna.

Okropny, bezprzykładny wypadek, co taką tam sprowadził zmianę, lubo niezbyt od nas daleki, mało jednak światu w swych straszliwych znany bywa szeregółach, i dla tego ci go opiszę.

Niedaleko Puzzuoli, między Lukriną a morzem, wznosiło się ładne miasteczko, Tripergola zwane. Połączone z Tritoli, gdzie były naówczas jak teraz w Puzzuoli, wrzące dla chorych źródła, Tripergola wystawiła dla nich obszerny i wygodny na trzydzieści łóżek szpital. Trzy prócz tego wspanialsze dla bogatych były tam hotele, dobra apteka i kilka kościołów. Mieszkańcy liczni, zamożni i swobodni.

W nocy z 29 na 30 Września, 1538 r. ziemia po kilkodziwem wewnątrz burzeniu, raptownie się rozwarła właśnie w samym środku miłośniernego dla chorych zakładu. Z tej straszliwej paszczy, czarnego dymu balwany, a wkrótce wysokie płomienia kolumny wybuchać poczęły... Obłoki w ciężkie zmieniły się chmury; błyskawice i pioruny bezustannie je szarpały. Niebo, ziemia i morze, słowem cała natura zżywała się i ryczała.....

Następnego ranka już nikt nie odgadł, gdzie dniem wprzódy ładna Tripergola kwitła. Ogień i woda wszystko się było na nią sprzysięgło! a z tej ziemi co jęj pochłonęła szczątki, wyskoczyła góra, i z pięknego Lukrinu jeziora, smutną utworzyła mogiłę.

*Monte Nuovo* powinno by się zwać pośmiertnym Tripergoli kopcem, i gdyby choć jeden z jęj powstał mieszkańców, pewno byłby taki położył tam napis. Ani jeden ogólniej nie uszedł kłesce, wszyscy zginęli razem..... a Tripergola czeka jeszcze swego Bulwera, do opisanja jęj dni ostatnich.....

O małą z tantąd wiorstę, przez ciasną i krętą drożynę przybywa się do Avernu jeziora. Dość wspomnieć na urojenia jakimi starożytni te owili miejsca, by powziąć wyobrażenie o ich surowej ponurości. Tam podług najdawniejszych podań, Herkules pokonawszy wielkoludów, przybył piekielnym bożyszczom ofiary palić. Wirgiliusz tam także sprowadza bohatera swego, który, jak mówi, z pierwszych jakie zbierał kamieni, wzniosłszy na brzegu Avernu ołtarz, zarząnął na nim, na cześć ziemi i nocy, czarną owcę, dla Prozerpiny nieplodną krowę, a byka na Plutona chwałę (1).

(1) Ipse atri velleris agnam  
Aeneas matri Eumecidum, magnaquc Sorori

Na północ Avernu są jakieś starożytne złomy. Zowią je Apollina czasem Plutona świątynią, dla tego zapewne żeby jaką bądź uczcić je sławą, gdyż najmniejsze nie istnieją na to dowody. Wieszcz tamecznych okolic któregośmy za przewodnika obrali, żadnej nie czyni o téj świątyni wzmianki. Ale za to na przeciw téj sterczącej ruiny, na drugim jeziora boku, wpośród gruzu i zarośli, czarną podziemną postrzegasz pieczarę, a tę on tak doskonale opisał, iż dotąd w starych jój rysach poznasz od razu sławną *Cumejskiej* Sybilli jaskinię.

Wejście téj pieczary, uroczystą otoczone ciszą, wpośród natury dzikiej i surowej, dość dobrze przywodzi na myśl chwilę, gdy Eneasza tamtędy do piekieł schodził. Ja co zamiast Sybilli i złotój gałązki, widziałam przed sobą obdartych ludzi, ze smutną pochodnią, którą mi tam przyświecać mieli, lubo nie myślałam zająć aż do piekieł, wyznając iż się parę razy cofnęłam, tak mi ta czarna grota z temi *ciceronami*, wpośród kopcącego pochodni dymu, odrażającą się wydała. I nie wchodząc nie byłabym bardzo wiele straciła.

Przed kilku jeszcze laty były tam jakiegoś malowania i mozaik ślady. Te już teraz całkiem znikły. Większa część tego podziemnego przejścia, które, jak ręczą, miało się aż do samój rozciągać Cumy, teraz zasypane ziemią. Są tam wprawdzie jeszcze dwa jakieś, jakby podziemnych pokoi rodzaj, łazienkami Sybilli nazwane. Ale gdy o kilkadziesiąt stóp niżej od samój groty leżą, a dla trudności zejścia trzeba się dać zanieść, wolałam ich nie widzieć, jak próbować tego nowego podróŜowania sposobu.

Ztamąd wróciliśmy nazad do brzegu, gdzie nieszczęśliwa Tripergola w głębi morza kilka swych jeszcze dochowuje szczątek. Mówią iż gdy ta część brzegu dobrze oświetlona, dokładnie je widzieć można. Po sąsiedniej zaś Tritoli, zostały jakieś piwnice, zwane teraz Nerona łaźniami. Nie wysokie, nie duże i nagie, mało zajmującemi je znalazłam, a gorącość od wrzących źródeł co pod niemi płyną, tak jest dusząca iż głęboko zająć niepodobna.

Tam już się zaczyna długie złomów pasmo, wspaniałej Bai pamiętki, a niedaleko postrzegamy piękną jój zatokę. Niegdyś sławna uroczemi swych brzegów wdziękami, teraz poryta, podarta i tysiącem zburzona podziemnych wstrząśnień, niegdyś wspaniałemi świątyniami i palacami ozdobna, teraz już tylko ruiny ich nosi.

Euse ferit, sterilenque tibi, Proserpina, vaccam.

Tum stygio regi nocturnas inchoat aras,

Et solida imponit taurorum viscera flammis.

Acuci. L. VI.



Tam to poeci wszystkie najulubieńsze swe ulokowali marzenia. Brzeg ten zdawał im się za piękny na zwykłego życia prozę. Każdy mieszkaniec teraz ci tam jeszcze wskaże, wysoko na wzgórzu, dawnych pól ich elizejskich miejsce, a u stóp góry, czarną piekielnego Acheronu flagę.

Teraz już wszędzie pusto i głucho. Na polach elizejskich warzywny porośł ogród, a po Acheronie pokutujące już nie przewożą się dusze.

Maryusz, Sylla, Pompejusz, Cezar, Neron, Lucullus i tysiące innych rzymskich magnatów, mieli tam swe rokoszne ville; wszyscy się pod to zbiegali słońce, na te elizejskie brzegi, z których znouu jak z drugiego boku stolicy, na całe neapolitańskie morze czarowny rozlega się widok. Ale już i z téj epoki gruzy pozostały tylko!..... Słońce i morze jeszcze też same, ale powietrze co niegdyś miłośnym nektarem przesiąknięte wabiło i do zapamiętałych podniecało szalów, teraz jakby ich rozwięzłemi zatrute wyziewy, razem z rokoszą śmierć w pierś przelewa. Nikt niém bezkarnie długo nie odetchnie; a terażniejsza uboga i wyblądła ludność, co swe pyszne zastąpiła pany, to potomstwo z ich wylęgłe rozpusty, najlepszym dowodem, w jak dalekie pokolenia zarody jój się przenoszą; bo tam nie samemu powietrzu jój przypisują upadek.

Pokażą ci najprzód świątynię bogini która główną tam odbierała cześć; w środku nisza, gdzie posąg stał Wenery, a po bokach komnaty na jój tajemne przeznaczone obrzędy, wszystko już bluszczem i innemi pokryło się roślinami, pod niemi swe wstydlive kryje wspomnienia.

Prócz téj świątyni, która osobno nad brzegiem morza malowniczo się przedstawia, dwie inne wskażą ci jeszcze, w głębi ziemi już częścią zapadłe. Zowią je Merkurego i Dyanny. Pierwsza ma kopułę i kształty bardzo do Pantheonu rzymskiego podobne, a w drugiej niepodobna sekretnego zrobić zwierzenia. Najciszej wymówione słowa, głośno i wyraźnie się powtarzają. Powinny ją zwać Echa świątynią.

Do historycznych wspomnień Bai nie trzeba ominąć sławnego tryumwiratu, jaki się w jój murach, między Oktavianem, Antoniuszem i Lepidusem zawarł. Cesarz Adryan później, ostatnich dni swych pamiętkę, tam grobowcem swym naznaczył. Przybywszy pod to błogie niebo dla szukania zdrowia, popioły tam swe złożył. Pomnik jego do pięknych ruin należy.

Najpóźniejsze zaś wspomnienia Bai, spoczywają pod jój cytadellą, już za hiszpańskich wystawioną czasów. Miała ona swą zatokę, lecz położenie jeśli od strony morza jój sprzyjało, bynajmniej z lądu tak przyjaznem nie jest, bo wzgórze co do koła téj zatoki krążą, i nad tym panują zamkiem.

Na wierzchołku tych pagórków, tuż obok dawnych pól elizejskich, znajdziesz wioskę Bauli zwaną. Z obu stron drogi do niej prowadzącej,

starożytne rozlegają się cmentarze. W gruzach można jeszcze dawną ich odgadnąć wspaniałość. Bogate rodziny miały tam osobne swe groby. Teraz w przemysłowej naszej Europie pewnoby na mieszkalne obrócono je izby, a może szynkownie, tak one swém rozporządzeniem zdają się temu przeznaczeniu sprzyjać.

Na prawo długi a wązki kanał, z mętną wodą, nazywany teraz Fusaro, był niegdyś owym sławnym starożytnych Acheronem. Tam to stary Charon przewoził w czarnej swój łódce urny z popiołami zmarłych na cmentarze, o których ci mówiłam, z czego się zapewne cała o nim poetyczna bajka zrodziła, z poetycznijszém jeszcze o Elizejskich polach urojeniem.

Jeśli poeci mniemali że dla dusz wybranych pięknego trzeba klimatu, nie mogli dla nich lepszego znaleźć miejsca. Ostatni raz gdy je zwiedzałam, było to 22 grudnia, daremno poszukawszy wzrokiem błogosławionych cieni co je niegdyś zaludniały, spuściłam na ziemię oczy, i między wielu kwiaty, zerwałam sobie parę białych Irysów, dziko tam na polu w końcu grudnia kwitnących! Gdybym była poetką, inogłabym w metempsychozę wierzyć.

Teraz nieco dalej w środku tego brzydkiego kanału, postrzeżesz jakiś domek, skromną willę. Należy ona do króla. Jest to rodzaj folwarku, gdzie ostrygi tuczą, dzików młode wychowują potomstwo, i inną na stół jego zwierzyne.

Niedaleko Bauli, wznosi się budowa szczególniejszych kształtów, dumnych wymiarów, zwana pałacem Pizona. Ze wszystkich zwałisk jakie ten piękny brzeg zdobia, ta najlepiej wieki przetrwała. Tam jak mówią Neron często przybywał, bez gwardyi, bez żadnego orszaku, do kąpieli lub na poufały obiad. Sławna Epicharis, w skutek spisku w Rzymie uknowanego, tam przybyła, i podczas jednego z tych obiadów, zgładzić Nerona chciała. Ale Pison nieprzystał na to. Niechciał by w jego domu prawa gościnności zgwałcone zostały, zemsty bogów się lękał. Spisek odkryto. Sprzysięgli jedni drugich wydali; prócz Epicharis, którą gdy po długich a nadaremnych dla zeznań męczarni, na nowe ją prowadzono, nic nie wyjawwszy, własną udusiła się szarfą.

U stóp wioseczki, nad brzegiem morza, jest jój mała przystań, portem Bauli zwana. W niej to niegdyś Neron powitał swą matkę, gdy na zabawy przywołana, zdradziecką, z rozkazu jego, zesłał śmiercią. Tacyt cały ten wypadek i miejsce w którym zbrodnia dokonana została, dokładnie opisuje. Mówi, jak Agrypina miała najprzód być zatopioną w przejeździe z Bauli do Bai, w statku urządzonym w taki sposób, iż spód się jego otwierał; jak spostrzegłszy niegodziwą zdradę wskoczyła



do łódki, i skryła się nad Lukrynu brzegi, lecz i tam śmierci nie uszła. Teżże nocy, dziewiętnastego marca, zgladzoną została, a wierni dworzanie, wzniesli grobowiec, którego złomy dotąd jęj na tym brzegu smutny opowiadają koniec.

Pomnik Agrypiny tak obszerny, że w nim niektórzy raczjć jakiego teatru niż grobowca upatrują reszty, już po większjć czjści zasypyany ziemią i silnemi porosły krzewy. Wnętrze gdzie niedawno jeszcze rzeźby i malowania widzieć można było, tak teraz od pochodni któremi tam przyświecają okopcone, iż nic rozeznąć nie można.

O kilka kroków z tamąd, na skalistjć bryle, postrzegają się sławnjć Cuny zwaliska, tjć kolonji greckiej, Neapolu prababki. Podług Wirgiliusza, Dedal z wyspy Candyi jednym tchem tam przeleciał, a późnić i trojański książe na jęj wylądował brzegi. Za Sybilli poszedł radą, jęj usłuchał głosu, z nią, jak wspomnieliśmy, do piekieł wkroczył (1).

Cuma tylu głośna sławami, w braku ich mogłaby na sławie swjć Sybilli poprzestać. Ta kapłanka siódma w hierarchji wieszczego rodu swego, córka Glauka, ołtarzom Apollina głównie poświęcona, żyła wieków siedm. Wirgiliusz przeżywa ją też *longoeva*, a Owidyusz *vivax*. Ona to przyniosłszy Tarquiniuszowi staremu kabalistycznych ksiąg dziewięć, gdy niemogła za nie otrzymać żądanej ceny, trzy z nich w ogień cisnęła, za pozostałe też samej żądając jeszcze summy. Po nowém odmówieniu, znów trzy spaliła, a król przestraszony żeby i trzech ostatnich podobny los niespotkał, dał za nie tyle, ile pierwotnie za wszystkie żądała. Imię jęj było Amalthea; lecz czasem Deifobą jest zwana.

Teraz z licznych i świetnych Cumy zabytków, pozostało już tylko trochę gruzu z jęj rozległych murów, jeden tryumfalny łuk z marmuru białego, i złomy śwjćtyni z którjć kolosalne popiersie Jowisza, w neapolitańskim zobaczysz muzeum.

O małą od Cumy włoską milkę, leży wioska *Torre di Patria*, a w nićj grobowiec Scypiona afrykańskiego. Posąg jego, piorunem zgruchotany, zostawił tylko po sobie podstawę z napisem, w którym bohater, wyraża swjć niewdzięcznej ojczyźnie radość, iż kości jego nie będzie miała!

Gdybyś posunął jeszcze dalej, dalej — znalazłbyś się w Capoui, Annibala upadkiem sławnjć, a o którjć już kilka słów poprzednio powiedzia-  
łam. Ale na owym brzegu, gdzie także każdy krok niepośledniem, jak przyznasz, naznaczony wspomnieniem, jeszcze cię przyłudek Miseny woła.

(1) Ob: Eneidy księ. VI.

Misena podług Wirgiliusza wzięła swą nazwę od Misena, towarzysza Hektora, później Eneasza ukochanego trębacza (1). Jeden z morskich Tritonów pozazdrościwszy mu talentu, porwał go i utopił, a Eneasza wspaniały mu na tym właśnie brzegu sprawił pogrzeb, podobny temu, jaki Byron swym dwóm przyjaciółom, także przez Tritonów porwanym, w okolicy Pizy wyprawił (2).

Za rzymskich czasów, Misena była znakomitym portem. Cała cesarstwa flota, w nim odpoczywała zwykle. Pliniusz stary, *naturalista* przezwany, właśnie nią dowodził w 79 roku, i z Miseny się wybrał dla bliższego przypatrzenia się Wezuwiusza wybuchowi do Herkulanum, z kąd już niewrócił!...

Góra czyli twarda bryła w morze wrzucona, dawniej Miseny podstawa, piękna jest swém położeniem, i godna widzenia. Rozległe pod nią pieczary, silnemi podparte słupami, niewiadomo jakie pierwotne przeznaczenie miały. Z wierzchołka zaś, na który oniemał z taką jak na Wezuwiusz trudnością i udęczeniem wdrapać się trzeba, najpiękniejszy widok, najrozleglejsze na całą Neapolu zatokę, otwiera się panorama; a ta już do tych należy obrazów, przed którymi usta me zaniemiały, ręka bezwładnie opada, do których żaden ludzki język godnych nie posiada wyrazów, ja ich przynajmniej nieznam, nie zgaduję.

Przylądek Miseny głębokim w morze cyplem zamyka z przeciwnej Sorrentu strony to cudne zokrąglone morze, nad którego pięknnością nigdy dość unosić się niepodobna; którego wdzięki zawsze tak świeże, jakby po raz pierwszy widziane, codzień świeższyn urokiem ogarniają duszę. Z niego skłoniłam się z daleka memu zeszłego lata ustroniu, gdzie tyle pogrzebałam marzeń, tyle wspomnień zasiałam. I długo, dowoli, mogłam się nadobnemu przypatrzeć Sorrento, jedząc śniadanie w małej Miseny gospodzie, i to nie *w niej*, ale dokładnie mówiąc *na niej*, na jej płaskim dachu, gdyż wewnątrz i ganek, zajęte były licznem i hucznem Anglików gronem.

Kto nie lubi morskich przejażdżek powinien z Miseny do Procidy i Ischji się wybrać. Z Neapolu przestrzeń daleko większa i często niebezpieczna; a lubo w lecie chodzi jakiś raz na tydzień parowy statek, ten jest tak powolny, iż cały dzień na tę zabiera podróż.

(1) At pius Aeucas, ingenti mole sepulcrum —  
Imponit, suaque arma viro, remumque, tubamque,  
Monte sub acrio; qui nunc Miscus ab illo  
Dicitur, aeternumque tenet per saecula nomen.....

Aenci. L. VI.

(2) Ob. tom I Rozdział VIII.



Z neapolitańskiego archipelagu Ischia jest najpiękniejszym klejnotem. W środku jęj wulkan który niegdyś po razy dwa wyspę zupełnie ogniem zalawszy, wygnał całą jęj ludność, teraz zagasły, zdobi ją tylko, a swe mi popioły i wewnętrznym żarem, grunt jęj użyznia, grzeje uzdrawiające jęj źródła. Obok najżyźniejszego kraju, żyzność Ischji zadziwia jeszcze oko. Niema dwóch mil naszych kwadratu, a na nich więcj 24,000 mieszkańców żywi. Mineralne jęj wody wabia prócz tego co lato dość obcych, i więcj jeszcze by wabily, gdyby więcj o nich się troszczono. Ale nie tylko żadnych resursów, lecz wpośród największej obfitości, często najpierwszych potrzeb życia brak się czuć daje. Jęj zwierzyna, ryby, owoce, wszystko jest pod monopolium stolicy podciągnięte; mieszkańcy Ischji na powrót je dopiero ztamtąd otrzymują, a gdy morze zburzone, i wszelka komunikacya przecięta, największy niedostatek czuć się daje.

Dzieje tęj ładnej wysepki, dwa razy pożarem wulkanu przerwane, największej ulegają niepewności. Jedni mówią że się zwała Pithemsa, od jakiegoś rodzaju małp który już tam całkiem zaginął; drudzy ją zowią Aenazia i Inazime. Strabon twierdzi iż Rzymianie znaleźli ją zupełnie pustą. Łatwo temu dać wiarę kiedy ludność dwa razy uciec lub spłonać pod wulkanem musiała.

W głębi wyspy kilka ruin czy to z rzymskich czy z późniejszych są czasów?... nikt dokładnie powiedzieć nie może. Ciceroni mówią że tam był jakiś pałac Augusta. Prowadzą także do tak zwanego jeziora Ischji, do parowych łaźni, i drugich kąpeli w wiosce Casamiciola, które mają cudownie na chorych działać. Ale najpiękniejsza rzecz do widzenia to jest ów zagasły wulkan, niegdyś Epomeo, teraz pospolicięj Ś. Mikołaja górą zwany, i widok z jego szczytu na wszystkie neapolitańskiej zatoki brzegi.

Tuż przy Ischji, małym korytem oddzielona, wyskakuje z morza skalista wysepka, *Procida*. Daleko od Ischji mniejsza, 12,000 tylko liczy mieszkańców, którzy za najlepszych uchodzą marynarzy. Najznakomitszym jęj wspomnieniem jest jęj książę Jan, niesporów sycylijskich sprawca, a największą ozdobą, piękny strój o którym ci już mówiłam. Ale dla widzenia go, trzeba albo w dzień świąteczny do Procidy przybyć, lub w Neapolu na fecie *piè di grotta* między tysiącem innych wyszukać. Ubior ten inaczęj starannie zamknięty spoczywa, gdyż on po matce w spadku się dostał, i kilku jeszcze służyć ma pokoleniom, a codziennie kobiety brudne i obdarte chodzą jak tam wszędzie. Rysy zaś ich niepozwalają zaprzeczyć greckiego pochodzenia. Procida bowiem ostatniem ich była na tych brzegach schronieniem.

Blżej Neapolu ujrzysz jeszcze jedną wysepkę, Nizidę. Naga ję skała, z zamkiem na więzienie przeznaczonym, nie warta zwiedzania, lecz w 6rodku morza gdy się w niem przegląda, i zalotnie przy zachodzącém słońcu odbija, prześliczny dla oka robi efekt.



Wszystko to, co się dzieje, jest tylko przedmowa do wielkiego przedstawienia, które w tym dniu ma być wzięte w wykonaniu. W tym dniu, który jest dniem wielkiego przedstawienia, wszyscy, którzy chcą być widzami, muszą być w Rzymie. W tym dniu, który jest dniem wielkiego przedstawienia, wszyscy, którzy chcą być widzami, muszą być w Rzymie.

## X.

COMMENTARZ. — OSTATNIA WYSTAWA. — OBECNY STAN LITERATURY  
I WYCHOWANIA MŁODZIEŻY. — DROGA Z RZYMU DO NEAPOLU. —  
GAETA. — WSPOMNIENIA CYCERONA. — POWRÓT DO RZYMU.

**M**uszę ci też i o dniu zadusznym parę słów powiedzieć. Dnia tego większa część neapolitańskiej ludności idzie na *Campo Santo*, czyli na ementarz. Nie myśl jednak żeby to było dla płakania nad zmarłemi, lub dla modlenia się za ich dusze. Bynajmniej. Jest to spacer, rodzaj fety, gdzie jedzą, piją, śpiwają i wzajemne sobie podarunki dają. Od rana przychodzi do ciebie hotelowy chłopiec, żona gospodarza domu, stangret co ci powóz najmuje, krawiec, szewc i tam dalej, wszyscy proszą *per la botiglia dei morti* (na piwo zmarłych), i nieprzebaczyliby gdybyś brzęczącą monetą lub innym nie okupił się darem.

Nasycona już widokiem scen popularnych, nie skora byłam biedz w ten tłok, tém jeszcze dnia tego większy iż odsłonięto nowy posąg, w środku ementarza, dla ozdoby postawiony, przy której to ceromonji król ze swym dworem miał być przytomnym. Widziałam tylko z mych okien jak się tam ciągnęło długie lazzaronich pasmo; a dnia następnego dopiero,

gdy już nikogo na nim nie było, poszłam Campo Santo, i nowy jego posąg oglądać.

Ale ta samotność, co tak zdaje się konieczną do cmentarzowych wrażeń, wcale tam na nie żałobnego nie rzuciła cieniu. W Neapolu śmierć jak życie, wszystko się w girlandy owija, wszystko tchnie róży wonią. Cmentarz neapolitański jest najpiękniejszym ogrodem; w całym Flory królestwie nie znajdziesz tyle co tam kwiatów, nigdzie na świecie szerszego i piękniejszego widoku. Zdaje się iż ci co neapolitańskiem żyli powietrzem, po zgonie pod kwiatami tylko spać mogą.

Droga z obu stron różami osadzona, wspina się więcéj jak przez pół godziny, zanim na te chrześcijańskie *elizejskie pola* doprowadzi. Wszystkie groby zasute mnóstwem różnobarwnych krzewów i kwiatów, na spadku góry w amfiteatr usłane, z dołu śliczną tworzą dla oka dekoracją, a u szczytu pyszne otwierają przed niém panorama. Grobowce uboższe na kwiatach przestają; bogatsze mają popiersia i posągi; zamożne rodziny, rodzinne groby. Są to najczęściej rodzaje kaplic, gdzie w ścianach do koła nisze na trumny w ich długości z profilu w kilka rzędów otwarte, a cała kaplica żelazną zamkniętą kratą. Niektóre z tych katakumb już zapełnione, z tablicą nazwisko tylko nieboszczyka i datę zgonu lub jakiś pochwały wiersz mieszczą, inne o modlitwy przechodnia błagają, inne jeszcze próżne czekają..... Każdy z téj rodziny zawczasu wiedzieć może gdzie jego spoczną kości... Nie jednemu Bóg tak błogiego odnawia przeznaczenia.

Te pośmiertne rodzinne salony, gdzie nie brak powietrza, słońca i woni (bo w środku najczęściej stoi krzyż opasany różami), daleko mi się bardziej podobały niż wilgotne i zatęchłe piwnice, zwykle na taki przeznaczone koniec. Niech śmierć się żalobą osłania, są to jéj szaty: ale po cóż odrażające ma obudzać wrażenia?

Tak chodząc od jednéj do drugiéj z tych kaplic, natrafiłam i na groby rodziny L<sup>o</sup>. Zajrzałam wewnątrz, by zobaczyć czy już tam biedną Andzolinę złożono. Jedna nisza świeżo zapełniona była, ale nie miała jeszcze napisu. Zdało mi się iż tam musi stać nieszczęśliwéj *innamoraty* trumna; ukłękłam i szczerą za spokój jéj duszy postąpiłam do nieba prośbę.

Ozdobny zaś posąg świeżo na cmentarzu postawiony, o którym mówiłam, wyobraża *Wiarę* z krzyżem w ręku. Kolosalnych wymiarów, rysami i całą postawą, nadzwyczaj przypomina rodzoną swą rzymską siostrę, którą Canova na pomniku papieża, Klemensa Rozzenigo, w bazylice Ś. Piotra umieścił.



Lecz ciekawszém nad to wszystko jest urządzenie cmentarza dla biednych. Jest to duży czworoboczny dziedziniec, ciosowym kamieniem zasłany, w którym postrzegasz trzysta sześćdziesiąt otworów. Wszystkie te piwnice, grubą także kamienną pokrywą zamknięte, raz do roku tylko po kolei się otwierają; to jest że każdy dzień roku ma swój wyłączny grób, który dnia tego odsłonięty, czeka i odbiera swych zmarłych, a wieczór kilka beczek wapna ostatnią jego tworzą warstwę. Ciała wapnem strawione, przez cały późnij rok przerabiają się i zasilają matkę swą ziemię. Dniowa taka mogiła co wieczór szczelnie zamknięta, zostawia następnej kolej, i w rok dopiero na garstkę popiołu z przeszłorocznych pozostała ciał, nowych przyjmuje mieszkańców. Cmentarz w podobny urządzony sposób, nie potrzebuje co parę lat być burzonym, oczyszczanym; nikt kości zmarłych świętokradzką nie narusza łopatką; one z prochu powstałe, w proch się obracają (jak my to corocznie w popielec słyszemy), ale spokojuie sobie spoczywają; nikt ich nie przerzuca, nie wyrzuca, nie igrza z niemi.

W takie to ogólne groby rzucają wszystkich którzy niemają za co gruntu sobie kupić i kwiatami go zasiać; tam bracia miłosierdzia zanoszą przetwarte trumny, podobne téj którą, jak pamiętasz może, pierwszego dnia mego do Neapolu przybycia spotkałam, i ujrzałam w niej młodą dziewczynę z różą w ustach. Inne, zamożniejsze pogrzeby, nie powiem wspaniałej, ale inaczej się odbywają. Nie towarzyszą im jak u nas mnichy z gromnicami i z tym grobowym śpiewem, co tak długo jeszcze potem w uszach pozostaje, ani też straszliwi pod swą maską miłosierdzia bracia, ubogim tylko swe poświęcający usługi. Po odbytem w kościele nabożeństwie, mniej lub więcej okazałem, wstawiają trumnę w rodzaj kufra do tyłu czarnej karety utwierdzonego, czyli raczej, jedną z nią tworzącego całość. Karety takie, zawsze gotowe do najęcia stoją. Jedne są podwójne, drugie poczwórne; jedne czarne i bez żadnych ozdób, drugie niebieskie lub amarantowe, z ugalonowanemi koźlami, ze złocistemi kołami, z bukietami piór na czterech u wierzchu rogach. Te co dla dzieci przeznaczone, mają na kufrze w którym się trumna wiezie, dwie skrzydlate lalki, niby dwóch aniołów, bo jak uważasz, anioły we Włoszech nie poślednią grają rolę, i żadna religijna ceremonia bez nich się obejść nie może.

Przez czas spaceru mego po cmentarzu, dwie takich przyjechało karet. Pierwsza czarna wiozła dwóch księży z gromnicami w ręku, i dwie osób z familji nieboszczyka. Te gdy oświadczyły że ich krewny umarł nagle, wyjęto go natychmiast z trumny, i zaniecono do sali na takie przyrządzonej wypadki. Jest to rodzaj korytarza z tapczanami, na któ-

rych składają ciała nie dość wyraźnie ślady śmierci na sobie noszące. Nad każdym tapczanem wisi głośny dzwonek; sznurek jego do ręki zmarłego uwieczniają, tak żeby za najmniejszym poruszeniem zadzwonił, a tuż obok mieszkają braciszczowie klasztoru, przeznaczeni do przysłuchiwania się dzień i noc jemu. Mówią iż powrót do życia nie jest tak rzadką rzeczą, jakby się zdawać mogło, co dowodzi ile w innych krajach gdzie podobne wzorowe nie istnieją urządzenia, ile mówię żywych grzebią!

Druga karetą była niebieska, bogata, aniołkami ozdobiona. Wyjęto z jęj kufra trumienkę także niebieską i bogatą, a gdy zrzuciono wieko, odkryto dziewczynkę świeżemi do koła kwiatami owitą. Te już nie na tapczan pośmiertnej sali, lecz do małej zaniesiono kapliczki, anielską nazwanęj, i tam na wywyższeniu przed ołtarzem umieszczono. Powiedziano mi, gdy pytała o przyczynę tęg nowęj ceremonji, iż dzieci tego wieku, jako anioły po zgonie uważane, dla oczyszczenia swą przytomnością kościoła i klasztoru, przez całą dobę zostawiane tak bywają, i dopiero dnia następnego do familijnęj lub osobnej idą mogiły.

Ale po cóż tak długo po cmentarzach cię wodzić? w Neapolu gdzie śmierć zdaje się anomalią, obrazy jęj, acz mniej niż gdzieindziej ponure, rażą swą sprzecznością. Wróćmy lepiej jeszcze raz do muzeum burbońskiego, gdzie nowa coroczna wystawa świeżemi ramami napelniła sale, gdzie można ocenić terażniejszych tamecznych artystów wartość.

Neapol mniej ich daleko niż Rzym i Florencya posiada. Jego specjalnością, jak mówiliśmy, jest muzyka; malarstwo i rzeźba, podrzędniejsze trzymają miejsce. Trzy sale napelnione obrazami, i dwie posągami jawnym wówczas były tego dowodem. Między tysiącem mierności, najmniejszych jednak były portrety.

Najwięcej cudzoziemców do Włoch przybywających mają przekonanie, iż niegodzi się ich opuścić nie wywodłszy, na wieczną dla rodziny pamiątkę, wizerunku swego. Nic jednak mylniejszego, i to nie do samego Neapolu, ale do całego należy zastosować półwyspu.

Włoski naród, a tęg bardziej artyści, zanadto są przesiekli uczuciem kunsztu, by go do salonowych skarlić wymiarów. Oni zupełnie inaczej nawet niż my kobiecą pojmują piękność. Gdy w jęj rysach znajdują jakiegś Ceryery lub Matki Boskiej wyraz, wówczas je znajdują piękniemi, ale te wszystkie płowe, wysznurowane i wygładzone balowe nasze sławy, wcale do ich nie przemawiają wyobraźni. Oni też z portretu, gdy talent artysty temu odpowiedni, piękny mogą zrobić obraz, jak to niegdys ich sławni nadziady Leonardo da Vinci i Rafael robili, ale to nigdy pochlebnią dla oryginału pamiątką, jakby nasze elegantki żądały, nie będzie. Koloryt ciemniejszy, wzrok i postawa bardziej śmiała niż ujmująca, a kibić pod



tysiącem gestych fałd zniknie, lub najniezgrabniejsze w prawidłach mody, okaże kształty.

Co do mężczyzn, portrety włoskich artystów są szczęśliwsze, ale w pięci pięknej tajemnicach, Włoch niedomyśli się, jak *Dubuffe*, *Court*, i inni malarze francuzcy, iż niema grzechu w ujęciu pary cali z objętości stanu, w dodaniu cokolwiek białej farby do tła twarzy; on nawet eleganckiej gracyi w sparciu się na modnej otomance nie uchwyci, a jeszcze mniej wyrówna im w zręcznym włosów i sukni układzie, gdzie to i ostatniego żurnalu mód przypomnisz sobie wzory, i chwile kiedy ta giętka kibić, w ostatnim walcu, na twój zwieszała się ręce, kiedy te lekkie włosów pierścienie, w tymże walcu po twój igrały twarzy. Wszystkiego tego artysta włoski nie pojmuje, nie odda. On jak żyje nie spójrzal na żaden modny żurnal, nie spytał jak się ubierają w Paryżu; a choćby tysiąc razy w salonach pierwszych dam swego narodu bywał, jeszczeby nie odgadł na czém zawisła prawdziwa elegancya w stroju, gracya w postaci, bo tam tego nie znajdzie; żadna z tych pań mu nie powie czém w portrecie, nie ujmując podobieństwa, pochlebiać można i należy, bo żadna tego sama się nie domyśla.

Po wszystkich też wystawach włoskich, między portretami, najwięcej miały powodzenia prace *Courta*, a mianowicie dwie głowy młodych osób w stroju na pół balowym, na pół kostiumowym, z maseczkami w rękach. Siostry te zawsze i wszędzie w całym półwyspie napotykałam, a teraz po magazynach rycin odbicia ich u nas widują, co dowodzi ich sławę. Bo jaka też tam cieńkość ulanej na rękę rękawiczki, jak ładny na koroucce deseń! Róża przy gorsie niezawodnie wychodziła z fabryki *Konstantego* w Paryżu, ubiór głowy z pod ręki Edwarda, a atlas sukni z magazynu *Delilla*. I niektórzy dziwili się iż *Court* opuścił Paryż dla Rzymu, i że tam zasypyany był robotami? On to jednak bardzo dobrze w swym interesie pojął. W Paryżu temu rodzajowi poświęconych pęzli bez końca, we Włoszech żadnego nie znajduje współzawodnictwa. Każda ładna Angielka lub Francuzka, przebiegłszy sławne tanceczne pracownie, bieży co prędzej swą twarzyczkę *Courtowi* przedstawić, bo czyżby *Agricola* potrafił tak ładnie perły jej na szyi uwiesić, *Podesta* tak zgrabnie wual do włosów przypiąć, żeby nic nie zasłaniając, deseń tylko czarnej koronki na białém odbijał czole?

W krajobrazach Włosi zaczynają więcej nabierać biegłości; lecz ich specjalności w malarstwie, zawsze są historyczne utwory, lub przedmioty z pocmatów czerpane. W neapolitańskiej wystawie kilka było boskiej komedyi ustępów, a między niemi chwila gdy *Dante*, w wejściu nieba spotyka swą *Beatryxę*, bardziej już do niebiańskich niż do poziomych

należącą istot, z prawdziwym oddane talentem. Nad wszystkie jednak tego zbioru płótna, i wysoko nad nie, wznosił się obraz neapolitańskiego malarza, *Allamura*. Przedstawiał on żalującą swych błędów występłą niewiastę u stóp Chrystusa (l'adultera). Ubiór jej w nieładzie z resztą zapomnianych z ostatniej uczyt klejnotów. Twarz całkiem włoskich a niewypowiedzianie pięknych rysów, nie ostygła jeszcze z zapamiętałej swawoli, a oczy lżą serdecznego żalu już pełne, cała jej uroczą postać bez żadnego przymusu, ni wyrachowania, na kolanach u nóg Zbawiciela błagająca przebaczenia, wszystko tam, mówię, najdoskonalej pojęte i oddane. Nikt ją widząc pewnie się nie zdziwił, iż to rozgrzeszenie o które tak gorliwie błaga, zaraz otrzymała; a jej sędzia im mniej byłby Bogiem, témby jej łatwiej jeszcze przebaczył.

W literaturze, Neapol jeszcze mniej niż w innych zawodach posiada w tej chwili znakomitych talentów. Wychowanie młodzieży poruczone duchowieństwu, bynajmniej umysłowemu rozwinięciu nie sprzyja, a niesłychana srogość cenzury, także księżom oddanej, i wysokie cło wchodowe za książki, niedopuszcza pomocy obcego światła. Typografia nawet teraz dopiero podnosić się zaczyna, i nie wiele znajduje zręczności ćwiczenia się. Drukarnie mało zajęcia mają, gdyż autorzy zmuszeni własnym nakładem swe wydawać dzieła, wolą je gdzieindziej posyłać, niż oddawać je pod przegierz własnej a niemiłosierniej cenzury.

Co do dziewcząt wyższej kondycyi, królowa Karolina, żona Murata, założyła kilka panięskich pensyj. Przedtém po klasztorach bywały chowane, lecz najpiękniejszym z naukowych tam zakładów jest szkoła chińska, gdzie młodzi Chińczycy odbierają zasady wiary naszej, by je później we własnym szerzyli kraju.

Tak już wszystkie zakąty Neapolu zwiedziwszy, po nowym roku postanowiłam wrócić do Rzymu. Im bliższa jednak była godzina wyjazdu, tem mi boleśniej było rozstać się z czarownemi wdziękami kraju tego. Po raz drugi i trzeci każde zwiedzając miejsce, a żegnając się z niemi, sama w to nie wierząc, powtarzałam głośno, że jeszcze je kiedyś powitam, że wzrok mój nie ostatni raz na nich spoczywa, dusza przestaje z niemi.

W ogrodzie publicznym *Villa Reale*, co niedziela po mszy, grywała wówczas wojskowa muzyka. W lecie i jesieni te koncerty przy zmroku się dopiero zaczynały; w zimie ciepło umiarkowane dozwalało w południe je słyszeć. W dzień nowego roku 1846, poszłam tam w jedwabnej letniej sukni, w lekkiej mantylce, i oniemal za ciepło mi było. Część ogrodu obnażona była z liścia, druga za to połowa zasadzona drzewami, co go nigdy nie tracą, obok mnóstwa kwiatów, zupełne przedstawiała



wiosenne złudzenie. Zapisałam sobie dzień ten w pamiętniku, bo pewno podobnych w nim, już w całym życiu moim, nie doznam roskoszy. Wzrost tej zielonej ukwieconej natury, ciepłego słońca promieniami ozłoconej, nad brzegiem lazurowego morza, u stóp Wezuwiusza, jakby po raz pierwszy mię zachwycił! Może przez porównanie z temi zaspami śniegu, na jakie w dni podobne patrzeć zwykłam, jakie przeczuwałam że mi za rok widzieć przyjdzie! Szczęśliwy Neapol, myślałam, nigdy pod tym zimnym całunem nie płacze swój nadobnej przyrody, mrozem jego nigdy swych członków, swego nie krzepi gorącego tchnienia! O czemuż Bóg nam, choć raz w życiu, choć w jubileuszowe lata, podobnej nie udzieli roskoszy, by każdy, a przynajmniej wielu jęj pamięć mogli z sobą jak ja do grobu unieść!.....

My za to po nowym roku zaprzęgamy sanię i ślizniem się jakby parą niesieni, gdzie tylko zamierzym sobie, a ja w Neapolu nie mogłam się zdecydować jaką obrać do Rzymu drogę, tak każda wiele niebezpieczeństwa przedstawiała. Na morzu ciągle burze, na lądzie zbójcami straszono. Mówią iż koło Terracine i w zaroślach bagien pontyńskich, zkad latem zaraza ich wypędza, w zimie główne swe obierają siedliska. Jednak zważywszy iż z ludzką łatwiej jeszcze niż z morską można sobie poradzić wściekłością, ziemi wybór dałam, i piętnastego stycznia po raz ostatni piękną pożegnałam Parthenopę.

Możesz się domyślić iż wyjechawszy z Neapolu nic mi się podobać nie mogło. Strona którą wyjechałam, zupełnie inny jeszcze nosi charakter, jak te co do Sorrento, lub Cumy i Miseny prowadzą. Las, łąki i uprawne grunta, udają rolniczego kraju wyraz; możnaby się chwilami, w Bawaryi koło Monachium mniemać. Nareszcie przybywa się do Aversa. Miasteczko to wzniesione przez Normandów i na rywalkę Neapolu przeznaczone, tyle razy w dziejach kraju swego wspomiane (bo jak pamiętasz, między innymi wypadkami, pierwszy mąż Johanny I tam zgłodzony został, a później Guise w niem swą założył stolicę), teraz 16,000 mieszkańców tylko liczy, a główną jego zaletą jest bardzo pięknie urządzony dla obłąkanych szpital.

Dalej napotykamy Capouę, o której już ci mówiłam, później nieco zamożną i piękną Gaetę.

Gaeta od najdawniejszych czasów swój liczy początek. Ma bowiem pretensją być założoną przez Eneasza, który ją miał swęj mamce, *Kajeta* zwanęj, ofiarować. Położenie na skalistym brzegu morza, gaetańską zatoką zwanym, zachwyca tych co nie świeżo z Neapolu wyjechali. Gaeta pełno ma wielkich historycznych wspomnień, i wiele sławnych wytrzymała oblężeń. Zamek jęj, czyli twierdza, jedna z najsilniejszych w Eu-

ropie posiada ciało hetmana Bourbona (Connetable de Bourbon), a katedra bardzo piękny obraz Pawła z Werony (Paolo Veronese).

Nie dojeżdżając do Gaety, napotykamy znaną także w historii rzekę Garigliano. Prześliczny na nią rzucony most żelazny, jaki tylko w stolicach dla ich ozdoby widywać się zdarza, wydaje się tam nie na swójm miejscu.

Do koła pełno tam wszędzie wznosi się ruin. Nie miałam czasu oglądania ich każdój z osobna. Niepodobna mi jednak było obojętnie ominąć tuż za Gaetą stary wodociąg, i kilka innych jeszcze złomów pozostałych ze sławnój niedolą Maryusza Minturny, gdzie ten wódz przed sztyletem Sylli ukrywać się musiał.

Cała ta droga zasiana jest także pamiątkami Cyncerona. Wioska, teraz Castelleone zwana, jest dawne jego Formianum. Niedaleko ztamtąd pokażą ci reszty dużej sali, częścią już morzem zalane, gdzie miewał swe filozoficzne rozprawy, a na wzgórzu rodzaj wieży, która ma być grobowcem jego. Niektórzy ze starożytnych dziejopisarzy opowiadają, że Cynceron wyjechawszy ze swój w Tusculum villi, puścił się morzem aż do Terraciny brzegów, i tam dognany przez zbójców, z rozkazu Antoniego czyhających na niego, zabity został. Podług Plutarcha zaś smutny ten koniec spotkał go niedaleko Formianum, niedaleko miejsca gdzie grób jego stoi.

Zaraz za Terracino, zaczynają się puste i smutne stepy, te sławne bagna pontyńskie, o których tysiąc razy slyszeć już musiałeś. Między włoskimi malariami tak rozlicznych rodzajów, ta co tam panuje jest najokropniejszą, gdyż zamiast febry, swemi zatrutemi wyziewy dekomponuje ciała. Niegdyś tam bogate wznosiły się ogrody, teraz żadnego nie znajdziesz domostwa; a jeśli gdzie ujrzysz człowieka, to blady, żółty, chory, jakby już do żywych nie należał, lub wkrótce miał przestać należeć do nich. Mówiono mi że konie na pocztowych stacyach, gdy kilka lat ich nie zmieniają, wytrzymać tamecznej zarazy nie mogą, a długo zanim skończą, skóra ich i mięso tak zepsute, jakby z jakiego padła, przy kości się nie trzymają.

Na prawo od Terracino zaczyna się dziki las Neptuna, ze swemi bawołów i bandytów rodzinami, o którym ci już mówiłam; dalej znajdujemy ładne Albano, także ci już z opisu mego nieco znane, z pięknymi kobietami w ślicznym strój, a to wszystko po pontyńskiej pustyni sto razy piękniej wygląda. Nakoniec dwa pasma ruin, dawnych mogił złomy, prowadzą do stolicy grobów, do stolicy świętój, tak żwawo zawsze upragnionój, a tém bardziej po nudnej i pełnej trwogi podróży, którą z największą kończyłam radością.



Przyjeżdżając łądem z Neapolu, Rzym nie przedstawia się w tak pyszno-eleganckiej postaci jak od strony Florencyi. Bo też jedna jest brama, jedyny plac del Popolo w świetle, on jeden takie wrażenia sprawiać może! Wjazd od Florencji niema podobnego sobie. Tą razą zaś wjechałam przez bramę łacińską, około Ś. Jana laterańskiego, koło schodów świętych i Colosseum. Wyznaję iż dopiero widok tego kolosu, co dla mnie zawsze był i będzie całą epopeją, a przynajmniej treścią jednego z głównych historyi ustępów, obudził nieco Rzym w mej duszy, przypomniał cokolwiek zbyt zapomnianych jego melodyi uroczysty dźwięk.

Lecz i to, jeśli mam w zupełnej duszy mej szczeroci wyznać, nie takie sprawiło na mnie wrażenie, jakiegobym spodziewać się mogła. Widok tój ruiny całą dumą przeszłości namaszczonej, postawionej w jednym Rzymu krańcu, jakby dla przyzwania z tój strony przybywających do żalobnej poezji, tój ruin stolicy jakby pierwszy akord koncertu, czyli raczej grobowego jój śpiewu, zamiast rozgrzać mą duszę, jeszcze ją bardziej otępił; zamiast natchnąć ją i do hymnu podnieść, jakby śmiertelnym ją przenikł dreszczem.

Umysł zbyt rozkołysany miękkimi Neapolu roskoszami, niemógł znieść ani się od razu przejąć poważnym Rzymu duchem. Wzrok szukał jeszcze swawolnego morza brzegów, a tu surowy kościół z czarną u drzwi firanką, horyzont mu zasłaniał, słuch pragnął śpiewu Neapolitańki lub tarrantelli, a tu sama cisza odgłosem dzwonu, lub kiedy niekiedy dalekim turkotem jakiego powozu tylko przerwana. Ulice puste, głuche, wydały mi się brudniejsze niż w Neapolu, brudniejsze niż kiedykolwiek bywały, a tak wyludnione jakby po świeżo skończonej zarazie czy wojnie. Niebo do tego było szare, powietrze zimne, mieszkańcy w szerokich na jedno ramie zarzuconych płaszczach, drżący i smutni, bez żwawości w ruchach, bez uśmiechu w oczach, jakby grobowe duchy, słowem zdało mi się żem raptownie w otwarty grób wjechała, a Pompeja obok Rzymu, radośnym, roskosznym świeciła w mej pamięci blaskiem.

I dziwże się teraz, Antosiu, jeśli twa ukochana będzie się twego odjazdu lekkać, płakać i ze łzą twogi na nowo cię witać? Dziwże się jeśli ta łza, zamiast rozczulenia i wdzięczności, zniecierpliwia cię tylko, bo nieznajdując już uroku w uśmiechu i spójrzeniu co cię dawniej czarowały, jój będziesz rad tę zmianę przypisać..... gdy na prawdę, i wzrok tenże sam, i uśmiech gotów, i nic się nie zmieniło..... prócz ciebie, prócz twych uczuć na które obcy jakiś oddech wionąć musiał, innemi ją zatruł roskoszami!.....

O któż wytłómaczy wszystkie serca ludzkiego dziwactwa, któż pojmie całą wątpliwość umysłu jego!.... Nikt zapewne. Ale dość się cokolwiek

zastanowić nad nią by stracić o połowę tę zarozumiałość czy dumę, właściwą także nędznej naturze naszej, by doznać jakiegoś rodzaju upokorzenia i wstydu.

I tego ja właśnie za tym do Rzymu powrotem doznałam.

Czując tak Rzym całkiem w mej duszy wystygły, i wstyd mi było, i żal tych wrażeń jakich lubo niewyraźna pozostała pamięć, dość jednak dokładna by ich na powrót pożądać. Straszliwie się gniewałam na siebie, po tysiąc razy powtarzałam, że jużciż Rzym przez te ośm miesięcy mego w Neapolu pobytu się nie zmienił, że jest tenże sam co mnie nad wszystko w świecie zachwycał, kiedy po stracie najukochańszych osób, i gdy cały świat już zdawał się niemieć żywołów do zasycenia omdloną pod boleścią duszy, w Rzymie dopiero uczułam że jeszcze żyć podobna!... Kiedy wjechawszy w bramy jego, zdało mi się żem złożyła głowę na przyjacielskie łono, i pierwszą łzę ulgi w zrzenicy uczułam!... Wszystko to sobie powtarzałam, a wszystko nadaremnie! Słowa te rozumowane tylko do serca nie traślały.

Na domiar tych nieprzyjaznych wrażeń, wszystkich znajomych znalazłam w największym pogrążonych smutku. Żaden w przywitaniu nie miał innego słowa, jak wyraz żalu nad świeżo zmarłym ziomkiem. Pierwsze zaproszenie jakie odebrałam było na jego pogrzeb, pierwszą mowę jaką słyszałam, jego pośmiertna pochwała, pierwszy widok trumna jego, pierwsze znajomych zgromadzenie, na żałobnym nabożeństwie przy gromnic światle.

Wszystkie te, że tak nazwę, Rzymu melodye, żadnego w mém sercu echa nie znalazły wówczas. Wychodząc z kaplicy, spojrzawszy na niebo ponure i dżdżyste, obróciłam się do jednego ze znajomych co mi podał do pojazdu rękę, i rzekłam z tym cierpkim wyrazem co nas nigdy nie opuszcza gdyśmy sami z siebie nickontenci: — „Powiedz mi pan proszę czy tu słońce zagasło? czy już ja żadnego promienia jego tu nie ujrzę, ani jednego uśmiechu na twarzy? Czy tu koniecznie samemi trzeba żyć łzami, a wesołości uśmiech, policyjnemi wygnany przepisy, lub zapomnieliście już o nim?” — „Cóż to się z panią stało? nowém zapytaniem mi odpowiedziano. Czy to pani nieznaną cechą Rzymu i charakteru jego? Gdzież się podziały te uniesienia kiedyś w nim wszystko piękném i szczytném znajdowała? Czy to już zwietrzałe, lub pod neapolitańskiem rozplynęło się słońcem?”

— „Prawda, rzekłam, że mi Neapol zanadto jeszcze w duszy szumi, jeszcze nie mogę dość ochłonąć z upojenia nektarowego powietrza jego, by zasmakować Rzymu surowe wdzięki, by dawny dla nich odzyskać zapach.”



I tu z prawdziwą pokorą i wstydem wyznałam, jak się szczerze gniewam na siebie, jak się obwiniam o serca niewdzięczność, a brak stałości w umyśle, o tysiąc szkaradnych przywar, bo mi coś wyrzucało w sumieniu tak jakbym wpośród niedorzecznego szału zapominała o starym a czcigodnym przyjacielu.

Dobry mój towarzysz w takim mię widząc niepokoju, może litością zdjęty, wszelkich szukał sposobów do pogodzenia mię samęj z sobą. Zaczął mi dowodzić iż ta oziębłość dla Rzymu, właśnie dowodem tęgości umysłu, który pewnego potrzebuje czasu do przejścia z jednych do drugich wrażeń, który pod każdym nie chwieje się wiatrem, nie może w jednej godzinie śmiać się i płakać, po obłokach płąsać i w grobowe zanurzać się ciemnice, śpiewać tarantellę i pobożne hymny. — »Wszak pani, rzekł, i do Neapolu nie od razu wcielić się zdołałaś, nie od razu jego przesiąknął powietrzem. Wszakże po przybyciu pisałaś do pani H<sup>\*\*\*</sup> że cię ta jego wrzawa ogłusza, że chcesz się na wieś schronić by w cichém ustroniu wierności wrażeniom rzymskim dochować, by nie skalać jego świętych wspomnień, czy może natchnienia. Wówczas atmosfera Rzymu cię jeszcze otaczała i broniła tamtęj przystępu, jak teraz nawzajem z tamtego jeszcze uroku otrząsnąć się nie możesz, a wzrok tamedczném zaćmiony niebem, tutejsze za nadto szare znajduje. Ale i na to w Rzymie lekarstwo znaleźć można. Pojedziesz pani do S. Piotra, zbliż się do tego serca stolicy naszęj świętęj, posłuchaj ruchu i uderzeń jego, posłuchaj jego odwiecznego hymnu, a Neapol przestanie ci szumieć w uszach, Rzym na nowo śpiewać ci pocznie.

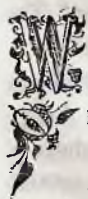
Jak poradził tak zrobiłam, jak przepowiedział tak się i stało.

Gdym weszła pod wzniosłe bazyliki sklepienia, gdym odetchnęła jęj powietrzem, pełnem nieznaných światu woni, ni zimném, ni goracém, we wszystkich porach roku zawsze jednostajnej temperatury, i wyłącznie do tęj należacém świątyni, zdało mi się że w inny świat wstąpiła, że w nim o wszelkiej ziemskiej rokoszy, choćby nawet do raju podobną być miała, pamiętać się nie godzi. Zmysły ochłoneły, dusza oczyszczona tęp niebiańskim powietrzem, nowy w niém zdawała się chrzest odbierać. Kolana same się przed grobową S. Piotra kaplicą zgięły, czoło ku ziemi kornie się schyliło, a zamiast zalotnej neapolitanki i szalonęj tarantalli, anielskie usłyszałam chóry.

Rzym całkiem w męj duszy ożył. Z nową namiętnością uwielbiać go poczęłam; a ostatnia ta zima com w nim spędziła, między najniłszemi życia mego zapisała się wspomnieniami.

## XI.

### PIFERAJO. — OBŁÓCZYNY.



Rzymie, jak w Rzymie, o samym kościele mowa, o jego ceremonjach, obrzędach, miejscowych w tym rodzaju zwyczajach.

Wszyscy, więc ja sama, ubolewali żem nie była na Boże Narodzenie, żem nie widziała *il Santo Bambino* (święte dziecko), i wszystkie dnia tego uroczystości tak kościelne, jak domowe, zwyczajem poświęcone.

Ja tylko drugiej połowy widowiska tego żałowałam, to jest wszystkiego co do zwyczajów należy. Te zawsze i wszędzie ciekawe dla obcego oka, a mianowicie w narodzie, co jeszcze nie stracił swych rodzinnych rysów, w pośród wieku co je wszystkie mięsza, płacze, ściera. Jest to jakby wyrwać parę kartek ze stariej a ciekawiej księgi, w mętniej zamoczonej wodzie, z której gdzieniegdzie już tylko kilka wyraźnych pozostało słów, a reszta rozplynęła się i pod mętem znikła; tak że wkrótce zapomniana, niezrozumiana, nikt się o niej nie dowie.

Co zaś do części kościelnej, do tych stajenek i żłobków na wzór Bethlehem po kaplicach ustrojonych, i wszystkich stosownych do tego obrzędów, te, wyznać muszę, najmniejszej jak sympatii tak i żalu nie obudzały we mnie. Miałam wręście i w Neapolu ich reprezentacyą. Dawniej



w nim klasztor Ś. Klary celował tym rodzajem wystawy; dekoracje jego bogate, lalki najświeższe i najstosowniej ubrane, kilka przedstawiały scen. W jednym oddziale widać było gwiazdę prowadzącą pasterzy, w drugim narodzenie Bożego dziecka, w trzeciej, gdy mu trzej królowie pokłon oddawali.

Teraz niewiem czy przez zubożenie klasztoru, czy z innéj jakiegó przyczyny, wystawa cały niegdys wabiąca Neapol, bardzo zeszkromniała. Główna tylko scena, to jest Chrystus w żłobku, Matka Jego, S. Józef, osieł, pies i t. d. w jednéj z pobocznych kościoła kaplic, w pośród tekturowych drzew i innych dekoracyj przedstawiana bywa. Lecz, jak ci to już nieraz mówiłam, tak nie lubię kościoła w teatralnéj postaci, iż najpiękniejsza dekoracya nie mogłaby mi się w nim podobać, a tém bardziej takie jak tam używają, które wśród dnia niewłaściwie oświetlone, żadnego złudzenia sprawić nie mogą.

W Rzymie, prócz tych kościelnych wystaw, bywają jeszcze w dzień ten uroczysty processye, gdzie papież z całym kardynałów i dworu swego orszakami występuje, i inne ceremonje zwane tam *funzioni*, a po uliczkach chodzą *piferari*, czyli dudziarze. Są to górale z dudą i piszczałką, którzy przed każdym Maryi obrazem, koncert jég dają; są to ludzie, co w przekonaniu że najświętszego dopełniają obowiązku, na kilka miesięcy dla tych religijnych pielgrzymek, dom i rodzinę opuszczają. Żony ich w tém utrzymują przekonaniu, a złe języki głoszą, że ten czas nieobecności mężów, inniéj świętobliwie niż oni przepędzają. Często się nawet zdarza, iż gdy mąż nie dość znaczną uzbierał sumkę (bo domyślasz się że taki piferajo grając na swéj dudzie, wyciąga do przechodzących rękę), żona mu drzwi przed nosem zamyka mówiąc, że złe musiał Najświętszég Pannie służyć, kiedy mu niepobłogosławiła, że nie chce męża, co Matki Boskiég względów nie pozyskał, i na nową wysła go pielgrzymkę. Wtenczas biedny piferajo, już nie przestaje na jednym talencie, ale drugiego w pomoc przyzywa. Gdy muzyka mu niedopisuje, zaczyna tańcować, a tak już nie pod samég Maryi wizerunkiem, ale częściej jeszcze pod oknami zamożnych cudzoziemców, koncert i balet od razu daje.

Ludzie ci odziani w baranie skóry, włosem do góry przewróconym, ze spiczastemi z pawiem piórkami kapeluszymi, z instrumentem bardzo przypominającym *kobzę* włoscian i górali naszych, z daleka malowniczą mają postać. W Rzymie, na schodach z hiszpańskiego placu do Ś. Trójcy prowadzących, zawsze ich kilku siedzi, a ci niezważając na Bożego Narodzenia oktawę, cały okrągły rok grają, i za cudzoziemcami gonią, prosząc o wspomóżenie. Kilku tam zawsze zobaczysz pięć do ósmiolet-

nich chłopaków, tak ładnych, iż bierze ochota żywcem je do albumu przenieść. Ale kiedy przy swój koziej muzyce, ci w baranich skórach tancerze niezgrabne zaczęły skoki, niemożna sobie wyobrazić śmieszności tego kozio-baraniego baletu, a z krótkim wzrokiem możnaby mniemać, iż je antreprenier jakiej menażeryi przedstawić rozkazał.

Ale tej zimy o której ci mówię, Rzym piękniejsze miał balety. Elsler i Taglioni palmę zwycięstwa odbierały sobie. Wszyscy się ubiegali o szczęście widzenia ich pływów. Trudniej było otrzymać lożę niż zdobyć twierdzę jaką, a o cenę nikt nie pytał nawet; płacono je bez zastanowienia, bez miary, bez sensu. Ja zaś, gdy mi się udało być na tém jeszcze bardziej modnem niż ciekawém widowisku, a dla mnie tém mniej upragnioném, żem już doskonale znała obu tancerek talent, więcęj patrzałam po lożach niż na scenę, i ważną w tém miałam przyczynę. Pamiętając polecenie umierającej Andzolino, mniemałam iż prędzej tam niż gdziebądź znajdę Egeryą a przy niej Edwarda, tego poetę, do którego tak uroczyste pożegnanie i listy miałam.

Lecz jak po kościołach, spacerach, tak i w loży daremnie oczy me ich szukały. Ani spotkać, ani się dopytać o nich nie mogłam.

Towarzystwo cudzoziemców w Rzymie, przez lato rozproszone, co rok się zmienia jeśli nie całkiem, to w głównej przynajmniej części. Grono ziomków jakie teraz znalazłam, prawie całkiem było nowe. O Edwardzie nikt nie wiedział; mało kto znał go, i to z widzenia. Mówiono, że to jest człowiek nietowarzyski, mało się łączący, raczej unikający znajomych niż szukający nowych, a po wielu badaniach tylko tyle się dowiedziałam, że w końcu maja schronił się przed upałem w dzikie Neptuna lasy. Gdzie się później obrócił? nikt mi powiedzieć nie mógł.

Nieprzestając jednak mych poszukiwań, napisałam do Monsignora M<sup>\*\*\*</sup>, którego Andzolina mi wskazała, jako wszelkich wiadomości najobfitsze źródło.

Monsignor przybył na me wezwanie, lecz i on żadnego objaśnienia mi nie dał. Wiedział tylko, iż Egerya wkrótce po przybyciu do Rzymu, herezyi swój się zarzekła i odstąpiła od zamiaru nawracania Ojca Świętego na swą nową wiarę. Opowiedział mi nawet jak to się stało. Mówił że zwiedzając kościoły, gdy w S. Marja Maggiore dotknęła się tam przechowywanego żłóbka i siana, na którym Boskie spoczywało dziecko, oraz innych relikwji, w téjże chwili prawdziwa wiara wstąpiła w jej duszę, zamglony jej oświeciła umysł. Nawrócona zaraz padła na kolana, uczuła w sobie łaskę i przebaczenie Nieba, zalała się łzami. Odbyła natychmiast spowiedź i pokutę, później się bierzmowała, i przestała się nazy-



wać hrabiną Egeryą. Wiedział także, iż w skutek tejże pokuty zapisała się na usługi pielgrzymek (gdzie i ja ją, jak może pamiętasz, w wielki piątek widziałam), ale później, zaraz po wielkiej-nocy, Monsignor posłany został do legata bułońskiego, tam dla rządowych interesów większą część lata przebył, a wróciwszy już się nawet i niepytałam o tę panią, w przekonaniu iż musiała wraz z innymi cudzozienkami w dalsze puścić się podróżę. — »Takiego mianowicie rodzaju damy, mówił, nie lubią długo na jedném pozostać miejscu. Im jednostajne życie zbyt płowe by się wydało; dla nich potrzeba świata szerszego i coraz zmiennego świata.»

— »Masz pan słuszość, rzekłam; ale jeśli w nią łaska Boska wstąpiła, to może wraz z innymi, i ta zaszła w nią zmiana.»

O Edwardzie jeszcze mniej mógł mi udzielić wiadomości. Mówił że na prośby signori Andzolini, dowiadywał się tylko o nim, lecz nigdy osobistych nie miał z nim stosunków i znał jedynie z widzenia. Odchodząc przyrzekł jednak wszelkich przyłożyć starań do wykrycia, czy się oboje znajdują w Rzymie (o czém bardzo wątpił), lub w którą zwrócili się stronę.

W parę tygodni potem, na wieczorze u księżnej Borghèse, spotkałam Monsignora M<sup>\*\*\*</sup> i dowiedziałam się, że wszelkie jego kroki zostały daremne. Z dalszych jakie czynić jeszcze zamierzał, nie wielkich także spodziewał się skutków, tém bardziej, iż przypomnieć niemógł nowego nazwiska hrabiny, gdy Egeryą zwać się przestała, a nic trudniejszego dodał, jak dopytać się o osobę niewiadomej nazwy, tytułów i rodu. Edwarda zaś ślad, po tej tylko nitce spodziewając się odkryć, gdy jej uchwycić niemógł, także dośledzić było niepodobna.

Straciwszy tak prawie zupełną z tej strony nadzieję, zdało mi się iż mi do czynienia już nic nie pozostaje, jak czekać szczęśliwego trafu, w podróżach czasem niespodzianie nasuwającego się.

Jednak i tego czekałam nadaremnie. Mijały dnie, tygodnie, miesiące, minął karnawał i większa część postu, a o Egeryi ni o pocie słychać nie było. Wszyscy o nich zapomnieli, i ja sama w niepamięć to wszystko puszczając już zaczęłam. Powiedziałam sobie że listy mi poruczone do kraju zabiorę, a jeśli i tam nie potrafię znaleźć ich właściciela, w ogień je cisnę i takie wzięwszy ostateczne postanowienie, nie trzusiłam już sobie więcej umysłu całą tą historją.

Poprzedniego roku, poznawszy wszystkie wielko-tygodniowe ceremonie w Rzymie, postanowiłam była sobie, następne w Lorecie, w świętym Matki Boskiej domku przepędzić. Przy końcu postu, już się do tej zabierałam pielgrzymki, gdy jeden ze znajomych mi księży przyszedł (jak to bardzo często bywało), prosić o przyczynienie się do składki, którą zbierał, na wyprawę biednej dziewczyny, mającej chęć wstąpienia do za-

konu, a dla braku wymaganój w takim razie wyprawy, będącój w niemożności dopełnienia tego. Zakon do którego wstąpić miała, był najsurowszy, a zdaniem księdza A\*\*\* najpiękniejszy w świecie. Zwał się *delle sepolto vive* (zagrzebanych żywcem). Zakonnice raz za jego wstąpiwszy kratę, nie tylko rodziny i towarzystwa, ale powietrza, natury, całego zarzekały się świata. Nigdy nikogo i nic nie widziały, prócz murów swego klasztoru, i ołtarza przez kratę swój kaplicy. Mowa w wielkich tylko okolicznościach dozwalaną im bywa, inaczej milczenie i modlitwa. Dla obudzenia zaś większego dla swój protegowanej współczucia, ksiądz A\*\*\* pokazywał dyscyplinę, którą się co wieczór biczują. Trzy dość grube żelazne łańcuszki, z grubszymi u końców gwóźdźkami, do krótkiej drewnianej rączki utwierdzone były. Na dwóch tych łańcuszkach ślady krwi widać było. Dreszcz mi po skórze przebiegł, gdy się ich dotknęła.

Przyniosłszy mą ofiarę, oświadczyłam, iżbym wielką miała ochotę być na jój oblóczynach. Lecz mi ksiądz A\*\*\* powiedział, że te za lat trzy, a gdyby sama chyba tego żądała, za rok dopiero będą miały miejsce. Ona bowiem otrzymawszy wyprawę, nowicyat swój rozpocznie. — »Ale, mówił dalej, teraz właśnie jedna tam go kończy, oblóczyny jój w przyszłym tygodniu odbędą się, a lubo w *Sepolto vive*, niemożna jak gdzieindziej bez osobnego pozwolenia, być temu obrządkowi przytomnym, jednak otrzymanie biletu do wejścia, nie jest niepodobną rzeczą. Znam jój matkę chrześną (bo wstępując do zakonu trzeba mieć jak przy chrzcie inną niż w życiu na ten raz matkę), ona mam nadzieję mi to ułatwi; a jeśli otrzymam, nieomieszkam pani ten bilet przynieść.

W kilka dni potém, pojechałam przypatrzeć się tój nowój dla mnie ceremonji. ✕

Mimo trudności dostania biletów, kościół czyli raczej kaplica klasztorna natłoczona była. U stóp ołtarza stało krzesło dla kardynała, który miał celebrować, a na przeciw niego przygotowane dla nowicyatki i jój matki chrześnej siedzenia. Wszyscy z największą niecierpliwością przybycia jój czekali; słyhać było że młoda i piękna.

W innych zakonach jest zwyczaj, że na trzy dni przed oblóczynami, nowicyatka wraca do świata, by z nim oraz z rodziną i znajomemi raz ostatni się pożegnać. Wówczas niema przyjemności jakiejby jój sprawić nie starano się. Dają jój wieczory, obiady, na widowiska zawożą i t. d. a każdy co ciekaw jój powierzchowności, przypatrzeć się jój może. Lecz zakon *delle sepolto vive*, sroższy od innych, tego zwyczaju dla siebie nie przyjmuje. Nikt poprzednio nie widział tój, którą dziś po raz ostatni miał ujrzeć; dziwiono się tylko, że obok krzeseł dla niej i przybranój



matki przygotowanych, nie było według zwyczaju ani jednego dla familji, i z tąd wznioskowano, że z dalekich stron być musi.

Nakoniec zrobił się szmer. Ciasno stojących w środku mężczyzn rozpychać poczęto, a po chwili milczenia, okazała się nowicyatka, ze swą matką, i ósmioletniem dzieckiem za anioła przebraném.

Zrazu dla wielkiego ścisku, rysów jęj częścią wuałem przykrytych, żadnym sposobem widzieć nie mogłam, i wykwinuemu tylko przypatrywałam się strojowi. Miała suknię atlasową białą, z koronkową perłą, brylantową spięta broszą. Na głowie wianek z róż białych i brylantowy dyadem, z pod którego długi koronkowy wual na ramiona spadał. Była wysoka, postać jęj miała coś wspaniałego. Chód i ruchy ciche, spokojne, poważne; usiadła na przyrządzoném dla siebie krzesle z gracyą Włoszkom niezwykłą, i spała się jakby zmęczoną się czuła. Wszyscy widze na palce wspinać się zaczęli, by przez ramiona jeden drugiego się jęj przypatrzeć; zewsząd stłumiony głos podziwu słyszeć się dawał, a jednak tak głośny, iż kardynał swęj przemowy czy kazania rozpocząć niemógł. Mimo oznaków nieukontentowania kardynała i nakazów milczenia, słychać zewsząd było słowa: *Che bellezza!* (jakaż piękność!).

Nareście uciszyło się wszystko: kardynał mówić począł, a ja wówczas jak mogłam najciszej, wskoczyłam na me krzesło, by tę *bellezzę* zobaczyć. . . . Lecz jakże ci oddać podziwienie moje, gdy w nięj poznała Egeryą! . . .

Długi czas własnym niechciało mi się dowierzać oczom. Była znacznie schudła i zbladła; rysy się jęj ściagnęły, a jednak niepodobna było wstrzymać w piersi tych bezustannie powtarzanych do koła słów: „Cóż za piękność! jaka uroda! . . . I mnie samęj, com już ją dwa razy widziała, nigdy się tak niewydawała piękną. Niewiem czy błogi twarzy wyraz, czy ten widok co otacza młodą i piękną kobietę, składającą w ofierze na ołtarzu Boga wszystkie świata dary, wszystkie a tak dla nięj obfite próżności utudy, ale wyznać muszę, iż tak mi niepodobném się stało oderwać od nięj ciekawego wzroku, iż znalazłam okrutném, gdy mi po razy kilka powtórzono, żebym zesza i usiadła na mém krzesle.

Kardynał mówił długo, bardzo długo, o szczytności zawodu jaki sobie nowicyatka obiera, o wielkiej jęj przed Bogiem zasłudze. Wyliczał jęj obowiązki, piękność ich w najzwałszych przedstawiał kolorach, w nagrodę obiecywał niebo, a za niedotrzymanie ich piekło, gdyż to jest konieczny w kazaniach włoskich obraz, ich finał, epilog.

Ja przez ten czas przebiegłam myślą wszystkie znane mi cokolwiek koleje życia tęj dziwnęj istoty, której to niebo lub piekło obiecywano, i gdzie one ją doprowadzily! A mimowolnie zgłębiając część dla mnie

tajemną wypadków jakie się bardzo ciasno nagromadzić musiały w krótkim zakresie zaledwo utworzonego życia, jako też i część jego uczuciową, pytałam czy ona w nich więcej tego nieba zakosztowała, czyli też piekło postrzegła, i zlekła się otchłani? Żałowałam iż zarzekając się świata i ostatnie szląc mu pożegnanie, jako testament tych mu zwierzań, téj spowiedzi nie zostawiła. Bardzoby one się niezawodnie w naszej przydały epoce, kiedy to nie jedno młode oko, patrząc na taki orszak hołdującej młodzieży w jakim ja po raz pierwszy Egeryą w Pizie spotkałam, przeczuwając to życie bez żadnych więzów, samym kierowane szaleń, różowym otoczone obłędem, łzą zazdrości się zaleje, a wzdęta żądzą pierś woła: »O czemuż to nie ja!... o dajże mi Boże choć jedną chwilę podobnego życia!.....

Dobrze, ale potem?... potem!..... Otóż te długie a jak mi się zdaje bardzo cierpkie *potém*, należało się Egeryi im opowiedzieć, bo mimo błogości wyrazu, zdało mi się na wybladłym jéj czole wszystkie jego przejścia, wszystkie jego zawody, całą jego wyczytać gorycz.

Myśl moja zwróciła się następnie na nieszczęśliwą Andzolinę, na tę już nie dowolnego szafu, ale nie dość pohamowanej namiętności, nie mniej smutną obiarę! Żałowałam że ona nie widzi swojej rywalki. Może dowód, iż żal jéj i skrucha nie były udaną komedią, jak ją o to obłąkana swą miłością posadzała Włoszka, byłby jaką ulgę zranionemu sercu przyniósł. A nakoniec i Edward myśli méj się nasunął. Niewątpiłam że on tam w téj kaplicy być musi. Szczęśliwa byłam że mu listy doręczę, i powiem co mi poleconém zostało; ale przekonać się o tém, zobaczyć go niepodobna mi było. Mur z pleców przedemną stojących mężczyzn, wszystko mi zasłaniał.

Po skończonej mowie, nowicyatka powstała, i na stopniach ołtarza uklękła dla odśpiewania dziękczynnego hymnu, za swe powołanie, za łaskę, jaką nieba ją darzyły. Pomna pizańskiego koncertu, którego żałowałam (bom ańsze jego tylko czytała), lecz wnosząc z pochwał i uniesień nad zachwycającym hrabiny głosem, wielką sobie obiecywałam przyjemność, i całemi zaczęłam słuchać uszami, gdy ozwało się coś... bardziej do kozy niż do ludzkiego podobne głosu. Był to rzeczywiście głos udany, dla zamaskowania prawdziwego, była to pierwsza próżności dotykalna, że tak powiem, u stóp ołtarzy ofiara, pierwsza pochwał świata, w twarz mu rzucona pogarda.

Dowiedziałam się później że śpiew taki, odrażający dla ucha, wszelki tłumiący pociąg i uwielbienia, należy do przepisów zakonu tego. Żadnej zakonnicy prawdziwym swym głosem, a we Włoszech najczęściej pięknym, śpiewać nie wolno.



Gdy ten śpiew ustał, nowicyatka do publiczności się odwróciła, by ją ostatnim pożegnaniem uklonem. Bładość jej lica była grobowa, mimowolnego dreszczu utaić nie mogła; nogi się pod nią chwiały; spała się na swą chrestną matkę, do przejścia przez kościół, przez środek tych widzących, co rozstępując się przed jej krokami, w jeden odgłos, wyraz podziwu, boleści, uwielbienia i żalu łączyli, i tym ostatnim świata hymnem na jej niebiański odpowiadają hymn.

Ale ona już się zdawała tego wszystkiego nie widzieć, nie słyszeć. Obojętna na pochwały jak i niewczesnego politowania oznaki, wyższa nad poziome uczucia jakie przed nią się słały, odzyskawszy chwilowo wstrząśnioną spokojność, powolnym lecz śmiałym krokiem poszła do wewnętrznych drzwi klasztoru, które dla niej się przetwarzyły, które na zawsze zamknąć się za nią miały — na zawsze!!...

W tej ostatniej światowego życia chwili, dozwolone jest pożegnanie z rodziną i przyjaciółmi. Kilka się tam posunęło do tego osób, widzieć ich dla zgiełku nie mogłam. Nie wiem czy to była rodzina czy tylko znajomi; lecz gdy tłumem ku tym drzwiom zaniesiona, tuż przy Egeryi stanęłam, postrzegłam młodego u nóg jej mężczyznę. Ten ukląkłszy, koniec jej wualu do ust przyciskał. Ona go palcem do czoła dotknęła, a gdy ją podniósł, wskazując mu niebo rzekła: *Al paradiso!* (w raj!)

Domyślasz się że to był Edward, że to było ostatnie ich tu pożegnanie, i wskazane nowego spotkania miejsce. x

W téjże chwili nowicyatka za żelazne weszła podwoje; mężczyźni usunięto od nich; a kobiety opatrzone jak ja biletem, posunęły się dla widzenia drugiej części ceremonji, wewnątrz klasztoru mającej się już odbywać. Niespokoiło mię że wpośród tego wszystkiego ani słowa nie mogłam Edwardowi rzucić, zapytać go przynajmniej o mieszkania numer, ale pocieszałam się myślą, że mi wymknąć już się nie zdoła, że go w Rzymie łatwo wynajdę; wyznaję nawet że dość byłam ciekawą go poznać, co mi się nie bardzo często zdarza.

Jak tylko drzwi się zamknęły, zakonnice, nowe jej siostry, poczęły już jako swoją witać. One przez ścianę tylko całej przysłuchiwały się kościelnej ceremonji; bo kiedy kościół jest pełen ludzi, im nawet na chórze, z kądem zwykle przez gęstą kratę mszy słuchają, być wówczas nie wolno.

Po tych czułych uściśnieniach, przełożona, a za nią inne zakonnice, wprowadziły nowicyatkę do rodzaju zakrystyi, gdzie ona przed ołtarzem uklękała. Tam zaczęły róże z głowy i inne po kolei ozdoby jej stroju odpinąć. Ona każdą z rąk ich brała, i pod stopy ołtarza ciskała. Bukiet tylko od boku rozwiązawszy, świeże a jak mówiono błogosławione kwia-

ty jego, nam spektatorkom swoim na pamiętkę porozdawała. Wszystko to z największym spokojem duszy, z największém jak się zdawało dopełniała zadowoleniem. Głowę nawet śmiało uchyliła pod nożyce co ją obnażyć miały. Jednak gdy ten piękny uplot włosów spadł jęj pod nogi, spójrzała nań tylko, lecz nie schyliła się do podniesienia, jakby nie miała odwagi tknąć się tój najpiękniejszej z ozdób jakich się zarzekała; a gdy ją podano do ciśnienia wraz z innymi pod ołtarz, mały rumieniec przebiegł lica, a w oczach jakby przeszłości wspomnienie. Ale to wszystko było tak przemijające, tak ulotne, iż śledzącego trzeba było jak mój wzroku, z niejaką już tój przeszłości wiadomością, żeby te wszystkie dostrzedz odcienia.

Rzuciwszy warkocz, więcej nań niespójrzała; suknią swą białą na czarny, już tam przyrządzony zamieniła habit, i w tym nowym stroju (w którym mi się wydała dwa razy jeszcze piękniejszą), przyszła na nowo wszystkie uściskać siostry i nas po kolei. Uśmiech łagodny i spokojny ust jęj nieopuszczał. Czy szczerzy?... W niebie o tём wiedzą.

Dnia tego, w klasztorze między najpiękniejsze liczonego uroczystości, zakonnicom mówić wolno było, co je zdawało się w żwawą wprawiać radość. Każda też ile mogła korzystała z tój wolności. Mówiły wszystkie razem, oglądały nas jakbyśmy z Otahejty przyjechali, pytały się o nazwę każdego szczegółu ubioru naszego, dziwiły się nad niemi. Wreszcie gdy swą z tój strony ciekawość sowiecie zaspokoili, zapytały czy nie chcemy obejrzeć wnętrza ich gmachu, a gdyśmy chętnie przystali na to, jedna z zakonnice wzięła każdą z nas pod rękę, i poszłyśmy przez refektarz do cel.

Cele ich nadzwyczaj ciasne, mają przy jednęj ścianie duży aż pod sufit krucyfiks, z trupią u stóp głową, nie ze słoniowej, jak to bywa wyrabianą kości, tylko prawdziwą i najczęściej znajomęj zakonnicy, lub tój co poprzednio też zamieszkiwała celę. Przy krucyfiksie klęcznik ze świętą książką, a z przeciwnęj strony na ziemi siennik, grubą kołdrą przykryty i nic więcej.

Ogród miały tylko warzywny, bo im z kwiatami pieścić się nie wolno; lecz najciekawsze są ich katakumby. Tam ciała dwóch założycielek zakonu, jakby święte uważane, zabalsamowane stoją i największą otoczone czcią. Dla innych zaś zakonnice kilka tylko jest trumien, a te im od niepamiętnych czasów po kolei służą. Gdy która umrze i do trumny ją włożą, zaraz niegaszoném pokryją wapnem, tak że w dni kilka już tylko nagi jęj zostaje szkielet. Wówczas w osobną składają go kościelnicę, a trumna otwarta wietrzy się i czeka.



W kościelnicy pokazywały nam szczątki najpóźniej zmarłych. Jedna nam przyniosła czaszkę największej swój przyjaciółki, druga swój siostry, nie klasztornej, ale rodzonej.

Opowiedziały nam także swe zwyczaje i regułę.

Ośm godzin w dobie poświęcone są modlitwie. Wieczorem, prócz tego, nad męką pańską rozmyślają i wtenczas biczują się temi żelaznymi dyscyplinami, o których już ci mówiłam. Każda z nich u pasa swoją miała. Mówiły że z początku, póki ciało nie nawyknie, do krwi je to rani, lecz później skóra tak na plecach stwardnieje, iż dyscyplina jakby z drewnianego spada stołu, i mały nawet ból sprawia.

Prócz modlitwy każda swe wyłączne ma zajęcie, każda inną trudni się usługą. Jedna pierze, druga jeść gotuje, trzecia dziedzińce i korytarze zamiata i myje; inne trudnią się ogrodem, niektóre doktorstwem, krew nawet same puszczają sobie, bo nigdy w życiu, w żadnym przypadku, niewolno im widzieć, ani z odsłoniętą twarzą pokazać się żadnemu mężczyźnie. Spowiadają się codziennie, ale przez tak gęstą w ścianie kratkę, iż spowiednika widzieć nie mogą; gdy do komunji przystępują, oczy i twarz całkiem zasłonięte mają, a przy ostatniem namaszczeniu, kładą na nich rodzaj maski, która zostawia tylko dla oleju świętego odsłonięte miejsca. O srogości postów i innych przywacyach łatwo domyślić się można. One jednak z największemi każdą rzecz opowiadały szczegółami, jakby rade były jak najdłużej przeciągnąć wizytę naszą, te niewyczerpane dla nich gody.

Egerya najmniej mówiła; po długiiej modlitwie przybyła do naszego grona, i towarzyszyła przechadzkom; a gdy ją zapytała, czy wstępując do tego zakonu żadnej innej niema ceremonii, jak tę którąśmy widziały, czy żadna się nie wykonywa przysięga? Powiedziała mi że to dopiero za rok nastąpi; wówczas je całunem przykrywają, odbierają potem przysięgę wyrzeczenia się aż do śmierci mamony świata, i pełno jeszcze innych towarzyszy temu obrządków, lecz te już wewnątrz klasztoru się odbywają, i nikt ich z obcych nie widzi.

— »Pani podobno, rzekłam, przyspieszyłaś swe obłóczyny?»

— »Tak jest, odpowiedziała, zamiast trzech lat, rok tylko nowicyatu odbyłam.»

— »Wolałabyś zapewne, dodałam, od razu te wszystkie odbyć ceremonie, w jeden akt je zebrać, by nie ponawiać fатыgi i wzruszenia?»

— »Zkąd przyszło powołanie, ztamtąd i siła do wykonania go przydzie, ze spokojnym odpowiedziała wyrazem.»

Zakonnice opowiedziawszy nam wszystko i po wszystkich oprowadziwszy klasztoru zakątkach, aż do ostatniego progu, który jest dla nich

ostatnim świata krańcem, nam towarzyszyły, a tak się czule żegnały z nami, jak po najdłuższej i najściślejszej znajomości.

Gdyśmy z tamąd wyszły, czekając za furtą na pojazdy, nie miałyśmy, jak się domyślasz, innéj rozmowy jak o tém cośmy widziały i słyszały, a mianowicie o nowéj zakonnicy o jéj piękności, układzie, obejściu się ralkiem od innych siostr odmienném. W pośród tego dość licznego grona, ja jedna tylko cokolwiek o jéj wiedziałam przeszłości. Inne panie dowiedziały się tylko od siostr co je odprowadzały, że była cudzoziemką, one same nic więcéj niewiedziały. Zwały ją siostrą Magdaleną, gdyż tę dla siebie obrała nową patronkę, a o światowe nazwisko się niepytały. To bowiem bywa tylko przełożonéj znane, a innym chyba z przypadku. Dowiadywać się o nie im nie wolno.

Niechciało mi się przed tylu obcemi, tę długą, znaną już ci rozpoczynać o niéj historią, to opowiadanie któreby w zbyt wielkie musiało mié zawieść szczegóły, gdzie i polskie musiałyby się wymówić nazwisko. Wolałam zostawić to na poufale wieczorne z tobą rozmowy, a wówczas powiedziałam tylko tym ciekawym paniom, że owa zakonnica jest też sama piękność, która przed rokiem przybyła dla namówienia Ojca Świętego na nową jakąś wiarę, nowym katolicyzmem zwaną. Wszyscy o niéj naówczas słyszeli, i te panie takóž. Jednym się to bardzo podobało, i zaraz dały wiarę, drugie uważały to za piękny tylko méj wyobraźni utwór. Ja zaś w żadne nie chcąc wchodzić rozprawy, ani dowodów składać, zostawiłam każdego przy jego zdaniu, wyglądając niecierpliwie chwili kiedy się ostatni wydali pojazd, bom ważną miała w tém przyczynę.

Jakeśmy tylko na ulicę do pojazdów wyszły, postrzegłam zaraz jakiegoś mężczyznę, po rzymsku w zarzucony na jedno ramie obwinionego płaszcz, ze spuszczoneym na oczy kapeluszem, który około murów klasztornych dużejmi chodził krokami. Dość często mi się zdarza, iż gdy kogo mam w myśli, tego i przed sobą widzę, w każdym go poznać mniemam, do czego krótki mój wzrok dużo się przyczynia. Tak już, jeśli pamiętasz, było na szczycie przyłádku *della Campanella*, w Sorrento, gdzie pokazując mi ukwiecone okna spustoszonego klasztoru, oślarz mój powiedział, że tam jakiś Anglik samotności się oddaje, a mi się wydało że to musi być Edward, zdało mi się że przez liście wijącego się po oknie bluszczu, jasne jego postrzegam włosy.

Otóż i ten raz, łatwo się domyślisz, że mi się zdawało pod tym płaszczem Edwarda odgadywać postać. Tak żwawo pragnęłam o tém się przekonać, iż gdyby nie przytomność tylu nieznajomych, byłabym się do niego natychmiast zbliżyła; ale nie lubiąc uwagi zwracać, wolałam



zostawić im czas odjazdu, a w największej obawie żeby mi ta postać tajemnicza nie znikła, żeby, jeśli to był Edward, znów mi się z rąk nie wymknął, ciągle baczyłam na niego.

Dostrzegłam, iż usłyszawszy ruch pojazdów, wstrzymał się, sparł się o przeciwnego domu wkleśnięty cokolwiek mur, tak że za nim prawie go widać od bramy klasztoru nie było, głowę zwiesił, ręce założył, i w myślach się zatopił, tak przynajmniej wyglądał.

Niewątpiąc już wówczas że to tak długo szukany poeta, postanowiłam, nieczekając innej a niepewnej okazji, z tej natychmiast korzystać, i bez żadnej ogródki obiawić mu missyą moją. Jakoż, jak tylko ostatni ruszył pojazd, jednym skokiem na przeciw niego stanęłam, i w ojczyściej mowie zapytałam, czy mówię z panem Edwardem. \*\*\* ✕

— „Albo co? jakby z głębokiego snu przebudzony, podnosząc głowę ozwał się raptownie.

Gdy postrzegł nieznaną przed sobą osobę, strwożył się i chciał się ze swego zbyt treściwego zapytania tłómaczyć; ale ja niedając mu czasu, rzekłam, iżby mi się raczej należało przepraszać za taki na ulicy napaści rodzaj, lecz od dawna daremnie czyniąc do wynalezienia go usiłowania, a święcie mając do niego poruczenie, sam łatwo pojmie, że mi niepodobna było z pomyślnego nie korzystać spotkania. I tu mu opowiedziałam ostatnie Andzolino chwile, jój boleść, stałą miłość, śmierć, i o poruczonych mi listach uwiadomiłam.

— „Jak to, signora L\*\*\* umarła? kiedy? gdzie? to być nie może!... ✕

— „Tak jest, niezawodnie: pani L\*\*\* skończyła już swe dni krwawej boleści. Możesz pan śmiało słowom mym zawierzyć; niema w nich niewczesnego żartu czy podstępu, ani też żadnej miłosnej intrygi, do której, proszę wierzyć, iż jakkolwiek ubolewając nad stanem nieszczęśliwej signori Andzolino, pewnobym nigdy niepodala ręki.” ✕

— „O! wybacz mi pani, jeśli jój ubliżył... blednąc i w murze szukając podpory, niewyraźnym i drżącym głosem wymówił Edward, ręką zasłaniając oczy.... Wybacz..... Widzisz pani w jakim jestem stanie.... wiadomość ta okrutny mi cios zadała.... na dziś to już za wiele!..... ✕

Więcej mówić niemógł; a mnie się przypomniały Andzolino słowa, gdy przyrzekła że z nieba przypatrywać się z radością będzie jego bladeści, jak się o jój zgonie dowie. Szczery mi żal było, że właśnie musiała ten a nie inny obrać do tego dzień, i tak naznaczony już pożegnaniem Egeryi. Zaczęłam za to przepraszać i prosić, by mi tylko wskazał gdzie i kiedy mam mu rzeczony odesłać listy.

— „Ja po nie sam przyjdę, jeśli mi wolno będzie. Za wszystko wówczas podziękuję i przeproszę . . . . dziś już nic nie mogę, słowa w ustach, łzy w sercu zastygły....

I to mówiąc, pocałował mię w rękę, jakby błagając bym mu spokój dała. Ja też zrozumawszy tę niemą prośbę, powiedziałam gdzie mieszkam, oświadczyłam iż mi bardzo miło będzie u siebie go widzieć, i zostawiłam na pół martwego przy tym murze, z sercem między dwa podzieloném groby, Andzolino i Egeryi.

Następnego ranka, jak tylko zadzwoniono u drzwi przedpokoju, byłam pewna że to Edward. Układałam co i jakimi będę mu opowiadać słowy te Andzolino tysiączne polecenia, tak żeby i nic nie zataić, i już nowych ran w skrwawioném jego nie robić sercu.

Lecz te wszystkie przygotowania stały się nadaremne. Minął dzień, drugi i trzeci; ja prawie na chwilę nie oddalałam się z domu, by niechybić tój pożądanėj wizyty; nakoniec przyszedł hotelowy chłopiec z prośbą od pana Edwarda \*\*\* bym mu przysłała przyrzeczone listy, gdyż w łóżku leży, i tak mocno chory, że mimo chęci, napisać do mnie nawet jest w stanie. Kazał jednak oświadczyć, że gdy tylko będzie się czuł na siłach, natychmiast osobiście podziękuje mi za nie.

W tydzień potém, wróciwszy wieczorem do domu, znalazłam u siebie wizytowy jego bilet. Bardzo sprzeciwiona tém że mię nieznalazł, posłałam nazajutrz prosząc żeby mi powiedział kiedy będzie u mnie, że ja go czekać gotowa jestem. Powiedziano w hotelu, że ze świtem wyjechał do Civitta Vecchia, z kąd do Jerozolimy miał płynąć.

I już więcéj o nim nie słyszałam.

Domyślasz się iż w tak długich i urozmaiconych podróżach jak moje, nie jedno dziwne spotkanie, nie jedenby się znalazł do opowiadania epizod. Niechcąc jednak nadać tym kartom pozorów zbiorowych powieści, odrzuciłam prawie wszystkie, jakie mi się wpośród licznych wspomnień pod pióro nasuwały. To jednak zdarzenie, większej nieco wagi, tak mi się wydało charakterem epoki nacechowane, tak doskonale odbiło w mych oczach dwa główne jój typy, a obok nich dość także ciekawy zakochanėj Włoszki wierny obraz, iż żał mi było tobie go tu nie opisać, jako dopełnienie wieku i kraju opisów.



## XII.

### DROGA Z RZYMU DO LORETTO. — KASKADA TERNI. — APENINY. — LORETTO.

**W**ielki tydzień się zbliżał; ulice Rzymu przepęłniały się eleganckim światem; wszystkimi bramami pakowne wjeżdżały ekwipaże; po wszystkich domach najemni lokaje za mieszkaniami biegali, a wszędzie już było pełno. Ja zaś kiedy wszyscy otwierali kufrы, zamykałam moje; a pod przewodnictwem światłego i wymownego kaznodziei odbywszy rekolekcyą, prawie ogólnie w wielkim poście odbywać się tam zwykłą, dnia czwartego kwietnia, 1846 roku, opuściłam stolicę chrześcijańskiego świata, unosząc z niej najmilszych wrażeń, najdroższych wspomnień nieocenione dla przyszłości skarby.

Wyjechałam przez plac *del Popolo*, i część drogi tójże saniej przebyłam, którą z Florencyi po raz pierwszy do Rzymu przejeżdżałam. Widok znanych już tych miejsc, nowym był dla myśli i wspomnień źródłem; a te, tak miły w około siebie rzucały odblask, że nawet smutne *Agro Romano*, te puste pola co stolicę świętą do koła otaczają, mniej puste, mniej smutne mnie się wydały.

Mimo tak miłego usposobienia, niepodobna mi jednak ci zataić, iż cała ta do Ankony droga (bo Loretto o trzy mile w bok Ankony leży) bar-

dzo mało zajęcia i wdzięków przedstawia. Do samej Otricoli, która jest teraz o 24 godzin drogi do Rzymu, widać tu i owdzie, pośród pustego pola, jakieś stare złomy, częścią już chwastem porośłe. Mówią, że za świetnych rzeczypospolitęj i cesarstwa czasów, przedmieścia stolicy aż tam się ciągnęły, i nieprzerwane wspaniałych świątyń i gmachów tworzyły pasmo, a teraz!... teraz?... ludzie obalili gmachy, czas je z ziemią zrównał, śmierć powietrze zalega.... same gruzy z tyłu pozostały bogactw i przepychów..... wkrótce i te ostatnie ich znikną ślady, i nikt o nich wiedzieć nie będzie. . . .

Za Otricoli pierwsze nieco znaczniejsze miasto jest Terni. Samo miasto nie ciekawego nieprzedstawia; ale o kilka wiorst od niego pojedź widzieć sławną kaskadę, największą, najwspanialszą jaką Europa posiada.

Dawniej całą tę przestrzeń trzeba było pieszo lub na mule przebywać, teraz pojazdem można aż pod samą dojechać górę, z kąd się na kaskadę patrzy. Poczta miejscowa dostarcza na tę wycieczkę koni, a w potrzebie i pojazdu; ma sobie na to przepisaną bardzo drogą taryfę; wreszcie czyli ją ma? ręczyć nie mogę, bom jej nie widziała; ale przy wymaganiu zapłaty odwołuję się do niej.

Niesłuchanie przez pocztmajstra zdarty, mniemasz żeś już wszystkie kaskadowe koszta poniósł? wcale nie: najprzód obskakują cię ze wszystkich stron ciceroni, którzy się ofiarują pokazać i tłumaczyć ci kaskady piękności; obronić się od nich ani perswazyą ni groźbą niepodobna. Wskazują na lub pod koziół, uczepiają się pojazdu, i choćbyś im tysiąc razy powtarzał że ich niepotrzebujesz, że im za to pół grosza nie dasz, jadą z tobą i ze swęj niewypuszczają opieki.

Dość już tęp towarzystwem znudzony, postrzegasz nieco dalej za sobą całą gromadę osiodłanych osłów, nieprosiłeś o nie i w istocie najmniejszej niema ich potrzeby; co nie przeszkadza iż ich właściciele domagają się zapłaty, utrzymując, że je dla ciebie przez trzy mile prowadzili. Jednak miejsce do którego pojazd dójść może, nie jest tak dalekie od kaskady, żeby bez pomocy osłów dójść tam nie można; a na szczęście pocztylion jest *obowiązany* aż tam cię dowieść, boby inaczej, pomagając zprzysiężonej na twą kieszeń zgrai, pewno na pół drogi stanął.

Wysiadłszy z pojazdu, a nawet przedtęp jeszcze, postrzegasz kraj w najpiękniejszych, najdziwaczniejszych kształtach; skały, urwiska, góry i przepaście, coraz wyżej i głębiej oko prowadzą: zdaje się, żeś raptownie do Szwajcaryi zabłądził, co tęp milęj zachwyca, iż nic przed tęp przygotować do tego nie mogło.



Gdy tak się unosisz pięknoscią tój srogiej natury, tak nowój, tak w tamtych stronach niespodziewanej, znowu cię zewsząd opadają łachmany, i ani chwili niedozwolą we własnych zanurzyć się myślach i marzeniach; jeden ci podaje najpospolitszy kwiatek, w twój przytomności z pod nóg zerwany, i obfitemi słowy stara się przekonać, że to jest najrzadsza roślina, reszcie świata nieznaną; drugi podobnież kamyk ci w rękę wsuwa, a nareście postrzegasz spinającą się na górę ścieżkę, kamienistą i zaledwie udeptaną, co kilka kroków jakimś płotkiem i wrotami przeciętą, a przez te wrota bez opłaty przepuścić cię niechcą. To bezczelne zdzierstwo do takiego posunięte jest stopnia, iż gdy już staniesz na bryle skały, naprzeciw kaskady, a później z innych stron chcąc jój efekt ocenić, w inne przejdziesz punkta, wszędzie znajdziesz wyciągnięte już ręce, wszędzie masz się opłacić *al custode della cascata* (odźwiernemu kaskady). I to słusznie należy do ciekawości kraju tego policzyć; bo gdzież w znanym świecie kaskady odźwiernych mają?... Widok jój jednak wszystko wynagradza, a spojrzawszy na nią, dziwić się nie można, że ją tak po królewsku traktują, i dworem (niezbyt wprawdzie złocistym) tron jój otaczają.

Kaskada Terni, czasem Marmora zwana (bo przez górę tego nazwiska się toczy), zupełnie swój sławie odpowiada, i wszelkie oczekiwanie, wszelkie przechodzi wyobrażenie. Nie jest to jednak natury dziełem; tradycya mówi, że w roku 671 po założeniu Rzymu, Curius Dentatus, postanowiwszy oswobodzić rodzinne swe miasteczko, Rioti, od corocznych wylewów rzeki Vellino, która pod jego bramami do jeziora Luco wpadając wzdymała je, i niesłychane zrzędzała szkody, kazał w górze Marmora wykopać szeroki kanał, i tym sposobem Velliny koryto do rzeki Nery zwrócił. Ale nieprzewidział zapewne co ta ogromna massa wody, te dwie połączone rzeki: Vellino i Nera dokazywać będą. Teraz one jak szalone przez całą lecą górę, wody jeziora Luco z sobą porywają, i tą potrójną siłą z ogromnej wysokości spadając w przepaść, której dna nikt nie dójrzy, nikt się niedomyśla, tysiące skoków, tysiące zachwycających tworzą obrazów. Szum tak jest wielki, iż nic prócz niego nie słychać; a co kilka sekund, przeraźliwy jakby grzmotu odgłos w powietrzu się rozlega. Sprawiają go bałwany wody, zbyt w szerokim swém jeszcze ciśnione korycie, i jedne przez drugie trącające i łamiące się o skały.

Domyślasz się że siła tak potężna, tak wściekła iż ją nic wstrzymać nie może, nie tylko wszystko obala, ale glaz nawet pod swemi dziwactwami ugina i kruszy. Ile tylko widziałam rycin lub olejnych obrazów, ile czytałam kaskady tój opisów, żadnego nieznalazłam do oryginału

podobnym. Lecz, zastanowiwszy się, nieśmiałałam artysty obwiniać; jest to konieczny skutek tych corocznych zmian, jakim cała postać, wszystkie rysy tej ostrzej natury pod kapryśną władzą ulegać muszą. Przepaść w którą ta massa wody spada, musi koniecznie codzień być głębszą. Przed kilką laty sto metrów jej dawano, teraz już można śmiało drugie tyle głębi jej liczyć; a potok im głębiej spada, tém dalej wytryska, wyżej, srożej leci, szumi, ryczy. Ten o którym mówimy, codzień sobie nowe otwiera pieczary, wpada w nie i znów wylatuje, gdzieindziej swe szalone szłąc fale; jedną bryłę skały obaliwszy, o inną z większym jeszcze impetem się rozrąca, a na proch rozbity szerokim otacza się tumanem. Kłęby tego wilgotnego kurzu w niebo jakby fantastyczne unoszą się chmury, a łamiąc słońca promienie, tysiącem ruchomych tęczy na wszystkie opasują się strony. Czasem, gdy niebo bez słońca, a wiatr tę parę do skały przycisnie, tworzy się z niej przezroczysta franka, przez którą cały wodospad w nowym okazuje się świetle, nowym otacza się wdziękiem. Wszystko to razem cudnej jest piękności, niewypowiedzianie wspaniałe i malownicze; lecz wzrokiem tylko a nie piórem ani nawet pędzlem do duszy przelać się może; nim tylko w niej dokładny obraz swój odbić zdoła.

Mówiono mi że ta mgła daleko na okoliczne rozniesiona pola, zwilżając bez ustannie suchy z natury grunt, bardzo go użyźnia; a wody jeziora Luca mają własność petryfikowania roślin, korzeni i drzew na swych brzegach porosłych. Niewidziałam tych petryfikacyi, ale z opisu zdaje się że to musi być w rodzaju tych co karlsbadzkie tworzą źródła; to jest, że otaczają każdy w nie rzucony przedmiot gęstym osadem, twardą pokrywają go skorupką, od powietrza chronią, i skamieniałości nadają doskonały pozór.

Wyjechawszy z Terni, należy się w Spoleto zatrzymać, dla widzenia złomów wspaniałego mostu, kilku świątyń i pięknego amfiteatru, z którego wprawdzie ubogie pozostają gruzy. Starożytne to miasto, położyło się na starszego jeszcze wulkanu zagasłej paszczy, i nieraz też doznało wewnętrznego jego ognia straszliwych skutków. Częste trzęsienie ziemi, a mianowicie 1767 roku, obaliło wspaniałe gmachy, jego dawniej dumy zabytki, jego historyczne pamiątki. Most o którym wspomniałam, na potoku Maroggo rzucony, łączy miasto z hardą górą, na drugiej stronie potoku sterczącą. Na 130 stopach wysokości, 195 długości liczy, a wspierał się niegdyś na 24 arkadach. Niewiadomo czy Gotom czy Rzymianom to piękne należy przypisać dzieło. Ręka czasu początek jego zatarła. Później reszty za wodociąg służyły; teraz już tylko dla oka tam pozostały.



Spoletto pamięta jeszcze iż Rzym mu swe ocalenie winien. Gdy po trazyneńskiejk bitwie, Annibal zwycięskim krokiem do stolicy śpieszył, w przekonaniu iż nic mu oprzeć się nie zdoła, Spolettanie nie tylko swe nastawili piersi, ale po zapamiętałej utarczce, dumnego nieprzyjaciela do odwrotu zmusili.

Teraz, prócz wspomnień i ruin, Spoletto posiada jeszcze piękny Rafaela obraz, w kaplicy pałacu Ancajani. Trzeba się śpieszyć z oglądaniem jego; bo niewiem czemu, jakieś mam przecucie, że go jaka złotem namaszczone ręka niebawnie z tamąd porwie.

Spoletto tém miłsze sprawia w tój podróży wrażenie, iż wyjechawszy z Terni zaczyna się kraj szary, nagi, bezludny; dalej wjeżdżamy w Apenin smutne wąwozy; nareście zaczyna się długie i nieznośne wspinanie na najwyższy z tój strony ich szczyt, *Monte Somma* nazwany.

Za Spoletto, co tę brzydką milę przecina naturę, znów się w podobny kraj wchodzi; jest to przeciwny Apeninów spadek, a o ile te góry są piękne w południowej części półwyspu, o tyle na północy najmniejszego nie mają wdzięku. Tam jeszcze na domiar niemiłych jakie budzą uczuć, Apeniny słyną bandytami swemi.

Co kilka mil włoskich, na biedném wzgórzu poroślé jałowcem, znużone pustynią oko, postrzega jakiś szałas czy lepiankę, coś co objawia człowieka przytomność, i pociesza tym widokiem; lecz woźnica ci mówi że to są wojskowe strażę, dla bezpieczeństwa podróżnych tam postawione; zaraz przychodzi na myśl, że gdzie takie biorą ostrożności środki, tam musi bydź i niebezpieczeństwo rzetelne, nie urojone, jak to długi czas dla uspokojenia umysłu wystawić sobie każdy usiłuje, a ta lepianka co zrazu pocieszała, do niemiłego w końcu przyczynia się wrażenia.

Nieraz słyszałam że bryganci włoscy, po romansach jedynie żyją i na rycinach istnieją. Ci tylko co się spotkali z niemi inaczej twierdzą. Co do mnie, dość w nich wierzyłam by nie żądać naocznego ich istnienia dowodu. Tymczasem, w samęj najciaśniejszėj Apeninów szyi, całą ich spotkałam gromadę, z dziesięciu lub dwunastu złożoną członków. Na szczęście byli to już emeryci. Zawód ich zdawał się skończony, lub przynajmniej na niejaki czas przerwany. W łańcuszkach na nogach i rękach, z liczną szli żandarmów eskortą, co mi dało swobodny czas do przypatrzenia się im dowolnie. Lecz i oni na nas niemniej zuchwale jak my na nich patrzali; a w każdém spójrzeniu można było wyczytać żal że to spotkanie upakowanėj karety, z samemi kobietami, z jednym tylko kamerdynerem na koźle, a woźnicą na koniu, nie prędzej im się nadarzyło, kiedy jeszcze i ruchy były wolne i nie mieli tych żenujących

w błękitnych mundurach towarzyszków. Niektórzy przypatrując się nam, jakby obliczając stratę poniesioną ze zbyt spóźnionego spotkania, potrząsali głową, i zamieniali między sobą jakieś dwóznaczone uśmiechy, jakieś na wspólnie wymówione słowa. W Trevi dopiero swobodniejszym odetchnęliśmy powietrzem. Trevi jest przyjemna miejscina, na spadku góry malowniczo rozsiada. Wreście, wyjechawszy z Apenin, wszystko się wydaje powabne i miłe; a w każdym miasteczku dla popasu lub noclegu zatrzymać się trzeba; pomiędzy niemi, nikt łóżka ni żadnej nieznaidzie wygody.

Nieco dalej, otwiera się ładna i żyzna dolina wpośród której osiadło dość schludne miasteczko, Foligno. Imię jego było już mi znane; wstawiało się oddawna cudnej piękności obrazem Rafaela, co niegdyś ołtarz katedry jego ozdobił. Obraz ten zwyciężką zabrany ręką, między najpiękniejsze trofea liczony za cesarskich czasów, do Paryża przejechał się, później pod dowództwem Canowy, niemniej zwycięsko pod ojczyście wrócił niebo, ale już nie na dawny swój ołtarz, tylko do watykańskiej trafił galeryi. Tam jako główną ozdobę każdemu przedstawiają Madonę z *Foligno* zwaną, i stąd długo zanim się tę stolicę Madony pozna, imię jej w uchu brzęczy, pozostaje w pamięci. Szczęśliwy artysta, co kilku godzin pracą, kilku pęzła strychemi, szerzy miast sławę, jednem darowanem mu płótnem uwiecznia ich imię.

Z Foligno zaczyna się droga w innym rodzaju słynna. Nad straszliwą przepaścią zawieszona, licznych przypadków była świadkiem. Teraz ją nieco rozszerzono i opatrzone lichemi wprawdzie parkanami. Przejchawszy do *Case nuove*, biednej zagrody, gdzie niegdyś rannych znoszono, gdy je z dna przepaści, w którą z pojazdem nieraz spadali, wydobyć zdołano. Chciałam obejrzeć to miejsce tyłu naznaczone nieszczęściami; chciałam najniebezpieczniejszą część drogi widzieć, w przekonaniu iż musi być zarazem bardzo dla oka piękną. Ale nieznośny wiatr, w górzystych pozycjach zwyczajny, tumanami kurzu wszystko mi zasłonił; a tak minęłam niebezpieczeństwo, niedomyślając się o niem, przejechałam nad przepaścią nie spuściwszy w nią wzroku.

Dopiero w Tolentino już nas zupełnie Apeniny pożegnały. Była to radośna dla mnie chwila, jednak radośniejszą jeszcze była następnego dnia, gdy na zielonem wzgórzu, nad brzegiem morza, spostrzegłam białe się małego miasteczka mury, gdy wpośród nich ujrzałam kopułę co święty pokrywa domek, ten domek do którego cześć mą zanieść pragnęłam.

Loretto prócz niego nic ciekawego niema. Parę dość szerokich, dość brudnych ulic, kilka małych, krętych, jeszcze brudniejszych, i jeden tyl-



ko kościoła, bo żaden papież nie chciał pozwolić żeby obok téj co cudowny pokrywa domek, inna wznosiła się kopuła. Oto masz Loretto. Możesz do tego dodać parę dość złych hoteli, gdzie bez najmniejszego sumienia po pogańsku zdzierają, i pieskończoną ilość różańców na obu stronach długiej ulicy gęsto zawieszonych. Te różnobarwne szklanne różańce i dzwonki, od piorunu chroniące, co się na cały rozchodzą świat, jedyną tam są przemyślu i handlu gałęzią. Ręczono mi iż korzyść z niéj do 200,000 franków rocznie przynosi. Loretto jest biskupstwem, bardzo ma wiele przywilejów, odpustów, i więzy wszelkich narodów, tak, że każdy może spowiadać się w swym własnym języku. Dwa długie raniona biskupiego pałacu, z dwoma portykami, zamykają katedralny dziedziniec, w środku piękna wznosi się fontanna, a trochę na boku, przed frontem kościoła, spiżowy posąg papieża Sixtusa V.

W jednym z boków pałacu jest Ojca Świętego mieszkanie. Mało który z papieży téj pobożnej nie odbył pielgrzymki, a każdy co przyjechał, kilka dni zwykł tam bawić.

Mieszkanie papiezske bardzo skromne, prócz audyencyonalnej sali, gdzie stoi tron pod amarantowym ułożonym baldachimem, nic do widzenia nie posiada. W Lorecie jest także dom dla pielgrzymów na sposób rzymskiego, o którym ci mówiłam, urządzony. Ale najdroższym i najciekawszym tam skarbem, jest ów święty domek, do którego każdy co do Loretto przyjeżdża, najpierw śpieszy, który wszystkich prawie namaszczonej głów odbierał pobożne hołdy.

Stał niegdyś w Nazarecie, i był jedyném Matki Boskiej dziedzictwem; Ona w nim dzień ujrzała, a po śmierci rodziców, w posagu Świętemu Józefowi przyniosła. Tam ubogo lecz spokojnie oboje mieszkali, gdy anioł przyszedł zwiastować wcielenie słowa Bożego, i tam słowo stało się ciałem.

W późniejszych czasach, za panowania Wespazjana, gdy cała Galilea pod mieczem jego krwią broczyła, wśród gruzów zwałonego Nazaretu, Bóg ten domek święty od mordu zachował. Lecz przy końcu 13 stulecia, Kalif, król Egiptu, zdobył, jak wiesz, Galileę, a śmiercią 25,000 chrześcijan, ochrzczył w niéj panowanie swoje. Naówczas Wszechmocny chcąc od mściwej zniewagi świętą Matki swéj pamiątkę ochronić, 10 maja 1291 roku, niewidomą ręką tę skromną lepiankę z podstawy zerwał, i przez morze aż na brzeg Dalnacyi ją przeniosłszy, między Tarzetem i rzeką Tarsia ukrył. W miejscu tém dzikiem i pustém nigdy żadna niepowstała budowa. Okoliczni mieszkańcy wkrótce ją spostrzegli, a nieznaną tego domku postacią zdziwieni, na trawie i nierównym rzuconego gruncie, bez fundamentu, bez podłogi, wyższą o tém zjawisku uwiadomili

władzę. Ta zjechawszy na miejsce, głębiej rzeczy rozpoznawać zaczęła, ze znalezionych w ściennéj szafeczce domowych sprzętów (których część Loretto posiada), jako i z rodzaju kamienia na budowę użytego, domyślno się z kąd tam przybył; wzięto rozmiary jego i posłano do Nazaretu szukać pozostałych fundamentów, jakoż nienaruszone łatwo znaleziono.

Takim sposobem przekonano się iż to była istotnie Matki Boskiej chatka, cudownym sposobem do Dalmacyi przeniesiona. Wieść o przytomności téj świątyni wnet po całym rozeszła się kraju; tysiące pobożnego ludu cześć jéj swą przynosić poczęli; coraz ich większe przybywały gromady. Trwało to lat trzy i miesiący siedm, gdy Bóg niedościgłymi wyroki swemi, kazał ją na inną, bardziej jak się zdawać może od siebie ukochaną, przenieść ziemię.

Ranku jednego mieszkańcy Terzetu poszli jak zwykle swe zanosić modły, i z boleśném zadziwieniem miejsce już tylko świętej ujrzeni lepianki. Miejsce to, jak wierni twierdzą, żadnym nigdy nieporosło chwastem, tak że je dotychczas wyraźnie poznać można.

Lecz o ile było wielkie Dalmatów zmartwienie, o tyle wielka była radość mieszkańców przeciwnego Adryatyku nadbrzeża, gdy 10 grudnia 1294 roku, o godzinie 10 wieczorem, na małym wzgórzu, pośród gęstego lasu, rzeczony zjawił się domek. Stał nie daleko miasteczka Rekanata zwanego, na gruncie dwóch tamecznych mieszczan, dwóch braci.

Jak w Dalmacyi tak i we Włoszech, sława cudownej lepianki, zaczęła zaraz bogobojnych gromadzić pielgrzymów, z bogatemi dary; ale we Włoszech tuż za nimi włóczęgi i zbrojcy zbierać się poczęli. Skarb świątyni codziem się zbogacał, lecz otaczający ją las stał się bandytów siedliskiem; nikt bezkarnie przejść go niemógł; postrach niebawnie na całą rozsiał się okolicę, i wszystkich oddalał.

Taką koleją domek święty opuszczony i samotny, niesłyszał już pobożnych hymnów; posiadał jednak tajemnie słane mu ofiary, co nowiej zgrozy stało się źródłem. Właściciele gruntu, zgodni przed tém bracia, zawzięte rozpoczęli między sobą spory; każdy chciał być bogatą świątyni panem.

Kiedy tak i familijnych kłótni, i zbrodniczych napaści ten święty przybytek niewinną stał się przyczyną, Bóg niechciał dłużej na to zezwolić, i po raz trzeci z miejsca go poruszył. Cudowną władzą przeniesiony na sąsiedni ładny pagórek, już nie w lesie, ze sprzyjającym dla zbrodni cieniem, lecz pośród publicznej drogi, gdzie pielgrzymi na żadne niemogli być narażeni niebezpieczeństwo, stanął, na gruncie pobożnej damy, Laurą a wspieszczeniu Loretą zwanéj, z kąd terażniejsze miasteczko nazwę swą wzięło. Ta jedyna a do tego bezdzietna właścicielka, żadnych sporów nie-



rodziła obawy. Domek święty ostatecznie tam więc pozostał, i dotąd tam spokojnie stoi, a od pięciu wieków, od pierwszego monarchy, aż do ostatniego kmiotka, ogólną odbiera cześć.

Nie prędko po niespodziewaném tego klejnotu zjawisku, pobożne ręce dla ochrony go od słońca i burzy, wzniesli nad nim szope; a dla modlących się, gdy mały domek ogarnąć ich niemógł, kryte do koła portyki. Szopa z czasem bogatą zastąpioną została z białego marmuru powłoką, a ubogie portyki, ustąpiły miejsca kościołowi, co teraz do koła swemi mury, swą kopułą, świętą chatkę osłania.

Domek Matki Boskiej stoi teraz w samym kościeła środku. Wielki katedry ołtarz opiera się o okno (przez które niegdyś zwiastowniczy wszedł anioł), lecz go niezasłania. Mury pokryte z wierzchu szacownemi płaskorzeźbami i posągami, a ta, że tak nazwę, marmurowa alba, nową na starożytną utworzyła budowę. Dzieło to bogate i piękne, rozpoczęte za Leona X w roku 1514, skończone zostało dopiero za Grzegorza XIII 1579 r. Płaskorzeźby przedstawiają w medalionach ustępy z żywota Maryi, lecz nie trzeba myśleć że włoscy artyści choć tam o mitologii całkiem zapomnieli, pogańskich wyrzekli się wspomnień. Jeśli w płaskorzeźbach Matki Boskiej czystą widzimy historią, w niszach za to między posągami proroków i innych świętych, sybilli kumeńskiej i licznych sióstr jęj, niewiem poco postawiono tam statui.

Między marmurową powłoką a chatki ścianami, zostawiona jest kilkocalowa przestrzeń, dla tych, co za pomocą pochodni, chcą jęj powierzchnię oglądać. Wewnątrz ściany jęj nieotynkowane i w pierwotnym zostawione stanie, całkiem są od świateł i lamp okopcone. Pobożni je po każdej mszy całują; a duchowni skrobują, i ten kurz, ten rodzaj relikwji, jako cudownie uzdrawiający proszek rozdają.

Przy wejściu do kościoła, po prawej ręce, zobaczysz pomnik. Jest to pamiątka wdzięcznych Bogu rodziców, którzy jedną tylko mając córkę, okrutną zdjętą chorobą, i gdy już bez żadnej nadziei od doktorów odstąpioną była, w chwili jęj konania, taki wodą rozrobiony proszek wleli jęj w usta, a chora do życia i zdrowia wróciła. Rodzina ta zaraz potem, z kalwińskiej na naszą przeszła wiarę. O takich i innego rodzaju cudach, możnaby ci tysiącami opowiadać.

Wracając do świętego domku, znanego w całych Włoszech pod nazwą: *la santa Casa*, powiem ci iż w nim była jedna tylko izba, około 30 stóp długa a o połowę wązka. Prócz szafeczki w ścianie, z kilku domowemi sprzętami, i komina, nic w niej nie było. Teraz izba ta jest przedzielona ołtarzem. Za nim zostawiony około 6 stopowy oddział, właśnie komina miejsce, osobny tworzy alkierz; ołtarz wspinały, kapli-

ca pełna wiszących lamp, złotych, srebrnych, i klejnotami ozdobnych, w ofierze bogatemi składanych rękami, nie może iść w porównanie z tą ostatnią świątnicą, z tym zaołtarzowym alkierzykiem.

Nad świętym kominem (*il santo camine*), posąg Maryi z Chrystusem na ręku, roboty świętego Łukasza, tak wysoko stoi, iż z kaplicy nad świecami ołtarza go widać. Mały, drewniany, i nie pięknie wykształcony, gdy go rozbiorą, wcale nie ładnie wygląda. W wielki piątek, świetne zwykle jego zdejmują szaty, i tylko z czarnym od głowy spadającym welonem (który potem jako relikwie po małym kawałeczku udzielają pobożnym), na publiczny wystawiają widok. To jest że go stawiają na ołtarzu w kaplicy, gdzie ogromny ludu napływ stopy jego całować przybywa. W dni zaś zwyczajne, głowę tylko jego z brylantową widać koroną, a od szyi zaczyna się suknia axamitna czarna, pokryta od góry do dołu najszacowniejszymi klejnotami. Żadna królowa świata tyle ich i tak pięknych nieposiada; bo prócz tych co na sobie nosi, ma jeszcze w składzie wielkie ich zbiory. Miała ich niegdyś daleko więcej jeszcze, skarby jej dochodziły do kilkuset milionów; lecz je bezbożna wojsk francuzkich zabrała zgraja. Sam nawet posąg, naruszony ze swego świętego alkierzyka, do Paryża uwieziony został. Po upadku cesarstwa, posąg na swoje miejsce wrócił, a o bogactwach nikt więcej nie słyszał. Skarbiec naówczas wypróżniony, znów się teraz napelnia; ale miejscowi księża, smutnym nauczonym doświadczeniem, nie lubią go pokazywać ani się nim chwalić.

Chętniej prowadzą do sławnej swęj apteki, gdzie słoje częścią pęzlem samego Rafaela ozdobione, częścią przez uczniów ze szkoły jego, na równi z klejnotami w artystycznym cenione są półwyspie. Byli monarchowie co za niektóre z nich ofiarowali równej wielkości wagi ze złota lane wazy. Szczęściem że mniej dla Francuzów powabne, nietknięte na swém pozostały miejscu. W kościele i zakrystyi zaś kilka sławnego pęzla obrazów, para mozaikowych z watykańskiej galeryi kopji, godne są uwagi; a piękniejsza od nich jest chrzcielnica ze spiżu prześlicznej roboty, w stylu odrodzenia. W ogólności jednak świątynia sama nieodpowiada, co do ozdób, skarbowi jakie posiada. Drzwi tylko z wejścia znalazłam zupełnie jej godne.

Za świetnych Loretto czasów, każdy przybywający pielgrzym dostawał trzydniową strawę, i kilka groszy na drogę. Najbogatsi nawet, w duchu chrześcijańskiej pokory, musieli temu poddawać się zwyczajowi, i tę przyjmować pobożną jałmużnę. Teraz dla prawdziwie potrzebujących ją zachowują. Napływ jednak pielgrzymów jest ogromny. Idą processyą jak u nas na Jasną Górę, wchodząc do miasta śpiewają litanie do Najświętszej Panny, a w kościele na kolanach potrzykroć obchodzą dom



święty, też nieustając śpiewać chórami litanją. Marmurowa podłoga do koła świętego przybytku tak bywa ich kolanami startą, iż prawie co rok odnawiać ją muszą; a gdy się msze w nim odprawiają, warta przy wejściu stoi, dla bronienia zbytelnego natłoku.

W trzy ostatnie dni wielkiego tygodnia, *funzioni* czyli ceremonje kościelne, całkiem na wzór rzymskich się odbywają. Nogi dwunastu ubogim biskup umywa, do stołu im służy. Nawet przy *miserere*, nad me spodziewanie pięknemi śpiewane głosami, gaszą, jak tam, stopniowo światła, i w zupełnej kończą ciemności. W wielki piątek wieczorem, ciało Chrystusa na marach przez całe miasto z wielką paradą do grobu niosą. Wszystkie ulice illuminowane, nieskończona ilość bogactw wszelkich kolorów, długą tworzą processyą, gdzie i anioły skrzydlate z wieńcami na głowie występują. Każdy ma w rękę na długim kiju utwierdzoną z papieru kolorowego latarnią. Na końcu pod baldachimem leżące niosą ciało (z malowanego drzewa), a za nim duży z podobnegoż materyału posąg Maryi, w żałobnych szatach, z czarną zasłoną na twarzy, z chustką w rękę, gotową, jak mniemam, do łez ocierania. Tak to Włochom zawsze potrzeba, przy każdej okoliczności, teatralnej jakiejś wystawy, rodzaju maskarady. Oni ani bawić się ani modlić bez nich nie umieją.

W pierwszy dzień świąt, długa i piękna ceremonia, w której oleje do ostatniego naszego święcą obrzędu, kończy całe wielko-tygodniowe *funzioni*; każdy po niej do siebie wraca, ale nie na familijne, jak u nas bywało, święcone. Zwyczaj ten z patryarchalnych pozostały czasów, u nas dogorywający powoli, wcale tam nieznanym.

### XIII.

ANCONA. — SINEGALJA. — URBINO. — PESARO. — RZECZPOSPOLITA  
SAN-MARINO. — ODMIENNA KRAJU POSTAĆ. — BANDYCI. — FORLI. —  
FAENZA. — IMOLA. — BOLONJA.

**L**oretto do Ancony, kilka tylko godzin jest drogi; zwykle tam na objad się przyjeżdża, boby dalej go nie dostał; pod innemi także względami Ancona warta żeby się w niej zatrzymać. Jest to punkt ważny, miasto najhandlowniejsze w papieżkich stanach, jedyne tam kwitnące i wznoszące się handlem. Ludność jego, do 40,000 dochodząca, codziennie wzrasta; żydzi w niej kilka liczą tysięcy.

Ancona co do oka, także mile się zaleca. Na dość wzniosłem wzgórzu, w półkole w Adryatyku falach się zwija. Port jego codzień wschodnie widzi bandery, a dwa razy w miesiącu swoje tam wysyła. Wiele podróżujących opuszczając półwysep, z tamąd do Triestu płyną. Jest to sposób prędszy i daleko tańszy, tylko już się wówczas niepoznaje części kraju, dzielącej Anconę od Wenecyi, nadbrzeża godnego jednak pożegnawczego rzutu oka, a widok morza daleko zda mi się miłszy z brzegu, gdy się wygodnie w cieniu na nim siedzi, niż z okrętu, po niesfornych tańczącego bałwanach.



Ancona lubo całkiem ma postać tegoczesnego miasta, bardzo daleko w starożytności swe zapisała imie. Pliniusz i Strabon mieszczą jęj początek na 400 lat przed Chrystusem, twierdząc iż tam naprzód osiedli Sycyljanie, przed Dyonizyuszem tyranem z Syrakuzy uciekając. Lud jednak tameczny wcale mi się nie wydał z sycylijskiego pochodzenia. Kobięty słyną pięknoscią: lubo mię niezachwycała, nie chcę jęj przeczyć; wyznam tylko że dziewczęta sorrentowskie daleko piękniejszymi znalazłam. Już one tam nienoszą swego włoskiego *Mezzaro*, tych chustek białych co im zasłaniając głowę bardzo wdzięcznie, śniade okrążają lica. To ładne narodowe ubranie, w Terni ostatni raz widziałam. W Anconie i Loretto już tak się ubierają jak nasze kawiarki, co także im wdzięku w mych oczach niedodało.

Nie zawsze jednak należy z rysów o początku ludu wnioskować. *Ancona* przez tyle przeszła kolei, iż niepodobna rzetelnęj narodowości w nięj szukać. W każdęj wojnie prawie zawsze na pierwszy wystawiona ogień, mało znajdziesz na mapie krajów, krórchby ludy w nięj niegościły. Nie tylko Rzymianie, Gothy, Saraceny, Wandale, ale w późniejszych czasach Francuzi, Niemcy, Rossyanie, widzieli Ancony mury. Nie dawnięj jak 1832 roku, Francuzi opanowali jęj cytadelę, i dzierżyli ją aż do 1838 r.

Artyści śpieszą oglądać jęj katedrę, wzniesioną na gruzach starożytnęj Wenery świątyni, gdzie piękne są freski tegoczesnych malarzy, pod kopułą jedną z najdawniejszych we Włoszech. Ancona kilka innych ma jeszcze pięknych kościołów, także teatr, duży lazaret, pałac legata papieżkiego i kilka innych, a w jednym z nich, w pałacu *Mamiforte* zwanym, zbiór dość szacownych obrazów. Ja tego wszystkiego bardzo mało widziałam, tak dla krótkości czasu, jak dla nieznośnego upału, sił i woli pozbawiającego. Starożytna tylko brama, czyli tryumfalny łuk, na cześć cesarza Trajana wzniesiony, głównie mą zwrócił uwagę.

Za Anconą pierwsze nieco znaczniejsze miasto jest Sinegalja. Sławne swemi jarmarkami, imie to z innego jednak powodu w pamięci mi pozostało. Podczas mego w Neapolu pobytu, jakieś zaburzenie w Rimini zaczęte tam się odbiło. Gazety pełne naówczas były szczegółów tego buntu, imiona tych dwóch miast ciągle w nich się powtarzały, tak że przyjeżdżając zdawało mi się że Sinegalją znajduę jeszcze nie ostygłą ze żwa-wego wzruszenia. Tymczasem znalazłam ją cichą, zimną, śpiącą, jakby nigdy w życiu nic innego nierobiła jak spała, i na jarmark się budziła jedynie. Ulice jęj szerokie i sznurem wyciągnione, puste i głuche, północne mi przypominały miasta. Mówiono o dużym teatrze tak nowym jak wszystkie tam budowy, ale trafić do niego niemogłam, wolałam zwró-

cić kroki ku morzu, gdzie w porcie lubo nie z pierwszego rzędu, cokolwiek ruchu i życia znalazłam.

Wyjechawszy z Sinegalji, trzy jedne po drugim miasta, każde inną brzmi sławą, inne przyzywa wspomnienia. Urbino Rafaelem świat udarowało, i z jego imieniem swoje związało imię. Pessaro jest Rossiniego ojczyzną, a Rimini, prócz nowego rozgłosu, który razem z sinegalskim do mych trafił uszu i w pamięci uwiązał, z dawnych czasów jeszcze do niej ma prawo. Jak Urbino Rafaela przywodzi na myśl imię i sławę, tak Rimini z Franceski imieniem jedną tworząc nazwę, i Danta poematu najpiękniejszy ustęp i piękną Silvia Pellica tragedją, w jedno wiąże wspomnień pasmo. Za nimi smutna Malatestów domu nasuwa się historia, tych Rimini panów, których stolica z ich rządów liczne dotąd zachowuje pamiętki.

Rimini ze starożytnych wieków znakomite a niektóre bardzo dobrze zachowane posiada zabytki. Do tych ostatnich należy tryumfalna brama, wspaniała i piękna z kamienia tak białego jak marmur, dla Augusta wystawiona. W rynku zaś pokazują kamień, rodzaj piedestału, z którego, jak ręczę, Cezar, przeszedłszy Rubicon, przemawiał do swęj armji. Bo Rubicon, ten sławny Rubicon, nad którym losy ludów się ważyły, o kilka wiorst za Rimini płynie. Droga przezeń prowadzi. Ale trzeba się dobrze dopytać żeby nie minąć go, niedomyśliwszy się że to jest rzeka sławna. Jest to teraz małe, ubogie i brudne korytko; ażeby nie znieważało dawnęj nazwy swojęj, zowią je Pisjatello, co mu daleko lepiej przystoi, niż dumne Rubiconu miano.

Niemając po co do niego śpieszyć, wstrzymaj się jeszcze chwilę w Rimini, dla obejrzenia katedry. Stara ta budowa, z XV stulecia, na starszėj świątyni Castora i Poluxa powstała, kilka posiada obrazów i rzeźb godnych uwagi. W kościele Ś. Juljusza, piękne jest także płótno Pawła z Werony, przedstawiające patrona tēj świątyni męczeństwo. Jest prócz tego w Rimini biblioteka należąca do domu Gamba Lunga, i zbiór starożytności doktora Bianchi, które zwykle przez podróżujących zwiedzane bywają. Nic ci o nich powiedzieć nie mogę, bom ich niewidziałam.

Opuściwszy Rimini, warto cokolwiek zboczyć z drogi dla zajrzenia do sławnęj rzeczypospolitęj San-Marino. Jest to jedyne państwo w Europie, które od piętnastu wieków spokojnie patrząc na rewolucye i wszystkie polityczne świata wstrząśnienia, ani w nich udziału niewzięło nigdy, ani ich padło ofiarą; własnymi zawsze, i zawsze jednostajnymi rządziło się i dotąd rządzi się prawy. Sam Napoleon cały półwysep w inne przelewając formy, o nióm zapomniał, czy może niepostrzegł, tak ta skromna krainka małe na mappie zajmuje miejsce. Nie będę ci jēj opisywać gra-



nie, ale jak rozłożywszy Włoch kartę postrzeżesz na nią czerwoną plamkę, jakby ze szpilką ukłutego palca krwi kroplę, będzie to właśnie rzeczpospolita San-Marino, jest to szacowny naddziad wszystkich Europy państw.

Jedna skała na której stolica pysznie się wznosi, i kilka do koła pagórków, całą jego powierzchnię tworzą. Ma w przecięciu około sześciu mil włoskich długości, tyleż prawie szerokości (bo ta czerwona plamka całkiem jest okrągła), a ludności liczy więcej siedmiu tysięcy! W trzecim stuleciu, rzuciwszy swego państwa stałą jak widzisz podstawę, nienakreśliła wprawdzie historii swój stronnie straszliwemi sąsiadów zabory, ani nawet bohaterskiemi czyny. Niewiem czy huk armat inaczéj jéj znany jak na wiwaty; ale mieszkańcy spokojni i zadowoleni, nie szukają ani pragną innego szczęścia; za utopjami neganiają się i nigdy żaden na współziomka nie podniósł ręki, krwią się bratnią nie zmazał, nie dopuścił się zbrodni dla dogodzenia urojeniu, albo własnej lub cudzej ambicji. Jeśli to nie najhuczniejszą brzmi sławą, nikt niezaprzeczy, iż jest najrzadszą jaką teraz widzimy, i osobliwym nawet w historii wypadkiem.

Początek rzeczypospolitéj San-Marino tak skromny jak i cały byt jéj. Winna go bowiem prostemu mularzowi, nazwiskiem Marino. Z Dalmacyi przybyły, przez trzydzieści lat w Rimini z wapnem i kielnią się napracowawszy, schronił się na stare lata w pustych gór parowy, i tam ze zbioru swego, filozoficznie, w zupełnej samotności życia chciał dojść kresu. Niebawnie rozgłos cnot jego kilku zwabiło mu przyjacicił, chcących z nim miłą podzielać swobodę. Mularz póki mu starczyło dzielił się chudobą, lecz gdy liczba zwolenników coraz się zwiększała, zażądał by każdy z sobą przyniósł co posiada, i założył, nie jak to już nieraz bywało, ostry jaki zakon, ale rzeczpospolitą, której jednak prawa, zupełnie podług ewangelji na wspólnej miłości oparte, najpiękniejsze, najświętsze miały zasady, i od swego patrona, nazwał ją San-Marino.

Bogata właścicielka uwiadomiona że w jéj dobrach zakłada się na szczycie skały niepodległe państwo, zamiast procesowania się o to, całą skałę darowała mularzowi; i tak zrodziło się owe państwo o którym mówimy. państwo co przetrwało wieki.

Na skale, w samym środku, wzniosła się stolica także San-Marino zwana. Miasto dokupiło potem dwa osobne zamki. Pierwsze to gniazdo zwiększyło się jeszcze późniejszym darem Piusa II, w sprawie którego rzeczpospolita powstała przeciw Malatestom, w Rimini panującym. Papież w nagrodę ofiarował jéj pałaców cztery z przyległościami. Lecz zgromadzone stany znalazły te granice za nadto rozległe, i uznały ściśnienia ich potrzebę. Zwrócono zatem Ojcu Świętemu część daru jego, i teraz cały

kraj składa się z jednego miasta, trzech zamków czyli pałaców, trzech klasztorów i pięciu kościołów.

Lud jego ubogi ale zawsze szczęśliw i kontent z tego co posiada. Mularz Marino w nadanych mu prawach najbardziej strzegł go od zbytków i od wszelkiego rodzaju współzalotnictwa, jako źródła zazdrości, zawiści i pełno innych przywar, a ile możliwości między obywatelami równości zachować pragnął; z czego nie trzeba wnosić, żeby w tój rzeczypospolitej nie było szlachty i mieszczan, żeby ona nie miała swój arystokracji, i bardzo wygórowanej narodowej dumy.

Wyśmiewana i ogólnie we Włoszech *Republichella* zwana, gdy za dawnych czasów w politycznych interesach pisywała do Genui lub Wenecyi, kładła na adresie: *Alla nostra carissima sorella serenissima repubblica di Venezia* (najukochańszej siostrze naszej przewielebnej rzeczypospolitej weneckiej). A teraz gdy którego z mieszczan zapytasz o rodzaj ich rządu, z najpoważniejszym odpowie ci wyrazem: „*u nas najwyższa władza spoczywa w narodzie*.” konstytucyj nie mamy ani izby deputowanych, bo to są za modne dla nas ustawy, i z modą miną zapewne, a u nas wszystko odwieczne i dla wieków przeznaczone. Każda rodzina ma swego reprezentanta; ci składają ogólną radę zwaną *arengo*. Ta wielka rada zbiera się tylko w nadzwyczajnych razach, lecz z jej łona sekretne mi wotami mianują sześćdziesięciu członków, z których czterdziestu czynnych, a dwudziestu zastępców; połowę ze szlachty, połowę z ludu są wybrani. Dwie osoby z jednej familji do rady należeć niemogą, ani być obierani przed 25 życia rokiem. Dwie trzecie głosów stanowią wyrok. Co dwa miesiące rada obiera nowych dwóch tak nazwanych kapitanów, którzy jakby redzaj konsulów, bardzo szeroką mają władzę. Przedłużać ich urzędu niewolno, ale po niejakięj przerwie mogą być powtórnie mianowani. Trzeci podobnyż oficer czy konsul, jest najwyższym sędzią, w sprawach cywilnych i kryminalnych. Ten powinien być koniecznie cudzoziemcem, a władza jego trwa lat trzy.

Czwarta osoba w hierarchji urzędów tego stanu, jest doktor. Także obcy i na lat trzy obierany, powinien mieć koniecznie 35 lat skończonych, i z jakięj bądź stolicy na praktykę patent. Dyrektor szkół także przez radę obierany wielkięj używa w kraju powagi. Wszyscy mieszkańcy są żołnierzami i od dzieciństwa do tego sposobieni. Ztąd domyślasz się iż siła zbrojna niepowinnaby lekce być w sprawach Europy ważoną. Odrąciwszy dzieci i starców, musi jak wnoszę dochodzić do pięciu tysięcy! piechoty, bo koni, jako rzecz do zbytków ludzkich należąca, wcale tam niechowają. I pocóżby tam konie? Cały kraj w parę godzin piechotą przejść można; a do uprawy roli, skala dwie trzecie



jego zalegająca, i przez trzy miesiące śniegiem pokryta, mocno się przeciwili. Wino jednak bardzo tam jest smaczne. San Marinianie niemię się pyszną, jako i świeżością piwnic w których je przechowują. Wodą za to pochwalic się niemogą. Niemają biedaki innę, jak tę co im z nieba spadnie, lub z kilku dalekich od miasta studzien czerpać muszą.

Jedyną swą drogą także niemają się czego chlubić, od granicy do miasta około przez trzy tylko prowadzona wiorsty tam się kończy, a mimo to nie jest dobrze utrzymaną. Musi to być także do zbytków u nich policzonem. Inną jak od Rimini stroną ani wjechać ani wyjechać z kraju niemożna. Surowy zakaz tego strzeże. Za to San-Marino jedynem w całych Włoszech jest państwem, gdzie się o paszporta nie pytają.

Przyznaj Antonio, że to wszystko widząc i słysząc, te ustawy, te całą komplikacją rządu, można myśleć że się patrzy na dziecienny teatr, lub na jaką dla szkolnych uczniów próbę, jak to naprzykład młodym artylerzystom stawiać czasem dla ćwiczenia się w zdobnionych kształtach twierdze. A jednak, jest to na prawdę, jedyny kątek w naszej Europie gdzie ludzie spokojni, z bytu swego zadowoleni, niczego nie żądają, chwalc Boga za to co im udzielił. I to od piętnastu wieków!!

Z tego nań spojrzawszy punktu, San-Marino staje się na pierwszy rzut oka już nie cackiem ale zagadką: zastanowiwszy się zaś, nadzwyczajna skromność, i tak małe pod każdym względem kraju wymiary iż na nikogo nigdy nie rzuciły cienia, nikomu zawadzać nie mogły, co do europejskich stosunków tej zagadki są rozwiązaniem; jako też moralność praw na religijnych oparte zasadach, (których małe z obcemi zcierania się w pierwotnej chowają świętości) trudny przystęp dla tegoczesnej tak zwanej cywilizacji, gardzącej na odwet garstką ciemnego ludu pozostałą całkiem w tyle postępu, wewnętrzną jego swobodą tłumaczy. Bo jak dowodzi Chateaubriand, rozum wielkim jest nieprzyjacielem człowieka; duszę jego za wysoko wznosi, za nadto rozdyma, by mu swobodę umysłu zostawić. Musiał i mularz Marino to podzielać zdanie, kiedy tak w swém państwie, skromne oświaty udzielać pozwolił iż wielka jest nadzieja, że lud jego nieprędko się nią zatruje.

Za San-Marino napotyka się miasteczko zwane Cesena, gdzie w katedrze rzeźby Donatella a po innych kościołach kilka można pięknych widzieć obrazów. W rynku stanął uiedawno posąg Piusa VI, którego Cesena jest ojczyzną.

Dalej, droga porzuca brzegi morza, a kraj zupełnie inną przybiera postać, nieco lombardzkie rysy. Więcej płaszczyzny, grunta pięknem zieleniejące zbożem, rola dobrze uprawna, zdała się i o mieszkańcach

lepiej wróżyć. Muszę ci się przyznać, że te nieco prozaiczne obrazy, co bynajmniej mego niepieściły oka, gdy przebywszy Alpy pragnęło skał, ruin, przepaści, potoków, teraz dość przyjemne mu się wydały. Coś jakby ojczystego w nich mi się przypominało; a jakkolwiek z bólem serca rozstawałam się z uroczym półwyspem, to przypomnienie silniejszy jeszcze miało dla mnie urok.

Kołysałam nim dowolnie myśl moją, a marząc o powrocie do mych łąk szerokich, starałam się tam wynajdywać coraz większe z niemi podobieństwo, gdy niespodziany wypadek przekonał mię od razu jak jeszcze daleko od nich jestem, że jeszcze we Włoszech, i z Włochami!

Tam, jak ci mówiłam pocztą prawie niepodobna jeździć. Gdyby i nie zważać na niesłychane zdzierstwo i bezustanne oszukaństwa, częsty brak karczem przy nie gościnnych stacjach zmusza do podróżowania nocą, z narażeniem życia, z wielką niewygodą, dla tych mianowicie co jak ja w podróży, a dla zdrowia potrzebują spoczynku.

Furmani zwani veturynami, wiedząc o tém, niesłuchanie się drożą. Ci co się taniej najmują, innymi sposoby to wynagradzają sobie. Najczęściej z bandytami w znowie, do ich należą wspólek. Każdy co wie o tém, woli więcej zapłacić, a mieć człowieka pewnego. Mnie tak doradzono i dziękowałam Bogu, że z téj zkorzystała rady. Veturyno wziął za podróż z Rzymu do Wenecyi (wylączając Loretto, i inne wycieczki na osobny policzone koszt) franków 800; jest to zapewne cena bardzo wysoka, a do niej trzeba dodać *la manciore* to jest *na pivo* franków 50, z których nie był jeszcze zadowolniony, wymagając drugie tyle. Ale wyznać muszę że jego przytomności, zimnej krwi, i zręcznemu znalezieniu się życie może winnam.

Otóż jechaliśmy sobie spokojnie. Ranka tego veturyno który ciągle wioził z konia, przyszedł mię prosić żebym mu pozwoliła usiąść na kozioł, obok kamerdynera gdyż koń siodłowy okulał; na co szczęściem zezwoliłam. Koń ten był przyczyną że jeszcze wolniejszym niż zwykle posuwaliśmy się krokiem, kiedy spostrzegłam z bocznej drożyny wypadający raptownie wózek i przecinający nam drogę. Gościniec był szeroki, wózek niemógł całą jego zająć przestrzeń; veturyno nic nie mówiąc bokiem go ominął i jechał dalej. Wózek niebawem nas przegonił, i znów na poprzek drogi przed samemi stanął końmi. Veturyno zręcznym koni zwrotem na nowo go wyminął, ale zacinając konie cokolwiek śpieszniej jechać począł. Gdy te manewra po raz trzeci się ponowiły, kamerdyner tracąc cierpliwość wyrzekać począł, a ja zdziwiona zimnej krwi zaniemiałego veturyna, wysunąłem się by zobaczyć z kąd to pochodzi? Na moje zapytanie potrząsł tylko głową, coś z cicha do ka-



merdynera mruknął i ani słowa więcej niewyrzekł, a jeden z napastujących nas ludzi skoczył z wózka, i przez czas co towarzyszył jego nieprzestawał w usiłowaniu do wstrzymania naszej jazdy, najzwawszą zaczął z nim kłótnię. O co? on sam zapewne niewiedział; ale przekleństwa i zelżywe wyrazy, gęsto z ust sypał, twarz jego złością iskrzała, pięścią groził. Veturyno wierny jak się zdaje przyjętej w takich razach taktyce, na to wszystko nieodpowiadał, a niezwracając nawet w jego stronę głowy, zajęty był jedynie zręcznym wymijaniem wózka który ciągle pod konie lub koła nam wlaził. Wówczas nieznamy zawadziak, coraz bardziej zapalając się zaczął skakać do niego, chcąc go za kołnierz uchwycić, a towarzyszył jego opuszczając wózek za przednie nasze targał konie, by je gwałtem na jakąś boczną zwrócić dróżkę, na końcu której mały białym pod lasem domek. Ale kozioł mój karety wysoki, koła się obracały żwawo, wskoczyć nań niepodobna było. W tych tylko skokach ubior skaczącego się rozwiął, i odsłonił kilka sztyletów i innej broni, a na wózku gdy ludzie z niego wysiedli, a jakieś osłaniające go płachty pospadały, dwie dość duże skrzynki postrzegłam i domyśliłam się wszystkiego. Byli to bryganci doskonały bryganci; a lubo niektórzy twierdzą że już tylko w romansach się ich napotyka, przyznać muszę że niemogłam dochować tego złudzenia, i bardzo dobrze czułam że to wcale nie romans, że owszem była to rzeczywista historia która bardzo smutnie mogła się skończyć dla mnie.

Nie należeli oni w prawdzie do tych brygantów klasycznych jakich w powieściach lub na rycinach kreślą. Niemieli spiczastego z pawiem piórkami, kwiatkami lub wstążkami u kapelusza, ni reszty przyjętego stroju, jaki w karnawale rzymskim między kostiumami widywałam. Ale czystości i starannie ubrani, niż w tej klasie bywa, jakąś elegancją niezwykłą, tym co wózkami jeżdżą się odznaczyli.

Ten co najprzód na kozioł a potem do okna mój karety skakał, w greckiej pąsowej na głowie czapeczce, jak z rana nasi panicze noszą, takiego koloru miał chusteczkę z niechcenia na szyi zawiązaną, białinę rzadkiej białości, a w koło siebie dość szeroko zwinęty szal, z pod którego to ja sztylety ujrzałam. Broda do koła twarzy (en colier grec) starannie uczesana była, słowem rzekłbyś że to jakiś salonowy *Lew*, i musiał też być *Lewem* zbójców, lubo wcale nie zbójce miał rysy. Owszem mogę go policzyć do najpiękniejszych mężczyzn, jakich w życiu spotkałam.

Straciwszy nadzieję skłócenia się z furmanem i ściągnięcia go z pojazdu, do mnie obrócił swe zapamiętałe słowa; towarzyszył jego z drugiej strony karety, także grozić zaczął, i nową rozpoczął kłótnię. Oco rzecz

chodziła? czy to były skargi na woźnicę czyli pogrożki na nas samych? niewiem, raptownej i zadyszanej ich mowy zrozumieć nie starałam się, a choćby i najpowolniejszą była, może w takiej jak moja wówczas obawie bym ją niezrozumiała. Pamiętam tylko, że ustawicznie imię Matki Boskiej na ustach mieli, 20 pięści w górę podnosząc ciągle powtarzali: „*Sacra Madonna!*”

Gdyśmy się tak ucierali, my wyszukując tylko sposobu ucieczki, oni, nie chcąc nas z rąk wypuścić a nie dość silni by przemocą pokonać, drugi jakiś dość podobny pierwszemu nadbiegł wózek. Jeden w nim tylko siedział *towarzysz*. Ten wyskoczywszy co prędzej szepnął coś do ucha temu co od drzwiczek karety nieodstępował. Potem rozpoczęła się między nimi długa tajemna rozmowa, jakby jakie spory. Zdaje się iż oczekiwany sukurs niemógł tak prędko jak żądali nadsięgnąć; a gdy furmana niemogli pchnąć nożem (coby go niezawodnie spotkało gdyby wiózł z konia), wstrzymać karety niemieli nadziei, przynajmniej wstrzymać ją na tak długi czas jak im potrzebném było. My zaś korzystając z tego goniliśmy dalej. Już byliśmy pewni żeśmy daleko za sobą ich zostawili, kiedy ten co nam drogę naprzód zajeżdżał, wsiadłszy na powrót na wózek doznał nas, i z rodzajem rozpacz i wściekłości zaczął najdobitniej nam przyrzekać że my im nie ujdziem, że to rzecz odwleczona i t. d. a żegnając z szyderskim uśmiechem rzucił nam: „do widzenia! do przedkiego i milego spotkania!.....”

Veturyno to słysząc, nowy zaraz plan ułożył. Zamiast noclegowania w Forli, jakto zamierzono było, i na czém zapewne bandyci liczyli, wstrzymawszy się tam tylko dla krótkiego koni wypoczynku, puściliśmy się dalej. A gdy w Forli opowiadaliśmy spotkanie nasze, słuchano je z największą obojętnością, jako najnaturalniejszej i zwyczajnej rzeczy, jak gdybyśmy mówili że na jabłoni jabłka widzieliśmy.

I tak się skończył dość jak widzisz prozaicznie lubo nie bez wielkiego przestachu, ten cały bandytów epizod, nieodzowny, jak się zdaje w podróży włoskiej, a który przed tém, całkiem brakł w mojej.

Forli ma jakieś podobno wspomnienia, piękne budowy i sławnych mistrzów obrazy, ale zmęczona zbyt raptowną drogą i jeszcze nie zupełnie o następny dzień spokojna, nie miałam ochoty pytania się, ani oglądania niczego. Jest to miasto dość duże, a najbardziej mi się podobało tém, iż tam całkiem Apeniny się kończą, że ich nawet zdaleka w perspektywie nie widać ani słyszać wycięj o nich.

Za Forli najznakomitsze miasto jest Faenza, które głównie słynie swym fajansem. Tam go robić poczęto i z tamąd wziął swe europejskie imię. Faenza liczy się do najważniejszych miast papieżkich stanów.



Mieszkańców ma 20,000. W czworogran postawione pięknymi jest otoczona mury: a cztery ulice co ją na krzyż przecinają zbiegają się na dużym rynku, portykiem do koła. Portyki w ogólnej są tam modzie; jest to charakteryzująca tamecznych miast cecha. Główny ten plac piękną ma w środku fontannę, z jednej strony nowy teatr, a z drugiej katedra z zegarową wieżą nieźle go także zdobią. Faenza prócz tego posiada liceum, (w którym galerya obrazów kilka pięknych liczy bolońskię szkoły płócien;) szpital dla obłąkanych, drugi dla podrzutków, trzeci dla chorych, wszystkie dość dobrze utrzymane, a w kościele kapucynów wielkiej piękności obraz Guida.

Między Faenza a Bolonią już tylko mamy Imolę. Na złomach starożytnego *Corneliusza-forum* wzniesiona, później szkaradną rozpustą i okrucieństwem Cesara Borgji, którego była własnością, imie swe smutnie spopularyzowała. W ostatnich zaś czasach, imie to, przy ostatnim papieża Piusa IX oborze, nieraz się o uszy odbiło: papież ten, jak wiadomo, był tam biskupem, i z Imola do watykanu się przeniósł.

Za Imolą, kraj znowu się zamienia i zupełnie nowe w całym półwyspie nieznanne, przedstawia rysy. Nieskończone ilość rzeczek i strumyków, kanałów i stawów go przecina. Co chwila jakiś promik lub mostek zastępują drogę, co jednak jęj nie utrudza, owszem swą nowością, miłym darzy wdziękiem. Nakoniec przez żyzne pola, bogate zboża łąny, przybywa się do Bolonji, gdzie każdy choćby najspieszniej podróżując, kilka dni wstrzymać się winien.

Jak Wenecya *piękną*, Genua *pyszną*, tak Bolonją dla żyzności okolicy przewano tłustą (Bolonja la grassa). Pomnąc na jęj sławny niegdys uniwersytet, można by ją zwać uczoną. Konserwatorium muzyczne, i malarska szkoła, artystyczny unogłyby jęj zjednać przydomek. Jednak na pierwszy rzut oka ani artystyczną, ni piękną mi się nie wydała. Ulice kręte po większej części ciasne, ścięsnione jeszcze portykami niskimi, i ciemnymi; kościoły i pałace niestarannie utrzymane, bynajmniej ją niezdobią. Jednak więcej ruchu, przemysłu, czystości. Zegary po europejsku biją, lud bardziej zajęty, mniej wyciąga rękę, domy wewnątrz schludniejsze niemają już tych ogromnych w środku pokoju łózek w których sześć osób zmieścić by się mogło. Słowem w każdym szczególe sąsiedztwo przed-alpejskiej Europy się przypomina.

Bolonja od papieża Juljusza II została do Romanji wcieloną. Przed tęp osobnym była państwem. W starożytnych czasach zwała się Felziną. Dawni pisarze a mianowicie Liwiusz, liczą ją między dwunastu stolicami Etrusków. Jednak żadnej pamiątki z tęp niezachowała epoki.

Po upadku cesarstwa rzymskiego, kilkakrotnie przez Wandalów pustoszona, otrząsłszy się z téj klęski, stała się później Gwelfów i Gibelinów ofiarą. Przeszła potem na własność domów Pepoli, Visconti na końcu Bentivoglio. Potém ją cesarzowie niemieccy dzierżyli. Lecz najpiękniejszą jej historii epoką jest następną, gdy z pod cesarskiej władzy się wydobywszy, jako rzeczpospolita największej nabrała powagi. Medyolan, Wenecya, Ferara, wszystko przed potęgą Bolonji uchylało czoło, a co do rozległości, najpiękniejszą część Romanji posiadała. To wszystko jednak, tak swobody, powagę, jak i prowincje, domowemi straciła kłótniami. Te już trwały od dwóch blisko wieków, gdy Juliusz II w 1506 roku wyгнаwszy wszystkich Bentivoljów, do apostolskiego wcielił ją państwa.

Bolonja teraz w Romanji pierwsze po Rzymie trzyma miejsce. Jest jakby stolicą Legacji, to jest, że ze czterech legacji papieżkich stanów, tam się główne odnoszą ich sprawy. Prócz kardynała-legata, który poniekąd vice-króla ma znaczenie, Bolonja osobny ma rodzaj senatu, osobne przywileje; a przy Watykańskim dworze, reprezentanta swego, jakby bardziej za sprzymierzoną niż za poddaną się uważała. Słowem jest to z wielu względów punkt ważny, godny wstrzymać na chwilę uwagę i kroki.

Siedmdziesiąt tysięcy ludności, da ci wyobrażenie o rozległości miasta. Dwanaście bram do niego prowadzą, a weń wjchawszy, każdego najprzód uderzają dwie pochyłe wieże, i olbrzymia fontanna.

Jak w Pizie tak i tu, nikt z pewnością niewie, czy pochyłość tych wież, jest sztuki czyli przypadku skutkiem. Pierwsza zwana *Degli Asinelli*, od architekta Gerarda Asinelli który ją w dwunastém stuleciu postawił, ma 300 stóp wysokości; druga daleko niższa, bo szczyt jej przed kilku wiekami spadł, zowie się, niewiem czemu *Garisendi*. Obie obok siebie stoją, a każda w inną pochyła się stronę; wyższa mniej, niższa więcej, a wszystko razem wcale pięknego nie tworzy dla oka efektu. Fontanna zwana *del gigante* (olbrzymia) jest dziełem Jana z Bolonji. Mnóstwo amorków na konchach siedzących, siren masek i Delfinów wzniosłą jej tworzą kolumnę, na wierzchu której kolosalny stanął Neptun. Ta hydrauliczna machina wielką miastu dostarcza wody masę, bardzo potrzebną dla zastąpienia rzecznej, zupełnie tam brakującej; i też stanęła z rozkazu S. Karola Boromeusza, gdy w Bolonji legata papieżkiego piastował urząd.

Ale dla znalezienia prawdziwego w tém mieście zajęcia, trzeba w jego naukowe zajrzeć archiwa. Uniwersytet na całą niegdyś Europę sławny, zewsząd uczniów zwabiał. Liczono ich tam naówczas aż do



12,000. Zwyczaj przychodzenia na prelekcje w maskach, wielką dla plei pięknej był wygodą. Bolonja też jak kolebką wielu znakomitych ludzi, tak i uczonych kobiet może się zwać stolicą. Niezbyt dawno jeszcze dwie ważne piastowały katedry: Manzolini anatomji, a Laura Bassi filozofji; jak to ci wyżej, zdami się, o włoszkach w ogólności mówiąc już wspomniałam.

Szkoła malarska, ostatnia co do epoki swego istnienia, jedną z najbogatszych w wielkich mistrzów była. Gdy już inne upadły szkoły a malarstwo całkiem krzywym zaczęło postępować torem, gdy wpadło w przesadę, zapomniało że ma być pięknej natury tylko odbiciem, Annibal Carache i dwaj bracia jego, podnieśli tę sztukę, nowy jój dali kierunek, szersze i prawdziwsze rysy, a Coregio, także bolońskiej szkoły uczeń lub raczej jeden z jój mistrzów, nieporównaną gracyą oblekł zbyt może śmiało jój kształty. Szkole tej winniśmy kunsztowne światła i odbłasku użycie (Clair-obscur). Winniśmy jój prócz Carachów i Coregia, Dominichina, Albana, Guerchina, Primaticia, Garofola, Schidona, Cigioniego, Guido-Reniego, wierną jego naśladownicę Elżbietę Sirani, i pełno innych wielkiej sławy mistrzów (1).

Konserwatoryum muzyczne wiele także sław zrodziło; ostatnią jest Rossini, który lubo urodzony w Pesaro wychowany jednak w Bolonji, uważa ją za ojczyznę swoją, i na stare lata w niej osiadł. Ma piękny w mieście pałac, a w okolicy wieś czy villę. Mało się towarzystwu udziela, od cudzoziemców stroni, muzyki się zarzekł, a jedynie spekulacyjnym oddany zyskom słynie teraz skąpstwem. Mówiono mi tam (za cobyś ręczyć nie chciała) że sam na targ chodzi za codzienném do kuchni zapasem; a gdy oglądając tameczny cmentarz, zapytałam mego Cicerona, czy prawda że Rossini kazał już jak to gdzieś czytałam, piękny z marmuru zrobić dla siebie posąg, którym chce cmentarz wzbogacić? — »Q! niech pani temu niewierzy, odrzekł, nie tylko on sam nie chciałby na to łożyć, ale gdyby kto inny mu wystawił posąg, on by go sprzedać gotów, a w dodatku ofiarowałby jeszcze ciało swoje byle je zapłacono dobrze.» Właśnie podczas mej tam bytności, żona jego (Angielka jeśli się nie mylę,) z którą był rozłączony, umarła, a on miał się żenić z jakąś od dawna z nim mieszkającą panią (2).

(1) Najwięcej z nich inne mieli nazwiska, i tylko, jak ci we Florencyi wspomniam, od miejsca urodzenia, lub jakiejś szczególnej okoliczności, ochrzczeni zostali przydomkiem, który im na wieki pozostał. Tak Benvenuto Tisio został przezwany *il Garofolo* (gwoździak) dla tego że w obrazach jego bardzo często kwiatek ten się znajduje, i nikt już niewie o innem jego nazwisku jak *Garofolo*. Guerchino, zwał się Francesco Barbieri. *Il Dominichino* zwał się Zampieri a przydomek od spieczzonego wziął imienia swego, gdyż na imie miał Dominik i t. d.

(2) Konserwatoryum bolońskie całemu światu niedyś dostarczało aktorów, i śpie-

Cmentarz boloński do głównych terazniejszych ciekawości należy, i godny jest tych kilku godzin na zwiedzenie jego potrzebnych. Jak gdzie indziej z dziełami sztuk pięknych postępują, tak w Bolonji z umarłemi; jak w Rzymie i Florencyi, dla rzeźby i malarstwa długie i wspaniałe wznoszą galerye, tak w Bolonji dla nieboszczyków. *Campo Santo* bolońskie, nie jest ani zasute jak neapolitańskie kwiatami, ani tak rozumnie urządzone. Dla biednych cztery są oddziały, przeznaczone są dla dzieci, starców, kobiet i mężczyzn. Te płci rozróżnienie, ta pośmiertna skromność, zdała mi się nieco zapóźną i zbyteczną. Za to bogatym nic do żądania nie zostawiono. Czy kto wolałby w otwartych spoczywać portykach, co środek okrążają cmentarza, czy w długich bez końca marmurem wysłanych galeryach, czyli zechce osobnej dla siebie wyłączenie, lub dla całej rodziny kaplicy? wszystko na zawołanie gotowe tam znajdzie. Niektóre z tych kaplic w przeszliczne przeistaczają się świątynie. Jedna na pamiątkę wielkich artystów i innych znakomitych ludzi, zrodzonych w Bolonji poświęcona, do koła ich ozdobiona jest popiersiami; wszystko to jeszcze niedokończone, za lat kilkanaście stanie się prawdziwem muzeum, a nawet i pięknem, jeśli będą lepszych jak dotąd używać artystów. Bo co teraz już tam stało, tak popiersia, posągi, jak w zastępstwie ich na ścianie malowane obrazy, ze smutkiem wyznać trzeba iż nie wielkiego uwielbienia warte. Najlepsze z nich są dawne płaskorzeźby z czasów odrodzenia, po Kartuzach pozostałe, gdyż ten cmentarz na ich zniszczonych cmentarzu powstał; a dla mnie najbardziej wydał się zajmującym pomnik rodaka naszego, byłego ministra Matuszewicza, (tłumacza Tomasza a Cempis o naśladowaniu Chrystusa), który tam skończywszy w 1819 roku, tamże spoczywa. Pomnik jego bolońskiego artysty dłuta, do lepszych należy.

*Campo Santo*, blisko o pół mili naszej od miasta odległe, ma być z niem połączone krytym portykiem na siedmiuset arkadach spartym. Stanie się to nie tylko jedną z najpiękniejszych ozdób miasta, ale w upały letnie celem przechadzki dla publiczności. Inaczej przestrzeń taka, byłaby w dni słotne bardzo przy pogrzebach uciążliwą, a i tak rzemieś-

waków. Senat miał nad nim zwierzchność, a młodzież w niem odbierała staranne wychowanie.

Czytałam w jednym z dawniejszych Włoch opisów (przez księdza Richard, Francuza z 1762 r.) iż gdy jaka bogata familja zagrożona była wygaśnięciem, ostatni jej członek wybierał między uczniami konserwatorjum następcę swego nazwiska i bogactw. Ten jednak nauki w tymże kończył zakładzie, a przez czas małoletności, majątek pod dozorem opiekunów wzrastał. Z tąd nigdy familje nie gasły, i stały zachowywały do sztuk pięknych skłonność.



nikom zbyt wiele musi zabierać czasu. Szczęściem Włosi nie skrupulatnie z nim się obliczają.

Dawniej w tém cichém ustroniu, wznosił się kartuzów klasztor. Pokazują tam w kościele pozostałe po nich pamiątki; mnóstwo relikwii w bardzo kosztownych szafach, kilka szacownych obrazów, i bardzo pięknej roboty stalle. Widać że ci Kartuzi bogatsi byli i więcej do światowych przywiązani marności, niż ci których w południowej Francji na wstępie do Alp widziałam.

Klasztor ten podczas wojen cesarskich, razem z wielu innymi zniszczony został; Bolonja przed wejściem Francuzów więcej dwóchset liczyła kościołów, a zakonów bardzo także wiele; i też dawne przysłowie mówi: »Roma per i preti, e Bologna per i monachi.« (Rzym dla księży, a dla mnichów Bolonja.) A większa część kościołów potraciwszy wówczas głównej wartości obrazy i inne bogactwa, nieodzyskała ich więcej. Niektóre po upadku Napoleona wróciły do swęj ojczyzny, ale zamiast kościołów muzeum wzbogacić poszły. Z tych liczby jest sławna Ś. Cecylja Rafaela, jedno z najpiękniejszych dzieł jego. Mówią że Francesco Francia znakomity także artysta, chciał go zrazu kopiować, lecz wpatrzywszy się, tyle znalazł niedościgłych w tym obrazie piękności, tak wielką postrzegł między sobą a Rafaelem przestrzeń, iż zachorował z rozpacz i umarł. Teraz prawdziwi znawcy i lubownicy malarstwa, jedynie dla widzenia tego arcydzieła do Bolonji przyjeżdżają. W samym środku obrazu Ś. Cecylja w zachwyceniu stoi; oczy ma wzniezione w niebo, gdzie chóry aniołów nad jęj głową śpiewają; opuściła instrument na którym sama grała, bo nie prócz nich nie widzi, nie słyszy. Postać jęj i wyraz niebiańskie malują natchnienie. Wszystko tam tak piękne, tak harmonijne, jak ten aniejski koncert, na który patrząc zdaje się że go słyszemy, że on Rafaelowi wtorować musiał gdy dusza jego to tworzyła dzieło.

Widząc ten obraz zdziwiłam się że go po powrocie z Paryża do Watykanu nie zabrano. Cicerone mi powiedział że Bolończycy byliby się na to nie zgodzili; że tak wielka wyrządzone im krzywda, mogłaby jakich rozruchów stać się przyczyną. Domyślasz się że to jest najpiękniejszy klejnot muzeum bolońskiego, które z resztą znalazłam mniej bogate, niż mogłam się spodziewać, w miejscu zwaném *malarskim Włoch gabinetem*. Główne jego płótna miejscowej są szkoły. Prócz nich mało innych tam znajdziesz. Carachów, Guerchina i Dominichina obrazy, dwie trzecie ścian osłaniają. Niektóre wielkich zalet po większej części po zniszczonych odzierżone kościołach noszą, jak i Ś. Cecylja Rafaela, ołtarzowych świec ślady. Z resztą nigdzie we Włoszech tak doskonale

jak tam niedochowują się obrazy. Suchość powietrza, odległość rzek i morza bardzo temu sprzyja. W Neapolu sąsiedztwo jego, w Rzymie mgliste powietrze wielce im szkodzi. We Florencyi także, Arna wylewy niesprzyjają im bynajmniej.

Przekonałam się o tём nie tylko w muzeum, gdzie więcej zwykle mają o nich starania, ale po kościołach i pałacach. Tych jest dotąd ogromna liczba pełna szacownych płócien. One to, jak mniemam, bardziej niż publiczna galerya musiały zjednać Bolonji ten przydomek *gabinetu malarzkiego* o którym mówiłam. Pod tym względem jest to poniekąd drugi Rzym. Niepodobna byłoby opisać wszystkich skarbów jakie tam się znajdują, niepodobna i niepotrzebna, gdyż ich codzień ubywa. Tak obrazy jak i misternej roboty meble, broń starożytna, i inne precyzoza, starannie jak widać i niemalym zapewne kosztem przez bogatych zebrane naddziadów, teraz zubożali, prawnicy byle zaco zbywają, wszelkimi sposoby zpieniężyć usiłują. Jest to większej części Europy historia, którąby i u nas widziano, gdyby u nas były także do zbywania skarby.

Wszedłszy do tych pysznych staroświeckich komnat, może się здаwać żeś do żydowskich wpadł niespodzianie kramów, tak cię do kupna naglą, tak cię opadają i wypuścić niechę. Najprzód ci zastraszającą powiedzą cenę, potem o trzecią część i więcej sami ją spuszczać. Kto by za połowę ich wartości chciał pięknego nabyć Tyciana Vandycka, Guerchina i tём podobnych, powinien do Bolonji się udać; znajdzie za połowę ceny w Rzymie żądanej (1).

Z kościołów zwiedzałam tylko najslawniejsze. Katedra pod Ś. Piotra, a stara bazylika pod Ś. Petronia jest wezwaniem. Ta większa i wspanialsza od pierwszej, szczyci się wspomnieniami koronacyi Karola V przez Klemensa VII w niej namaszczonego, i sławnym meridianem, dzieło znanego w uczonej świecie astronoma Dominika Casini. Piękne kolorowane okna pobożnej kaplicy, są wykonane podług Michała Anioła rysunku.

Kościoły Matki Boskiej, Ś. Jakóba i kilka innych, każdy po kilka pięknych fresków i obrazów posiadają. Najlepiej z nich mi się podobał Dominikanów kościół. Wyższy wewnątrz niż zwyczajne we Włoszech świątynie, mniej zasuty drobiazgowymi i złocistymi ozdobami, szlachetniejszą ma postać i przyjemne zostawił mi wrażenie. Piękne Guido Reniego freski, kilka znakomitych obrazów Guerchina, Francesca Francji, a między nimi najslawniejszy Ludwika Caracha, przedstawiający Ś. Rajmunda na rozściągniętym płaszczu przez morze płynącego, tak mi

(1) Widziałam w Rzymie małą główkę pęzła Leonarda da Vinci za którą chciano 30,000 franków.



się w pamięci głęboko odbił, że w chwili gdy to piszę, widzę go przed sobą. W tym kościele pokażą ci kilka rzeźb Donatella, i małego aniołka Buonarrotego dłuta, który, jak ci to w jego biografii wspomniałam, tyle obudził w Bolonji zazdrości, iż artysta, dla ocalenia zagrożonego życia, musiał co prędzej do Florencyi wrócić. Wskażą ci tam także kilka grobowców znakomitych ludzi, a między innymi, jednego z najulubieńszych mych malarzy, Guido-Reniego, przy którym Elżbieta Sirani zapalona wielbicielka i naśladownica jego, prosiła jako zaszczyt by jej złożono zwłoki, i tamże spoczywa.

Bolonja posiada prócz tego dość dużo publicznych gmachów: legata, akademji sztuk pięknych, i tym podobne, gdzie stare rzeźby i posągi goriwych badaczy zwracają kroki, gdzie czasem jakiś piękny napotkać można obraz, lub historyczne jakie wspomnienie. Dla miejscowych, przez zimę Bolonja dość dobrą ma operę, koncerta i inne resursa. Taniósć życia jest tak wielka, iż rachunek hotelu Ś. Marka gdzie mieszkała, zadziwił mię swém umiarkowaniem. Pierwszy mi to raz, przez całą mą włoską podróż się zdarzyło. Ztąd wniosłam że produkta muszą być w wielkiej obfitości, i za bardzo mierną cenę. A gdy właśnie w tej porze odebrałam list od przyjaciela, z zapytaniem gdzie bym mu radziła z familją we Włoszech osiąść? Bolonja zdała mi się pod wielu względami na ten zasługiwać wybór. Niema ona, jak Florencya, Rzym, i inne włoskie miasta, tak raptownego cudzoziemców napływu, co ceny przez lato umiarkowane w zimie nie dublują, ale o cztery, o sześć razy wznoszą. Tam dużo jest lecz tylko chwilowo zwiedzających; każdy tylko przejazdem, a ztąd w ogóle nie może czynić różnicy.

Łatwiejsze z resztą świata stosunki, pędzse listów, gazet, książek dochodzenie, także przemawiają zatym już bardziej do Europy zbliżonym punktem, gdyż jakkolwiek przyjemna i więcej niż przyjemna z wielu miar, jest podróż po tej czarownej krainie, wyznać jednak trzeba, iż w najdłuższym w niej pobycie, te utrudzenie stosunków, brak książek, wiadomości, gazet; poczty tak nieporządne iż połowe listów ginie, inne po pół roku na nich zalegają, wszystko to w codziennego życia prozie, bardzo nie mile czuć się daje. W Bolonji, jak mówiłam, w wielu tego rzędu szczegółach, sąsiedztwo Europy już się przeczuwa. Jedna tylko, bardzo wprawdzie ważna, uwaga mi się nasunęła gdy te wyliczając korzyści, podawałam ją jako godną do stałego zamieszkania wyboru: to jest brutalstwo i złość pospólstwa.

We wszystkich jakie tylko czytałam Włoch opisach, mówiąc o Bolonji kończą na pochwałach pracowitego jej ludu. Zowią go szczerem i łagodnym. Co do pierwszej zalety, może mieć prawo; wracającemu

z Rzymu może nawet i bardzo pracowitym się wydać. Ale co mogło mu dwie następne zjednać pochwały? tego niepojmuję. Brutalstwo i złość Bolończyków tak jest ogólnie znaną, iż Veturyni wioząc tam obcych, ostrzegają żeby w żadne z nimi niewchodzić zatargi, ani przy zmroku bocznymi chodzić ulicami. Gdy upatrzą jakiego cudzoziemca (a Włoch jest zawsze przekonany, że każdy z nich pełne ma kieszenie) robią na niego zasadzkę. Pomiarkowawszy którymi ulicami zwykł do domu wracać, jeden z tych *szczerych* i *łagodnych* ludzi, kładzie się na drodze, i pod ciemnym portykiem udając chorego, swemi jęki go wabi. Czasem dla łatwiejszego zneżenia i usunięcia wszelkiej obawy, rzewnie płaczące dziecko pod takim sadzają portykiem, a gdy ten figiel się uda, i tak przechodnia zwabia, kilka z tyłu wypada włóczęgów, jeśli są istotnie *łagodni*, przestają na wyrwaniu dobytego dla cierpiącego worka, i z nim uciekają, inaczey zegarka lub czasem odzienia żądają, a na odmówną odpowiedź, do noża dla przekonania odwołują się. Takie wypadki codziennymi są w Bolonji.

Co zaś do zatargów te bardzo trudne do uniknienia, gdyż oni pierwsi ich szukają. Mnie samój coś podobnego się zdarzyło. Szłam wśród dnia bokiem ulicy pod portykiem, a niewidząc lokaja któremu kazałam sobie towarzyszyć, stanęłam, i zaczęłam oglądać się za nim. Jakiś wyrobnik przyszedł mnie pytać dokąd idę, i czego szukam? a gdym mu nie odpowiadała i dalej iść zaczęłam, chwycił mię za ramię. Niewiem na czem by się skończyło, gdyby w téjże chwili nie nadszedł oczekiwany lokaj, i to miejscowy w hotelu mi polecony, boby na obcego nie mieli może względu.

Z tego powodu pobyt w Bolonji musi być bardzo nie miłym.



#### XIV.

FERRARA. — ROVIGO. — PADWA. — KOLEJ ŻELAZNA PRZEZ MORZE.—  
WENECJA.

**W**racałam do znanéj mi już Wenecji. Zamierzałam w niéj część lata przepędzić, i dla tego nie zbyt się śpiesząc, chciałam przedtém jeszcze zwiedzić dokładnie Ferrarę i Padwę, które mi były na drodze; a między nimi zajrzeć do Rovigo; mniej dla wartości tego małej wagi miasteczka, jak dla nazwy jego, co się stała przydomkiem znanego napoleońskiego ministra, autora zajmujących pamiętników—Savarego.

Ferrara o kilka tylko mil od Bolonji położona, osobne niegdyś stanowiła państwo. Te mil kilka rozmaitemi rzeki Pó gałęziami poprzecinane, częścią bagnami pokryte i pełne wilgoci, zdają się żyzne ale nie zdrowe. Kraj lubo nie brzydki dość jednak pusty, nie rodzi ochoty w nim zamieszkania.

Szperając przed kilku miesiącami w życiu Tassa, rozmaite jego przebiegając koleje, tyle wówczas o Ferrarze, jéj dworze, przepychu, ucztach i zwyczajach czytałam, tak mi to wszystko świeże jeszcze w pamięci było, iż jakby do rodzinnego przyjeżdżałam miasta, jakby dobrą witałam znajomość. Widok wspaniałego pałacu bynajmniej mnie nie zdziwił; co by jednak nastąpić powinno, mierząc tylko jego kolosalne proporcje z karami samego państwa wymiarami. Ta uderzająca nierówność, sprzeczność,

maluje duch czasu, tego feudalizmu gdzie każdy nie patrząc z kąd weźmie, patrzył tylko by wytworność, jego powadze odpowiedziała; mniemał się dla zacności imienia do niego obowiązany; duch tak odmienny temu co dziś nas ogarnia!..

Ferrara była najprzód margrabstwem. Cesarz Frydryk II w swych z Rzymem kłótniach, chcąc upokorzyć Bolonję i ująć jęj sławy, założył tam uniwersytet, w zamiarze zakasowania nim Bulońskiego. Ferrara jednak swe wywyższenie winna głównie domowi d'Este, który ją w 1007 roku otrzymał. Papież Paweł II nadał jęj tytuł księstwa. Borzo d'Este pierwszy się zwał Ferrary *księciem*. Po Alfonsie II zeszyłym bez potomstwa (1), ten kraik został do papiezkich stanów wcielony, i odtąd można upadek stolicy jego liczyć.

Dotąd jednak każdy łatwo odgadnie czém niegdyś była. Ulice długie, szerokie i puste; budowy resztą swęj dawnęj wspaniałości imponują; słowem widać tam jeszcze szczątki wielkiego i dunnego grodu. Ale to wszystko już teraz opuszczone, puste i smutne. Mówią że wylewy Pò, która przez część roku połowę kraju pokrywa, a ztąd zaraza i choroby, wielce się przyczyniają do wyludnienia kraju i stolicy.

W samym środku miasta, wznosi się gmach wspaniały do koła opasany wodą, na czterech rogach czterema obronny wieżami. Cós ma z pozoru środkującego między twierdzą a monarchiczną rezydencją. Było to niegdyś siedlisko książąt Ferrary, teraz papieckiego legata.

W sąsiedztwie jego drugi mniejszy stoi, należący dawnięj do książąt d'Este w Modenie panujących. Przed nim dwa ze spiżu posągi, dwóch (uiewiem których) Ferrary książąt na wysokich postawiono kolumnach. Jeśli dla ozdoby? Cel nie zupełnie dopięty. Posągi te nie szerokiego stylu, nie piękny tam robią efekt.

Naprzeciw niego stara katedra, z gotyckim frontem oko na się zwraca. Budowa jęj w kształcie greckiego krzyża; wewnątrz także ma czém je zająć. Sławny tam jest Guerchina obraz przedstawiający męczeństwo S. Laurentego, drugi sądu ostatecznego, naśladowany z watykańskiego Michała - Anioła.

Kościół Benedyktynów, wart także by go nie ominąć. Spoczywały w niem niegdyś zwłoki Ariosta. Duży pomnik z białego marmuru je pokrywał, a napis donosił że poeta umarł 1533 roku, licząc lat pięćdziesiąt dziewięć. W sieni refektarza Garofolo wymalował na ścianie raj, gdzie między Ś. Katarzyną i Ś. Sebastyanem jego umieścił wizerunek.

(1) Druga gałęz domu d'Este panowała naówczas w Modenie. Alfons II chciał jęj swe księstwo przekazać; ale że pochodziła z nieprawego szczepu, papież Klemens VIII nie uznał zapisu tego prawości, ani go potwierdził, a Ferrarę do Rzymu przyłączył.



Słyszałam że poeta prosił o to malarza, mówiąc że ponieważ nie idzie drogą do innego prowadzącą raję, niech przynajmniej choć w tym się ujrzy. Teraz zwłoki i pomnik Ariosta przeniesione do liceum, gdzie krzesło na którym zwykł siadać i pióro którym swe poezje kreślił, także z wielką czcią chowają.

Ferrara inne jeszcze tego rodzaju posiada pamiątki. U Dominikanów pokażą ci dwóch poetów Strozzi ojca i syna pomniki, jakoteż Leonicena i Calcaguina, którzy oba wielce się przyczynili do odrodzenia literatury włoskiej. Pokażą ci także w jednej z ubocznych miasta uliczek dom *Guariniego*, gdzie po raz pierwszy sławny jego *il pastor Fido* był przedstawiony. Ale któż najprzód nie pośpieszy do szpitalu Ś. Anny do tego ciasnego więzienia, gdzie biedny Tasso był tyle dni, tyle cierpień strawił!

Mówiąc w Sorrento o poecie i to więzienie ci opisałam, również jak i zdanie moje o postępkach księcia co go w niem osadził. Nic ci więcej dodać tu niemogę.

Kto chce zobaczyć authografy tego równie nieszczęśliwego jak zajmującego człowieka, bogaty ich zbiór znajdzie w uniwersytecie czyli w liceum tamecznym, obok Ariosta i Guariniego rękopismów. Zakład ten naukowy posiada prócz tych zbiorów medalów, urn, napisów i innych starożytności, niebardzo dawne przypadkiem pod ziemią wykrytych, o parę wiorstod miasta, w miejscu gdzie jak teraz wnoszą, stara musiała rozlegać się Ferrara.

Jadąc dalej, kraj znowu to bagnami, to kanałami pokryty, zadziwia mimo to bogatą vegetacją, swą nadzwyczajną żywnością. Ktoby niebył ciekaw go widzieć, ani się w Padwie zatrzymać, mógłby wodą aż do samej dojechać Wenecyi. Są małe jakieś statki co przez Pó i Adiz, do lagun trafiają, ale z dużym powozem nie można by się w nie zabrać.

Łądem jadąc, niedaleko za Ferrarą przebywa się na promie rzekę dzielącą Lombardją od papieżkich stanów. Tam niesłychane marudztwo, wizowanie paszportów, przetrząsanie kufrów i tłumoków tyle zabiera czasu, iż do Rovigo, co o parę mil naszych tylko od Ferrary leży, dość się późno na obiad przyjeżdża. Lecz choćby kto i niebył zgłodniałym, nic by mu się tam bardzo zajmującym nie wydało. Prócz pałacu Podesty katedry i kaplicy, gdzie czczą cudownej Matki Boskiej obraz, nic do widzenia tam niema.

Na noc przybyliśmy do Padwy, a ta więcej mi zabrała czasu. Padwa jest miasto starożytne, i z wielu względów uwagi godne. Początek swój datuje od Antenora, brata Priama króla Troi. Wirgiliusz, Messaliusz i wielu innych znakomitych pisarzy, na to zgadzają się. Inni wnoszą że jęj początek dalej jeszcze sięga, że Antenor tylko odnowił i podniósł jęj mury, gdyż długo przed Rzymem istniała. Jakkolwiek







*Cifrommel del.*

*Atelier von Cifrommel und H. Wörries*

PADUA

Padua.



ładź, ona bardziej zdaje się do pierwszego przywiązywać się podania. Przed wielu laty kopiąc fundamenta na szpital podrzutków, znaleziono jakąś ołowianą trumnę w której druga z cyprysowego drzewa, zawierała kości i szpadę. Na szpadzie dwa były wiersze gotyckim napisane charakterem. Niewiem czy je kto wyczytał i co one mówiły, ale Padowanie uszczęśliwieni z tego odkrycia, poznali w tych resztach Antenora zwłoki, z wielką pompą przenieśli je na ulicę Ś. Laurentego, gdzie trumnę w starożytny jakiś schowali pomnik, a teraz między swemi skarbami, jako ciekawość to pokazują, chwając się iż posiadają grób założyciela swego, Antenora, przyjaciela Eneasza.

W napadzie Gaulów na Rzym, Padwa silna jeszcze i zamożna wielką mu pomoc dała; ale później Alarik ją spustoszył; Attila zniszczył, tak że mieszkańcy w lagunach musieli szukać schronienia. Następnie gdy się na nowo podnosić zaczęła, pożary i trzęsienia ziemi wielkie jej zrzędziły szkody. Karol Wielki (Charlemagne) dopiero na nowo je podniósł; lecz nowe nieszczęście i domowe rozruchy zmusiły ją do poddania się dobrowolnie weneckiej władzy, i odtąd, to jest od szesnastego wieku, Padwa już nieoddziałaną ze swą metropołą szła koleją.

Teraz miasto dzieli się na stare i nowe; pierwsze jak zwykle, gorzej od drugiego zabudowane; żadne jednak niema tak pięknych ulic, ani w nich takiej jak w Ferrarze okazałości nie znajdziesz szczątków. Siedm pięknych bram je otwierają, a fortyfikacje, bardzo od znawców cenione, bronią ich przystępu.

Mało jest miast we Włoszech, a zatem i w Europie, któreby tyle co dawniej Padwa, posiadały duchownych zakładów. Z tych pozostało jeszcze kilka prawdziwie ciekawych kościołów, a najprzód patrona miasta Ś. Antoniego.

Ś. Antoni lubo Portugalczyk w Lizbonie zrodzony, większą część życia przepędził w Padwie, i w okolicy jej umarł; a licznemi cudami i świątobliwym przykładem taką sobie cześć zjednał, iż niedodając o jakim świętym mowa, zowią go tam *il Santo* (święty) jakby on jeden był świętym, lub między świętymi najświętszym.

Kościół *del Santo* (świętego) w samym środku miasta na głównym wznosi się placu. Architektura jego śmiała, może nawet dziwaczna, z sześciami na szczycie kopułami, z dwoma wieżami po bokach, nieprzytomniała mi żadnej ze znanych już świątyń, ale wydała mi się piękną, i bardzo piękną. Niemogłam się dosyć jej napatrzeć. Mikołaj z Pizy pierwszy jej plan rzucił, lecz później budowa tego gmachu kilka razy przerywana, kilku uległa zmianom. Wnętrze jej na trzy podzielone nawy, wiele rozmaitego rodzaju bogactw posiada. Po lewej stronie kapli-



ca świętego, głównie się niemi odznacza. Zwłoki jego spoczywają pod ołtarzem z marmuru białego, kunsztownej roboty. Dwa wspaniałe kandelabry, w stylu odrodzenia ze szczerego srebra przed nim stoją, a u sfitu uwieszone ze dwanaście najpiękniejszej roboty lamp srebrnych, ciągle płoną. Ściany kaplicy, pokryte płaskorzeźbami z białego marmuru, przedstawiają niektóre z życia ustępy i główne świętego cuda. Najpiękniejszą z nich jest ta gdzie on po raz pierwszy habit przywdziewa.

W głębi świątyni jest kaplica olejów świętych, a w niej niezwyklej piękności posągi i rzeźby Donatella i innych mistrzów. Główny ołtarz, pełno także rzeźb i bogactw dźwiga, a po bokach pomniki sławnemi naznaczone imionami. Jest tam nawet jeden ołtarz polskim nazwany, ale się niemogłam dowiedzieć zkąd mu przysłała ta nazwa.

Dzień Ś. Antoniego, największą jest padewską uroczystością, i licznych zwabia pielgrzymów. Połączona z jarmarkiem dni kilka trwającym, rozmaite towarzyszą jój zabawy, igrzyska, wyścigi, widowiska, a dawniej już zaniechana teraz maskarada. I ja tę pielgrzymkę dnia 13 czerwca w ów dzień świąteczny odbyłam, ale dla nabożeństwa wyłącznie, a nie dla zabaw przybywszy, przygotowania ich tylko widziałam.

Padwa prócz głównego świętego, drugą ma jeszcze patronkę, Ś. Justynę. Ta, lubo w drugim stoi, co do czci rzędzie, pięknnością swiej świątyni rywalizować za to może.

Kościół Ś. Justyny do najwspanialszych świata należy. Ośmio oświetlony kopułami, cały ze wszech stron wysłany marmurem w czternastu pobocznych kaplicach bardzo piękne mieści rzeźby i malowania. Nad wielkim ołtarzem obraz przedstawiający męczeństwo świętej, jest pęzła Pawła z Werony. Wszystko w tym gmachu kolosalnych wymiarów (bo wewnątrz jego na 485 stóp długości, i 130 szerokości, 120 stóp do szczytu swych kopuł liczy), a mimo to proporcje jak najlepiej dochowane, bardziej jeszcze eleganckiej tylko wytworności, niż poważnej dumy dają mu pozor. Żałowałam mocno iż niemogłam tak jakbym żądała wszystkim jego przypatrzeć się szczegółom. Nieznośny dnia tego na dworze skwar, obok chłodu kościoła, raptowne z jednego w drugie przejście, tak mię zatrwożyło, iż uczuwszy dreszcz po sobie, co prędzej uciekłam, poświęcając dla zdrowia, inne życia rokosze.

Między temi dwoma kościołami, Ś. Antoniego i Ś. Justyny każdego w swym rodzaju zdumiewającej piękności, o niemal o katedrze padewskiej nieprzepomniałam. A jednak choćby dla tego że Petrarca był jój kanonikiem, że jój zbiór swych książek zostawił, już o niej wspomnieć należy.

Prócz Petrarki, Padwa wielu innych posiadała uczonych, którzy zajmowali katedry jej uniwersytetu. Wenecya ich obierała, podnosiła, i młodzież swą w ich oddawała ręce. Być professorem lub uczniem padewskim, było rodzajem zaszczytu. Tym sposobem ten uniwersytet stanął na równi i rywalizował z bolońskim, równą słynął sławą, dogadzał téj nieustannéj zawiści jaka zawsze między kraikami włoskiemi istniała, a w północnej półwyspu części szerzył nauki, światło rozsiewał. Teraz pod rządem austryackim, łatwo się domyślisz, iż zmieniała się rzeczy postać. Zakład ten ma podobno około 1000 uczniów, gdy dawniej liczył więcej 12,000. Wspaniała mu tylko z dawnych wieków (bo od XIII stulecia istniejąca) pozostała budowa, piękne obserwatorium, biblioteka składająca się z 50,000 tomów, gabinet fizyczny i anatomiczny, ogród rzadkich roślin, i inne tego rzędu naukowe wydziały.

Padwa prócz swego uniwersytetu, chwali się jeszcze obszerném i piękném seminaryum, z kąd wielu znakomitych wyszło duchownych. Szpitalem jakich mało gdzie zobaczysz i wygodnym dla inwalidów zakładem.

To wszystko wyliczywszy, a pomnąc do tego iż to jest miejsce najzdrowsze i w najlepszej części Włoch położone, możnaby wnosić iż tam niema dość miejsca dla napływu mieszkańców, że tam pełno życia i ruchu. Bynajmniej. Lubo Padwa liczy 51,000 ludności, ulice jej tak są puste jakby wpośród zarazy i to latem i zimą, lubo na lato rzadkiej ma piękności ogród, a na zimę prócz czterech teatrów, cukiernią czyli kawiarnią jakich w Europie mało.

W Niemczech każde, czy to duże czy małe miasteczko, musi mieć swój publiczny spacer, gdzie po skończonej dnia pracy każdy idzie, przy filiżance kawy, lub szklance piwa z fajką lub pończoszką w ręku odpoczywać. We Włoszech téj wcale nie czują potrzeby. Tam przez dzień cały *odpoczywają*; ale nie po ogrodach (gdzieby im słońce dokuczało), tylko po kawiarniach. Ztąd wynika iż o spacery nie dbają, ogrodów mało widać. Rzym przed Francuzami nie miał publicznej przechadzki; ogród wenecki także jest Napoleona pamiątką, w pomniejszych miastach zupełnie są zapomniane. To ci wytłómaczy zadziwienie moje, gdem w Padwie znalazła ogród duży, piękny, wodą przecięty, posągami ozdobny, a między niemi dwa Canowy dłuta z pierwszych wprawdzie prób młodości jego.

Za to każda, choć najmniejsza we Włoszech miescina obfituje w kawiarnie, a te dniem i nocą otwarte, w nocy oświetlone z gotową zawsze usługą, lubo o elegancją się nie troszczą, dla podróżujących nocą, wielką są wygodą.



W miastach wyższego rzędu, kawiarnie niby na paryzki sposób chcą się teraz modelować, w zwierciadła i aksamity duże swe stroją salony. Rzym ma w tym rodzaju kawiarnię *Nową (il Cafe nuovo)* w pałacu Rospoli, Neapol w mniejszych nieco wymiarach, kawę Europy na Toledo. Przepych ten jednak do drugiego miast rzędu, jeszcze się nie wkradł. Florencya go nawet niezna. A w Padwie kawiarnia, od imienia założyciela swego *Pedrochi* nazwana, mogłaby między paryzkiami pierwsze trzymać miejsce! Po co Padwie taki zbytek?!

Wytworne drzwi, dwóma od frontu ozdobne sfinksami, otwierają tam cały szereg sal i gabinetów, kolumnami tylko między sobą poprzedzielanych. Ściany wewnątrz od góry do dołu marmurem pokryte, stoliki także, od czego pasowe meble bardzo ładnie odbijają. Z drugiej strony téj budowy, długie gotyckie okna pięknym uderzają rysunkiem i kształtem; lecz to wszystko jest niczém, w porównaniu pierwszego piętra przepychu. Tam każda sala, salonik, gabinet, nosi wyłączny charakter, do którego tak meble, jak najmniejszy sprzęcik, wszystko jak najsurowiej zastosowane. W salonie tureckim wszystko po turecku; niskie otomanki orientalnemi pokryte materjami i ściany podobne. W chińskim same chińczyzny panują, i to niemyśl żeby tylko dla oka coś udanego było; wszystko owszem najrzetelniejszą tam prawdą, porcelany, meble i inne ozdoby kosztownie sprowadzone lub nabyte. Są tam salony indyjskie, gotyckie, greckie, ze średnich wieków, gdzie wymysł do najwyższego posunięty stopnia. Gabinety na bufet przeznaczone, i tém podobne mniejszej wagi pokoje, niepoślednimi upięknione freskami, a balowa sala, cała w draperyach różowych wszystkie ozdoby ma srebrne. Świeczniki srebrne takież trzymane anorkami, wszystko w girlandy się wije, do roskoszy zaprasza.

Takiego rodzaju ciekawości, w naszej spekulacyjnej Europie zwyczajne, i do jój, jak się zdaje, należące wydziału, bardzo rzadkimi są we Włoszech i dla tego uwagę mą wstrzymały, a szczegóły z tejsze przyczyny tak wiernie pozostały w pamięci. We Włoszech nadto gdzie cena kawy i lodów bardzo jest niska, (bo by inaczej miejscowi musieliby się jój zarzec), a mianowicie w Padwie, tego rodzaju zakład nie może być żadnej spekulacji celem. Nic tam wynagrodzenia łożonych kosztów nie obiecuje. Górne apartamenta zwykle zamknięte, na żądanie tylko cudzoziemcom pokazywane bywają, lub w koniec karnawału na składkowe otwierają sale; a te nie co rok się wydarzają. Nie umiano też odpowiedzieć na liczne pytania moje, co mogło dać myśl podobnego tam zakładu? Gospodarz hotelu mego utrzymywał, że pan Pedrochi chciał jedynie tym sposobem unieśmiertnić swe imie. Sposób przyznasz no-

wy, ale nieomylny, gdyżby to imię ani mnie ani tobie inaczej znanem nie było.

Między tak rozmaitego rodzaju ciekawościami Padwy, muszę ci wspomnieć o posągu jęj naczelnego wodza, z epoki kiedy jeszcze osobnem była państwem miała swą siłę zbrojną i senat co dowódców posągami wynagradzał. Posąg ten na głównym placu, przed wejściem kościoła S. Antoniego, ze spiżu na wysokiej marmurowej podstawie, wyobraża Guatamatty z Narni na koniu, a długim napisem zasługi jego dla kraju wylicza.

Lecz z większą ogądalam ciekawością pałac tak nazwany sprawiedliwości, czyli po prostu ratusz, gdzie główna sala prawdziwie zadziwia wielkością swoją. Na 300 stóp długości, 100 szerokości liczy i tyleż jest wysoką. Sklepienie śmiało rzucone, kilka razy burzy już uległo, i znów naprawione nie zdaje się żadnem teraz grozić niebezpieczeństwem. Co do ścian, pokryte są freskami gdzie wszystko znajdziesz czego żądać można; apostołów, roku pory, znaki zodiaku, rośliny i zwierzęta; między niemi są niektóre sławnego Giotta pęzla, ale dużo już uszkodzone. W głębi stoi kolosalny koń z drzewa, na wzór pobobno trojańskiego, niewiem na jaki cel zrobiony; pomnik uchodzący za historyka Liwiusza, którego Padwa mieni się ojczyzną (lubo on w jęj tylko okolicy, w wiosce zwanęj Abano się urodził), i kamień zwany kamieniem *harby*. Na nim niegdyś siadali tacy co swych długow opłacić nie mogli lub nie chcieli, i w obec zgromadzonej publiczności ogłosić swe bankructwo musieli, a ona błotem im odpowiadała.

Przeznaczona teraz na ciągnienie liczbowej loterji, ogromna ta sala, zaszczytniejszą przedtem zapisała w swych archiwach stronicę. Podczas bytności w Padwie cesarza Franciszka I w 1815 r., przeistoczona raptownie w ogród, zasuta woniejącemi kwiaty, miała szczęście posiadania ówczesnego monarchy swego. W jednym jęj kącie wznosiła się improwizowana starożytna świątynia, w której jakąś odegrano operetkę, reszta balową brzmiała ucztą.

Prócz ratusza ze swą sławną salą, pałace Padewskie mało już przedstawiają zajęcia. Kunsztowne ich zbiory rozplynęły się powoli, i monarchiczne poszły wzbogacać Europy galerje. W Padwie prócz tych com wymieniła, kilka jeszcze kościołów, jako to: S. Kajetana, Zwiastowania Matki Boskiej i inne, posiadają godne widzenia obrazy, po większej części weneckiej lub bolońskiej szkoły. W pałacach prawie już żadnego niema, a ciceroni wskazują tylko pałac Pappafava, gdzie między kilku płaskorzeźbami i gipsowemi watykańskimi wzorów odlewami, jest grupa z marmuru białego, więcej sześćdziesiąt we wszystkich pozycjach przed-



stawiająca osób. W zdrobniących kształtach wyobraża diabłów i diabłątek męczących ludzi. W tém całym dziele sztuki wiele, wdzięku mało.

— „Otóż, jak pani widzisz, mówił mi gospodarz hotelu, gdzie mieszkała, z wyrazem największej boleści, mamy co tylko zażądać można: sławną kawiarnią, ogród najpiękniejszy we Włoszech, cztery teatry, dwóch świętych relikwie, piękny most żelazny, (najpierwszy jaki w naszym półwyspie widziano) uniwersytet od wieków słynny, powietrze zdrowe, kraj żyzny, klimat doskonały.... ale szczęścia nie mamy. Żaden cudzoziemiec nigdy nie zajrzy do nas. Jeśli który przejazdem trafi, to jak pani, parę dni się wstrzyma i dalej śpieszy... Okolice nasze szczęśliwsze. Gdy weneckie panie w lecie nie mogą w swych lagunach straszliwego wytrzymać skwaru, w naszych okolicach najmują sobie ville i pod ich piękne chronią się drzewa.”

Istotnie Padwa ma i okolice niepospolitej piękności. Prawie każde w nich miasteczko i wioska, jakimś odznacza się wspomnieniem lub innym zajęcia przedmiotem, a wszędzie zielono i cienisto, lubo już pierwsze Alp przedmurza opodal widzieć się dają. Szczyty ich ostre, lub szpilkowém pokryte drzewem, wcale odmiennych są od Apeninów rysów. W swych próbkach już coś wspaniałego przeczuwać dają.

O parę wiorst od Padwy leży miasteczko Este gniazdo dawnych Ferrary panów. Bliżej jeszcze Abano, ojczyzna Liwiusza, posiada mineralne wrzące źródła. Niedaleko od Abano, wioska Botaglja zwana, dzielniejsze ma jeszcze wody, więcej zwabia chorych i ładne pobudowała dla nich domki. Dalej Arqua gdzie dom Petrarki, niektóre meble i sprzęty co mu służyły, a między niemi szkielet kota jego ci pokażą. Za nią Catajo bardzo ładne miejsce, gdzie książęta Modeny piękny pałac wiejski mają.

Niektóre z tych miasteczek po kilka starożytnych złomów posiadają. W Monselice, między stariej fortecy gruzami, zbierają żmije z których robią sławną wenecką driakew. Niewiedziałam przedtém że te gady do kompozycji lekarstwa tego wchodzą, a to mnie dopiero dało tłumaczenie tak skrupulatnie w tym względzie dochowywanój tajemnicy. Pamiętasz może z jaką ceremonją przystępują do tłuczenia téj massy (1). Ludzie do tego użyci, żółtymi przywdziani mundurami, z kitkami u szyszaków, ludzie wybrani i zaufania godni co ją przyrządzają, muszą pierwój na sekret przysięgać. Nigdy naśladować doskonale jój nie zdołano; chemiczne rozbiory nic nie pomogły; i cóż dziwnego? kiedy tam gdzie je robiono nie znano jadowitych żmijów jakie Monselice tylko dostarcza, nie domyślano się może iż i jad człowiekowi może być pomocnym?

(2) Ob. Miasta, Góry i Doliny.

Z Padwy do Mestre, ostatniej przed Wenecją pocztowej stacyi, kolej żelazna w pare godzin po lądzie dalej za Mestrą przez morze w laguny prowadzi.

Powiedzieć komu że się koleją żelazną po morzu jechało, zdaje się zrazu bajeczném opowiadaniem, grzecznie u nas myśliwską powieścią zwaném. Gdy niedawno o tém mówiła, słyszałam jak jeden ze słuchających paniczów, obróciwszy się do sąsiada, z cicha ze skrytym uśmiechem francuzkie rzucił przysłowie: *«A beau mentir qui vient de loin.»* Ja com oddawna słyszała o zamiarze połączenia Wenecyi z lądem, za pośrednictwém kolei żelaznej, gdy mi oświadczone że mam wsiąść do wagonu by w nim po wodzie lecieć, znalazłam w tém coś dziwnego; dziwniejszém jeszcze mi się wydało, gdy przybywszy do Mestra, w chwili właśnie ich odejścia, ujrzałam ten długi cug, tego olbrzymiego i syczącego węża po srebżystej śliznącego się powierzchni.

Wyznać jednak muszę iżby miłsza mi była myśl znalezienia Wenecji tak jak ją przed czterema zostawiłam laty; całkiem od lądu, od świata odcięta, samotną w pośród fali morza, co jej zupełnie wyłączny nadawało charakter, poetycznym oblekało kolorytem. Wenecja połączona z ziemią, o połowę swego uroku w mój traciła wyobraźni. Zdawało mi się że już i swe korunkowe musiała potracić pałace, co z pod opadających frontonów, a w zwierciadlanym gruncie, ostatki swych dawnych obliczały wdzięków; że już tam i gondole mniej swawolnie muszą się po kanałach uwijać, a lud poznavszy na stałym lądzie pojazdy i konie całkiem mu pierwój obce, mniej się w swych łódkach wiernie kochać musi.

Przewidzenia jednakże moje wcale się nie ziściły. Gdy tylko lokomotywa syczeć przestała, gotowe już statki, dyliżanse wodne, nas zabrały, i do wskazanego wylądowały hotelu. Ja zaś wyskoczywszy do europejskiego, troche już zgrabniej niż przed cztero laty (1), zupełnie zapomniałam jaką koleją tam przybyłam. Wenecja mi się o sto razy piękniejszą niż za pierwszym wydała razem. Oczy we włoskiej wyedukowane podróży, tysiące w niej postrzegały piękności których przedtém widzieć ani cenić nie dość umiały. Bo niemyśl żeby i oczy pewnej niepotrzebowały do widzenia wprawy!..... wcale one inaczej jadą a inaczej zwykle wracają z artystycznego półwyspu. Zdaje się że razem z duszą i ich władze szerzą się i wznoszą. Ktoby nie uczuł podobnego w sobie usposobienia, pocóżby miał do Włoch jechać? Lepiej do Belgji, bo tam by się wyuczył z wynalazku machin parowych najkorzystniejsze ciągnąć zyski, lub tkąć batyst, a koronki deseniami naszywać.

(1) Ob. Miasta, Góry i Doliny.



Wenecja jak dawniej tak i teraz jeszcze, do poetycznych zdaje się należeć utworów. Nic świat nie miał, nic podobnego niema. Patrząc na nią, mianowicie wieczorem, gdy kołysany w miękkiej gondoli, postrzeżesz pałac Dożów i cały świętego Marka plac, rześnistym oświetlony gazem, zdaje się, że czytasz jakąś orientálną powieść, lub, że to świetne widowisko na przyjęcie jakiej koronowanej głowy chwilowo urządzone; a to złudzenie jeszcze nieodstępnie gdy tam wylądujesz i przez mały plac (la piazzetta), który jakby przedpokój placu Ś. Marka tworzy, wejdiesz do tej sali balowej. Bo plac Ś. Marka niczem innym nie jest jak duża balowa sala gwieździstą niebios kopułą pokrytą. Ta jej wschodnich rysów bazylika, w której każdy szczegół zdaje się jubilerskiej ręki, lub zręcznego cukiernika sztucznym wyrobem, dzwonnica równie kunsztowne cacko, zdają się tej sali meble, a długie do koła portyki, pełne iskrzących światłem i złotem magazynów i kawiarni, doskonałym są wzorem tych udawanych czasem jarmarków, dla różnaitości zabaw pośród balu otwieranych.

Dodaj do tego zachwycającej lekkości trzypiętrowe budowy, opasujące tę całą przestrzeń, daleko bardziej do dekoracji niż do zamieszkałych podobne domów, muzyki wokalne i orkiestry po wszystkich odbywające się kątach, a w około nich leniwie na krzeselkach grupującą się publiczność, słuchającą, marzącą, gawędzącą, pod letnim nocnym technieniem, i powiedz, o powiedz! czy kiedy w twych snach młodocianych piękniejsze przed tobą snuły się obrazy?

W dni świąteczne, lub raczej w dni uroczystości krajowych, stawiają w środku dwadzieścia cztery kolosalnych ze spiżu kandelabrow, a każdy z nich tyłuż gazowemi płonie ogniami. Cały plac tak się przepelnia ludem, iżby szpilka do ziemi nie doleciała, a dwie muzyki wojskowe, odegrywają po kolei, ze znanych oper wyjątki. Przed każdą kawiarnią, a ich tam wiele! duże kwadraty pełne stoliczków i krzeseł osobne tworzą oddziały. W nich podług stopnia ich wziętości poznasz i towarzystwa rodzaj. U *Floriana*, najpierwszego rzędu elegancja o miejsca się ubiega. W kawie *wojskowej*, więcej cygarów niż ładnych wachlarzy, pod *Opatrznością*, stare peruki siedzą, a przed *Grecką* kawą, z długimi w ustach cybuchami, w białych pończochach, w pasowych czapeczkach i spęcerach, świeżo ze swych krajów przybyli Grecy.

Chceszli widzieć ich okręta? wyszedłszy z placu przez Piazzettę obróć się na lewo, a ciągnąc sławiańskim brzegiem (Riva dei Schiavoni) ujrzysz całą Wenecji przystań, pełną żagli, pod srebrzystym księżycem promieniem, swe białe rozdymające skrzydła.

W braku innych pojęć, te dwa obok siebie obrazy, wrzącego placu, pełnego światła, muzyki i ludzi, i spokojnego pośród nocnej ciszy portu, z rozwianymi na wiatr żaglami, jużby dostateczne bydź powinny; dla nich by wyłącznie warto tysiąc mil drogi przebiec!

O jakże nie odziać ich w szczytne przeszłości wspomnienia, co im żywszego jeszcze dodaje wdzięku? Jakże nie przypomnieć że ta przystań, schronieniem najprzód kilku włóczęgów, stała się później pierwszym Europy portem; że ta stolica co teraz jest już tylko cieniem tego czém była, z kilku lepianek wpośród błotnistych wód powstała, zwaną później była królową morza, a ten jej tron jedynie siłą żelaznej woli człowieka się podniósł!

Wszędzie gdzie tylko myśl zapuścimy głęboko, odnosim zwykle w skutku, rodzaj upokorzenia dla wrodzonej nam dumy. Wenecja jedna przeciwne sprawiać zdolna wrażenia.

Wenecja bez przestrzeni, bez piędzi stałego lądu, bez władzy, bez obcej pomocy, bez własnych zasobów, z błotnisteo gąszczu raptownie powstała, w nieograniczoną wzrosła potęgę, morza zasiała okręty swe mi, garściami sypała złoto, a później z całą Europą sama jedna się mierząc, dumnie z tych wyszła zapasów..... (1) a to wszystko było skutkiem silnej człowieka woli.

On tam wszędzie w każdym kroku nową miał do pokonania trudność, nową z naturą i ze społecznym światem walkę, a z każdej zwycięzko wyszedł. Nie tylko problematyczne istnienie miasta, bez innej podstawy jak błotnista woda, powinno było już zwątlić daremne jak się zdawało, usiłowania, ale w budowie każdego uparta przeciwność, zdolną bydź mogła do zużycia najsilniejszej stałości. Jednak nie tylko stanęły tam domy, ale gmachy; nie tylko stanęły ale jeszcze tak piękne, tak wspaniałe podniosły facjaty, iż się stały dla świata wzorem, dotąd podziwu i uwielbienia przedmiotem, a w nich dumnie położył się skrzydlaty lew (2).

Rzym, powiesz, także z kilku lepianek jakichś powstał zbiegów. Prawda, ale Rzym miał ziemię, a na niej mógł gromadzić poddanych, gdy Wenecja mogła tylko oddalonych mieć sprzymierzeńców. Ci co później jej upadli przemocą, nigdy z nią w jedno nie zleli się ciało, nigdy niemogli prawdziwego jak w Rzymie zastąpić ludu, jednym tchnącego duchem, miłością, zapalem. I dla tego przynasz iż Wenecji potęga, bardziej jeszcze niż Rzymu zadziwiać powinna.

(1) Obacz przymierze w Cambrai zawarte w 1508 r. między głównemi Europą potencjami.

(2) Herbem Rzeczypospolitej weneckiej był lew skrzydlaty.



## XV.

JESZCZE WENECJA.—ELEKCJA DOŻÓW.—KILKA SŁÓW OLITERATURZE.—  
O PUBLICZNYCH UCZTACH I LUDZIE.—TRIEST.—BRZOZA I OSTATNIE  
WRAŻENIA.

**N**ic dla mnie nieznośniejszego, jak dwa razy toż samo opowiadać. Choć się czasem chcę do tego zmusić, czuję iż utykam, że chodzę jakby o jednym szcudle. Wybaczysz więc Antonio, iż ci już tu niepowiem, jak wygląda na pierwszy rzut oka, wspaniała Adriatyku wdowa, ta amfibiowa stolica, że ci szczegółów pałacu dożów, mostu Rialto, wnętrza bazyliki Ś. Marka i tym podobnych opisywać nie będę. Na nowo je i z nowém zwiedziwszy zajęciem, tém bardziej błąd mój czuję, a mimo to poprawić mi się niepodobna, i o przebaczenie proszę.

Powiem ci tylko że napisawszy przed trzema laty, iż w pałacu dożów, poddaszne więzienia *plombami* zwane już nie istnieją (1) w wielką później wpadłam o to obawę. Wyczytałam bowiem w pamiętnikach Silvia Pellica (le mie prigioni) że on w nich w 1821 roku był osadzony,

(1) Ob. Miasta, Góry i Doliny.

i mniemałam że mi Cicerone mylną rzecz powiedział, że mię, gdym dawne ich położenie obejrzeć chciała, z umysłu w inną stronę zamku zaprowadził, że może miał to sobie poleconém. Powtórnie teraz do Wenecji wróciwszy, pierwszém więc staraniem mojem było, dociec czy istotnie nieprawdę wyrzekłam, a po licznych o to zachodach, przekonałam się że nic do odwołania niemam.

Silvio Pellico, ciasny i na bardzo wysokiem piętrze miał pokoik, z kąd na kopuły Ś. Marka i cały plac mógł jak mówi patrzeć, gdzie słońce okrutnie dokuczać musiało, bo już nad nim strych tylko był i metalowy dach. Wszystko to prawda; ale niewiem za co podobało się autorowi nazwać to plombami. Plomby bowiem w samym mieszczonym strychu nie miały innego jak sam dach pokrycia, nie miały żadnego okna, dla wzroku rozrywki, żadnego dla powietrza ujścia. Ci co w tém srogiem jęczeli więzieniu, skwarzyli się w mefityczném powietrzu ze wszystkich ożywnych żywiólów własnymi wyczerpaném pierściami. Każde technienie było męczarnią, a coraz stając się trudniejszém, późniój już niepodobném, niebawnie gasło. Była to śmierć w rodzaju tak modnej teraz w Paryżu, gdzie samobójcy przy węglanej kończą fajerce. Silvio niemógłby w takiem więzieniu tak długo żyć, myśleć, pisać.

Przezierając zaś dolne, piwniczne pałacu więzienia, równie zabójcze plomby, tak odrażające iż mi jak i poprzednio, dreszcz w nich po skórze biegał, nie mogłam przypościć żeby tych nie kryjąc, była jakaś do zatajenia tamtych przyczyna. I tak trwoga moja, względem rzuconego w świat fałszu ustała.

Jak więzienia tak i sam pałac, nie stracił dla mnie pierwotnego wrażenia. Gdy mi wskazano sale najwyższej rady, rady dziesięciu a potem rady trzech, co bez żadnej przed nikim na tym świecie odpowiedzialności, tajemne a nieubłagalne ciskała wyroki, gdym spójrzała na drzwi któremi wprowadzano obwinionego, a raczej skazanego.... bo tam nikt głosu łaski nie usłyszał, nikt za maską nie widział sędzi swych twarzy, (1) nikt na ostatnią pociechę nie spostrzegł, w ich spójrzeniu łzy lub wyrazu litości..... a z uczuciem niewinności w sercu, niewolno tam było nikomu głosu za sobą, lub za inną podnieść ofiarę!.... Gdy mi te wszystkie wspomnienia jakby fantasmagorijne straszdyła przesunęły się przed oczami, nie mogłam ukryć wstępu, mogę mówić ochydy jaką uczułam w duszy. Stary Wenejanin, zakochany w swój ojczyźnie i gotów usprawiedliwiać bez wyjątku wszystko, co w niej się działo, nie mogąc

(1) Sędziowie najwyżsi, ci co radę tak nazwaną *trzech* składali, zbierali się tajemnie nocą i w maskach na twarzy.



znaleść dość silnych argumentów do pokonania mych nienawistnych uniesień, dla dania innego obrotu rozmowie i myślom, zaczął mi opowiadać dawne ceremonie pogrzebów i oboru dożów, w tymże odbywanych gmachu.

Dożowie nie mieli osobnych grobów, każdy w swych rodzinnych był chowany. Jeśli który umarł w jakiś dzień świąteczny, a żałoba przeciw się mogła przepisanym nań zabawom, naówczas skrycie go grzebano a smutek odłożono na później.

Po skończonych publicznych uctach, mistrz ceremonji dworu, z resztą honorowej służby w grubej żałobie, odnosił klucze pałacu do prezesa rady, donosząc mu o śmierci księcia, a żal swój jako i zalety nieboszczyka długo w przygotowanej opisywał mowie. Prezes rady w podobnej mowie odpowiadał, iż prawda że zmarły doża bardzo dobrze się sprawiał, ale ponieważ skończył trzeba o następcy pomyśleć, i to wyrzekłszy, szedł otwierać salę gdzie była tak nazwana *reprezentacja* czyli wystawa nieboszczyka. W tejże chwili, żałobne dzwony Ś. Marka, a na ich odgłos wszystkie jakie miasto posiada, dzwonić poczyniły, a ludność w taki sposób oficjalną odbierała o zgonie swego monarchy wiadomość.

Na tej wystawie, figura woskowa, do zmarłego podobna, na wysokim leżała katafalku. W książęcym stroju, w płaszczu podbitym gronostajami, z kapturkiem jak i spodnia suknia z lamy złotej, na głowie powinna była mieć dożowską czapkę zwaną *rogiem*, a przy obuwiu ostrogi złote, ale nie do pięć tylko odwrotnie do palców przypięte; rękawiczki, trzewiki i pończochy amarantowe. Katafalk pokryty był aksamitem szkarłatnym, na nim leżała u stóp tarcza z herbem państwa, a do koła kandelabry ze świecami, i sztandary, przy nich nadworna służba, i księża odśpiewający litanje za zmarłych.

Taka wystawa codziennie przez trzy dni coraz w inną (niewiem czemu) odbywała się sali. Dnia czwartego, paradny pogrzeb, gdzie woskowa figura z największą pompą, w towarzystwie miejscowych księży, mnichów, bractw i t. d. do grobu odniesiona była, kończył tych żałobnych ceremonji szereg; ale i ten pogrzeb dziwne miał przepisy czy zwyczaje swoje. Naprzykład gdy z nim pomijano kościół Ś. Marka, podnoszono po razy trzy woskową figurę, pospólstwo mówiło iż to dla zameldowania się patronowi i uproszenia go o otwarcie drogi do nieba, drudzy dowodzą że celem tego było pokazanie ludowi (który jak wnoszę był w mniemaniu że widzi prawdziwego doży ciało) iż książę istotnie umarł i obudzić już go niepodobna.

W kościele stawiano trumnę na nowym, jak można najwspanialszym katafalku, i tam znów przez trzy dni rozmaite odbywały się ceremonje; poczem przystępowano do wyboru nowego doży, a sąd inkwizycyjne przetrząsał czynności i rachunki zmarłego, za które familja odpowiadać obowiązana była.

Do oboru doży zwoływano wszystkich senatorów, to jest całą wenecką szlachtę, tę której imiona w złotej były zapisane księdze. Kładziono w zakrytą urnę tyle białych gałek ile było głosujących, a między temi trzydzieści było srebrnych. Ci co je trafem wyciągnęli do osobnej szli sali, i tam z pomiędzy siebie nowemi sekretnymi wotami, obierali dziewięciu członków. Ci dziewięciu, podobnymże porządkiem, z ogólnego głosujących grona wyciągali czterdzieści imion. Ci mianowali dwunastu. Tych dwunastu dwadzieścia pięć. Ci ostatni między sobą dziewięciu wybierali, którzy znów z ogólnej izby wyciągali czterdzieści imion. Ci tajemnymi zawsze głosami, jedenastu obierali członków, którzy nakoniec mianowali czterdzieści jeden senatorów, obierających ostatecznie dożę.

Tak kumplikowana kombinacja, dążąca oczywiście do zapobieżenia wszelkim intrygom, nie otrzymywała jednakżądanego skutku. Kabała wszędzie i zawsze, wśliznąć się potrafi; ręczono mi że mimo tych wszystkich zachodów, naprzód zawsze wiedzieć lub przeczuć można było, kto obranym zostanie.

Po elekcji następowała koronacja i prezentacja nowego księcia ludowi. Obie te ceremonje miały miejsce w sieni, czyli na schodach. W dziedzińcu pałacu dożów, duże są piękne i kunsztowne schody, prosto z dziedzińca do krużganku pierwszego piętra prowadzące, dwoma od dołu kolosalnymi posągami Adama i Ewy ozdobione, u góry dwa podobneż Neptuna i Marsa mają, a od tych czterech kolosów schodami olbrzymów są nazwane.

U tych to schodów wierzchu, stawiano tron dla nowego doży, a lud się u stóp w dziedzińcu gromadził. Doża zasiadał na tronie, a najstarszy z senatorów, ten co podczas bezkrólewia sterem rządu kierował, mówił do ludu: „oto jest książę któregośmy wybrali, i którego wy także uznawać będziecie (1). Tu wyliczywszy wszystkie jego zalety i powody jakie do wyboru jego skłoniły, wkładał mu na czoło dożowską czapkę; lud mu posyłał kwiaty, przez małą dziewczynkę ze swego wybraną grona, powietrze radośnemi zabrzmiały okrzyki i na tém się koń-

(1) Przy ostatnich wyborach, taka była harenga. Dawniej zaś, senator wskazując na dożę mówił: „oto jest ten którego z pomiędzy siebie wybraliśmy, podobaliśmy wam się przyjąć go za księcia?”



czył koronacyjny obrząd (1). Doża udawał się ztamtąd do S. Marka, gdzie przysięgał na strzeżenie rzeczypospolitej ustaw, a od najstarszego tam kapłana odbierał czerwoną chorągiew, jako najwyższej władzy godło. Biorąc ją do rąk mówił: Przyjmuję poruczoną mi władzę, w Imie Boga i Ś. Marka. Bo w Wenecji Ś. Marek zawsze był uważany za najpierwszego rządcę, a dożowie byli tam tylko namiestnikami Jego. Na monecie nawet zawsze wyciskano S. Patrona wizerunek, przed którym panujący klęczał książe.

Po odbytej przysiędze i odśpiewanym *Te Deum*, nowy doża wsiadał do tak nazwanej studni (il pozzo). Był to rodzaj okrągłego jak studnia i głębokiego krzesła czy lektyki, na tragach stojącej. Książe w niej po placu S. Marka niesiony, rozrucał dla ludu pieniądze.

Trzy następne dni poświęcone były publicznym ucztom z fajerwerkami i innymi zabawami, a dla wyższego towarzystwa kończył je wielki bal w książęcym pałacu. Arystokracja zwana złotą szlachtą (to jest najdawniejszych imion w złotej zapisana księdze) w pąsowym stroju w długich pudrowanych występowała perukach. Damy w złotolitych sukniach czarne miewały płaszcze, lecz te tak zgrabnie z tyłu zebrane podpinały, iż sukni ani swych kształtów bynajmniej nie kryły. Wszystkie na nich perłami i brylantami płynęło; na głowie rodzaj djademów, w czarne swe wplatały włosy. Mówią że każda z nich w tym pięknym stroju jak królowa wyglądała. Posłowie obcych krajów, sam nawet papieżki legat, żadnego w tej narodowej uczcie nie mieli prawa brać udziału, i niemogli być inaczej przytomni jak w czarnych dominach i maskach na twarzy.

Teraz zaledwo pamięć tego wszystkiego tam znajdziesz. Starzec pełen szlachetnego uczucia, co mi te i wiele innych udzielił tego rodzaju szczegółów, ze łzą w oku mi mówił: »Ja jeszcze tę całą przeszłość naszą moim dzieciom opowiem, ale któż opowie wnukom!...

Teraz arcy-książe austriacki Renier, vice-król Lombardji, częściej Medjolan swą zaszczyca przytomnością. Gdy jest w Wenecji jak najspokojniejsze prowadzi życie; a ruch w towarzystwie, obecność tam księżnej Berry, i częste syna jej księcia Bordeaux przebywanie, nadaje.

Księżna Berry nabyła w wielkim Kanale, duży i jeden z najwykwintniejszych pałaców, niegdyś do znakomitej familji Vendramin należący. Spiące się jego podniosła mury, nowemi je ozdobiła posągami, świeżemi kwiaty zasadziła ogród (do najrzadszych w Wenecji należący przyjemności) i jak

(1) Jeśli chcesz widzieć tę czapkę do koronacyów używaną, znajdziesz ją w skarbcu bazyliki Ś. Marka, gdzie między smutnemi dawnymi bogactwami szczątkami, ta historyczna pozostała pamiątka. Kształt jej wcale niegustowny. Od dołu okrągła i obcisła kończy się rodzajem naprzód zakrzywionego rogu, i z tą rodgiem też ją zwano.

się zdaje, rezydencją tam swą ustaliła. Mieszka w nim z mężem, panem Luccesi Palli, i tego powtórnego małżeństwa dziećmi, lecz używa tytułu i wszelkich dawnego dostojęstwa przywilejów. Towarzystwo co tydzień prawie zgromadza, i nie tylko wieczory ale i sceniczne widowiska u siebie mu daje. Osoby z tegoż towarzystwa wybrane, grywają komedje francuzkie, i opery włoskie. O jednych jak i o drugich aktorów, nie wielka tam trudność. Do śpiewu w Wenecji dość można znaleźć głosów a do komedji Francuzów.

Od czasu co się tam *matka króla*, jak oni ją zowią, przeniosła, pełno legitymistów za jęj poszło wzorem, pełno *wiernych* w około nięj i księcia Bordeaux się gromadzi. Lubo książę niema stałego w Wenecji siedliska, nie kupił pałacu i tylko jest zwykle jakby przejazdem, wielu Francuzów tam się osiedliło. Taniósć materjalnego życia, do ich zastosowana terażniejszego bytu, obok dworzańskich złudzeń, co im choćby jak na cieniu, dawne przypominają czasy i wiarę ich pieszczą, wszystko im tam sprzyja. Mniemam tylko, że powtórne księżnęj małżeństwo, nowa jęj a już nie burbońska familja, musi troche psuć tych złudzeń przyzmatyczne światło. Dla tych jednak co ją tylko w towarzyskiem zgromadzeniu widują, mnięj to szkodzić może. Dzieci jeszcze małe nie przychodzą do salonów, a hrabia Luccesi Palli, jest tam tylko swęj żony szambelanem i nic więćej. Ale w poufałych dnia godzinach, musi być inaczej, i temu to przypisują niechęć księcia Bordeaux, który gdy jest w Wenecji, woli w zajezdném mieszkać hotelu niż pałacu matki, gdzieby co rano z ojczymem musiał się spotykać, i nie wiedzieć na jakięj z nim być stopie.

Prócz tego legitymistowskiego dworu, Wenecja drugiego jeszcze oczekuje — artystycznego dworu Terpsychory. Panna Taglion! nabyła tam jeden z najpiękniejszych pałaców, spieszenie go odnawia, i ma na dni *rozsądku* do niego się przenieść. Ten jęj pałac zwany niegdys pałacem złotym (palazzo ca d'oro), także na wielkim kanale, z pałacem Vendramin, terażniejszą księżnęj Berry rezydencją, sąsiaduje; a tak potomkowie tych perfumowanych paniczów co za Ludwikowskich we Francji czasów, między dworem a kulissą życie dzielili, będą mogli wygodnie, naddziadów swych, choć w błędem naśladować odbiciu.

Niewiem czy te z innego świata goście, czy z ładem połączenie, lub niejaki wzrost handlu tego przyczyną, ale Wenecja mi się wydawała więćej ożywioną niż dawniej, i bardziej elegancką. Między czarnymi gondolkami, tém narodowém Wenecji dzieckiem, częściej postrzeżesz ozdobną barkę z herbem i liberją. Zwyczajni nawet gondoliery, czysćiej teraz ubierają się niż przed cztero laty, gdzie na pół nadzy, jak lazzaroni cho-



dzili. Teraz mają rodzaj dość ładnego kostiumu. Pałace także się restaurują. Znajdują się spekulanci co widząc ten postęp, a w nadziei większego nabywają je, i w rachubach zysku podnoszą i odnawiają. Taż panna Taglioni o której mówiłam, prócz złotego dla swego użytku, trzy inne jeszcze pałace w spekulacyjnym kupiła celu. Dowiedziawszy się o cenie, dziwić się temu nie można. Na każdy musiała przeznaczyć jedną z bransoletek lub brylantowych kwiatków, na skrzydła sylfidy niegdyś rzuconych. Widać że woli korzystne pałace nad bransoletki i kwiaty; widać że te dni rozsądku na które to do Wenecji ma się przenieść już bardzo niedaleko.

Nad pojęcie niska pałaców weneckich cena, dowodzi jednak iż ten pozorny postęp nierozciąga się do dawnych ich właścicieli, że złota arystokracja, dawniej Wenecji filar, nie w nim nie zyskuje, do reszty owszem upada. Widok wnętrza tych pysznych gmachów jeszcze bardziej o tām przekonywa, i boleśne rodzi uczucie. Patrząc na pogruchotane pięknych rzeźb szczątki, na komnaty królewskich godne niegdyś kroków, a teraz opustoszałe z potłuczonymi oknami, na zapomniane gdzieś po kątach znakomitego pęzła obrazy, rzekłbyś że ztamtąd tylko co niszcząca wojny cofnęła się ręka, i zwykle po sobie zostawiła bezładny ślad, które do zniknięcia swobodnej tylko czekają chwili, bo niepodobna przypuścić żeby to mogło być skutkiem zaniedbania, niedostatku czy z obojętności na siebie, na potomstwo, na inie.

A jednak tak jest! Ostatni potomek świetnego Foscari domu, niemogąc znieść widoku dumnego swych przodków pałacu, nie mając za co podnieść sypiących się jego gruzów, wyrzekł się sukcesji, imię w głębi zranionego zagrzebał serca, a przystawszy za śpiewaka do jakiejś teatralnej trupy, z nią po świecie się włóczy, i ze łzą w oku, wesołe swęj ojczyzny odśpiewuje barkarole. Stara ciotka jego, oburzona tak niegodnym w jęj mniemaniu postępkim, ogłosiła się ostatnią z imienia swego. Przed cztero laty widziałam ją jeszcze, w najuboższy kątek okazałego niegdyś schronioną gmachu, i tam z miłosierdzia obcych żyjącą. Przekładała to nieszczęście nad myśl opuszczenia świętych dla nięj progów, rozstania się ze swych przodków wspomnieniem, z ich cieniami, które (jeśli cienie po tym świecie się błakają) pewno ten pałac nawiedzać muszą. Teraz dopiero, gdy sufitą spadać poczęły, a cała budowa coraz bardziej runięciem groziła, przekonano ją że rozsądniej przedtęm z niego ustąpić, a dla bezpieczeństwa przyległych także domów, oniemal zmuszono do tego. Rząd jęj przeznaczył (jak mi ręczono) dwa cwancygiery dziennie dożywnięj pensyi, otrzymawszy w zamian zrzeczenie się pałacu, restauruje go teraz i na szkoły publiczne przeznacza. Jest on bezwzględnie

nia jedną z najpiękniejszych Wenecji ozdób, a położenie w zgięciu wielkiego kanału, obszerny z trzech jego długich balkonów na obie strony udziela widok.

Niektóre z tych arystokratycznych ruin, zachowały piękne obrazów zbiory. Te jak i bolońskie są teraz do przedania razem i częściowo. Ceny ich zdały mi się większe niż w Bolonji. Najlichniesz i najlepší utrzymana z tych galerji jest w pałacu Manfrin. Cały ten pałac bardzo mi się wydał przyjemnym, tém bardziej że posiada cieniasty i pełen kwiatów ogródek, rzecz jak mówiłam w Wenecji najrzadsza, a wszędzie zda mi się pożądana i miła. Zdziwiłam się też nie pomalą gdy mi stary odźwierny powiedział, że właścicielka ostatnia z dawnego Manfrin szczerpu, w nim nie mieszka; w zimie go na publiczne bale i resursa wynajmuje, a w lecie pustką zostawia. Po jej śmierci tak pałac, obrazy jak inne kosztowności, przez publiczną sprzedane licytacją na kilkanaście głów obcych pójdą imion.

Cały więc jak widzisz, terażniejszy Wenecji postęp, w handlowych musi ograniczać się stosunkach, i bardziej na ulicach i kanałach niż wewnątrz domów postrzegać się daje, bardziej we wzrastających mieszkań cenach, niż w wygodzie. Lubo już z podniebieniem do włoskiej kuchni nawykłam, znalazłam ją w Wenecji równie złą jak dawniej, lecz co mię jeszcze mocniej zdziwiło i przykrzej czuć się dało, to brak zupełny książek. Jakże zapytałam, Francuzi mogą tam żyć bez gazet, żurnalów, felietonów i powieści? bez jednéj przynajmniej czytelnj, któraby dostarczała tych fraszek, niegodnych pozostania w bibliotece, a bez jakich Francuzi obejść się nie umięją!

Tym czasem tak jest istotnie. W Wenecji niepodobna prenumerować książek, czy to lekkich czy poważnych, a na całe miasto jeden ma tylko salon, gdzie za opłatą można przyjsć parę dzienników przeczytać. Mówię *parę* bo cenzura trzyczwarte zagranicznych zakazuje. Te zaś co są pozwolone, można przy filizance kawy lub lodów, w modniejszych kawiarniach przeczytać, nie szukając je w owym salonie, gdzie lepszych trzeba czasem do wieczora czekać, zanim z rąk do rąk przechodząc znajdą się w końcu wolnemi.

Ale co gorsza, nie tylko nająć, lecz i kupić trudno. Księgarnie bardzo nieliczne a jeszcze bardziej ubogie, nie mi dać nie mogły czego żądałam, — to zakazane, było na każde me pytanie odpowiedzią. A ja na nieszczęście, nie przewidując tego, byłam sobie zamierzyła w Wenecji właśnie, nieco sobie odświeżyć w pamięci niektórych z dawnych włoskich pisarzy i tegoczesnych cokolwiek przerzucić.



Północne Włochy uchodzą zwykle za część ich bardziej literaturze sprzyjającą. We Florencji wprowadzie tego nie spostrzegłam. Turin i Genua sławne są z ostrości swęj cenzury. Na południu zaś, w Rzymie, najwięcej religijnych książek wychodzi, innych bardzo mało; w Neapolu oniemal jeszcze gorzej. Myślałam zatem że wybór Wenecji, sąsiadki Mediolanu i Padwy, bardzo dobrze jest wyrozumowanym. Lecz i tam mię zawód spotkał! Niemając już jednak nic do zamiany, musiałam mimo trudności przy tym pozostać zamiarze, do którego widok pomniku Ariosta w Ferrarze, krzesła jego i pióra nowym był mi bodźcem.

We Florencji z Dantem, Petranką i Bocacciem się poznawszy, temi ojczami literatury włoskiej, razem z nią potém usnęłam; bo po tym świetnym tryumwiracie, który nową i niespodziewaną otworzył w nięj erę, długa nastąpiła cisza. Jak przed nimi tak po nich żaden nie zajaśniał na literackim świecie meteor, godny zwrócenia uwagi. Niedołężne tylko naśladowania próby, zapełniają około lat stu, aż do Laurentego Medyceusza, ojca Leona X. Człowiek ten ze wszystkimi zrodzony zdolnościami, wziął Petrarki pióro i w jego rodzaju z równym prawie wdziękiem, grube skreślił tony. Po nim czyli raczej od niego zaczyna się wiek medyceuszowym wiekiem przezwany, wiek wszelkiego rodzaju błyszczący sławami.

W 1483 Anioł Polician (Angelo Poliziano) pierwsze podaje swe na teatr próby. Przed nim przedstawiano łacińskie na włoskiej scenie sztuki. Teatr jednak wspierany przez książąt i papieżów szybkie postępy czyni. W teje samej epoce cała rodzina Pulci, między któremi Ludwik pierwsze trzyma miejsce, literackimi w rozinaitych rodzajach odznacza się pracami, lecz te drugiego rzędu talenta, zaćmiło zjawienie się Ariosta.

Ludwik Ariosto (urodzony w 1474, zeszyły w 1533), jest pisarzem genialnym, lecz bez surowego sumienia, bez pobożnej wiary. Iłymy jego zdają się płynąć bogatym potokiem, jedynie dla rozrywki czytelnika lub dogodzenia namiętności poety, a jednak wyższego rzędu celują zaletaniami. W satyrach nieoszczędza żółci, ciska ją na wszystko i wszystkich; madrygały, sonety i elegje pełne wdzięku; pierwsze często za nadto są swawolne; komedje naśladowane z Terencjusza i Plauta mniej mają wartości; lecz prawdziwe jego do sławy prawa ustalił znaay zapewne tobie jak wszystkim poemat szalonego Rolanda (Orlando furioso).

Treść jego wzięta z czasów rycerskich Karola Wielkiego (Charlemane) długięm jest pasmem miłosnych powieści (gdzie i namiętność swęj jaskrawy rzuca połysk), obrazów wdzięcznych, opisów wiejskich, świeżych i wonięjących, przez które poeta mięką czytelnika prowadzi ścieżką, nie dając mu nigdy uczuć zmęczenia lub przesyty. Już to bez mi-

tologicznej fantazji, bez bajecznych nie obeszło się tam urojeń, ale ich mdły koloryt znika przed złośliwym uśmiechem zręcznie zwróconym na ówczesne damy za awanturami ganiające się, przed dowcipną krytyką na te rzucone heroiny, a styl łatwy, płynny, często nawet zaniedbany, wszystkie te obrazy nieporównanym otacza wdziękiem.

Jednocześnie z Ariostem, Bernarda Tassa imię, niejakiego nabiera rozgłosu, lecz sława syna jego Torquata zupełnie je zagłusza. O tej dość już ci obszernie w Sorrento mówiłam.

Po świetnej protekcji jaką Medyceusze, a za ich wzorem, Gonzagi, Esty, Sforzy i inni książęta literatów otaczali, widzimy ich raptownie, prawie od połowy XVI wieku, w największym u dworu zapomnieniu, niełasce. Papięże systematycznie ich prześladują. Napad w tejsze epoche Francuzów, i inne krajowe kłeski, także im nie zdają się sprzyjać. Jednak Ariosto i Tasso znajdują naśladowców i następców, a ta z góry persekucja odejmując potrzebę ciągłych dla dobroczyńców pochwał, mdłych dla nich hymnów, nowego jój życia i hartu nadaje.

Z tej epoki są między innymi, Tryssino, który w swój Sofronizbie dał Włochom pierwszy wzór tegoczesnej tragedji. Ruccelai, sławny pszczół śpiewak, Sannazar o którym ci w Neapolu mówiłam, Franciszek Berni co swe rymy lekką okraszając kostycznością, ten nowy rodzaj swém nazwał imieniem.

Wielu pisało później wiersze *Bernińską* poezją zwane. Lecz więcej jeszcze daje mu do sławy prawa zawzięta walka jaką rozpoczął przeciw Piotrowi z Arezzo, zwykle *il Aretino* zwanym. Ten poeta nie bez talentu, ale przesiękły rozwieżłością wieku, wielkiej używał w swym czasie wziętości i najniegodniej ją obracał. Satyry jego bezwstydne, bezbożne i brudne nie szczędziły nikogo, nie świętego nie znały. Komedje tymże tchnęły duchem, a co gorsza że się podobały i znajdowały naśladowców.

Z tejsze jeszcze epoki, jest sławny przewrotnemi zasady Machiavel. Imię jego jakby kaźni piętno do potomności przeszło. *Machiavelizm* znaczy dotąd brak sumiennosci, poświęcenie dla interesu, wszystkiego co szanować winniśmy. Machiavel jednak między uczonemi do najznakomitszych dziejopisarzy liczony, niepospolitym odznaczał się talentem. Tak w jego rozprawach objaśniających Liwiusza, jak w komedjach i lekkich poezjach wszędzie rozlicznych zdolności dał dowód. A jeśli w dziele zwanym *Księżę* nie dość surowym okazał się w swych do rządów radach, trzeba w potępieniu pisma, mieć wzgląd na duch czasu, z zimną rozważą przyznać że swą smutną sławę bardziej jeszcze jakimś nieszczęściu, może tylko znakomitemu talentowi, niż rzetelnemu winien



wykroczeniu. Za jego czasów wszyscy tak myśleli, mówili i pisali, a on jeden ponosił wieczną za to karę.

Guicciardini, Bembo, Davila, do znakomitych także należą historyków, a nad nich świetnieje Paweł Sarpi, bardziej jednak talentem niż duchem, tajemnie herezją zarażonym.

Literatura że tak nazwę *Sonetowa* zawsze najobfitsza i wówczas bujnie także kwitła. Włochy są i teraz sonetami zasypane; najmniejsza okoliczność je rodzi. Od Petrarki a później od Laurentego Medyceusza możnaby długą spisać listę takich co się w tym odznaczyli rodzaju, a między nimi kilka kobiet, z których Wiktorja Colonna margrabinia Peschieres, mniemana Buonarrottego kochanka, w pierwszym stanęła rzędzie.

Szesnasty wiek, którego w zbyt szybkim przelocie, najwyższych tylko dotknęłam tu szczytów, przy skonaniu swoim dwie jeszcze zrodził nowości. Teofil Folingi bardziej znany pod pseudonimem *Mertinus Coccajus*, zaczął pisać wiersze w najgburowatszym stylu, z końcówkami łacińskimi. Ten rodzaj niegodny nazwiska poezji, *makaronizmu* dostał przydomek, i jakiś czas młodych studentów bawił.

Druga z tych nowości jest komedja improwizowana, zwana tam *Commedia dell'Arte*. Autor podawał tylko myśl główną, początek i rozwiązanie, a reszta do aktora należała. Im któryen więcej miał talentu, dowcipu, im bardziej czuł się natchnionym i lepiej pojmował duch słuchaczy, tym sztuka więcej powodzenia miała. W niej koniecznie musiał występować jeden z tych narodowych czyli raczej miejscowych błaznów, w przyjętym raz na zawsze stroju, a poniekąd i conceptami, z maską na twarzy o jakichto w Neapolu mówiłam, kreśląc jego Pulcinella obraz.

Siedemnasty wiek, widocznie ku upadkowi literatury się chyli. Narodowość zapomniana, wszelkie jęj uczucie, obcém zastąpione naśladownictwem. Pisarze najgorszym tchną duchem, najgorszemi rządzą się prawidłami. Dla odróżnienia ich od czcigodnych poprzedników nazwani zostali Seicentistami, dotąd jeszcze, gdy liche chcą dać o jakim piarzu zdanie, mówią że z Seicentistów jest szkoły.

Z tego ogólnego potępienia wyłączyć jednak należy Jana Guarini, sielankowego śpiewaka z Ferrary, o którym ci w jego ojczyźnie napomknęłam, a bardziej jeszcze Filicajo z Florencji. On jest jedynym ze swego stulecia, w którego poezjach szersze i wznioślejsze przebijają się tak obywatela jak chrześcianina uczucia. Obrona Wiednia przeciw Turkom którą opiewał i oda do Jana Sobieskiego, tym głównie tchną duchem.

Płody dramatyczne razem z całą upadającą literaturą, jedna tylko opera czyni niejaki w tym smutnym stuleciu postępy; te winna apostołowi

Zeno, który w swych libretach oniemal tragiczne nadaje jój wymiary. Lecz opera dopiero z początkiem ośmnastego wieku z ręki Metastaza ostatecznie odebrała prawa.

Ośmnasty wiek daleko wyżej od poprzedniego w literackich zapisał się dziejach. Frugoni pierwszy w swych rymach, powrotu do lepszych zasad daje przykład. Za nim wiele innych posuwa się talentów. Tragedja a bardziej jeszcze opera i komedja, rychle przetwarzają się i wzrastają. Niektórzy jeszcze francuzkie naśladowują twory, ale Goldoni całkiem narodowym odznacza się charakterem.

Karol Goldoni był Wenecjanin; (urodził się 1707 a umarł 1790 roku) komedje jego dotąd jeszcze pierwsze na wszystkich włoskich scenach trzymają miejsce, z czego nie należy jednak wnosić żeby doskonałemi były. Nie trzeba w nich szukać bardzo wyklarowanej moralności. Często owszem głównym bohaterem jakiś tchurz i oszust, bohaterką awanturница lub złośnica, ale tém wszystkim krajowe obyczaje jak najdobitniej oddane, a ztąd dla krajowców, jak i dla obcych wielką mają zaletę.

Karol Gozzi także Wenecjanin, zazdrośny Goldoniego sławy usiłował wskrzesić sztuki improwizowane (dell' Arte) którym tamten, naśladowając tylko ich popularną wesołość, położył był koniec. Okrasił je czarami i wystawą w rodzaju terażniejszych, gdzie dekoracja i maszyneria więcej mają niż sam dramat zasługi. Wenecjanie zachwycili się tém zrazu, lecz to powodzenie dalej nie poszło. Rodzaj ten nowy się nie utrzymał; ale improwizacje odżyły; arlekiny, pulcinelle, stentarelle, wróciły na scenę i dotąd na niej z najzawszą witani bywają radością.

Gerard Rossi w charakterystycznych komedjach a Albergati, Capacelli w krotofilach się odznaczają. Jan Gomera pisze drugiego rzędu tragedje, a margrabia Scypion Maffei, swą klassyczną Meroppą, europejskiej nabiera sławy. Tragedja jednak mniej w ogólności niż komedja i opera postępu czyni, lubo ta ostatnia od apostoła Zeno jedném tylko szczyci się jeszcze imieniem, lecz imieniem tak melodyjnym jak utwory tego co je nosił.

Metastasio urodzony w Rzymie na dwa lata przed początkiem ośmnastego stulecia, przyniósł na świat imie Trapani, a z nim łyzy i nędze. Najprzód na chłopca do złotnika oddany, gdy później wyższego rzędu zdolności w inny go świat rzuciły, młody Trapani na grecki język swe przełożywszy imie pod nazwą Metastaza do potomności przeszedł.

Dramata jego są może za nadto jednostajnego kolorytu; teatralnych efektów nie szczędzi i w nich się często powtarza; bohaterów w idealnym szuka świecie; ale jest pełen rzetelnego uczucia, łyzy nieraz



wyciska i współczucie rodzi, a wiersz jego łatwy, miękki, płynny, mowiedzy pozostaje w pamięci.

W prozie, ósmnasty wiek mniej jest szczęśliwy. Wolterowski duch i tam zatrutemi wionął żywioły; naśladownictwo Francyi najczęściej przeczuwać się daje, a jój rewolucya co ostatnie wieku tego karty krwią zamazała, sąsiednie wstrząsając także kraje, pióro wytrąciła z ręki.

Ale zanim ta burza na ziemię spadła, i póki jeszcze w powietrzu nią już przesiąknęła swe niosła nad głowami gromy, głowy już pod nią płonąć poczynają. Postrzegamy to w znakomitym hrabi Alfierego talencie.

Alfieri, lubo urodzony w Asti, piemonckim jak ci mówiłam miasteczku, za Florentczyka się uważał. Florencja do swych sław go liczy; a chociaż dzień ujrzał w ósmnastém stuleciu i od niego wieszczę otrzymał namaszczenie, następny rości do jego sławy prawa; może dla tego iż liczne jego naśladowców grono, że szkoła jego całkiem do dziewiętnastego należy.

Jakkolwiek bądź, Alfieri z umysłem niespokojnym wrzącym i hardym, z duszą pełną niesfornych pragnień, arystokratyczną przesiękły dumą, a nieznoszący tak tyranji nad sobą jak podłości niżej, podniósł czoło, gdy jeszcze współrodacy jego zniewieściali i poniżeni, kołysali się pod miłemi Metastaza śpiewami, a w długiej tragicznych utworów serji, swe na społeczny porządek oburzenie wylał.

W przeciwną wpadając ostateczność: ten nowy sceny włoskiej przetrzyciel, tak surowych pragnął rysów, jak Metastasio czułym swoje powlekał wdziękiem. Tradycje jego w prawidłach ostrzej klasycyzacji kreślone, wyгнаły powierników i wszystko co się zbytkowym dodatkiem w ścisłym dramacie zdawać może, a rymy pogardziły śpiewnością, tą tak nazwaną *Cantileną*, której przed nim za nadto może poświęcano we Włoszech. Ta wszakże zbyteczna w układzie jak i w stylu suchość, ten wymęczony lakonizm, tyle wywołał krytyk, iż autor aż po razy dwa ugął pod niemi głowę, a w talencie jego jak niegdyś w Rafaela, trzy dają się spostrzeżać zmiany. Najmiliej jednak dotąd czytane bywają pamiętniki jego, szczere żwawe i bez przymusu pisane.

Ale popęd już był dany. Pełno za wzorem Alfierego piór się podniosło. Pindemonti nie bardzo wprawdzie wiernie w jego poszedł ślady. Dramata jego nie trzymają się klasycznych przepisów, ale Pepoli z Bolonji aż do suchości chce naśladować Alfierego; Wincenty Monti z Ferrary przeciwnie, lubo jego widoczny zwolennik, więcej harmonji stara się nadać swym rymom, a najpóźniejszy z tej szkoły uczeń jest tegoczesny florencki wierszopis Jan Niccolini. Jego Jan z Procidy,

Foscarini i kilka innych trajedij pewnego nabrały rozgłosu. Podobnież i Francesca di Rimini, Silvia Pellica i Adelghisy Manzoni, do ostatnich należą lepszych dramatów włoskich. Ale ci trzej pisarze z innych dzieł bardziej jeszcze niż ze scenicznych cenieni utworów. Silvio Pellico opisem swych więzień dał się najbardziej znać światu, a Manzoni sławnym obyczajowym romansem pod tytułem: *i promessi sposi* (narzeczeni).

Po Manzoniem który w innych jeszcze rodzajach niepośledniego talentu dał dowód, najbardziej się wslawił Rosini. Jego Monaca di Monza czternaście miała edycji. Prócz niego już nieznajduję w moich notatkach żadnego z teraźniejszych czasów imienia godnego wzmianki w tak treściwym spisie. Wychodzą wprawdzie tu i owdzie jakieś powieści (nouvelle) i sonety, ale o nich lepiej w jakim literackim dzienniku się dowiedzieć, niż je samemu czytać; a i tych dzienników nie wiele. Ruch umysłowy w ogólności dość we Włoszech mały bo wszędzie tłumiony. Krytyka jednak nieco się wznosi, z wyższego stanowiska niż dawniej, nieco szerzej mierzyć i właściwiej oceniać rozbieżne dzieła poczyna.

Taki zrobiwszy pisarzy przegląd, którego przelotem słaby ci tu szkic rzuciłam, i to najgłówniejszych tylko, kończąc jeszcze powoli historją Botta (1), zabierałam się pożegnać kraje, których on opisywał ludy. Ale mnie namówiono do poczekania na Zielono Świątkowe tameczne fety, na tombolę co z wszystkich okolic mnóstwo wabi ludzi i na regatę.

Tombola jest po prostu publiczna loterja. Widziałam już ją w Rzymie w Villa Borghese ciągnioną. W Wenecji z większą tylko odbywa się ceremonia. Każdy wygrywający numer w oświetlonych ramach, przy odgłosie bębnów i muzyki, krwawemi okazuje się liczbami. To wszystko jednak nie bardzo mi się ciekawem wydało, i dziwiłam się że przy nader miernych losach ta Tombola mogła tyle zwabiać i tak żwawego zapалу być przedmiotem. Ale Regata należy do najpiękniejszych rzeczy jakie widziałam w życiu. Jest to maskarada na morzu i gonitwy w gondolach. Karnawał tylko rzymski może co do wdzięku z nią rywalizować i to niewiem jeszcze której z tych dwóch zabaw dać pierwszeństwo. Regata nie mogłaby tak długo zajmować i rozrywać, ale co do oka więcej ma niezawodnie uroku.

Wyobraź sobie ten cały wielki kanał zwany *il Canal Grande* albo *Canallazzo*, co na dwoje przecina Wenecją, zasypany krociami łódek, gondoli, większych i mniejszych statków, a wszystkie w kwiaty i wstążki z najwytworniejszym ustrojone przepychem, a w nich najświeższe cha-

(1) Histoire des peuples d'Italie par Botta. 3 Voll.



rakterystyczne kostiumy! Jak w karnawale rzymskim, całe wozy murzynów, Westalek, zbójców i t. d. jedne drugich wymijają, krzyżują się, koncepta i żarty między sobą zamieniają, tak tu baty i baciki. Tylko co Peruwiański okręt pełen w pióra i świecidla strojnych majtków, wyminał wiejskich pasterek łódkę, gdzie same kobiety wiosła trzymały, aż tu za niemi postępuje świątynia Wenery. Posąg jój u steru na muszli dwoma ciągniony gołębiami, różowa z jój ramion szarfa lekki tworzy żagiel, a figlarny jój synek między nimfami swawoli. Za tą płochą boginią, w drugim podobnymże statku, goni nieszczęśliwy jój kulawy małżonek. Stary Wulkan u steru tam siedzi, a wyrobnicy jego, opuściwszy chwilowo kuźnię, młotek zamienili na wiosło. Dalej postrzegasz vicekróla wspaniały statek, dworu jego i innych urzędników. Inne czółna niosą wojskową muzykę co temu zgromadzeniu wesoło przygrywa, lub śpiewaków z melodyjnemi tony całe przepelniających powietrze. Dodaj do tego iskrzące południowém słońcém niebo, pod którem woda i wszystko co na nięj, brylantem błyszczy. Pałace obu stron kanału od góry do dołu ozdobione aksamitnemi ze złotem kobiercami, a okna przepelnione eleganckim światem, we drzwiach dla niższej klasy porobione gradusy, bo zdaje się że dnia tego ludność się zdwoiła; a być to może; z dalekich bowiem okolic, ze wszystkich prawie Adrjatyku portów ujrzysz tam mieszkanców tak między widzami jak między aktorami. Przysłanie ozdobnego tam statku oznacza życzliwość i chęć przyjaznych stosunków. Tak Tryest, który długi czas rywalizował z Wenecją, a ku końcowi wielce do jój upadku się przyczynił, przysłał po raz pierwszy dwanaście pięknych łodzi z czterdziestu ośmiu majtkami w prześlicznym wieku odrodzenia stroju. W niebieskim kolorze ze srebrem i małemi beretami białem ozdobne piórem na głowie, te jednostajne barki bardzo ładny robiły efekt.

Kiedy tak cały kanał rozswawolony śmieje się i huczy, kilka wystrzałów oznajmuje że się gonitwy zacząć mają. Natenczas łódki na dwa boki tak się tulą iż stały tworzą pomost, a w środku, dla ubiegających się do celu zostawują drogę.

Osobne afisze od rana już ogłosiły nazwiska i ojczyznę tych co się do zakładu zapisali. Było ich naówczas ośmnastu. Parami w stroju gondolierów ale bardzo starannym i coraz innych kolorów, na dwóch końcach tegoż koloru łódki swój stali. Nie łódki ale strzały, tak małej, cienkiej, lekkiej jakby z ręki jakiego kupidyna puszczone, a na dane hasło takimże lecąca pędem. Domyślasz się jak żwawe oklaski, jakie radośne przez całą przestrzeń towarzyszą im aż do samej mety okrzyki!

Ci co najpierwi do niej dobiegną, z tryumfem wracają do urządzonej na to altany w najokazalszym kanału miejscu obok pałacu Foscari, i tam przy odgłosie muzyki i głośnych wiwatów, z rąk vice-króla odbierają nagrodę; ci zaś co ostatni w tyle pozostali, z równie głośnie śmiechy odbierają od niego..... żywe prosie!

Tu dopiero zaczynają się żarty i koncepta na nieszczęśliwą z hańbioną parę! bo Wenecjanom nie wiele do śmiechu potrzeba. Co do wesolości mogą się równać z neapolitańskim ludem, a nawet pod wielu innymi względami. Równie żwawy, rześki, smagły z czarnym okiem, bistrową twarzą, narodową na ustach śpiewką często ujrysz ich długie pasma nad brzegiem morza leniwie wyciągniętych. Obdarci i na pół nędzy, rzekłbyś neapolitańscy lazzaroni. Nieraz patrząc na nich, zastanawiała mnie te familijne rysy dwóch narodów, na dwóch krańcach kraju którego środek tak rozmaitemi, tak prawie co krok odmiennymi się odznacza. Wenecjanin postacią jak w skłonnościach i zwyczajach tak różni się od Bolończyka jakby antypodami sobie byli. Jak ten gbur do noża zawsze gotów, tak Wenecjanin wesoły tylko, figlarz i oszust.

Smutno mi było Wenecją opuszczać! Cały przebiegłszy półwysep, oniemał więcęć mi się jeszcze podobała, niż gdy ją tylko jedną w nim znałam. Przeczynałam że ona go kończy, że w niej trzeba się pożegnać z tą krainą, której tyle miłych byłam winna wrażeń. I to przecucie mnie nie zawiodło.

Tryest do którego noc całą po rozkaprysonym bujałam się morzu, już technie naszej Europy prozą. Ulice szerokie, domy białe i nowe, sklepy ozdobne wszędzie handel i handel. Nie widząc pięknej przystani, możnaby się na przedmieściu Wiednia mniemać. Jedną mnie tam tylko spotkała przyjemność. Lud ze wsi na targ przybyły po słowiańsku rozmawiał; rozumieć go łatwo i po polsku mówić już z nim można.

Wyjchawszy z Tryestu, drogą na wysoką górę wężem się wspinając, na morze port i okolice cudny szerzy widok. Chciwie weń wzrok spuszczałam, radabym cały ten obraz niem ogarnąć, nasycić..... Było to ostatnie zaalpejskich widoków pożegnanie, ostatnie ich wejrzenie.

Ale potem, część drogi parą przeleciawszy, tęsknie i bez celu błędzące oko spostrzegło przy drodze niedbale zwieszoną brzozę, w białej swój szacie, z lekkimi na wiatr puszczone warkoczy.... a widok tego rodzinnego drzewa (nieznanego na południu), inne obudził, zatarł tamte wrażenia.

Była to jakby na spotkanie z domu przybyła siostra! zdało mi się słyść czule wymówione słowa: — »Czyś już zapomniała rodzinną twą



strzechę?..... gdzie się w twój duszy podziały wspomnienia dni dziecinnych..... młodzieńczych marzeń..... złotych nadziei co może pod obcym nie zakwitłyby niebem!..... czyż nie słyszysz tego głosu matki co mówi pamiętaj i Kochaj!.....

K O N I E C .

# SPIS PRZEDMIOTÓW

## W TOMIE TRZECIM.

---

	stron.
<b>ROZDZIAŁ I.</b>	
Historya . . . . .	1
<b>ROZDZIAŁ II.</b>	
Historya . . . . .	15
<b>ROZDZIAŁ III.</b>	
Uroczystość publiczna. — Lud i królewska rodzina. — Teatra. — Pulcinello. — O muzyce . . . . .	27
<b>ROZDZIAŁ IV.</b>	
Jeszcze o muzyce. — Katedra Ś. Januarego. — Ratakumby. — Kobiety. — Oby- czaje średniej klasy . . . . .	40
<b>ROZDZIAŁ V.</b>	
Wezuwiusz . . . . .	54
<b>ROZDZIAŁ VI.</b>	
Pompeja. — Herkulanum. — Resina. — Torre del Grecco. — Torre dell' Annun- ziata. — Portici . . . . .	68
<b>ROZDZIAŁ VII.</b>	
Innamorata . . . . .	81
<b>ROZDZIAŁ VIII.</b>	
Salerno. — Amalfi. — Pestum. — Cava. — Nocera. — Muzenm burbońskie. — Sal- vator Rosa . . . . .	94
<b>ROZDZIAŁ IX.</b>	
Groby Wirgiliusza i Sannazara. — Jezioro Aniano i psia grotka. — Solfatara. — Puzzuoli. — Lucrino i Tripergola. — Averno. — Baja. — Pola cizejskie i Ache- ron. — Bauli. — Cuma i jej sybilla. — Missena. — Wyspy . . . . .	109
<b>ROZDZIAŁ X.</b>	
Cmentarz. — Ostatnia wystawa. — Obecny stan literatury i wychowania mło- dzieży. — Droga z Rzymu do Neapolu. — Gacta. — Wspomnienia Cyecrona. — Powrót do Rzymu . . . . .	122
<b>ROZDZIAŁ XI.</b>	
Piferajo. — Obłóczyny . . . . .	133



## ROZDZIAŁ XII.

Droga z Rzymu do Loretto. — Kaskada Terni. — Apeniny. — Loretto . . . . 146

## ROZDZIAŁ XIII.

Ancona. — Sinegalja. — Urbino. — Pesaro. — Rzeczpospolita San-Marino. —  
Odmienna kraju postać. — Bandyeci. — Forli. — Faenza. — Imola. — Bolonja . . 157

## ROZDZIAŁ XIV.

Ferrara. — Rovigo. — Padwa. — Kolej żelazna przez morze. — Wenecja . . . 174

## ROZDZIAŁ XV.

Jeszcze Wenecja. — Elekcja dożów. — Kilka słów o literaturze. — O publi-  
cznych ucztach i ludzie. — Triest. — Brzoza i ostatnie wrażenia . . . . . 186

NEAPOL. — RZYM. — BOLONJA. — PADWA. —  
WENECJA.





## ZNACZNIEJSZE POMYŁKI DRUKU.

---

Stron.	20	wiersz	24,	zamiast:	innych podobnych,	czytaj:	innych niepodobnych.
—	30	—	24,	—	Pancloppa,	—	Penclopa.
—	33	—	16,	—	Corloty	—	Carloty.
—	36	—	38,	—	Glück	—	Gluck.
—	101	—	33,	—	blasku	—	braku.
—	120	—	18,	—	Aenazia	—	Aenaria.
—	120	—	18,	—	Inazime	—	Inarime.

---



ИНАКЦИОННЫЕ ПОСЫЛКИ ДРУГУ

---

169	—	18	—	Иванов	—	Ленинград	—
170	—	17	—	Сидоров	—	Москва	—
171	—	16	—	Петров	—	Псков	—
—	—	15	—	Королев	—	Владимир	—
—	—	14	—	Васильев	—	Тверь	—
—	—	13	—	Кузнецов	—	Ярославль	—
—	—	12	—	Михайлов	—	Иваново	—
—	—	11	—	Смирнов	—	Рязань	—
—	—	10	—	Иванов	—	Владимир	—
—	—	9	—	Петров	—	Тверь	—
—	—	8	—	Королев	—	Ярославль	—
—	—	7	—	Васильев	—	Тверь	—
—	—	6	—	Кузнецов	—	Ярославль	—
—	—	5	—	Михайлов	—	Иваново	—
—	—	4	—	Смирнов	—	Рязань	—
—	—	3	—	Иванов	—	Владимир	—
—	—	2	—	Петров	—	Тверь	—
—	—	1	—	Королев	—	Ярославль	—

---











BOOKKEEPER 2006



0010005893

**Książka  
po dezynfekcji**